

— MISTRZOWIE SF i FANTASY —

Autor światowych bestsellerów
Gra Endera i Mówca umarłych

ORSON SCOTT CARD

**Planeta
Spisek**



ORSON SCOTT CARD

PLANETA SPISEK

Tytuł oryginalny: A Planet Called Treason

Tłumaczenie: Grażyna Grygiel, Piotr Staniewski

DZIĘKUJĘ

Mojemu bratu Billowi, który pożyczył mi *Catseye*;
Mary Jo, która przywiodła mnie do *Body Electric* Bradbury'ego;
Laurze Dene, która włożyła mi do rąk *Fundację* Asimova;
Dale i Marii, którzy skłonili mnie do przeczytania *Opowieści z Narnii*
oraz bibliotekarzom w Santa Clara, Kalifornia, i Mesa, Arizona, którzy
umożliwili mi znalezienie '*Nazywam się Joe*' Poula Andersona,
'*Tunesmith*' Lloyda Biggle'a, '*Galactic Derelict*' Andre Norton i '*Tunnel
in the Sky*' Roberta Heinleina.

Sprawiliście, że zacząłem śnić; mam nadzieję, że nie obudzę się nigdy.

1. MUELLER

O tym, co ze mną się dzieje, dowiedziałem się ostatni. A przynajmniej ostatni uświadomiłem sobie, że już o tym wiem.

Saranna zdała sobie z tego sprawę, kiedy głaskała mój tors. Jej palce natknęły się na wiotki fragment mego ciała, zamiast przesunąć się gładko po mięśniach, stwardniałych od długich godzin spędzonych z mieczem, łukiem i oszczepem. Jej ręce pamiętały podobne odkrycie na własnym ciele, niewiele lat temu. I jako prawdziwa córka Muelleru, bystra i trzeźwa, zorientowała się od razu. Wiedziała, jaka czeka mnie przyszłość, wiedziała, że pewne rzeczy nie będą już między nami możliwe. Mimo to, jako prawdziwa córka Muelleru, nie powiedziała nic ani nie okazała żalu. Po prostu tak się ułożyło, że od tamtej chwili aż do momentu, kiedy opuściłem Mueller, nigdy mnie już nie dotknęła, przynajmniej nie tak, jak robiła to przedtem, z obietnicą przyszłych dziesięcioleci wypełnionych namiętnością. Ona wiedziała, ale ja – jeszcze nie.

Dinte też to dostrzegł. Wtedy gdy obserwował mnie jak zwykle – drugi syn mojego ojca, czekający z nadzieją, aż coś mi się przytrafi, a on będzie mógł opóźnić ewentualną pomoc. Wtedy gdy wypatrywał u mnie jakichś oznak wrodzonego kretynizmu, by on mógł zostać mianowany regentem po śmierci ojca. Wtedy gdy zapamiętywał wszystkie wady i słabości w moim sposobie walki czy myślenia, by on, gdy już mnie zdradzi, miał nade mną jakąś przewagę. Gdy obserwował mnie tak pilnie, musiał zauważyć, że koszula układa się na mojej piersi inaczej niż zwykle. Ze wszystkich powodów, dla których mogłem być uznany za niezdatnego do zasiadania na ojcowskim tronie, właśnie tym by się najbardziej delectował. Był nędzną namiastką syna Muelleru. Natychmiast zhardział. Nie mówił wprost o mojej dolegliwości, ale traktował mnie z butą. Nawet tchórze są na tyle przyzwoici, że taką butę okazują jedynie wobec trupa wroga. Dinte już wiedział, ale ja

jeszcze nie.

Ojciec niczego nie dostrzegł. Mueller miał zawsze dużo pracy. Nie miał czasu, by mnie osobiście obserwować. Ale kazał to robić wszystkim moim wychowawcom i większości przyjaciół. Zwłaszcza w krytycznym okresie dojrzewania, kiedy przychodzi największe niebezpieczeństwo. My wszyscy, w których płynie prawdziwa muellerska krew, jesteśmy obdarzeni wspaniałą zdolnością: rany zablizniają się nam szybciej, nim wyschnie krew, a każda utracona część ciała czy organ odrasta z powrotem. Dlatego bardzo trudno nas zabić.

Nasi wrogowie powiadają, że Muellerowie nie czują wcale bólu, ale to nieprawda.

Tak im się wydaje, ponieważ podczas bitwy nie musimy tracić czasu na odparowywanie ciosów, by ocalić życie. Miecz wroga może wciąż tkwić w naszym ciele, a my jesteśmy w stanie zabić przeciwnika, a potem zaraz ruszyć na następnego ze świeżą, lecz już gojącą się raną.

Odczuwamy ból, dokładnie tak jak wszyscy inni. Nasze kobiety mdleją przy porodzie, gdy pęka ich ciało. Kiedy włożymy rękę w ogień, w mózgu mamy płonącą żagiew, podobnie jak inni ludzie. Czujemy ból, nie czujemy tylko trwogi. A dokładniej: nauczyliśmy się oddzielać ból i trwogę.

Dla innych ludzi ból jest sygnałem, że ich życiu zagraża niebezpieczeństwo.

Muszą unikać go odruchowo, wszelkimi sposobami. Dla Muellerów ból oznacza, że niebezpieczeństwo jest niewielkie. Śmierć przychodzi do nas ponad bólem – z uwiadem starczym. Z zimnym, ciężkim oddechem topielca; z utratą czucia, gdy głowę oddzielają od tułowia. Skaleczenie, oparzenie, dźgnięcie nożem czy złamanie kości oznaczają jedynie utratę sił żywotnych na ten krótki czas, gdy nasze ciało będzie się goiło. Oznaczają, że po bitwie będziemy karmieni krwistymi befsztykami, a nie brukwią.

Największa zaś trwoga odczuwana przez innych – strach przed utratą kończyn, palców rąk lub nóg, uszu, nosa czy genitaliów – jest dla nas śmiechu warta.

Dlaczego inni ludzie właśnie tego boją się najbardziej? Ponieważ swój obecny kształt uważają za istotę własnej osobowości. Jeśli stracą ten kształt, stracą osobowość i staną się potworami nawet we własnych oczach.

My, Muellerowie, już dawno temu przekonaliśmy się, że nasz obecny kształt wcale nie jest naszą osobowością. Możemy go zmieniać, wciąż pozostając tymi co zawsze. Jest to wiedza, którą nabywamy podczas naszego młodzieńczego szaleństwa.

W wieku lat dwunastu czy czternastu my również przechodzimy dziwny okres wrzenia chemikaliów. Inni w tym okresie porastają włosami w dziwnych miejscach i stają się maszynami, które mogą zbudować własne kopie. My zaś, z naszymi tak żywotnymi ciałami, przechodzimy ten okres bardziej burzliwie. Mamy rozwiniętą zdolność regeneracji utraconych lub uszkodzonych części ciała. Podczas szaleństwa dojrzewania nasz organizm zapomina o swym właściwym kształcie i próbuje utworzyć części ciała, które już istnieją. Każdemu młodemu mężczyźnie i młodej kobiecie zdarzało się wygrażać trzecią ręką, płasnąć wymyślnie, wykorzystując dodatkową nogę albo nawet dwie, mrugać nadliczbowym okiem, szczerzyć trzy rzędy zębów górnych i cztery dolnych. Sam miałem kiedyś cztery ręce, ekstra nos i dwa serca pompujące niestrudzenie krew, dopóki chirurg nie wziął mnie pod nóż i nie usunął zbędnych części. Nasza osobowość to nie nasz kształt. Możemy go zmieniać i ciągle pozostawać sobą. Nie dręczy nas strach przed utratą kończyn. Nie możemy zniekształcić lub zniszczyć naszych osobowości przez odejmowanie.

Dręczą nas inne trwogi.

Przez cały okres mojego dojrzewania Ojciec kazał mnie obserwować. Kiedy miałem piętnaście lat, kiedy byłem tylko decymetr czy dwa niższy od dorosłego mężczyzny, a przemiany seksualne powinny się już zakończyć – dla Saranny już się zakończyły, nosiła bowiem w łonie moje dziecko – nawet wtedy czułem na sobie, od świtu do zmroku, baczne oczy obserwatorów. Mierzyli moje ciało oraz duszę i składali sprawozdania Ojcu, gdy miał czas o mnie pomyśleć. To niemożliwe, by nie zauważyli, co się ze mną dzieje – Ojciec musiał wiedzieć jeszcze wcześniej niż Dinte, nawet wcześniej niż Saranna. Wiedzieli wszyscy.

Ale nie ja.

Och, oczywiście wiedziałem. Wiedziałem wystarczająco dużo, aby porzucić obcisłe ubrania i nosić jedynie luźne bluzy. Wystarczająco, żeby wymigiwać się od pływania z przyjaciółmi. Wystarczająco, żeby nie warczeć na Dintego, kiedy był jeszcze bardziej wredny niż zwykle, tak jakbym nie chciał go

sprowokować do nazwania tego, czym się stałem. Wystarczająco, żeby się nie zastanawiać, dlaczego Saranna już mnie nie dotyka. Wystarczająco, żeby w czasie ostatnich miesięcy nie brać jej do łóżka. A jednak nie nazwałem tego, co się ze mną dzieje, nawet bezgłośnie.

Prawie nigdy nie dopuszczałem do siebie myśli o mojej straszliwej, nowej przyszłości. Zdarzyło się to jedynie raz, kiedy trzymając cenny, błyszczący, stalowy królewski miecz w dłoni, ślubowałem tak gorąco, iż pamiętam tę chwilę nawet teraz, jakby było to dziś rano – ślubowałem, że zawsze będę miał miecz w ręku albo przy boku. A nawet wówczas udawałem przed sobą, że obawiam się jedynie zostać człowiekiem z ludu, słabeuszem, co nigdy nie tyka żelaza i drży na widok najmniejszego krwawiącego skaleczenia.

– Dziś – rzekł Homarnoch.

– Nie mam czasu – odpowiedziałem z tą władczą wyższością, właściwą synom książąt, gdy chcą przypomnieć innym o władzy, której jeszcze nie mają.

– Tak rzecze Mueller.

I to było to. Wszystkie wybiegi się skończyły. Musiałem natychmiast odrzucić kłamstwa. Jednak wciąż się ociągałem; powiedziałem mu, że jestem brudny i muszę się umyć. W znacznym stopniu odpowiadało to prawdzie. Zdołałem się wykapać, nie spojrzawszy ani razu w posrebrzane szkło, aby siebie zobaczyć. Na wszystkich lustrach porozwieszane były ubrania. Niektóre odstawiono, tak że w moim pokoju nigdy nie musiałem oglądać swego odbicia. Był to jeszcze jeden znak, że podświadomie wiedziałem. Jeszcze w zeszłym miesiącu byłem równie próżny jak wszyscy chłopcy i otaczałem się zwierciadłami.

Nie było jednak ucieczki przed lustrami w sterylnej pracowni chirurgicznej Homarnocha. W tym miejscu, pełnym ostrych stalowych noży i zakrwawionych łóżek, usuwano kolczaste strzały tkwiące w ciałach żołnierzy, a młodym ludziom odcinano zbyteczne części.

Postawił mnie przed lustrem. Stanąwszy za mną, podniósł rękami moje piersi, wtedy już obfite. Po raz pierwszy zmuszono mnie, bym spojrział na ciało, które po prostu nie mogło być moim. Po raz pierwszy byłem świadomy ucisku czyjegoś dotyku. Nie sądzę, żeby to właśnie szorstka, lekarska pieszczota Homarnocha mnie podnieciła. Ten dotyk był dla mnie raczej dziwny niż podniecający. Myślę, że podniecił mnie widok czyichś piersi, ujętych przez kogoś innego. Myślę, że to był

voyeurism. Wciąż nie wierzyłem w to, co się ze mną działo.

– Dlaczego od razu do mnie nie przyszedłeś? – spytał Homarnoch. W jego głosie słychać było niemal urazę.

– Po co? Już przedtem rosły mi najprzeróżniejsze części ciała.

Potrząsnął głową.

– Nie jesteś głupcem, Laniku Muellerze.

Usłyszałem swe imię i poczułem przyprawiającą o mdłości trwozę. Później zdałem sobie sprawę, że to ono mnie przeraziło. Nie dlatego, że należało do mnie, ale dlatego że wkrótce miało przestać do mnie należeć.

– To zdarza się nawet w rodzinie Muellera, Laniku. Co kilka pokoleń. Nikt nie jest odporny.

– To tylko dojrzewanie – powiedziałem, pragnąc, żeby w to uwierzył.

Popatrzył na mnie smutno i z pewną sympatią.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – rzekł, ale oczywiście nie miał żadnej nadziei.

– Mam nadzieję, że kiedy cię zbadam, przekonamy się, że masz rację.

– Nie trzeba zaraz...

– Teraz, Laniku – rzekł. – Mueller prosił mnie, żebym dał mu odpowiedź w ciągu godziny.

Zachowałem się stosownie do rozkazu Ojca. Położyłem się na stole i zmusiłem do odprężenia, kiedy nóż wgryzł się w mój żołądek. Czułem już wcześniej większe bóle, na przykład gdy rozdzierały mnie drewniane miecze treningowe czy wtedy, gdy strzała przebiła mi skroń i wyszła okiem. Tym razem to nie był ból. Raczej nie tylko ból. Ponieważ po raz pierwszy od wczesnego dzieciństwa płonęły we mnie jednocześnie ból oraz trwoga i czułem to, co czuje człowiek z pospólstwa, to, co odbiera mu męstwo na polu walki, to, co wystawia go na żer dla zaborczych mieczy Muellera.

Kiedy skończył, zakleił mi brzuch plasterem. Czułem już mrowienie i lekki zawrót głowy, co oznaczało, że rana się goi: cięcia były czyste i wszystko miało zrosnąć się, nie pozostawiając blizn, w ciągu kilku godzin. Nie musiałem pytać, co odkrył.

Domyśliłem się tego z pochylenia jego ramion, z wyrazu pełnej szorstkiego stoicyzmu twarzy. Rozpoznałem, że jego beznamienne oblicze skrywa żal, a nie radość.

– Po prostu je odetnij – powiedziałem, lekko żartując.

Nie mógł potraktować tego jako żartu.

– Są również jajniki, Laniku. Jeśli je wytnę i usunę macicę, odrosną.

Spojrzał mi potem w twarz, z tą samą odwagą, z jaką mężczyzna patrzy w czasie bitwy w twarz nieprzyjaciela.

– Jesteś radykalnym regeneratem, Laniku. To się nigdy nie skończy.

To było to. Nazwa tego, czym się stałem. Tak jak moja piękna kuzynka Velinisk: oszalała i na wszystkich dookoła siusiała penisem, który jej wyrósł i zamienił ją w potwora. Radykalny regenerat. Rad. Jak wszyscy, odwróciłem się od niej. Od tamtego dnia nie wypowiedziałem nawet jej imienia. Najpierw dla wszystkich przestała być człowiekiem. Potem nigdy nie była człowiekiem. Potem nigdy nie istniała.

Przy końcu okresu dojrzewania większość Muellerów stabilizuje się w swym dorosłym kształcie. Odtwarzają tylko te części ciała, które zostały stracone. Jednak niektórzy, niewielu, nigdy się nie stabilizują. Dojrzewanie trwa cały czas i stale przypadkowo wyrastają im nowe części ciała. W takich przypadkach organizm zapomina, jaki powinien być jego naturalny kształt: wydaje mu się, że jest jedną wielką raną, która wymaga ustawicznego gojenia. Jest jak ciało nieustannie pozbawione członków, które bez przerwy trzeba regenerować.

To najgorszy sposób umierania, ponieważ nie ma dla ciebie pogrzebu.

Przestajesz być osobą, ale nie pozwalają ci stać się trupem.

– Kiedy to powiesz, Homarnochu, mógłbyś równie dobrze stwierdzić, że jestem martwy.

– Przykro mi – odrzekł po prostu. – Ale muszę natychmiast powiedzieć o tym twemu Ojcu.

I wyszedł.

Spojrzałem znów w wielkie ściennie lustro, obok którego wisiało na haku moje ubranie. Byłem wciąż szeroki w ramionach dzięki godzinom, dniom i tygodniom spędzonym z mieczem, kijem, dzidą i łukiem, a ostatnio przy miechu w kuźni. W

biodrach byłem wciąż wąski dzięki bieganiu i konnej jeździe. Mój brzuch był

wyrzeźbiony w mięśniach, twardy, solidny i męski. Przy tym mój biust – śmiesznie miękki i zapraszający...

Z pochwy przy pasie wiszącym na ścianie wyjąłem nóż i przycisnąłem ostrą srebrną klingę do mych piersi. Bardzo bolało. Naciąłem tylko na cal głęboko i musiałem przestać. Od strony drzwi doszedł mnie odgłos.

Odwróciłem się.

Mała, czarna Cramer pochyliła głowę tak nisko, że nie widziała mnie. Pamiętałem, że została wzięta w ostatniej wojnie – wygranej przez Ojca – więc należała do nas dożywotnio. Przemówiłem łagodnie, gdyż była niewolnicą.

– Wszystko w porządku, nie martw się – rzekłem do niej, ale nie odprężyła się.

– Mój pan Ensel chce widzieć swego syna Lanika. Powiada, że natychmiast.

– Do diabła! – zakrzyknąłem, a ona uklękła, aby wziąć na siebie mój gniew.

Jednak nie uderzyłem niewolnicy, tylko przechodząc dotknąłem jej głowy.

Podszedłem do ubrania i włożyłem je. Byłem zmuszony patrzeć cały czas na swoje odbicie. Kiedy kroczyłem ku drzwiom, mój biust wznosił się i opadał. Mała Cramer mamrotała podziękowania, gdy wychodziłem.

Zacząłem zbiegać po schodach do komnat ojca. Nie nauczyłem się jeszcze chodzić płynnie jak kobieta i poruszać biodrami, by unikać niepotrzebnych potrąceń w tłumie. Po trzech susach przystanąłem i oparłem się o poręcz, aż ból i strach ustąpiły. Kiedy odwróciłem się, chcąc zejść na dół, ale już wolniej, u podnóża schodów zobaczyłem mego brata, Dintego. Uśmiechał się głupio: najwspanialszy okaz obiecującego durnia, jaki kiedykolwiek pojawił się w naszej rodzinie.

– Widzę, że usłyszałeś nowinę – powiedziałem, schodząc ostrożnie ze schodów.

– Doradzałbym ci nabycie biustonosza – zaproponował spokojnie. – Pożyczyłbym ci jakiś od Mannoah, ale jej są o wiele za małe.

Położyłem rękę na nożu i Dinte cofnął się o parę stopni. Odcinałem mu palce i wydłubywałem oczy podczas naszych dziecięcych kłótni tak wiele razy, że wiedziałem o jałowości tego działania. Musiałem jednak mieć nóż w ręku, kiedy byłem gniewny.

– Nie możesz mnie już więcej ranić, Lanik – powiedział z uśmiechem Dinte. –

Będę teraz następcą tronu, wkrótce głową rodziny i będę o tym pamiętał.

Próbowałem obmyślić jakąś pogardliwą odpowiedź, by wiedział, że nie

może mi już uczynić nic bardziej bolesnego od tego, co mi się właśnie wydarzyło, od tego, co się za chwilę wydarzy.

Ale wyznanie takiego bólu i strachu czyni się jedynie najbardziej zaufanym przyjaciołom, a może w ogóle nie czyni się nikomu. Tak więc nie rzekłem nic, minąłem go i skierowałem się do prywatnych komnat Ojca. Kiedy przechodziłem obok Dintego, wydobywał z głębi gardła pomruk, jak czynią ci, którzy przywołują prostytutki na ulicy Hivvel. Nie zabiłem go jednak.

– Witaj, synu – powiedział Ojciec, kiedy wszedłem do jego komnaty.

– Mógłbyś zawiadomić swego drugiego syna, że wciąż jeszcze potrafię zabijać –

odezwałem się.

– Jestem pewien, że miało to być powitanie. Przywitaj się z matką.

Podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczyłem Kupę. W ten sposób my, dzieci pierwszej żony Tatusia, bez zbytich sentymentów nazywaliśmy Żonę Numer Dwa. Zajęła ona pozycję mojej matki, kiedy ta umarła na dziwny i nagły atak serca.

Ojciec nie uważał go za nagły i dziwny, ale ja owszem. Oficjalne imię Kupy brzmiało Ruva. Pochodziła ze Schmidt i stanowiła część umowy związanej, w skład której wchodziło przymierze, dwa forty i około trzy miliony akrów. Miała zostać tylko konkubina, ale przypadek i niewytłumaczalna namiętność Ojca wyniosły ją wyżej.

Nazywaliśmy ją Matką, zmuszeni przez zwyczaj, prawo i gniew Ojca.

– Jak się masz, Matko – powiedziałem zimno. Tylko uśmiechnęła się tym swoim słodkim, łagodnym, krwiożerczym uśmiechem.

Ojciec nie tracił czasu na łagodność czy współczucie.

– Homarnoch powiada, że jesteś radykalnym regeneratem.

– Zabiję każdego, kto spróbuje zamknąć mnie w zagrodzie – oznajmiłem. –

Nawet ciebie.

– Kiedyś wezmę na serio twe zdradzieckie wypowiedzi, chłopcze, i każę cię udusić. Ale przynajmniej tej trwogi możesz się pozbyć. Nigdy nie wsadziłbym żadnego z moich synów do klatki, nawet jeśli to rad.

– Takie rzeczy zdarzały się wcześniej – zauważyłem. – Studiowałem trochę historię Rodziny.

– Wiesz wobec tego, co się teraz stanie. Chodź, Dinte – rzucił Ojciec.

Ja zaś odwróciłem się i zobaczyłem, jak wchodzi mój mały braciszek.

Wtedy właśnie straciłem po raz pierwszy panowanie nad sobą. Krzyknąłem:

– Masz zamiar pozwolić temu półgłówkowi zrujnować Mueller, ty sukinsynu!

Wiesz przecież, że jestem jedynym człowiekiem, który mógłby utrzymać to kruche imperium, kiedy raczysz umrzeć! Mam nadzieję, że pożyjesz dostatecznie długo, żeby zobaczyć, jak się wszystko rozpada na kawałki!

Później miałem z goryczą wspominać te słowa, ale skąd mogłem wiedzieć, że to wypowiedziane w gniewie przekleństwo kiedyś się spełni?

Ojciec zerwał się na nogi i przeszedł szybkim krokiem dokoła stołu do miejsca, gdzie stałem. Oczekiwałem uderzenia i przygotowałem się na nie. Ale on położył mi dłonie na gardle i przez chwilę czułem okropny strach, że w końcu spełni swą groźbę i udusi mnie. Potem rozdarł mą tunikę, położył mi ręce na piersiach i brutalnie ścisnął je razem. Jęknąłem z bólu i szarpnąłem się do tyłu.

– Jesteś teraz słaby, Lanik – odparł. – Jesteś miękki, kobiecy i żaden z mężczyzn Muellera nigdzie za tobą nie pójdzie.

– Chyba że do łóżka – dodał lubieżnie Dinte.

Ojciec wymierzył mu policzek.

Kiedy odwrócił się, przykryłem swoje piersi rękami, jak dziewczyna, i okręciłem się, stając twarzą w twarz z Kupą. Ciągle się uśmiechała i widziałem, jak jej wzrok przesuwają się z mojej twarzy w dół, ku łonu...

„To nie moje piersi!” – krzyknąłem bezgłośnie. – „Nie moje, to nie jest część mnie”. Czułem nieprzeparte pragnienie odejścia, kompletnego wycofania się ze swego ciała, niech pozostanie tutaj, kiedy ja pójdę gdzie indziej, wciąż jako mężczyzna, wciąż jako możliwy następca tronu, wciąż jako ja.

– Włóż płaszcz – rozkazał Ojciec.

– Tak jest, panie Ensel – wymamrotałem i zamiast ulotnić się z mego ciała, okryłem je. Czułem, jak szorstka tkanina płaszcza ociera się o delikatne końce moich sutek. Stałem i patrzyłem, jak Ojciec rytualnie ogłasza mnie bękartem, a mego brata następcą tronu. Brat był wysokim blondynem, wyglądał na silnego i mądrego.

Wiedziałem jednak najlepiej, że jego mądrość to jedynie skłonność do przebiegłości, a jego siłę nie towarzyszy ani szybkość, ani zręczność.

Kiedy ceremonia skończyła się, Dinte usiadł swobodnie na krześle, które przez tyle lat należało do mnie.

Stałem wtedy przed nimi i Ojciec rozkazał mi, abym przysięgł posłuszeństwo memu młodszemu bratu.

– Raczej umrę – powiedziałem.

– To jest również wyjście – rzekł Ojciec, a Dinte uśmiechnął się.

Przysięgłem wieczną lojalność Dintemu Muellerowi, dziedzicowi dóbr Rodziny Mueller, co obejmowało posiadłość Mueller i kraje, które mój Ojciec podbił: Cramer, Helper, Wizer i wyspę Huntington. Złożyłem przysięgę, ponieważ Dinte w tak oczywisty sposób pragnął, żebym jej odmówił i umarł. Obecnie, kiedy wiadomo było, że zostanę przy życiu, będzie musiał stale się martwić. Usiłowałem zgadnąć, ilu strażników wystawi dzisiaj wokół swego łóża.

Wiedziałem jednak, że nie będę próbował go zabić. Po usunięciu Dintego nie mógłbym zająć jego miejsca. Nastąpiłby tylko bezlitosny spór o sukcesję. Albo jeszcze gorzej: pozwolono by Ruvie na spłodzenie jakiegoś szkaradnego potomka.

Miałby połowę genów mego ojca i mógłby zająć jego miejsce. Bez względu na to, co się miało stać, rad taki jak ja nie mógł mieć żadnej nadziei, że kiedykolwiek będzie rządził Muellerem. Poza tym, radowie rzadko dożywali trzydziestki i nie mieli prawa

– nie, to ja nie miałem prawa – krzyżować się z nadludźmi. Poczulem nagły ból, kiedy uświadomiłem sobie, co to oznacza dla biednej Saranny. Kobiety wyjmą z niej dziecko i zniszczą je. Stanie się teraz byłą kochanką potwora, a nie potencjalną pierwszą żoną Ojca Rodziny. W dniu, w którym kobiety wybrały mnie jako jej partnera hodowlanego, zrobiła krok ku chwale. Teraz wszystko zapadało się pod jej stopami. Nie tylko moja przyszłość była zniszczona – jej również.

– Czy to, co widzę w twoich oczach, to myśli dusiciela, Lanik? – spytał Ojciec.

Sądził, że wciąż myślę o Dinte.

– Nic podobnego, Ojciec – upewniłem go.

– Więc to trucizna. Albo głęboka woda. Zdaje mi się, że mój następca nie jest z tobą bezpieczny tutaj w Mueller.

Spojrzałem na niego z gniewem.

– Największym wrogiem Dintego jest on sam. Nie potrzebuje mojej pomocy, żeby fatalnie skończyć.

– Ja również czytywałem historię Rodziny – rzekł Ojciec. – Jeśli któryś z Muellerów był zbyt sentymentalny i nie wysłał do zagrody swego potomka, radykalnego regenerata, wkrótce tego żałował.

– Więc każ mnie zabić z godnością, Ojcze.

Była to największa prośba, na jaką mogłem się zdobyć. Jednak bezgłośnie błagałem: nie pozwól, żeby mnie paśli i zbierali ze mnie plon, pozyskując ode mnie kończyny i organy, tak jak od owcy pozyskiwana jest wełna, od krowy mleko, a od jedwabnika jedwab.

– Jestem zbyt uczuciowy – powiedział Ojciec. – Nie chcę cię zabijać. Wysyłam cię więc w poselstwie, daleko i na długo, abym mógł mieć uzasadnioną nadzieję, że Dinte zostanie przy życiu.

– Ja się go nie boję – rzekł pogardliwie Dinte.

– Więc jesteś głupcem – stwierdził ostro Ojciec. – Lanik, z cyckami czy bez, bije cię pod każdym względem, chłopcze. Nie powierzę ci mego imperium, zanim mi nie pokażesz, że jesteś co najmniej w połowie tak zdolny, jak twój brat.

Dinte ucichł, ale wiedziałem, że ojciec zapisał mu w umyśle wyrok śmierci na mnie. Czy zrobił to celowo? Miałem nadzieję, że nie. Przyszło mi jednak na myśl, że dla Ojca najlepszym sprawdzianem, czy Dinte jest zdolny sprawować władzę, będzie przekonanie się, jak dobrze udało mu się zorganizować moje morderstwo.

– Poselstwo. Do jakiego narodu? – spytałem.

– Nkumai – odparł.

– Królestwo mieszkających na drzewach czarnuchów, daleko na wschodzie –

powiedziałem, pamiętając swe lekcje geografii. – Dlaczego mamy wysłać emisariuszy do zwierząt?

– To nie zwierzęta. Ostatnio w bitwach używali stalowych mieczy. Dwa lata temu podbili Drew. My tu rozmawiamy, a oni nie wysilając się zdobywają Allison.

Czułem, jak wzbiera we mnie gniew, kiedy pomyślałem o mieszkających na drzewach czarnuchach, pokonujących dumnych rzeźbiarzy z Drew czy prowincjonalny, religijny lud Allison. Niedawno przecież pokonaliśmy Cramer i zmieniliśmy ich w niewolników, pokazując, gdzie na świecie jest prawdziwe miejsce czarnuchów.

– Dlaczego wysyłamy posłów zamiast armii? – zapytałem z gniewem.

– Czyż jestem głupcem? – odpowiedział pytaniem na pytanie Ojciec. –

Gdybym chciał postępować jak nierozumny fanatyk, zwołałbym zgromadzenie ludowe i posłuchał szlachty.

Było to dla mnie krzepiące i bolesne zarazem, że oczekiwał ode mnie, bym myślał jak Mueller, a nie jak jakiś pospolity żołnierz, który za nic nie odpowiada.

Odrzekłem mu więc z powagą:

– Jeśli mają twardy metal, znaczy to, że znaleźli coś, co kupują Zewnętrzni. Nie wiemy, jak wiele mają metalu. Nie wiemy, co sprzedają. Wobec tego moje poselstwo nie jest po to, by przygotować układ, ale raczej by dowiedzieć się, co mają do sprzedania i ile za to płaci Ambassador.

– Bardzo dobrze – rzekł Ojciec. – Dinte, możesz odejść.

– Jeśli są to sprawy królestwa – zaprotestował Dinte – czy nie powinienem pozostać tutaj i posłuchać o nich?

Ojciec nie odpowiedział. Dinte wstał i wyszedł. Wtedy Ojciec machnął ręką na Kupę, która również opuściła pokój, wyniośle kołysząc biodrami.

– Lanik – zaczął Ojciec, gdy pozostaliśmy sami – Lanik, na Boga, tak bym chciał coś z tym zrobić.

Oczy napęłniły mu się łzami i z pewnym zdziwieniem zdałem sobie sprawę, że Ojciec kochał mnie na tyle, by z mojego powodu czuć żal. „Ale tak naprawdę to nie z mojego powodu – pomyślałem. – Z powodu swego drogiego imperium, którego Dinte z pewnością nie będzie w stanie utrzymać”.

– Lanik, nigdy w trzeczysięcletniej historii Muellera nie było umysłu takiego jak twój, w ciele takim jak twoje. Nie było mężczyzny tak doskonale nadającego się na przywódcę ludzi. A teraz to ciało jest zrujnowane. Czy umysł będzie mi wciąż służył?

Czy mężczyzna wciąż będzie kochał swego ojca?

– Mężczyzna? Gdybyś spotkał mnie na ulicy, chciałbyś zabrać mnie do swego łóżka.

– Lanik! – wykrzyknął. – Czy nie wierzysz w mój żal?

Wyciągnął swój złoty sztylet, podniósł go wysoko i przebił sobie lewą rękę, przyszpilając ją do stołu. Kiedy wyciągnął nóż, krew zaczęła tryskać miarowo z rany, on zaś przeciągnął dłonią po czole, pokrywając twarz posoką. Potem załkał.

Krwawienie ustało, a rana pokryła się strupem.

Siedziałem i obserwowałem. Patrzyłem, jak odprawiał rytuał żalu. Milczeliśmy.

Słyszeć było tylko głośny oddech Ojca aż do chwili, gdy jego dłoń wygoiła się.

Wtedy spojrział na mnie ciężkim wzrokiem.

– Nawet gdyby to się nie wydarzyło, wysłałbym cię do Nkumai. Od czterdziestu lat byliśmy jedynymi, jak nam się zdawało, którzy mieli wystarczająco dużo twardego metalu, by wpływać na przebieg wojny. Nkumai jest obecnie naszym jedynym rywalem, a my nic nie wiemy o tej Rodzinie. Będziesz musiał udać się tam po kryjomu: jeśli dowiedzieliby się, że jesteś z Muelleru, zabiliby cię. Nawet gdybyś przeżył, postaraliby się, byś nie zobaczył niczego ważnego.

Zaśmiałem się gorzko.

– A teraz mam doskonałe przebranie. Nikt nigdy nie uwierzy, że Mueller posłał

kobietę, by wykonywała pracę mężczyzny.

„Właśnie – powiedziałem do siebie – zdobądź sobie imię, które może uchroni cię przed niebytem”. Ale wiedziałem, że to niemożliwe. W Mueller nie zaakceptowano by rada jako kobiety, tak jak nie akceptowano go jako mężczyzny. Tylko poza Muellerem mogłem być brany za istotę ludzką. Ojciec mógł to nazywać poselstwem, a nawet misją szpiegowską, ale obydwaj wiedzieliśmy, że prawdziwym terminem było „wygnanie”.

Uśmiechnął się do mnie. Potem jego oczy zaszyły łzami, a ja zastanawiałem się, czy mimo wszystko ta jego miłość nie była skierowana ku mnie.

Audiencja dobiegła końca. Wyszedłem.

Nadzorowałem przygotowania: stajennym kazałem oporządzić konie i podkuć je do podróży, kuchcikom dawałem instrukcje, aby przygotowali toboły do drogi, mędrcom poleciłem sporządzić mapę. Kiedy prace były w toku, opuściłem główny zamek i poszedłem krytymi korytarzami do Laboratoriów Genetycznych.

Nowina rozeszła się szybko: wszyscy wyżsi oficerowie unikali mnie. Zastałem tam tylko uczniów; otwierali mi drzwi i prowadzili do miejsca, które chciałem zobaczyć.

Zagrody oświetlano jasno we dnie i w nocy. Przez umieszczone wysoko

okno obserwacyjne patrzyłem na ciała, które leżały na miękkich trawnikach. Gdzieś tam ktoś się tarzał, wzbijając kurz. Wszystkie ciała były nagie. Widziałem, jak do karmników rozdziela się południowy posiłek. Niektórzy nie różnili się wyglądem od ludzi. Inni mieli tu i tam małe narośla lub defekty ledwie rozpoznawalne z daleka: trzy piersi, dwa nosy, dodatkowe palce u rąk i nóg.

No i byli tam też ci, którzy dojrzeli do zbioru. Obserwowałem, jak jedno ze stworzeń poczłapało do koryta. Miało pięć nóg, które nie współpracowały ze sobą zbyt dobrze. Wymachiwało swymi pięcioma ramionami, aby utrzymać równowagę.

Dodatkowa głowa majtała się bezużytecznie na plecach. Drugie plecy odchyłały się krzywo od ciała, jak wąż sztywno przyssany do ofiary.

– Dlaczego tak długo nie zbierano z niego plonu? – spytałem ucznia stojącego obok mnie.

– To z powodu głowy – wyjaśnił. – Kompletne głowy są bardzo rzadkie i nie śmieliśmy wtrącać się do regeneracji, dopóki się nie zakończyła.

– Czy za głowy dostajemy dobrą cenę? – spytałem.

– Nie zajmuję się sprzedażą – odpowiedział, co oznaczało, że cena była rzeczywiście bardzo wysoka.

Patrzyłem, jak monstrum usiłuje donieść jedzenie do ust przy pomocy nieposłusznym ramion. Czy mogła to być Velinisik? Zadrzałem.

– Jest panu zimno? – spytał uczeń z przesadną troską.

– Bardzo – rzekłem. – Moja ciekawość została zaspokojona. Pójdę już sobie.

Zastanawiałem się, dlaczego wcale nie jestem wdzięczny, że wygnanie ocaliło mnie przynajmniej od tych zagród. Być może byłem przekonany, iż gdyby skazano mnie na takie życie, na dostarczanie zapasowych części do wysyłki w Kosmos, byłbym się zabił. Ciągle jednak byłem po tej stronie samobójstwa i nie mogłem uciec przed straszną świadomością wszystkiego, co straciłem.

Saranna spotkała mnie w poczekalni Laboratorium Genetycznego. Nie mogłem tego uniknąć.

– Wiedziałaś, znając twoją chorobliwą ciekawość, że cię tu zastanę – powiedziała.

Zdawałem sobie sprawę, że usiłuje dodać mi otuchy, próbuje udawać, że między nami wszystko jest wciąż dobrze. Zważywszy okoliczności, było to groteskowe.

Wolałbym, żeby okryła się żałobą, żeby mówiła do mnie jak do kogoś, kto przypomina osobę już nieżyjącą, ponieważ tak się właśnie wtedy czułem.

Próbowałem ją wyminąć. Chwyciła mnie za ramię, przywarła do mnie i nie pozwalała się wyrwać.

– Czy myślisz, że robi mi to jakąś różnicę?! – wykrzyknęła z płaczem.

– Zachowujesz się nieprzyzwoicie – zasyczałem. Kilkoro ludzi z zakłopotaniem utkwilo wzrok w podłódze, a służący już klęczeli. – Przynosisz nam wstyd.

– Chodź więc ze mną – prosiła.

Nie chciałem, by inni ludzie znajdujący się w pokoju musieli nadal znosić tę niezręczną sytuację, poszedłem więc za nią. Kiedy wychodziliśmy, słyszałem uderzenia prętów, którymi smagano plecy służących za to, że widzieli kogoś wysoko urodzonego zachowującego się niestosownie. Odczuwałem te razy, tak jakby spadały na mnie.

– Jak mogłaś to zrobić? – spytałem.

– A ty jak mogłeś trzymać się z dala ode mnie przez wszystkie te dni?

– Nie było to aż tak długo.

– Bardzo długo! Lanik, czy myślałaś, że ja nie wiem? Czy myślałaś, że kocham cię tylko dlatego, że jesteś dziedzicem Muellera?

– Co zamierzasz zrobić? – spytałem ostro. – Iść tam ze mną? Też pozwolić, żeby zbierali z ciebie plon?

Odsunęła się ode mnie ze wstrętem i przerażeniem w oczach.

– Niech ci się powiedzie następnym razem – rzekłem. – Następnym razem pokochaj istotę ludzką.

– Lanik! – krzyknęła.

Objęła mnie ramionami i przycisnęła do mnie głowę. Kiedy poczuła miękkie piersi zamiast twardych mięśni, odsunęła się na chwilę, a potem, z determinacją, przytuliła jeszcze mocniej.

Gdy trzymała mi tak głowę na łonie, zacząłem się zastanawiać, czy może powinienem poczuć jakieś matczyne uczucia. Czy nie zorientowała się, że jej dotyk nie był dla mnie pocieszeniem, a jedynie przypomnieniem tego, co straciłem?

Odepchnąłem ją i uciekłem. Zatrzymałem się przy zakręcie korytarza i popatrzyłem za siebie. Saranna rozpruwała już swoje nadgarstki, płacząc głośno. Krew kapiała na kamienną podłogę. Nacięcia były barbarzyńskie – utrata krwi spowoduje, że przez wiele godzin będzie

chora. Poszedłem szybko do swego pokoju.

Leżałem na łóżku, gapiąc się na delikatne złocenia sufitu. Wśród złotych ozdób osadzona była pojedyncza perła z żelaza, czarna, gniewna i piękna. Z powodu żelaza, powiedziałem sobie w duchu. Z powodu żelaza przekształciliśmy się w potwory:

„normalni” Muellerowie zdolni do wylizania się z każdej rany oraz rady, to bydło domowe, których dodatkowe części wysyła się w Kosmos, za dostawy żelaza. Żelazo to potęga w świecie, gdzie nie ma twardych metali. Kupowaliśmy tę potęgę za swoje ręce, nogi, serca i trzewia.

Włóżysz rękę do Ambasadora – za pół godziny, w sześcianie tańczącego światła, pojawia się sztaba żelaza. Włóżysz do sześcianu zamrożone żywe organy płciowe –

zastąpi je pięć sztab. A całą głowę? Któż zna cenę?

Przy takim kursie wymiany, jak wiele rąk, nóg, oczu i wątrób musimy dać, nim uzbieramy dosyć żelaza, by zrobić jeden statek kosmiczny?

Ściany zwierają się wokół mnie. Poczujęm się jak w pułapce na Spisku, tej naszej planecie, która wysokim murem ubóstwa odgradzała nas od Kosmosu; gdzie byliśmy więźniami tak samo jak te stworzenia w zagrodach. I jak one byliśmy czujnie obserwowani. Jedna Rodzina szaleńczo współzawodniczyła z sąsiednią, aby wyprodukować coś, co Kosmos by kupił, płacąc nam cennymi metalami: żelazem, aluminium, miedzią, cynkiem i cyną.

My, Muellerowie, byliśmy pierwsi. Być może Nkumai są następni. Prędzej czy później rozpocznie się walka o supremację. I ktokolwiek zostanie zwycięzcą, łupem w tej strasznej bitwie będzie kilka ton żelaza. Czy można na tym zbudować kulturę techniczną?

Zasypiałem jak więzień, przykuty do swego łoża ogromnymi kajdanami grawitacji naszej biednej, więziennej planety. Do rozpaczy doprowadzały mnie dwie pełne i piękne piersi, które regularnie unosiły się i opadały. Zasnąłem.

Obudziłem się w ciemnościach przy akompaniamencie chrapliwego, dobywanego z trudem oddechu. To był mój oddech. Ogarnął mnie strach. Poczujęm w płucach ciecz. Zacząłem gwałtownie kasłać. Rzuciłem się na brzeg łóżka, wykrztuszając z gardła ciemną plwocinę. Każde kasznięcie sprawiało mi dotkliwy ból. Dysząc wciągałem do płuc zimne powietrze – nie przez usta, lecz przez gardło.

Dotknąłem ziejącej rany pod brodą. Gardło było poderżnięte. Czulem otoczone strupami żyły i tętnice. Próbując się goić, przesyłały do mego mózgu krew, bez względu na konsekwencje. Rana szła od ucha do ucha. Ale w końcu moje płuca oczyściły się z krwi. Leżałem na łóżku, starając się ignorować ból, a ciało zbierało siły, by zaleczyć rozcięcie. Uświadomiłem sobie, że jest na to zbyt mało czasu. Ktoś, kto tak nieudolnie próbował mnie zgładzić, zaraz tu wróci, aby upewnić się co do wyników swego działania. Następnym razem nie będzie już tak niezręczny (niezręczna – Ruva?).

Wstałem więc, nie czekając, aż zupełnie wyzdrowieję. Mój oddech wciąż syczał, przechodząc przez poranione gardło. Dobrze, że przynajmniej krwawienie ustało i wiedziałem, że jeśli będę się poruszał ostrożnie, rychło zrost przesunie się stopniowo od brzegów ku środkowi rany i w końcu ją zamknie.

Wyszedłem na korytarz, słaniając się z upływu krwi. Nikogo nie było, tylko zamówione przeze mnie paki leżały pod drzwiami, czekając na sprawdzenie.

Wciągnąłem je do środka. Wysilek spowodował małe krwawienie, więc odpocząłem chwilę, dopóki naczynia krwionośne znów się nie zagoiły. Potem przejrzałem pakunki i związałem najpotrzebniejsze rzeczy w jeden tobolek. Ze swojego pokoju zabrałem jedynie strzały ze szklanymi grotami i łuk. Niosąc pakunek, przeszedłem ostrożnie korytarzami i schodami do stajni.

Kiedy mijalem budkę wartowniczą, odczułem ulgę, widząc, że nie ma w niej nikogo, kto mógłby mnie wezwać do zatrzymania. Po kilku krokach zorientowałem się, co to oznacza, i obróciłem się gwałtownie, wyciągając sztylet.

Ale to nie wróg tam stał. Saranna stłumiła krzyk, kiedy zobaczyła ranę na mojej szyi.

– Co ci się stało?! – krzyknęła.

Próbowałem odpowiedzieć, ale moje ciało nie odbudowało jeszcze utraconej krtani. Mogłem więc jedynie powoli pokręcić głową i położyć palec na wargach Saranny, by ją uciszyć.

– Słyszałam, że wyjeżdżasz, Lanik. Weź mnie ze sobą.

Odwróciłem się do niej plecami i poszedłem do mych koni, które stały podkute przy warsztacie drzewnego kowala. Kiedy je prowadziłem, drewniane podkowy postukiwały cicho na kamiennej podłodze.

Przerzuciłem pakunek przez grzbiet Himmlera, a ogiera, Hitlera, osiodłałem do jazdy.

– Weź mnie ze sobą – błagała Saranna.

Odwróciłem się. Nawet gdybym mógł mówić, cóż mógłbym jej rzec? Więc nie odpowiedziałem nic, tylko ją pocałowałem. A potem, ponieważ musiałem wyruszyć po cichu i nie mogłem się spodziewać, by pozwoliła mi samotnie odjechać, uderzyłem Sarannę mocno ręką w szyję, a ona osunęła się miękko na podłogę stajni w słomę i siano. Gdyby nie była Muellerką, cios mógłby ją uśmiercić.

A tak, będę miał szczęście, jeśli pozostanie nieprzytomna przez najbliższych pięć minut.

Konie dały się spokojnie wyprowadzić ze stajni i bez przeszkód doprowadziłem je do bramy. Wysoki kołnierz płaszcza skrywał przed oczami mijanych strażników ranę na mojej szyi. Mogłem się spodziewać, że zostanę tam zatrzymany, ale nie zostałem. Zastanawiałem się, dlaczego dla Dinte stanowiło tak wielką różnicę, czy będę trupem, czy opuszczę Mueller. Tak czy owak, nie będę na miejscu, żeby spiskować przeciw niemu. Wiedziałem, że jeśli kiedykolwiek wrócę, za każdym rogiem będzie mnie oczekiwać setka najemnych zabójców. Dlaczego zadawał sobie trud, by mnie zabić?

Kiedy jechałem na Hitlerze, a obok prowadziłem Himmlera, przyświecało nam słabe światło Niezgody, szybkiego księżyca. Było mi prawie wesoło. Jedynie Dinte mógł tak podle sfuszerować próbę zabójstwa. Ale w księżycowej poświacie zapomniałem wkrótce o Dintem i wspominałem tylko Sarannę, jak leżała na podłodze stajni, blada, gdyż upuściła sobie wiele krwi z żalu po mnie. Puściłem wolno lejce i zanurzyłem dłonie w tunice, aby dotknąć swego biustu i w ten sposób przypomnieć sobie jej piersi.

Potem powolny księżyc, Wolność, wzeszedł na wschodzie, rzucając na równinę jasne światło. Ująłem znów lejce i pogałęm konie, tak żeby dzień zastał mnie z dala od zamku.

Nkumai. Cóż tam znajdę? I czy w ogóle mnie to obchodziło?

Byłem jednak przecież posłusznym i obowiązkowym synem Ensela Muellera.

Pojadę i obejrzę wszystko, tak aby Mueller mógł ich przy odrobinie szczęścia podbić.

Odwróciłem się i dostrzegłem, jak w zamku zapalają się światła.

Niesiono latarnie wzdłuż ścian. Odkryli, że mnie nie ma. Nie mogłem obecnie liczyć na roztropność Dintego, na to, że dojdzie do wniosku, iż nie ma sensu mnie uśmiercać.

Wbiłem ostrogi w boki Hitlera. Pogalopował, a ja jedną ręką ścisnąłem lejce, drugą zaś usiłowałem zapobiec bólowi spowodowanemu gwałtownymi skokami konia, z których każdy wstrząsał moją klatką piersiową, aż zorientowałem się, że to nie płuca mnie boją. Nie bolała mnie też rana na szyi. Ból znajdował się głębiej w moich piersiach i głębiej w krtani. Zapłakałem. Spieszyłem na wschód – nie ku gościńcowi, jak będą z pewnością przypuszczać, znając moją misję. Nie ku wrogom z sąsiedztwa, którzy by z radością udzielili schronienia narzędziu mogącemu się przydać w walce z zaborczym Muellerem. Jechałem na wschód, do lasu, Ku Kuei, dokąd nikt nigdy nie jeździł. Uznałem, że nikt nigdy nie wpadnie na to, żeby mnie tam szukać.

2. ALLISON

Pola uprawne przechodziły stopniowo w trawiaste, płaskie wzgórza porośnięte płytkimi wąwozami. Spotykało się więcej owiec niż ludzi. Wolność była ciągle nisko na zachodzie, a położenie słońca świadczyło, że jest późny poranek. Było mi gorąco.

Czułem się jak w pułapce. Chociaż nie widziałem nikogo za sobą na szlaku, wiedziałem, gdzie są moi prześladowcy, jeśli takowi byli (a musiałem zakładać, że byli): na południowym wschodzie pilnowali granicy z Wongiem, na północy patrolowali długą, wrogą granicę z Epsone. Tylko na wschód nie wysyłano strażników, ponieważ żaden strażnik nie był tam potrzebny.

Jechałem teraz górskimi grzbietami, wśród ostrych skał, posuwając się ostrożnie szlakiem ku wschodowi. Setki tysięcy owiec wydeptało ten trakt i był on dość łatwy dla podróżnego. Czasami jednak zważał się i prowadził między skałą wznoszącą się z lewej a przepaścią opadającą na prawo. Zsiadałem wówczas z Hitlera i prowadziłem go przy sobie. Himmler posłusznie szedł z tyłu.

W południe dotarłem do jakiegoś budynku.

Przy drzwiach stała kobieta z dzidą o kamiennym ostrzu. Była w średnim wieku, miała obwisłe, lecz wciąż pełne piersi, szerokie biodra i wydatny brzuch. W jej oczach palił się ogień.

– Z konia, i precz od mego domu, cholerny intruzie! – wykrzyknęła.

Zsiadłem z konia, chociaż nie bałem się tej głupiej dzidy. Miałem nadzieję, że namówię kobietę, by dała mi odpocząć. Plecy i nogi bolały mnie od długiej jazdy.

– Miła pani – starałem się mówić pojednawczym i uprzejmym głosem.

– Nie musi się pani niczego obawiać z mojej strony.

Kobieta skierowała dzidę w moją pierś.

– Połowa ludzi na tych Wysokich Wzgórzach została ostatnio obrabowana. Poza tym nagle wszyscy żołnierze na północy i południu wzięli swe łuki i ścigają królewskiego syna. A bo ja wiem: może masz broń i chcesz mnie obrabować?

Odrzuciłem płaszcz i rozłożyłem szeroko ramiona. Blizna na szyi powinna być już tylko wąską, białą linią, która zniknie, zanim nastanie

południe. Kiedy rozłożyłem ramiona, biust uniósł mi się pod tuniką. Oczy kobiety otworzyły się szerzej.

– Mam wszystko, czego mi trzeba – rzekłem – z wyjątkiem łóżka i przyzwoitego ubrania. Czy zechce mi pani pomóc?

Kobieta przesunęła ostrze dzidy i przystąpiła do mnie bliżej. Nagle jej ręka wystrzeliła do przodu i ścisnęła mą pierś. Zaskoczony, krzyknąłem z bólu.

Zaśmiała się.

– Dlaczego przychodzisz do uczciwego domu, cała w przebraniu? Wejdź, pani, mam dla ciebie posłanie, jeśli go potrzebujesz.

Potrzebowałem. Lecz chociaż udało mi się zmylić tę kobietę i załatwić sobie miejsce do spania, ciągle czułem ponury wstyd z powodu swojej transformacji.

Byłem wilkiem, którego wpuszczono do domu, bo wzięto go za przyjaznego psa.

Wnętrze domu okazało się większe, niż to się wydawało z zewnątrz. Potem zdałem sobie sprawę, że znaczna część izby to jaskinia. Dotknąłem ściany, którą stanowiła lita skała.

– Tak, pani, jaskinia trzyma odpowiedni chłód w lecie i nie dopuszcza zimowych wiatrów.

– Z pewnością – zgodziłem się. Rozmyślnie nadawałem swemu głosowi wyższe i łagodniejsze brzmienie. – Dlaczego gonią królewskiego syna?

– Ach, dziecko, królewski syn zrobił chyba coś okropnie złego. Wiadomość nadeszła jak wiatr, wczesnym rankiem. Chyba wszyscy żołnierze z tego kraju zgromadzili się tutaj.

Byłem zdumiony, że Ojciec pozwolił, by Dinte tak długo mnie ściagał i by otwarcie ogłosił, że poszukiwanym jest królewski syn.

– Czy nie obawiają się, że królewski syn może iść tą drogą?

Rzuciła mi szybkie spojrzenie. Wydawało mi się przez moment, że odgadła, kim jestem, ale ona powiedziała:

– Przez chwilę myślałam, że to ty zabawiasz się w ten sposób. Czyż nie wiesz, że dwie mile stąd zaczyna się las Ku Kuei?

– To już tak blisko? – udałem niewiedzę. – No i co z tego?

Potrząsnęła głową.

– Powiadają, że nikt, kto wchodzi do tego lasu, żywy nie powraca.

– I przypuszczam, że niektórzy powracają jako umarli.

– Oni zupełnie nie powracają, pani. Poczęstuj się odrobiną zupy, pachnie jak owczy nawóz, ale to prawdziwa baranina. Będzie tydzień, jak zabiłam owcę, i zupa ciągle się tam pichci.

Była dobra i posilna. Jednak, rzeczywiście, pachniała jak owczy nawóz. Po kilku łykach dojrzałem do snu, wyśliznąłem się zza stołu i poszedłem do posłania w kącie, które wskazała mi kobieta.

Obudziłem się w ciemnościach. Przygasły ogień potrzaskiwał na palenisku i widziałem kształt kobiety, poruszającej się po izbie tam i z powrotem. Mruczała cichą, piękną melodię, monotonną jak szum oceanu.

– Czy są do tego słowa? – zapytałem.

Nie usłyszała mnie. Zasnąłem znowu. Kiedy się obudziłem, przy twarzy miałem świecę, a staruszka patrzyła na mnie z napięciem. Otworzyłem szeroko oczy. Cofnęła się trochę zakłopotana. Nocny chłód uświadomił mi, że tunikę mam rozchyłoną, a piersi obnażone. Zasłoniłem się.

– Przepraszam, panienko – rzekła kobieta. – Ale przyszedł tu żołnierz, szukając młodego, szesnastoletniego mężczyzny o imieniu Lanik. Powiedziałam mu, że nikt taki tędy nie przechodził i że jedyni ludzie tutaj to ja i moja córka. A ponieważ twoje włosy są tak krótko ostrzyżone, pani, musiałam pokazać mu dowód, że jesteś dziewczyną, prawda? Tak więc pozwoliłam rozchylić twoją tunikę. Z wolna skinałem głowę.

– Pomyślałam sobie, że może nie będziesz chciała, by żołnierz cię wypytywał, pani. I jeszcze jedna wiadomość. Musiałam wypuścić twoje konie.

Usiadłem szybko.

– Moje konie? Gdzie są?

– Żołnierz znalazł je na drodze, daleko stąd, rozkulbaczone. Schowałam twoje rzeczy pod swym łóżkiem.

– Dlaczego, kobieto? Jakże teraz będę podróżować? Czuję się zdradzony, chociaż już wtedy zaczynałem rozumieć, że kobieta ocaliła mi życie.

– Czyż nie masz stóp? I myślę, że tam, hen, dokąd podążasz, nie mogą pójść konie.

– A ty myślisz, że dokąd idę?

Uśmiechnęła się.

– Ach, masz taką piękną twarz, pani. Ładną zarówno dla chłopaka, jak

i dla dziewczyny. Jesteś młoda i jasnowłosa jak królewskie dziecko. Szczęśliwa kobieta, która ma taką córkę, czy mężczyzna, który ma takiego syna.

Nie odpowiedziałem na to nic.

– Sądzę – powiedziała – że teraz nie ma dla ciebie innego miejsca, niż las Ku Kuei.

Zaśmiałem się.

– Żebym mogła tam wejść i nigdy nie wychodzić?

– To właśnie mówimy cudzoziemcom i ludziom z nizin – rzekła z uśmiechem. –

Ale my wiemy dość dobrze, że człowiek może wejść w głąb boru na dobrych kilka mil, zbierać korzonki i jagody i wyjść bezpiecznie. Chociaż zdarzają się tam dziwne rzeczy i mądry człowiek trzyma się skraju lasu.

Teraz byłem już zupełnie rozbudzony.

– Jak się o mnie dowiedziałas?

– Królewski jest każdy gest, który robisz, królewskie każde słowo, które wypowiedasz, chłopcze. Lub dziewczyno. Czym jesteś? Nie interesuje mnie to. Wiem tylko, że nie żywię specjalnej sympatii do podobnych bogom mężczyzn na równinie, którzy myślą, że rządzą całym narodem Muelleru. Jeżeli uciekasz królowi, masz moje błogosławieństwo i pomocne ramię. Nigdy nie podejrzewałem, że jakiś obywatel Muelleru będzie w ten sposób odnosił się do mojego Ojca. Obecnie było to pomocne, chociaż zastanawiałem się, jak zareagowałbym na jej postawę, gdybym wciąż był następcą tronu.

– Przygotowałam ci wygodny tobołek – rzekła. – Zapakowałam tam żywność i wodę. Mam nadzieję, że lubisz zimną baraninę.

Wolałem ją od głodowej śmierci.

– Nie jedz białych jagód, które rosną na krzakach podobnych do dębiny, bo uśmiercą cię w ciągu minuty. I nie dotykaj przypadkiem owocu z pomarszczonymi wypukłościami. Uważaj również, żeby nie nadepnąć na brunatno – żółty grzyb, bo będzie cię dręczył latami.

– Wciąż jeszcze nie wiem, czy pójdę do tego lasu.

– Jeśli nie tam, to dokąd?

Podniosłem się i podszedłem do drzwi. Wysoko na niebie stała Niezgoda, zamglona, przysłonięta chmurami. Wolność jeszcze nie

wzeszła.

– Jak szybko muszę wyjechać?

– Jak tylko wzejdzie Wolność – odpowiedziała. – Wtedy poprowadzę cię pieszo do skraju lasu i zostaniesz tam niemal do brzasku. Potem wyruszysz dalej. Kieruj się na południowy wschód, aż dojdiesz do jeziora. Mówią, że stamtąd prawdziwie bezpieczna droga prowadzi na południe, do Jonesu. Nie idź po ścieżkach. Jeśli spotkasz istotę o ludzkim kształcie, nie idź za nią. I nie zwracaj uwagi, czy jest dzień czy noc.

Wyjęła ze skrzyni ubranie i wręczyła mi je. Była to skromna, stara, zniszczona dziewczęca sukienka.

– To moje – rzekła – chociaż chyba nigdy jej nie wkładałam na swe stare ciało.

Roztyłam się w ciągu ostatnich kilkunastu lat.

Zaśmiała się i zapakowała mi ubranie do tobołka.

Wzeszła Wolność. Kobieta poprowadziła mnie za próg domu i dalej, nieuczęszczaną ścieżką na wschód. Gdy szliśmy, trajkotała cały czas.

– Po co są w ogóle ci wszyscy żołnierze, pytam się. Błyskają kawałkami twardego metalu, moczą go w czyjejś krwi i cóż? Czy świat się przez to zmienia? Czy ludzie teraz latają w Kosmos, czy my ze Spisku jesteśmy teraz wolni dzięki tym wszystkim krwawym jatkom? Myślę, że jesteśmy jak psy, które walczą o kość i zabijają się nawzajem, a co dostaje zwycięzca? Tylko kość. I żadnej nadziei na nic więcej. Tylko tę jedną kość.

Potem z ciemności wyleciała strzała i trafiła ją w szyję. Kobieta padła martwa przede mną..

W świetle księżyca ukazali się dwaj żołnierze z przygotowanymi łukami.

Uchyliłem się, kiedy jeden wystrzelił. Chybił. Drugi trafił mnie w ramię.

Zdażyłem jednak rzucić już swój tobołek na ziemię i zatopiłem sztylet w piersi pierwszego mężczyzny. Drugiego powaliłem kopniakiem na ziemię. W niektórych sposobach walki żołnierzy nigdy nie szkolono.

Kiedy obaj znieruchomieli, odciąłem im głowy, tak by nie było szansy, że się zregenerują i opowiedzą, co widzieli. Wziąłem lepszy z ich łuków i wszystkie strzały ze szklanymi grotami, a potem wróciłem do miejsca, gdzie leżała kobieta.

Wyciągnąłem strzałę z jej szyi, ale zobaczyłem, że rana wcale się nie goi. Należała więc do jednego z najstarszych odgałęzień Rodziny. Jego członkowie byli zbyt biedni, by utrzymać się w łańcuchu postępu genetycznego, który wytworzył arcydzieła zdolności przetrwania: królewską rodzinę i królewską armię.

A także genetyczne potworności, jak ludzie w zagrodach. Jak ja. Odbyłem dla niej żałobę, upuszczając sobie z rąk krew na jej twarz. Potem włożyłem w jej ręce strzałę, która mnie ugodziła. Dzięki temu uzyskiwała moc na tamtym świecie, chociaż prywatnie wątpiłem, czy takie coś istnieje.

Rzemienie tobołka jątrzyły moje zranione ramię, ból był silny, ale byłem zaprawiony w znoszeniu cierpienia i wiedziałem, że wkrótce ramię się zagoi, podobnie jak rana dłoni. Szedłem na wschód wzdłuż ścieżki i wkrótce dotarłem w cień czarnych drzew Ku Kuei.

Las otoczył mnie jak nagła burza. Jasne światło Wolności zastąpiła całkowita ciemność. Miało się wrażenie, że drzewa rosą tu odwiecznie, tak jakby pięćset albo pięć tysięcy lat temu – były naprawdę olbrzymie – zasadził je jakiś wspaniały ogrodnik, zasadził właśnie tak, jak rosą, jakby chciał starannym żywopłotem oznaczyć granicę swojej posiadłości.

A przecież las wyglądał tak samo trzy tysiące lat temu. Wtedy to statki Republiki (podręczniki historii utrzymywały, że jest to kłamliwa nazwa ohydnej dyktatury klas niewolniczych) zabrały głównych buntowników wraz z rodzinami i wyrzuciły ich na bezużytecznej planecie zwanej Spisek. Mieli tu żyć na wygnaniu, dopóki nie zbudują statków, by się wydostać. Statków ze srebra, powiedziano im ze śmiechem, gdyż srebro było najtwardszym kowalnym metalem na planecie.

Metale mogliśmy tylko kupować, i to tylko w zamian za coś, czego tamci pragnęli. Przez całe wieki każda Rodzina wkładała coś do jasnego sześcianu swego Ambasadora. Przez całe wieki Ambador to przyjmował – i odsyłał. Aż wpadliśmy na to, że można by spożytkować cierpienie radykalnych regeneratów.

Niektóre Rodziny nie kwapiły się jednak do handlu z tymi, którzy nas pokarali.

Schwartzowie zostali potajemnie na pustyni, gdzie nikt nie chodził. Ku Kuei mieszkali gdzieś w trzewiach swego ciemnego lasu; nigdy go nie

opuszczali i nigdy nie byli niepokojeni przez ludzi z zewnątrz, gdyż wszyscy bali się tego nieprzebytego, najbardziej tajemniczego lasu świata. Skraj lasu zawsze był wschodnią granicą Muellera. Tylko w tym kierunku mój Ojciec i ojciec mego Ojca nigdy nie próbowali podbojów. Panował chłód i spokój. Nie było słyhać śpiewu ptaków. Nie było widać żadnych owadów, chociaż na polanach rosło sporo kwiatów. Potem wzeszło słońce, a ja wstałem i zanurzyłem się w gęstwinie drzew. Kierowałem się na wschód, ale z odchyleniem ku południu.

Z początku wiał poranny wiatr, potem uspokoił się i liście zwisały w absolutnym bezruchu. Z rzadka widziałem jakiegoś ptaka, a jeśli już, to siedział on na wysokich gałęziach nieruchomo, jakby śpiąc. Po ziemi nie przebiegały żadne drobne zwierzęta i zastanawiałem się, czy przypadkiem nie na tym polega sekret Ku Kuei, że nie żyje tu nic prócz roślin.

Nie widziałem słońca, ale zauważyłem, że część drzew rośnie w jednej linii, więc robiąc tu i ówdzie nieznaczne korekty, mogłem wyznaczyć kierunek. Trzydzieści stopni na południe od wschodu, powtarzałem sobie ciągle, starając się nie słyszeć w tych słowach głosu starej kobiety. Dlaczego czułem po niej żal, skoro zupełnie jej nie znałem?

Wydawało mi się, że idę już wiele godzin, a wciąż był jeszcze ranek. Tam, gdzie jak przypuszczałem znajdowało się słońce, niewyraźnie majaczyło światło. Na prawo i lewo odchodziły ścieżki, ale w uszach dźwięczała mi przestroga staruszki: „Nie idź po ścieżkach”.

Czułem głód. Pożułem trochę baraniny. Zbierałem jagody i, jeśli nie były białe, jadłem je.

W końcu nogi miałem tak zmęczone, że nie mogłem postawić jednej przed drugą, a jednak wciąż trwał ten sam dzień. Nie rozumiałem swego zmęczenia. Podczas ćwiczeń często żądano ode mnie, bym szedł szybko od brzasku do zmroku, aż mogłem to robić, nie męcząc się zbyt. Czy w takim razie w tym leśnym powietrzu występował jakiś składnik, jakiś narkotyk, który mnie osłabiał? Albo może gojenie się ostatnich ran zabrało mi więcej sił niż się spodziewałem?

Nie wiedziałem. Rozłożyłem tobolek koło drzewa i nie budząc się spałem długo i mocno.

Tak długo, że kiedy się obudziłem, znowu był dzień. Wstałem i ruszyłem dalej.

Znów dzień marszu, a potem zmęczenie, kiedy słońce wciąż było wysoko na niebie. Tym razem zmusiłem się do dalszego marszu, naprzód i naprzód, aż stałem się maszyną. Byłem na tyle przytomny, by nie zaplątać się w gmatwaninie korzeni, by w gęściej zarośniętych miejscach obierać właściwą drogę, by gramolić się po skałach, ostrożnie schodzić po zboczach dolin i parowów, a potem drapać się na drugą stronę.

Wysiłek, by nie zasnąć, tak mnie jednak otępił, że to wszystko do mnie nie docierało. Zapominałem o przeszkodzie natychmiast, gdy znikająca mi z oczu. Miałem wrażenie, że maszeruję przez całe dni, lecz słońce świeciło wciąż wysoko.

Z początku napełniało mnie trwogą to, że męczę się tak szybko. Bałem się, że jedną z cech radykalnego regenerata jest jakiś rodzaj ogólnej dystrofii, ale tak przecież nie mogło być, bo jednak znajdowałem w sobie dość siły, aby iść naprzód.

Nie słabłem, ponieważ na pewno przebyłem w końcu jakąś przestrzeń. A może dla rasy charakterystyczne są takie nawroty nagłych ataków nie dającej się opanować senności? Ale przecież ja nad nią panowałem. A ci w zagrodach, kiedy poruszali się z rozpaczliwą ospałością, nie sprawiali wrażenia, że śpią częściej niż inni ludzie.

Przynajmniej nikt nie mówił, żeby tak robili.

Wtedy przyszła mi do głowy myśl, która pocieszyła mnie trochę. Może te dziwne rzeczy, które się ze mną dzieją, nie wynikają ze stanu mego własnego ciała, ale powstają za przyczyną tajemniczego lasu Ku Kuei. Może las wydziela jakieś substancje, które powodują zmęczenie? Czy choćby tylko złudzenie zmęczenia. A może to cały zestaw substancji obezwładniających w powietrzu powoduje halucynacje, zniekształca moje poczucie czasu, powoduje, że pragnę snu tak rozpaczliwie, jak pragnie się wody po trzech dniach bez napoju?

To by tłumaczyło, dlaczego Ku Kuei stał się takim przerażającym i znienawidzonym miejscem. Co się mogło stać, gdy człowiek tu zabłądził i przekonał

się, że jego poczucie czasu jest tak zniekształcone, iż wydaje mu się, że przeszedł całe mile w ciągu niewielu minut? Opanowany znużeniem, mógł spać dwadzieścia cztery godziny, potem wstać, przejść kilka dalszych metrów i zwalić się na ziemię, myśląc, że ma za sobą całodzienną harówkę. W ciągu niedługiego czasu skumulowany efekt

tych wszystkich substancji mógłby stać się przyczyną śmierci albo bezpośrednio, przez zatrucie organizmu, albo pośrednio, gdy człowiek zmuszony do spania umarłby z odwodnienia.

Nic dziwnego, że jest tu tak mało dzikich zwierząt. Być może nieliczne ptaki przystosowały się do trującego powietrza. I jakieś owady o mózgach zbyt małych, by mogły reagować na trucizny. To tłumaczyłoby, dlaczego nic nie słyszano o Rodzinie Ku Kuei niemal od chwili, kiedy przed tysiącami lat weszła w te lasy.

Teraz ja tu wszedłem i zostałem schwytyany w sieć tych samych naturalnych mechanizmów obronnych lasu i było mało prawdopodobne, żebym wydostał się na wolność. Mimo wszystko mój wyrok to był wyrok śmierci, a nie po prostu wygnanie.

Ciało me zostanie przerobione przez bakterie i owady żyjące w poszyciu leśnym. Me kości wyblakną, a po dziesięcioleciach pokruszą się. Stanę się wtedy częścią planety, którą zwaliśmy Spisek, i dostarczę jej jedyne metalu, jaki kiedykolwiek zawierała ta gleba: metalu ludzkich dusz. Czy będzie to metal miękki i gnący się? A może stanie się twardym miejscem w poszyciu, może korzenie będą czerpać ze mnie metal, który dostarczy sił witalnych masywnym pniom?

Takie myśli snułem, walcząc z ogarniającą mnie sennością. Przez pewien czas śniłem nawet w czasie marszu. Wydawało mi się, że jestem jednym z tysiąca drzew, idących do walki z niebezpiecznymi, czarnymi żołnierzami Nkumai. I opętało mnie takie szaleństwo, że widziałem siebie, jak macham olbrzymimi gałęziami, aby zwalić z nóg szermierzy Muellera, a następnie ścieram ich na proch mymi niepokonanymi korzeniami.

Przyszedłem do siebie i myślałem nieco trzeźwiej, chociaż może równie szaleńczo, o tym, co wynika z faktu istnienia tego trującego lasu. Uświadomiłem sobie, że w ciągu trzech tysięcy lat naszego życia na tym świecie my wszyscy z Muellera myśleliśmy jedynie, jak się stąd wydostać, w jaki sposób zdobyć tak ogromne ilości żelaza, by móc pewnego dnia zbudować statek kosmiczny i uciec.

Inne rodziny usilnie starały się przekonać Ambasadorów, że żałują buntowniczości swoich przodków i pragną być odwołane z wygnania. Mimo wszystko – pisali w tysiącach rozmaitych petycji – jesteśmy jedynie prawnukami w osiemdziesiątym pokoleniu tych, którzy kiedyś zagrażali waszej cudownej Republice. Ale wszystkie te

wiernopoddańcze listy wracały porwane na kawałki. Ten, kto siedział na drugim końcu Ambasadora i sterował nim, przez te trzy tysiące lat nie nauczył się wielkoduszności. Pomyślałem sobie, że może zbrodnie naszych przodków były znacznie okropniejsze, niż sami utrzymywali. Przecież jedyne kroniki historyczne, jakie posiadaliśmy, opowiadały ich wersję wydarzeń i według tej wersji byli oni absolutnie niewinni. Ale czyż wszyscy potworni zbrodniarze nie są niewinni we własnych oczach? Czy, według ich własnych wyobrażeń, wszystkie ich ofiary nie zasługiwały na śmierć?

Dlaczego przez te wszystkie lata zwracaliśmy wzrok ku gwiazdom, mając nadzieję na ucieczkę z tego świata, a nie poznaliśmy prawie żadnej z jego tajemnic?

Przed naszym przybyciem świat ten został zbadany tylko na tyle, żeby ustalić dwie rzeczy. Po pierwsze, że Spisek nadawał się do zamieszkania, że choć mały, miał

wystarczającą masę, by wytworzyć około jednej trzeciej ciężenia planety, na której powstał człowiek. Jesteśmy więc silni, możemy biegać i skakać po preriach i między gigantycznymi drzewami. Również podstawowe przemiany biochemiczne były podobne do naszych i chociaż nie mogliśmy jeść mięsa miejscowych zwierząt, to i nam, i naszym zwierzętom wystarczały do przeżycia tutejsze rośliny. W ten sposób zesłanie nas tutaj było prawdziwym wygnaniem, ale nie wyrokiem śmierci. Po drugie wiedziano, że przy powierzchni planety jest tak mało metalu, że nie warto nawet próbować go wydobywać. Był to świat bezwartościowy. Świat pozbawiony materiału, którego moglibyśmy użyć do zbudowania drabiny na zewnątrz, do gwiazd.

Ale czy naprawdę był bezwartościowy tylko dlatego, że nie dało się na nim budować statków? Ten świat był jednym z niewielu, na których powstało życie. Czy zrozumieliśmy chociażby, dlaczego tak się stało? Czy naprawdę wystarczała nam wiedza o tym, że możemy jeść tutejsze rośliny? Czy nie ciekawiły nas różnice między procesami w tutejszych organizmach i w naszych własnych ciałach? Poznaliśmy samych siebie dostatecznie dobrze, by stworzyć potwory takie jak ja, ale nie dowiedzieliśmy się o tym świecie nawet tyle, by móc powiedzieć, że naprawdę jesteśmy stąd. A tymczasem na wschodniej rubieży Muellera było takie miejsce, gdzie nawet drzewa wiedziały o nas wystarczająco wiele, żeby w swoim cieniu zsyłać na samotnego wędrowca

śmiercionośne sny.

Wszystkie te myśli prowadziły do jednego wniosku: moja śmierć była pewna. A jednak te rozważania napęłniły mnie dziwnym podnieceniem: zapragnąłem żyć dostatecznie długo, by móc dokładnie zbadać ten Świat. Wszystko widziałem teraz znacznie lepiej. Istniała inna droga do wolności niż przez żelazo wytargowane od Ambasadorów. Dano nam cały świat, prawda? Czyż jedynym naszym wyzwoleniem jest parcie wzwyż, na więzienne ściany grawitacji? Czy zamiast tego nie moglibyśmy zwrócić się w dół i odkrywać to, co leży u naszych stóp? Badać miejscowe życie i czerpać z niego wiedzę?

Byłem podekscytowany i pobudzało mnie to do marszu. Zastanawiałem się nawet przez chwilę, czy tuż przed moją śmiercią rośliny przemówią do mnie. Nie głosem oczywiście, ale czy ich trucizny spowodują jakieś objaśniające wizje, które wyjawią mi, co świat ten zaplanował dla nas, obcych intruzów? Kiedy czepiałem się drzew, zataczając się i prawie padając po drodze, bezgłośnie prosiłem je, aby przemówiły.

Zabijcie mnie, jeśli musicie, ale nie pozwólcie, żebym umarł, nie znając swego zwycięzcy.

Aż w końcu nie mogłem już zmusić nóg do dalszego marszu. Ugięły się pode mną, choć było dopiero wczesne przedpołudnie, jeśli właściwa była moja ocena położenia słońca. Kiedy zatoczyłem się i opadłem na kolana, zobaczyłem przed sobą jasnoniebieskie błyski: dotarłem w końcu do jeziora.

Nie było zbyt szerokie – mogłem dostrzec drugi brzeg. Rysował się w oddali, zamazany ledwie dostrzegalną mgiełką unoszącej się nad powierzchnią pary. Jezioro było za to długie – nie widziałem żadnego z końców ani na północy, ani na południu.

Słońce odbijające się w jasnych wodach oślepiało. Tak, to mogła być najwyżej druga po południu.

Położyłem się na brzegu i zasnąłem. Obudziłem się następnego dnia, chyba o tej samej porze, o której zasypiałem.

Rozpaczałem, ale jednocześnie pojawiła się we mnie nadzieja. Gdyż spałem naprawdę, byłem tego pewien. Mięśnie mnie bolały, nogi miałem jak z gumy, ale mogłem znów się poruszać, nabrałem świeżych sił. Mogło to tylko oznaczać, że odpocząłem, może nie tyle, ile potrzebowałem, ale wystarczająco, by kontynuować marsz. A

najważniejsze, że obudziłem się. Trucizna w powietrzu nie uśmierciła mnie podczas snu.

Może to dlatego, że wyszedłem na teren wolny od drzew i upadłem tutaj, gdzie otwarte wody oczyszczały powietrze? Czuję, że dotarcie do tego miejsca było jakby zwycięstwem. W pamięci miałem mapę Spisku. Była to jedna z rzeczy, która pozostała mi ze szkolnych dni – mapa świata zrobiona przez naszych przodków na podstawie pierwszych pomiarów orbitalnych. Pamiętałem, że istniały inne jeziora ciągnące się ku wschodowi. Jeśli to jezioro było rzeczywiście najbardziej wysunięte na południowy zachód, wtedy posuwając się na wschód, natrafię na największe z jezior. Idąc wzdłuż jego południowego brzegu, a potem wzdłuż wielkiej rzeki do jeziora najbardziej wysuniętego na wschód, prawie dotrę do granic Allison.

Wiedziałem, że południowy kraniec jeziora to miejsce, gdzie, wedle słów kobiety, powinienem skrócić na południe. Ale Jones był zbyt uzależniony od Muellera. Dinte mógł mieć tam swoich szpiegów, a Ojciec miał ich tam z pewnością

– zawsze istniało pewne prawdopodobieństwo, że Ojciec zmienił zdanie i zdecydował, iż dobro Muellera wymaga mojej śmierci.

Teraz, kiedy dowiodłem, że mogę dać sobie radę z niebezpieczeństwami Ku Kuei, najwięcej szans miałem idąc na wschód, przebijając się przez tereny Allison, jedynej Rodziny graniczącej od zachodu z Nkumai. Tam mogłem wykonać powierzona mi przez Ojca misję. Jeśli dowiodę, że jestem lojalny, zasłużę sobie może na prawo powrotu do domu, a przynajmniej na prawo do życia bez strachu, iż przybędzie jakiś agent Muellera, by usunąć zagrożenie dla swego rządu.

Poszedłem na wschód, ku Nkumai, ku wschodzącemu słońcu. Wschodzącemu dawniej, gdy jeszcze wędrowało po niebie. Mój sposób podróżowania nie uległ

żadnej zmianie. Takie samo zagubienie, takie samo wyczerpanie. Wydawało mi się, że podczas każdego etapu przebywam taką odległość, na jaką, wedle pamiętanej przeze mnie mapy, potrzebne by były dwa pełne dni forsownego marszu, a nie tych kilka godzin, licząc podług położenia słońca. Wymyśliłem kilkanaście nowych interpretacji tego zjawiska, wprowadzałem poprawki do poprzednich. Nużyło mnie to. Dałem się prowadzić wyimaginowanym wizjom. Wspominałem

Saranę, jej szaleńczą lojalność w stosunku do mnie, gdy nie było już nadziei, byśmy mogli być razem. Kiedy szedłem przez ostatnią partię lasu, gdzie nie było wody oczyszczającej zatrute powietrze, towarzyszyły mi już tylko myśli o morderstwie – śniłem o zabiciu Dinte. Potem zrobiło mi się wstyd, że żywiłem podobne zamiary w stosunku do własnego brata i marzyłem o zabiciu Kupy. Wyobraziłem sobie, że kiedy już odniesie śmiertelną ranę, jej magiczne zaklęcia stracą moc. Objawi się wtedy jako ogromny ślimak, który będzie wił się na kamiennej podłodze zamku i zostawiał za sobą ślad gęstej ropy, krwi i śluzu.

Jadłem jagody, które zbierałem po drodze. Mój tobołek od dawna był pusty. Ciało moje, zawsze muskularne, teraz wychudło, a kobiece piersi, które w Mueller, na dobrej diecie, wyrosły obficie, stały się zwarte, małe i twarde, tak jak ja sam. Jakoś było mi łatwiej pogodzić się z ich posiadaniem, kiedy wiedziałem, że podlegają takim samym ograniczeniom, jak reszta mego ciała. Skąpa dieta i ciężka praca wpływały na nie tak samo jak na inne moje członki. Były częścią mnie. Mogły mi się nie podobać, kiedy się pojawiły, ale to, że je miałem, nie wywoływało już we mnie poczucia obcości.

W końcu doszedłem do drzew ragwitu, wysokich, pokrytych szarą korą. To był

znak, że znajduję się w pobliżu

... białodrzewej Allison,

gdzie świt i światło pośród liści

Prawie natychmiast, gdy tylko zmienił się gatunek drzew, trucizny przestały na mnie działać. Ciągle byłem znużony, jak przystało na człowieka, który przeszedł

tysiąc kilometrów w ciągu kilkunastu długich, strasznych etapów. Nawet gdyby tę drogę pokonywało się żołnierskim krokiem na otwartym terenie, to powinna ona zająć co najmniej dwadzieścia dni. Bez względu na to, jak dziwna była wędrówka słońca po niebie, byłem pewien, że przeszedłem taką drogę, jak mi się wydawało, a mój wysiłek był tak morderczy, jak to sobie wyobrażałem. Jeśli kiedyś wrócę żywy do Muellera i lud Muellera znowu będzie patrzył na mnie jak na człowieka, będą o mnie śpiewali balladę, która z pewnością opowie o tej pełnej cudów podróży przez trujący las Ku Kuei, o tym, jak to w ciągu paru dni, sądząc po ruchu słońca, przeszedłem kilkanaście

etapów, pokonując odległość, którą dobrze wyposażony mężczyzna przemierzałby dwadzieścia dni i to na otwartej przestrzeni. Armii zajęłoby to dwa razy więcej czasu. Jeśli kiedyś ułożono by o mnie takie pieśni, tę podróż opiewano by w ich ostatnich zwrotkach. Wtedy tak sądziłem. Wiedziałem jeszcze niewiele.

W każdym razie ta szaleńcza podróż już się skończyła. Słońce przesunęło się po niebie z normalną szybkością, a ja nareszcie byłem w stanie maszerować aż do zmierzchu. Rankiem napotkałem drogę. Cofnąłem się pod drzewa i przebrałem w dziewczęce ubranie, które dostałem od kobiety z Wysokich Wzgórz. Zrobiłem inwentarz swoich bogactw: dwadzieścia dwa złote pierścienie, osiem pierścieni platynowych i, na wypadek szczególnej potrzeby, dwa pierścienie z żelaza. W tobołku sztylet.

Nie byłem pewien, co dalej robić. Ostatnie wiadomości, jakie mieliśmy w Muellerze, mówiły, że Nkumai napadli Allison. Czy zwyciężyli? Czy wciąż szaleje wojna?

Wkroczyłem na drogę i poszedłem na wschód.

– Hej, panienko! – rozległ się za mną łagodny, ale donośny głos.

Obróciłem się i zobaczyłem dwóch mężczyzn. Byli trochę potężniejsi ode mnie –

ja ciągle nie osiągnąłem wagi dorosłego mężczyzny, chociaż od chwili, gdy skończyłem piętnaście lat, miałem właściwy wzrost. Sprawiali wrażenie brutali, ale ich ubrania przypominały strzępy mundurów.

– O, żołnierze Allison – odpowiedziałem, starając się wyrazić głosem zadowolenie z ich widoku.

Mężczyzna z zabandażowaną głową odpowiedział, uśmiechając się kwaśno:

– Tak jest, jeśli jeszcze istnieje jakieś Allison, od kiedy pozwoliliśmy się tu panoszyć tym czarnuchom.

Tak więc Nkumai już zwyciężyli lub właśnie zwyciężali. Niższy mężczyzna, który nie mógł oderwać wzroku od mych piersi, wtrącił się chrypiąc, jakby dawno nie używał głosu:

– Czy dołączysz do dwóch starych żołnierzy?

Uśmiechnąłem się. Był to błąd. Prawie mnie rozebrali, zanim zdali sobie sprawę, że umiem posługiwać się sztyletem i że nie mam ochoty na zabawę. Niższy mężczyzna wymknął się, ale widziałem, jak

krwawiła jego noga, i wnioskowałem, że nie zajdzie zbyt daleko. Wyższy leżał na wznak na drodze, z oczyma zwróconymi w niebo, jakby chciał powiedzieć: „I po tym wszystkim, co przeżyłem, muszę umierać w taki sposób!” Zamknąłem mu powieki.

Lecz właśnie dzięki tym dwóm pechowcom szybciej znalazłem jakiś kąt w najbliższym mieście.

– Na podwiązki matki Andy’ego Apwita, kobietko, wyglądasz na wpół żywą.

– Och, nie – powiedziałem mężczyźnie w gospodzie. – Raczej na wpół zgwałconą.

Kiedy owijał mnie kocem i prowadził na górę, rzekł do mnie ze śmiechem:

– Możesz być na wpół żywą, ale zgwałconą albo się jest całkowicie, albo wcale, moja pani..

– Powiedz to moim siniakom – odparłem.

Pokój, który mi pokazał szynkarz, był ubogi i mały, ale nie spodziewałem się znaleźć w mieście nic lepszego. Zanim wyszedł, umył mi stopy – niezwykle zwyczaj

– i robił to tak delikatnie, że nie mogłem wytrzymać łaskotania, lecz kiedy skończył, poczułem się znacznie lepiej. Moglibyśmy zachęcać niższe klasy Muellera do wprowadzenia takiego zwyczaju, myślałem wtedy. Wyobraziłem sobie Ruwę myjącą czyjeś stopy i zaśmiałem się.

– Co w tym śmiesznego? – spytał szynkarz z poirytowaną miną.

– Nic. Pochodzę z daleka. U nas nie ma takiego miłego zwyczaju, żeby obmywać nogi podróżnym.

– Niech mnie diabli, jeśli bym to robił każdemu. Skąd jesteś, kobietko? Uśmiechnąłem się.

– Nie wiem, jak mam dyplomatycznie odpowiedzieć. Powiedzmy, jestem z kraju, gdzie kobiety nie są przyzwyczajone do ataków na gościńcu... ale również nie są przyzwyczajone do tak uprzejmego zainteresowania ze strony obcego.

Pokornie opuścił oczy w dół.

– Księga powiada: „Ubogim daj pocieszenie i czystość i dbaj o nich lepiej niż o bogatych”. Czyniłem jeno swą powinność, kobietko.

– Ale ja nie jestem uboga – rzekłem. Powstał gwałtownie, więc uspokoilem go. –

Mamy dom z dwoma pokojami.

Uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Tak, kobieta z takiego kraju jak twój może to pewnie nazwać komfortem.

Kiedy wyszedł, odczułem ulgę, widząc rygiel na drzwiach.

Rankiem na śniadanie dostałem porcję ubogiego – większą niż ktokolwiek z rodziny. Szynkarz, jego żona i dwaj synowie, obaj znacznie młodszy ode mnie, odradzali mi samotną podróż.

– Weź ze sobą jednego z moich chłopców. Nie chciałbym, żebyś zgubiła drogę.

– Chyba nie jest trudno dostać się stąd do stolicy?

Oczy karczmarza zabłysły gniewem.

– Czy sobie kpisz?

Wzruszyłem ramionami; starałem się wyglądać naiwnie.

– Jak podobne pytanie można brać za kpinę?

Kobieta uspokajała męża:

– Jest tutaj obca i wyraźnie nie nauczona Drogi Bożej.

– Nie chodzimy do stolicy – poinformował mnie uczynnie jeden z chłopców. – To miasto bezbożne, a my trzymamy się daleko od czczych zabaw.

– Więc ja również tak uczynię – rzekłem.

– Prócz tego – powiedział jego ojciec burkliwie – stolica z pewnością jest pełna inkersów.

Nie znałem tego słowa. Zapytałem go o nie.

– Czarni synowie Andy’ego Apwita – odparł. – Z Inkumai.

Musiał mieć na myśli Nkumai. Zatem czarni zwyciężyli. A więc to tak.

Opuściłem gospodę po śniadaniu. Ubranie moje zostało starannie pocerowane przez żonę karczmarza. Towarzyszył mi starszy z braci. Na imię miał Bez – Trwogi.

Przez jakieś pierwsze dwie mile wypytywałem o jego religię. Czytałem o tych sprawach, ale nie spotkałem dotychczas nikogo, kto rzeczywiście w nie wierzył, jeśli nie liczyć rytuałów małżeńskich i ceremonii pogrzebowych. Byłem zdziwiony tym, czego nauczali go rodzice, podając to za prawdę. Jednak chłopak był chyba z natury uległy i pomyślałem, że może jest miejsce na takie rzeczy wśród klas niższych.

W końcu doszliśmy do rozwidlenia dróg z drogowskazem.

– Cóż – odezwałem się – tutaj odeślę cię do ojca.

– Nie pójdziesz do stolicy, prawda? – zapytał z trwogą.

– Oczywiście, że nie – skłamałem. Potem wyciągnąłem z worka złoty pierścień. –

Czy przypuszczasz, że dobroć twego ojca mogłaby pozostać nie nagrodzona?

Włożyłem mu pierścień na palec. Oczy chłopca rozszerzyły się z radości. Zatem była to wystarczająca zapłata.

– Byłaś przecież uboga? – zapytał. Odpowiedziałem, próbując nadać swemu głosowi bardzo mistyczne brzmienie:

– Gdy przybyłam – owszem. Ale obdarowana przez twoją rodzinę, stałam się bardzo bogata. Nie mów o tym nikomu, nakaz też swemu ojcu milczenie.

Oczy chłopca rozszerzyły się jeszcze bardziej. Potem szybko odwrócił się i pobiegł drogą z powrotem. Mogłem z jego opowieści zrobić dobry użytek: uzupełniłem wiedzę o aniołach – mogą wydawać się na pierwszy rzut oka ludźmi ubogimi, ale mają moc, by błogosławić i karać – zależnie od tego, jak ich potraktowano. Najpierw mężczyzna, potem kobieta, potem anioł. Następna przemiana, proszę!

– Wpierw forsa – rzekł mężczyzna za ladą.

Błysnąłem platynowym pierścieniem i nagle jego oczy zwęziły się.

– Przysiągłbym, że to ukradłaś.

– Popęniłbyś wówczas krzywoprzysięstwo – powiedziałem wyniośle. – Ja, która przybywam tu jako poseł, zostałam napadnięta przez gwałcicieli na waszych wspaniałych gościńcach. Zabili ich moi strażnicy, ale sami polegli w czasie walki.

Muszę kontynuować swą misję i muszę być ubrana jak kobieta mojej rangi.

Zmienił ton.

– Pani, proszę o wybaczenie – skłonił się. – W czym mógłbym ci być pomocny?

Nie zaśmiałem się. A kiedy opuszczałem sklep, byłem ubrany w jaskrawy, obcisły, wydekoltowany strój. Gdy szedłem do miasta, widziałem kobiety ubrane podobnie i wydawało mi się wtedy, że wyglądają dziwnie.

– Poseł? Skąd? – zapytał, gdy wychodziłam. – I do kogo?

– Z Bird – odrzekłem. – Do kogokolwiek, kto ma tutaj władzę.

– Znajdź więc najbliższego inkersa. Ponieważ nikt z białych nie ma tutaj żadnej rangi, pani, a wszystkim inkersom z Inkumai wydaje się,

że tu panują.

Moje jasnoblonde włosy przyciągały spojrzenia na ulicy. Nie przerywałem marszu w kierunku stajni, próbując ignorować patrzących na mnie mężczyzn. Patrzyłem wyniośle, naśladując w tym luksusowe dziwki z Muelleru, które spoglądały pogardliwie na mężczyzn nie mogących sobie pozwolić na ich usługi.

To był pełny cykl moich przemian. Mężczyzna, potwór, kobieta, anioł, a teraz prostytutka. Zaśmiałem się. Nic by mnie już nie zdziwiło.

Rozstałem się z platynowym pierścieniem i nie otrzymałem reszty – ale powóz zaprzęgnięty przez stajennego należał do mnie. Do stolicy Allison było stąd dobrych parę kilometrów, a musiałem przybyć tam w całej okazałości.

Na kamiennej drodze rozległ się stukot drewnianych podków. Otworzyłem drzwi do stajni i wyszedłem na zewnątrz. Po drodze jechało stępa kilkanaście koni, powodując ogłuszający hałas. Ale nie przyglądałem się wierzchowcom, obserwowałem jeźdźców.

Byli równie wysocy jak ja – nawet wyżsi, mieli chyba po dwa metry. I byli znacznie czarniejsi niż wszyscy znani mi Cramerowie. Nosy mieli wąskie, a nie szerokie i płaskie, jakie dotychczas widziałem u czarnych. I każdy z nich niósł

żelazny miecz oraz tarczę z żelaznymi ćwiekami.

Nawet w Muellerze nie wyposażamy naszych prostych żołnierzy w żelazo, dopóki nie rozpoczyna się bitwa. Jak wiele metalu mieli Nkumai?

Stajenny splunął.

– Inkersi – powiedział za moimi plecami.

Nie zwróciłem na niego uwagi i wyszedłem na ulicę, podnosząc dłoń w przywitaniu. Żołnierze Nkumai dostrzegli mnie.

Piętnaście minut później stałem przywiązany do słupa pośrodku miasta.

Doszedłem do wniosku, że być kobietą to co innego niż się powszechnie uważa. W

poblizu płonął ogień, a cechownica już zarzyła się czerwono.

– Jakaś taka chuda – powiedział jeden z żołnierzy.

Masował sobie łokieć. Mogłem tak pokruszyć mu kość, że nigdy już nie byłby w stanie używać ramienia. Mogłem uderzyć go dłonią w gardło, tak że padłby na ziemię martwy i nawet nie zdążyłby zobaczyć, jak

życie przesuwa mu się przed oczyma. Ale to by mnie zdemaskowało. Teraz, kiedy z obnażonymi piersiami oczekiwałem tortur, zdałem sobie sprawę, że moje udawanie nie potrwa długo, jeśli me rany zaczną się goić na ich oczach.

– Stój spokojnie – powiedział słodko kapitan oddziału tonem człowieka wykształconego. – Wiesz, że miałaś się zarejestrować trzy tygodnie temu. To nie będzie bolało.

Spojrzałem na niego z gniewem.

– Odwiąż mnie od słupa albo zapłacisz za to życiem – powiedziałem.

Trudno było utrzymać wysoki, kobiecy ton głosu. Musiałem udawać, że moje groźby to takie czcze przechwałki, gdy w gruncie rzeczy byłem pewien, że mogę go zabić w trzy sekundy, jeśli uwolnię ręce, a w trzydzieści, jeśli będę nadal związany.

– Jestem posłem – powtórzyłem po raz dwudziesty, odkąd mnie pojmano. – Z

Bird...

– Już mi to mówiłaś – odpowiedział łagodnie i skinął na żołnierza, który grzał cechownicę.

Byli zbyt spokojni. Oznaczało to, że zacznie się przedstawienie, które potrwa pewien czas. Miałem jedynie nadzieję, że uda mi się ich sprowokować, iż wpadną w gniew i bardzo szybko spowodują u mnie wiele urazów. Być może szybko mnie ukarzą i wyniosą gdzieś to, co będą uważali za mego trupa.

Nie musiałem oczywiście udawać, że jestem wściekły. W Mueller cechowaliśmy tylko owce i bydło. Nawet nasi niewolnicy nie byli znaczeni. Tak więc, kiedy uśmiechnięty Nkumai przysunął rozpaloną do czerwoności cechownicę w pobliże mego brzucha, zawyłem z wściekłości – miałem nadzieję, że mój jęk zabrzmiał po kobiecemu – i kopnąłem go w jądra z siłą wystarczającą, żeby wykastrować byka.

Zaskowyczał. Kątem oka zauważyłem, że bluza rozerwała mi się na dole. Potem kapitan uderzył mnie w głowę płaską stroną miecza i straciłem przytomność.

Obudziłem się wkrótce w ciemnym pomieszczeniu zamkniętym ciężkimi drewnianymi drzwiami. Nie było okien, jedynie w dachu znajdował się mały otwór.

Głowa bolała mnie tylko trochę i obawiałem się, że jeśli byłem długo

nieprzytomny i zdołałem w tym czasie wyzdrowieć, zdradzi to moją tajemnicę. Ale nie, to trwało tylko kilka minut. Moje ciało nie było całkowicie wyleczone po cięgach, jakie musieli mi sprawić, gdy byłem już nieprzytomny.

To byli zdyscyplinowani wojskowi. Choć wściekli, nie próbowali mnie zgwałcić.

Ciągle byłem ubrany tak jak przedtem: z obnażonymi piersiami, ale poza tym całkowicie zakryty. Szybko poprawiłem rozerwaną bluzę. Pozostała jaskrawa, choć już nie olśniewała jak poprzednio. Była tak obcisła, że nie dawała się zapiąć, nie zakrywała nawet całego ciała, ale me rany znajdowały się na plecach, a rozdarcie z przodu, więc bluza dość dobrze spełniała swe zadanie. Chciałem nie tyle wyglądać skromnie, co ukryć swe okaleczenia.

Ktoś zastukał nieśmiało.

– Mam opatrzeć pani rany, proszę pani – powiedział miękki, dziewczęcy głos.

– Idź sobie! Nie dotykaj mnie!

Chciałem, żeby mój głos brzmiał zdecydowanie, ale prawdopodobnie brzmiał

tylko histerycznie. Nie miało żadnego znaczenia, czy ta potencjalna pielęgniarzka była Nkumai czy Allison. Jeśli zobaczy rany, które zostały zadane przed kilkoma minutami, a wyglądają na kilkudniowe, gra się skończy. Nawet jeśli nie słyszano tu o regeneracyjnych zdolnościach Muellerów, co było mało prawdopodobne, zorientuje się, że dzieje się coś dziwnego. Nastąpi szczegółowe badanie i nawet jeśli bym się wykastrował, przekonano by się, że moja budowa jest co najmniej dziwaczna.

Dziewczyna odezwała się jeszcze raz i znów kazałem jej odejść, mówiąc, że kobiety z Bird nie pozwalają cudzoziemcom dotykać swej krwi.

Znów wymyśliłem dla doraźnych potrzeb jakąś zaimprovizowaną kulturową bzdurę. W szkole wykładano mi folklor i rytuały. Zajmowałem się nimi szerzej, niż wymagał program szkolny, i mogłem wyrobić sobie jakieś pojęcie o tym, jakiego typu sprawy były święte lub tabu w różnych regionach. Krew kobieca – głównie menstruacyjna, ale rozszerzano to na całą kobiecą krew – często uważana była za świętą lub nieczystą, i to powszechniej nawet niż ciała zmarłych.

Dziewczyna odeszła. Nie wiadomo, czy skłoniła ją do tego histeria w moim głosie, czy może rzeczywiście istniało tu miejscowe tabu dotyczące krwawiących kobiet. Leżałem teraz sam w dusznym pokoju. Mrowienie w karku upewniało mnie, że rany już się zrosły, zablizniły i zaleczyły. Zacząłem zastanawiać się, jak uciec, nie przechodząc przez drzwi. Próbowałem przypomnieć sobie rozkład wsi i planowałem jak najszybsze wyrwanie się na wolność.

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc na ciężkich, drewnianych zawiasach. Wszedł

czarny człowiek w białej szacie. Trzymał w ręce maść, więc najwyraźniej postawiłem na swoim. Podał mi inną szatę, jasnononiebieską.

– Proszę, wyjdź na zewnątrz – powiedział.

Wziąłem szatę. Mężczyzna odwrócił się i zamknął drzwi.

Zrzuciłem z siebie poszarpane ubranie z Allison, naciągnąłem szatę na swe świeżo wygojone plecy i ramiona i zawiązałem z przodu. Nabrałem pewności siebie i czułem się teraz mniej narażony na atak. Otworzyłem drzwi i wyszedłem na zewnątrz, mrugając w świetle dnia. Mężczyzna w białej szacie stał dwa kroki dalej.

– Domagam się, by wypuszczono mnie na wolność – zażądałem.

– Oczywiście – odpowiedział – i mam nadzieję, że będzie pani kontynuować swoją podróż do Nkumai.

Nawet nie próbowałem ukryć mej niewiary w szczerść tego zaproszenia.

– Obawiałem się, że będzie się pani tak do tego odnosić – rzekł – ale błagam, niech pani wybaczy naszym ciemnym żołnierzom. W Nkumai szcycimy się naszą nauką, ale niewiele wiemy o narodach żyjących poza granicami. Żołnierze oczywiście wiedzą znacznie mniej od nas.

– Nas?

– Jestem nauczycielem – odrzekł. – Posłano mnie, żebym błagał panią o wybaczenie i prosił, by kontynuowała pani podróż do naszej stolicy. Kiedy kapitan zwrócił się do nas o pozwolenie zabicia pani w odwecie za okaleczenie jednego z żołnierzy, powiedział nam, że utrzymuje pani, iż jest posłem z Bird. Dla niego myśl o tym, że kobieta mogłaby być posłem, wydaje się absurdem. On pochodzi z niższych gałęzi drzewa, gdzie nie zawsze docenia się prawdziwe możliwości kobiet. Ale ja wiem, że Bird jest rządzony przez kobiety, i to, jak mi mówiono, bardzo

mądrze.

Uświadomiłem sobie od razu, że pani historia musi być prawdziwa.

Uśmiechnął się i rozłożył ręce.

– Nie mogę, niestety, odwrócić tego, co uczynił w swojej ignorancji ten oficer.

Oczywiście zdegradowano go i te dłonie, które panią były, zostały odcięte.

Skinałem głową. Prawdopodobnie nie mogli wymierzyć już mniejszej kary, jeśli chcieli okazać, że całą sprawę traktują poważnie.

Uświadomiłem sobie, że ja również wyrządziłem pewne szkody.

– A ten człowiek, którego kopnąłem... Zdaje się, że został już dostatecznie ukarany.

Uniósł brwi w górę.

– On był innego zdania. Musi pani zrozumieć – został wykastrowany jednym kopnięciem skrepowanej kobiety. Nie mógł dłużej żyć z piętnem tego zdarzenia związanego z jego imieniem.

Znów skinąłem głową, jakbym wszystko zrozumiał.

– A teraz – ciągnął – pozwoli pani, że ją będę eskortował do Nkumai, gdzie, być może, ciągle będzie pani mogła wypełnić swą misję posła.

– Zastanawiam się, czy nasze zamiary zawiązania sojuszu z Nkumai były rozsądne. Słyszeliśmy przedtem, że Nkumai to lud cywilizowany.

Wydawał się dotknięty, ale po chwili bezradnie się uśmiechnął.

– To nie tak – odpowiedział. – Nie jesteśmy jeszcze cywilizowani. Ale przynajmniej próbujemy się ucywilizować, czego nie można powiedzieć o wszystkich ludach tutaj, na Wschodzie. Jestem przekonany, że na Zachodzie sprawy wyglądają inaczej.

W tym momencie pomyślałem, że wciąż jeszcze mogę się wycofać, wysliznąć z Allison, nie wdając się więcej w żadne sprawy z Nkumai, a później zniknąć ze Spisku. Przynajmniej z punktu widzenia Muellera nie byłoby mnie już na planecie.

Ale na dobre czy złe, wciąż byłem zdecydowany zakończyć swą misję i dowiedzieć się, co sprzedawali Ambasadorowi. Za co dostawali tyle żelaza – więcej niż za nasze ciała. Wypowiedziałem więc słowa, które znów otwierały możliwości rokowań.

– Barbarzyńcy są na całym świecie i może, w czasach niepokoju, trzeba przyjaźnić się z tymi, którzy pragną się ucywilizować, aby chronić się przed tymi, którzy pogardzają takimi subtelnościami, jak prawo czy

grzeczność.

– Więc będzie dobrze, jeśli porozmawia pani z tymi, którzy sprawują władzę w Nkumai – odpowiedział.

Łaskawie skinąłem głową i przyjąłem jego zaproszenie. Kiedy jednak wsiadłem do powozu i ruszyliśmy na wschód, ku Nkumai, miałem przykre uczucie, że złapał

mnie jakiś wir i wsysa coraz głębiej. Już nie mogłem się wycofać.

Codziennie zmienialiśmy konie i szybko poruszaliśmy się naprzód, jakkolwiek po drodze zatrzymywaliśmy się na spoczynek ponad dwanaście razy. Mój przewodnik wskazywał rozmaite ciekawostki botaniczne i zoologiczne. Opowiadał mi również podania i legendy, które wtedy nie miały dla mnie większego sensu, chociaż stały się jaśniejsze później, kiedy poznałem zwyczaje Nkumai. Snuł opowieści o rozmaitych starciach, a każdą z nich kończył kazaniem o tym, jak niemożliwe jest pokonanie Nkumai w jakiegokolwiek bitwie.

Wystrzegaliśmy się jednak powiedzenia czegoś obraźliwego. W gospodach zawsze dostawałem osobny pokój. Strażnicy pełnili wprawdzie wartę u mych drzwi, ale nigdy nie próbowali mnie powstrzymać, kiedy opuszczałem swoją kwaterę i szedłem do wspólnych pomieszczeń albo nawet na zewnątrz na spacer. Najwyraźniej byli po to, by mnie chronić, a nie więzić.

Potem coraz rzadziej spotykaliśmy białe drzewa Allison. Droga wiała się teraz wśród gigantycznych drzew, wystrzelających prosto do góry na setki, setki metrów.

Nawet najstarsze drzewa z Ku Kuei wyglądałyby przy nich jak karły. Nie zatrzymywaliśmy się już w gospodach, ale spaliśmy przy powozie lub pod nim, gdy padał deszcz. Padało prawie codziennie.

Aż pewnego dnia, wczesnym popołudniem nauczyciel Nkumai dał znak woźnicy, żeby stanął.

– Przybyliśmy – powiedział.

Rozejrzałem się wokół. Nie mogłem dostrzec żadnej różnicy między tym akurat miejscem, a dowolnym innym fragmentem lasu; lasu, który podczas naszej wielodniowej podróży wydawał mi się tak monotony.

– Dokąd przybyliśmy? – spytałem.

– To Nkumai. Stolica.

Spojrzałem za jego wzrokiem i zobaczyłem niezwykle złożony i przemyślny system ramp, mostów oraz budynków zawieszonych na

drzewach. Ciągnęły się w górę i dookoła we wszystkich kierunkach tak daleko, jak sięgał mój wzrok.

– Nie do zdobycia – skomentował.

– Rzeczywiście cudo – odrzekłem.

Nie dodałem, że dobry pożar zniszczyłby to wszystko w pół godziny. Byłem zadowolony, że powstrzymałem się od tego komentarza, ponieważ po paru chwilach nadszedł codzienny potop i już nie byłem ani w powozie, ani pod nim. Natychmiast przemoczyło nas tak, jakbyśmy wykąпали się w morzu. Nkumai nie próbował nawet się gdzieś schować, więc ja również nie mogłem tego zrobić.

Po kilku minutach deszcz ustał, a on odwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Tak jest każdego dnia, czasami dwa razy dziennie. Gdyby nie te deszcze, musielibyśmy obawiać się pożarów. Ale w takiej sytuacji naszym jedynym problemem jest wysuszenie torfu na tyle, żeby można było na nim gotować posiłki.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi i skinąłem głową.

– Rozumiem, że to może być problem.

Widocznie domyślił się, że zauważyłem, iż miasto jest podatne na pożary, i chciał, bym zrozumiał na podstawie własnego doświadczenia, jak bezużyteczną bronią przeciw nim byłby ogień.

Grunt był grząski, zapadałem się na głębokość kilkunastu centymetrów, co znacznie utrudniało marsz. Zastanawiałem się, dlaczego nie próbowali wyłożyć drzewem lub wybrukować jakichś innych ścieżek oprócz drogi. Wkrótce znaleźliśmy jednak drabinę sznurową i wspięliśmy się w górę. Miały upłynąć tygodnie, zanim ponownie dotknąłem gruntu.

3. NKUMAI

– Czy nie zechciałaby pani odpocząć? – zapytał.

Po raz pierwszy byłem zadowolony, że wyglądam na kobietę, ponieważ pomost był wyspą stabilności w absurdalnym świecie drabinek sznurowych, kołyszących się na porywistym wietrze. Syn Muellera nigdy nie mógłby się przyznać, że jest zmęczony, ale pani poseł z Bird nie traciła twarzy, jeśli chciała odpocząć.

Położyłem się na pomoście. Przez kilka chwil widziałem wysoko nad sobą sklepienie z liści i było tak, jakbym znajdował się na stałym gruncie.

– Nie wygląda pani na zmęczoną – zauważył mój przewodnik. – Nawet pani nie dyszy.

– Och, chciałam odpocząć, ale nie z powodu wyczerpania. Po prostu... nie przywykłam do takich wysokości.

Przechylił się niedbale przez krawędź pomostu i spojrzał w dół.

– Cóż, jesteśmy dopiero jakieś osiemdziesiąt metrów nad ziemią. Mamy jeszcze daleko.

Stłumiłem westchnienie.

– Dokąd mnie pan prowadzi?

– A dokąd pani chce iść? – odparował.

– Chcę widzieć się z królem.

Zaśmiał się, a ja się zastanawiałem, czy od damy z Bird należałoby oczekiwać, że uzna za afront, gdy ktoś roześmieje się jej w twarz. Zdecydowałem, że wypada okazać lekką irytację.

– Czy to takie zabawne?

– Chyba tak naprawdę nie oczekuje pani, że zobaczy króla?

Powiedział to z uśmiechem, ale ja wielokrotnie wskazywałem właściwe miejsce tym, którzy ośmielali się zachowywać w stosunku do mnie protekcyjnie.

Wiedziałem, jak sprawiać, by mój głos brzmiał tak, jakby całą zimę chłodził się w lodzie.

– Zatem macie niewidzialnego króla. Jakież to zabawne.

Jego uśmiech nieznacznie przygasł.

– Miałem na myśli to, że król nie spotyka się z ludem.

– Aha. W krajach cywilizowanych posłom czyni się tę grzeczność i zapewnia im audiencję u głowy państwa. Ale widzę, że w waszym kraju wysłannicy innych państw muszą się zadowalać wspinaniem po drzewach i składaniem sobie wizyt nawzajem.

Uśmiech z jego twarzy zniknął. Teraz to ja traktowałem go protekcyjnie i nie podobało mu się to.

– Nie ma u nas wielu posłów. Do niedawna sąsiadujące z nami narody patrzyły na nas jako na „drzewne małpy”, zdaje się, że tak brzmi ten termin. Dopiero ostatnio, kiedy nasi żołnierze narobili trochę hałasu w świecie, posłowie zaczęli napływać.

Możliwe więc, że nie jesteśmy zaznajomieni ze wszystkimi zwyczajami ludów

„cywilizowanych”.

Zastanawiałem się, w jakim stopniu było to prawdą. Od czasów kiedy Rodziny po raz pierwszy podzieliły świat, wszystkie narody zamieszkujące wielką równinę Rzeki Buntowników wymieniały między sobą posłów. Jeśli Nkumai zainteresowali się otoczeniem do tego stopnia, że wszczynali zaborcze wojny, z pewnością również nauczyli się, jak należy postępować z posłami różnych narodów.

– Obecnie jest u nas tylko trzech posłów, proszę pani – rzekł. – Mieliśmy kilku innych, ale oczywiście poseł Allison jest teraz lojalnym poddanym króla, natomiast posłowie z Mancowicz, Parker, Underwood i Sloan zostali odesłani, ponieważ interesowali się znacznie bardziej naszym Ambasadorem niż rozwijaniem dobrych stosunków z Nkumai. Obecnie tylko Johnston, Cummings i Dyal mają tutaj poselstwa. Ponieważ jednak mamy niewiele przestrzeni życiowej, musieliśmy zakwaterować ich razem. Obawiam się, że jesteśmy prowincją. Odległą prowincją.

„I trochę z tym przesadzacie” – dodałem w duchu. Chociaż ostrzeżenie mojego przewodnika nie było zbyt subtelne, odniosło swój skutek. Czujnie obserwowali, czym zainteresowani są przybywający posłowie. Tak więc musiałem być ostrożny.

Odpowiedziałem mu:

– Ja jestem tutaj po to, by zobaczyć się z królem. Jeśli nie ma na to szans, pojedę do domu i powiem moim zwierzchnikom, że Nkumai nie jest zainteresowane dobrymi stosunkami z Bird.

– Och, jest pewna szansa, że zobaczy się pani z królem. Będzie musiała

pani złożyć podanie w Biurze Spraw Socjalnych, ale za skutek nikt nie może ręczyć.

Uśmiechnął się blado. Nie lubił mnie.

– Pójdziemy? – zaproponował.

Podszedłem ostrożnie do drabinki sznurowej, która wciąż łagodnie kołysała się na wietrze. Była luźno przymocowana do platformy cienką liną owiniętą dokoła niskiego słupa.

– Nie tam – powiedział nauczyciel. – Idziemy inną drogą.

Ruszył biegiem, oddalając się od platformy jedną z gałęzi, jeśli można je było nazwać gałęziami – żadna nie miała mniej niż dziesięć metrów grubości. Podszedłem powoli do miejsca, gdzie wspiał się na gałąź i, rzeczywiście, były tam jakieś delikatne uchwyty, wyglądające raczej na wgłębienia wyrobione od częstego używania niż na wyrżnięte w drzewie. Niezgrabnie dotarłem z pomostu do miejsca, w którym niecierpliwie oczekiwał mnie mój przewodnik. Tutaj gałąź traciła trochę nachylenie, ale gdzieś dalej wznosiła się w górę, krzyżując się z konarami innych drzew.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Nie – odpowiedziałem. – Ale chodźmy dalej.

– Będę szedł wolniej – rzekł – aż przyzwyczai się pani bardziej do drzewnych dróg.

Potem zadał mi pytanie, które wydawało się nie na miejscu po tylu dniach wspólnej podróży:

– Jak się nazywasz, pani?

Nazywam? Oczywiście, przygotowałem sobie imię, tam w Allison, ale nigdy nie powstała sytuacja, w której trzeba by było go używać, i uciekło mi ono z pamięci.

Nawet teraz nie mogę sobie przypomnieć, jakie imię wtedy wybrałem. A ponieważ moje zmieszanie stało się widoczne, nie byłem w stanie podać na poczekaniu jakiegoś nowego imienia, nie wzbudzając podejrzeń. Znów więc uciekłem się do wymyślenia wymaganego zwyczaju, który byłby mi w tej chwili przydatny. Miałem szczerą nadzieję, że rząd Bird nie uzna za właściwe wysłania w najbliższym czasie prawdziwego posła. Wątpiłem, czy taka kobieta chciałaby działać według zaimprovizowanego przeze mnie scenariusza. Ale jeśli Nkumai było tak sprawne jak Mueller i wyśle szpiegów, aby dowiedzieli się czegoś więcej o narodzie, który przysłał poselstwo,

cienka materia mych kłamstw wkrótce się rozerwie.

– Moje imię, panie? – rzekłem, pokrywając zmieszanie wyniosłością. – Albo nie jest pan dżentelmenem, albo nie uważa mnie pan za damę.

Natychmiast przybrał zawstydzony wygląd. Potem się zaśmiał.

– Pani, musisz mi wybaczyć. Co kraj to obyczaj. W moim kraju tylko damy mają imiona. Mężczyzn nazywa się według ich zawodu. Ja jestem, jak pani już mówiłem, Nauczycielem. Ale nie chciałem pani urazić.

– Świetnie – powiedziałem, przebacząc mu bez dalszych uwag.

Gra stawała się zabawna. Musiałem wywyższać się nad nim w sytuacji, w której byłem od niego gorszy, i nic na to nie mogłem poradzić. Dokładnie tak, jak musiałyby, według mojego wyobrażenia, postępować prawdziwa kobieta –

dyplomata. Pozwoliło mi to prawie zapomnieć o fakcie, że chociaż ścieżka, po której szliśmy, nie była trudniejsza niż zbocze stromej pagórka, to ten pagórek był, niestety, grubą gałęzią drzewa, z przepaściami po obu stronach. Jeśli zboczyłbym z drogi, to zaraz z łoskotem spadłbym w dół. Nie śmiałem spojrzeć i nie wiedziałem nawet jak głęboko w dół, ale nie mogłem opanować przewrotnej chęci dowiedzenia się tego.

– Ile jest metrów do ziemi?

– W tym miejscu... powiedziałbym, że około stu trzydziestu, pani. Ale tak naprawdę nie jestem zupełnie pewien. Nie prowadzimy wielu pomiarów. Kiedy już się jest na tyle wysoko, że każdy upadek spowodowałby śmierć, nie ma w gruncie rzeczy znaczenia, jak daleko jest do ziemi, prawda? Ale mogę pani powiedzieć, jak wysoko jeszcze musimy wejść.

– Jak wysoko?

– Jeszcze około trzystu metrów.

Wstrzymałem oddech. Wiedziałem, że na Spisku drzewa osiągają fenomenalne rozmiary – czyż nie przemierzyłem pieszo Ku Kuei? – ale z pewnością na takiej wysokości gałęzie będą zbyt słabe i cienkie, by nas utrzymać.

– Dokąd idziemy? Dlaczego tak wysoko?

Znowu się zaśmiał, nie próbując tym razem ukryć swego zadowolenia z mojej obawy przed wysokością. Może rewanżował się w ten sposób za wcześniejszą trudność przy ustalaniu mego imienia i inne przejawy

lekceważenia, jakie podczas naszej podróży okazywałem zarówno jemu, jak i jego krajowi. Odpowiedział mi:

– Zmierzamy do miejsca, gdzie będzie pani mieszkać. Sądziliśmy, że spodoba się pani wycieczka na samą górę. Niewielu obcych tam bywało.

– Będę mieszkać na samej górze?

– Cóż, nie mogliśmy przecież zakwaterować pani z innymi posłami. To mężczyźni. Jesteśmy jednak trochę cywilizowani. Mwabao Mawa zgodziła się panią przyjąć.

Nasza rozmowa urwała się, kiedy mój przewodnik lekko przekraczał most linowy, tylko czasami robiąc użytek z rąk. Wydawało się to proste, tym bardziej, że na moście ułożone były poprzeczne deski. Kiedy jednak na niego wstąpiłem, zakołysał się, i im dalej szedłem, tym kołysanie stawało się silniejsze. Przy maksymalnych wychyleniach widziałem pnie drzew opadające ku ziemi skrytej w mrocznych cieniach i tak odległej, że nie byłem pewien, gdzie właściwie się ona znajduje. W końcu, gdzieś w pobliżu środka mostu, straciłem panowanie nad sobą i zwymiotowałem. Potem poczułem się lepiej i przeszedłem przez most bez dalszych incydentów. Ponieważ zostałem już całkiem zhańbiony, nie próbowałem już odtąd udawać, że się nie boję. Przekonałem się, iż dzięki temu łatwiej to znoszę. Mój przewodnik, Nauczyciel, stał się przychylniejszy i prowadził mnie w wolniejszym tempie. Czasami gorliwie korzystałem z jego wsparcia.

Kiedy w końcu dotarliśmy do miejsca, gdzie rosły liście – wielkie wachlarze, których szerokość dochodziła nawet do dwóch metrów – z wolna uświadomiłem sobie, że nawet jeśli się dowiem, co Nkumai wymieniają z Ambasadorem na żelazo, nie będziemy z tego mieli wielkiej pociechy. Jak mieszkańcy równinnego Muellera, żyjący od wieków tylko na ziemi, zdołaliby najechać taki lud, nie mówiąc już o podboju? Nkumai wciągnęliby tylko swe sznurowe drabiny i śmialiby się szyderczo.

Albo wybili nas głazami. A lęk wysokości z pewnością obezwładniłby innych Muellerów tak, jak teraz mnie. Byliśmy wytrenowani w oddzielaniu strachu od bólu, ale upadek z wysokości – to była inna sprawa. Prócz tego zupełnie nie wiedziałem, czy rozbicie się o ziemię po tak długim locie nie spowoduje urazów, z których nawet ciało Muellera nie będzie w stanie wyleczyć się na tyle szybko, by obrażenia

nie doprowadziły do śmierci. Atak Mueller na Nkumai, na ich drzewne osiedla, byłby czymś w rodzaju ataku ryb na ptaki.

Chyba że potrafilibyśmy jakoś wyćwiczyć żołnierzy Muelleru do walki na wysokościach. Może mogliby trenować na sztucznych pomostach albo na wysokich drzewach Ku Kuei. Mógłbym dalej rozwijać te pomysły, gdybym nie był ciągle zaprzątnięty wyszukiwaniem stopni, tak żeby nie polecieć ku ziemi, głową w dół.

W końcu podeszliśmy ostrożnie po cienkiej gałęzi do domu o konstrukcji dość skomplikowanej, chociaż w Mueller uważana byłaby ona za prostą. Nauczyciel przemówił cicho, lecz wyraźnie:

– Z ziemi w powietrze.

– Aż do gniazda, Nauczycielu. Wejdźcie – zaprosił nas do wewnątrz zachrypnięty, lecz piękny głos Mwabao Mawy.

Dom składał się właściwie z pięciu pomostów. Każdy z nich niewiele się różnił

od tego, na którym już odpoczywałem, chociaż dwa były znacznie większe. Jednakże te pomosty były przykryte dachem z liści i posiadały dość skomplikowany system zbierania wody padającej z góry do beczek ustawionych w rogach pokojów.

Jeśli te pomieszczenia można było nazwać pokojami. Każdy pomost stanowił

osobną komnatę. I nigdzie nie dostrzegłem żadnych ścian. Tylko zasłony z jaskrawo pomalowanego materiału, zwisającego z dachu do podłogi. Wiatr rozchyłał je z łatwością.

Postanowiłem trzymać się środka platformy.

Mwabao Mawa w pewnym sensie mnie rozczarowała. Gdyby sądziło się na podstawie jej głosu, powinna być piękna, ale nie była. Przynajmniej według znanych mi kanonów piękna – łącznie z kanonami Nkumai. Była wysoka, a jej twarz, chociaż nieładna, ożywiona i pełna wyrazu. Kiedy mówię „wysoka”, słowo to nie oddaje dokładnie tego, co mam na myśli. W Nkumai prawie wszyscy są przynajmniej tak wysocy, jak ja obecnie, a jestem znacznie wyższy od przeciętnego mieszkańca Muelleru. W tamtym czasie nie osiągnąłem jeszcze pełnego wzrostu, a ponieważ wśród Nkumai Mwabao Mawa była ogromna, mnie wydawała się olbrzymką.

Poruszała się przy tym z gracją i nie czułem się onieśmielony. Szczerze mówiąc, czułem się otoczony opieką.

– Nauczycielu, kogo mi przyprowadziłeś?

– Nie podała mi swego imienia – rzekł Nauczyciel. – Wydaje się, że dżentelmen nie powinien pytać damy o takie rzeczy.

– Jestem posłem z Bird – starałem się mówić dobitnie, ale tak, by nie wydać się napuszonym – i powiem swoje imię innej damie.

Zdażyłem już oczywiście wybrać nowe imię i od tamtej chwili, podczas całego pobytu w Nkumai, nazywałem się Lark. Z tego, co przyszło mi do głowy, było to najbliższe imienia Lanik i wydawało się odpowiednie dla kobiety z Bird * [* Bird –

ptak, lark – skowronek (przyp. tłum.)].

– Lark – odezwała się Mwabao Mawa, wymawiając moje imię melodyjnie. –

Wejź do środka.

Myślałem, że już tam jestem.

– Tu, do środka – powiedziała, starając się natychmiast mnie ośmielić. Widziała, że jestem dezorientowany. – A ty, Nauczycielu, możesz odejść.

Odwrócił się i odszedł, krocząc z łatwością po wąskiej gałęzi, której tak się bałem. Zauważyłem, że posłuchał, jak gdyby Mwabao Mawa miała wielki autorytet.

Przyszło mi na myśl, że być może tutaj przebranie kobiecie nie jest taką przeszkodą, jak to było w Allison.

Poszedłem za Mwabao Mawą przez zasłony, za którymi znajdował się pokój. Nie było przejścia – po prostu około półtorametrowy odstęp do następnego pomostu. Nie uda ci się skoczyć – spadasz na ziemię. Nie wymagało to specjalnie długiego susa –

ale na zawodach w Mueller, prócz pogardy widzów, nie ma innych kar za chybienie celu.

Tutaj zasłony były ciemniejsze i stonowane, a podłoga, dzięki Bogu, nie stanowiła jednej, płaskiej powierzchni. Opadała dwoma stopniami do większej areny w centrum, obficie upstrzonej poduszkami. Kiedy zszedłem, przekonałem się, że łatwo mi sobie wmówić, iż dookoła są prawdziwe ściany, i odprężyłem się.

– Śmiało, siadaj – powiedziała. – To jest pokój, w którym odpoczywamy. W

którym śpimy w nocy. Jestem pewna, że kiedy tu szliście, Nauczyciel cały czas się popisował. Ale nie jesteśmy wolni od lęku wysokości.

Każdy śpi w pokoju tego typu.

Niezbyt odpowiada nam myśl, że moglibyśmy stoczyć się na dół w czasie snu.

Zaśmiała się niskim, pełnym śmiechem, ale nie wtórowałem jej. Leżałem tylko na wznak, a me ciało drżało, pozbywając się nagromadzonego w czasie wspinaczki napięcia.

– Nazywam się Mwabao Mawa – rzekła. – I powinnam ci powiedzieć, kim jestem. Niewątpliwie usłyszysz o mnie jakieś opowieści. Krążą pogłoski, że jestem kochanką króla. Nie robię nic, aby im zaprzeczać, ponieważ daje mi to sporo władzy w drobnych sprawach. Chodzą również pogłoski, że jestem morderczynią – i te pogłoski są nawet jeszcze bardziej przydatne. Prawda jest oczywiście taka, że jestem tylko doskonałą gospodynią i wspaniale śpiewam pieśni. Być może jestem największą pieśniarką, jaka kiedykolwiek żyła w tym kraju pieśniarzy. Jestem też próżna – dodała z uśmiechem. – Ale wierzę, że prawdziwa pokora polega na tym, by być świadomym prawdy o sobie.

Potwierdziłem mamrocząc. Napawałem się ciepłem jej głosu i poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawała mi podłoga. Mwabao mówiła dalej i zaśpiewała mi kilka pieśni. Z tej rozmowy nie przypominam sobie prawie nic. Jeszcze słabiej pamiętam szczegóły pieśni. Choć nie rozumiałem słów i nie wyczuwałem żadnej szczególnej melodii, pieśni wciągnęły mnie w krainę wyobraźni i prawie widziałem rzeczy, o których Mwabao śpiewała... mimo że zupełnie nie wiem, jak domyśliłem się, o co chodzi. Choć od tamtego czasu zdarzyły się straszne rzeczy, a ja własnoręcznie uciszyłem muzykę Mwabao, dałbym wiele, by móc znowu usłyszeć te pieśni.

Tego wieczora Mwabao zapaliła latarnię na zewnątrz głównego wejścia i powiadomiła mnie, że przyjdą goście. Dowiedziałem się później, że latarnia oznacza, iż dana osoba ma ochotę przyjmować gości i jest to otwarte zaproszenie dla wszystkich, którzy zobaczą nocne światło. O władzy Mwabao Mawy nad ludźmi (albo, mówiąc mniej cynicznie, o oddaniu innych ludzi i o radości, jaką czerpali z jej towarzystwa) świadczyło to, że ilekroć zapaliła latarnię na zewnątrz, nie mijała godzina, a jej dom wypełniał się całkowicie i była zmuszona gasić to światło.

Większość gości stanowili mężczyźni. Nie było to dziwne w Nkumai, ponieważ kobiety, na ogół obarczone opieką nad dziećmi, rzadko

wychodziły wieczorami; dzieci nie miały jeszcze na tyle wyrobionego poczucia równowagi, by nocą bezpiecznie spacerować po gałęziach. Rozmawiano głównie o drobnostkach, lecz starannie przysłuchiwałem się wszystkiemu i dowiedziałem się wiele. Niestety, grzeczność Nkumai wymagała, aby gość tyle samo czasu poświęcał rozmowie ze mną, co rozmowie z innymi. Myślałem wtedy, że byłoby milej, gdyby przejęli zwyczaj Muellera. U nas gość może siedzieć cicho, dopóki nie zapragnie włączyć się do rozmowy. Zwyczaj Nkumai utrudnia gościom poznanie zbyt wielu rzeczy. Mnie z pewnością tamtego wieczoru utrudniono zapoznanie się z czymkolwiek ważnym.

Zorientowałem się, że wszyscy goście byli ludźmi wykształconymi – uczonymi w takiej czy innej dziedzinie. Ze sposobu, w jaki rozmawiali i dyskutowali, wywnioskowałem, że ludzie ci nie traktowali nauki tak, jak traktowano ją w Muellerze – jako środka do osiągnięcia celu. Dla tych ludzi nauka była celem samym w sobie.

– Dobry wieczór, pani – powiedział niski człowiek łagodnym głosem. – Jestem Nauczycielem i chętnie będę do pani dyspozycji.

Było to standardowe powitanie, ale poddałem się swej ciekawości i zapytałem:

– Jak może pan dzielić imię „Nauczyciel” razem z trzema innymi mężczyznami w tym pokoju? Człowiek, który mnie tu przyprowadził, też tak się nazywał. Jak odróżniacie się nawzajem?

Zaśmiał się tym pełnym wyższości śmiechem, który już mnie zdążył zirytować i który, jak dowiedziałam się niebawem, był ich zwyczajem narodowym.

– Ponieważ ja jestem mną, a oni nie – rzekł.

– Ale kiedy rozmawia się na temat innych?

– Cóż – wyjaśnił cierpliwie. – Mam nadzieję, że kiedy ludzie o mnie mówią, nazywają mnie „Nauczyciel, Który Nauczył Gwiazdy Tańczyć”, ponieważ właśnie to zrobiłem. Człowiek, który przywiódł panią tu dzisiaj, jest „Nauczycielem Prawdziwego Widzenia”. Tak się nazywa, ponieważ dokonał tego właśnie odkrycia.

– „Prawdziwego Widzenia”?

– Nie zrozumiałaby pani tego – odrzekł. – To bardzo skomplikowane. Ale kiedy ktoś chce o nas mówić, odwołuje się do naszych największych dokonań i wtedy każdy, dla kogo ma to znaczenie, wie, o kim się mówi.

– A ci, którzy nie dokonali jeszcze żadnego wielkiego odkrycia?

Znowu się zaśmiał.

– Któżby mówił o takiej osobie?

– Ale gdy mówicie o kobietach, wszystkie mają imiona.

– Tak jak również psy i małe dzieci – powiedział to wesoło i prawie uwierzyłem, że nie miał zamiaru mnie obrazić. – Ale nikt nie oczekuje wielkich dokonań od kobiet, przynajmniej w czasie, kiedy poświęcają się poczęciu, rodzeniu i wychowywaniu dzieci. Nie uważa pani, że byłoby prostackie mówić o kobiecie, nawiązując do jej największych talentów? Niech sobie pani wyobrazi nazwanie kogoś: „Tancerka Na Kocu Mająca Olbrzymie Pośladki” lub „Kucharka, Która Wciąż Przypala Zupę”. Zaśmiał się ze swego dowcipu, a paru innych, którzy akurat słyszeli naszą rozmowę, włączyło się, proponując inne tytuły. Uważałem, że były bardzo śmieszne, ale jako kobieta musiałem udawać, że są dla mnie obraźliwe, i rzeczywiście, byłem trochę urażony, kiedy jeden z nich zasugerował, że mógłbym się nazywać: „Poseł z Piegowatymi Piersiami”.

– Skąd wiedzielibyście, że to by do mnie pasowało? – spytałem wyniośle.

Odkrycie, że tak łatwo przychodzi mi wyniosły ton, było irytujące. Musiałem jedynie naśladować sposób mówienia Kupy, a potem unosić jedną brew. Umiałem to robić od dzieciństwa, ku rozbawieniu rodziców i przerażeniu żołnierzy, którymi dowodziłem.

– Tego nie wiem – odpowiedział mężczyzna o imieniu Obserwator Gwiazd; takie samo imię miało dwu innych w pokoju. – Ale miałbym ochotę się o tym przekonać.

Na coś takiego nie byłem przygotowany. Z gwałcicielami na drodze mogłem sobie poradzić, zabijając ich. Ale jak ma kobieta powiedzieć „nie” w uprzejmym towarzystwie, nie obrażając nikogo? Jako syn króla nie nawykłem do kobiet mówiących „nie”. Ostatnio zresztą, od czasu, kiedy moją dziewczyną została Saranna, nie flirtowałem z wieloma kobietami.

Na szczęście wcale nie musiałem na to odpowiadać.

– Pani z Bird nie przyjechała tutaj po to, by dowiedzieć się, co kryje się pod twą szatą – rzekła Mwabao Mawa. – Tym bardziej, że większość z nas wie, jak mało tego tam jest.

Roześmieli się, a najgłośniej obrażony mężczyzna. Potem wszyscy

odeszli na bok, miałem więc kilka minut dla siebie i mogłem obserwować.

Wśród trajkotania o nauce i dworskich plotek – tych ostatnich było znacznie więcej – zauważyłem coś, co mnie rozbawiło. Widziałem, jak pojedynczo mężczyźni odprowadzali Mwabao Mawę na stronę, na krótką chwilę spokojnej, cichej rozmowy.

Podśledzałem jedną z nich.

– W południe – powiedział mężczyzna, a Mwabao skinęła głową.

Nie można było z tego wyciągnąć żadnych wniosków, ale podejrzewałem, że umawiają się na spotkania. Po co? Przyszło mi na myśl kilka oczywistych powodów.

Mogła być dziwką. Wątpiłem w to jednak, gdyż po pierwsze nie była zbyt ładna, a po drugie mężczyźni traktowali jej intelekt z wyraźnym respektem. Nigdy nie wykluczali jej ze swoich rozmów, nie ignorowali żadnej z jej uwag. Być może rzeczywiście była kochanką króla. W takim razie mogła sprzedawać swoje wpływy. Ale to również wydawało mi się nieprawdopodobne, ponieważ nie umieszczono by chyba posła razem z kobietą, która miała wpływy tego rodzaju.

Trzecią możliwością było to, że jest jakoś powiązana z buntownikami lub przynajmniej z jakąś tajną partią. Nie stało to w sprzeczności z faktami ani logiką i zacząłem się zastanawiać, czy jakoś nie można by tego wykorzystać.

Ale jeszcze nie tego wieczoru. Byłem zmęczony. Chociaż me ciało już dawno wypoczęło po napięciach związanych ze wspinaczką do domu Mwabao Mawy oraz zaleczyło skutki wcześniejszego pobicia przez żołnierzy Nkumai, wciąż jednak byłem wyczerpany psychicznie. Potrzebowałem snu. Zdrzemnąłem się na chwilę. Kiedy się zbudziłem, zobaczyłem, jak wychodzi ostatni z mężczyzn.

– Aż tak długo spałam? – spytałem z przestradzeniem.

– Tylko kilka chwil – odpowiedziała Mwabao Mawa. – Goście uświadomili sobie, że jest późno, i wyszli. Tak więc mogłaś spać.

Poszła w róg pokoju, zanurzyła dłoń w beczce i napiła się.

Zrobiłbym to samo, ale gdy pomyślałem o wodzie, uświadomiłem sobie straszną rzecz. W więzieniu mogłem znaleźć odosobnienie, żeby się załatwić. Kiedy podróżowałem z Nauczycielem, delikatnie umożliwiał mi on zaspokajanie moich potrzeb po drugiej stronie powozu i zakazywał wszystkim patrzeć. Ale tutaj, kiedy w domu byłem sam z

drugą – drugą? – kobietą, żądanie odosobnienia mogłoby być sprzeczne z panującymi zwyczajami.

– Czy jest tu specjalny pokój na... – Do czego? – zastanawiałem się. Czy istniał

jakiś delikatny sposób, żeby to wyrazić? – Chodzi mi o to... po co są pozostałe trzy pokoje w twym domu?

Odwróciła się do mnie i lekko uśmiechnęła, ale w jej oczach było coś jeszcze prócz uśmiechu.

– Mówię to tylko osobom, które mają uzasadnioną potrzebę takiej wiedzy.

Nie udało się. I co gorsza, musiałem patrzeć, jak Mwabao Mawa niedbale zdejmuje szatę i idzie nago ku mnie przez pokój.

– Nie idziesz spać? – zapytała.

– Owszem – powiedziałem, nie starając się nawet ukryć swego zdenerwowania.

Jej ciało nie było szczególnie pociągające, ale po raz pierwszy widziałem tak dużą kobietę bez ubrania, a zważywszy, że była czarna, ja zaś długo pościłem, wydawała mi się egzotyczna i niezwykle podniecająca. Bardzo ważne stało się teraz dla mnie wymyślenie pretekstu, by pozostawać w ubraniu. Moja skromność była rzeczą podstawową, jeśli zamierzałem przeżyć wśród ludu, który uważał mnie za kobietę.

– Dlaczego więc się nie rozbierasz? – zapytała zaskoczona.

– Ponieważ my nie rozbieramy się do snu.

Zaśmiała się głośno.

– Chcesz powiedzieć, że zawsze nosisz ubranie, nawet wtedy, gdy w pobliżu jest tylko inna kobieta?

Udałem, że pochodzę z ludu, którego obyczaje są dokładnie takie, jakich obecnie potrzebowałem, choć w tamtym czasie nie znałem ani jednego takiego rodu.

– Ciało jest najbardziej osobistą własnością każdego człowieka – powiedziałem.

– I najważniejszą. Czy cały czas nosisz swoje klejnoty?

Potrząsnęła głową rozbawiona.

– Cóż, przynajmniej spodziewam się, że zdejmujecie ubranie, żeby spadać – rzekła.

– Spadać?

Zaśmiała się znowu tym cholernym, pełnym wyższości śmiechem i powiedziała:

– Cóż, sądzę, że ludzie naziemni nazywają to inaczej, prawda? Dobrze, możesz równie dobrze obserwować, jak to się robi. Łatwiej to pokazać niż wyjaśnić.

Poszedłem za nią w róg pokoju. Chwyciła za słup narożny i przez zasłonę wychyliła się na zewnątrz nad olbrzymią przepaścią. Stłumiłem okrzyk, gdyż zrobiła to bardzo gwałtownie. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie ześliznęła się i nie spadła. Ale za zasłoną widziałem jej dłonie wciąż zaciśnięte na słupie. Powiedziała do mnie spokojnie:

– Chodź, Lark, odchyl zasłonę. Nie nauczysz się, jeśli nie spojrzysz.

Więc odchyliłem się i obserwowałem jak wypróżnia się nad pustą przestrzenią.

Potem wciągnęła się do środka i podeszła do beczki z wodą – ale nie do tej, z której piła – i umyła się.

– Musisz się szybko nauczyć, która beczka jest która – rzekła z uśmiechem. – I jeszcze jedno: nigdy nie spadaj w czasie wiatru, zwłaszcza gdy równocześnie pada deszcz. Nie ma nikogo bezpośrednio pod nami, ale w dole, nieco z boku jest bardzo wiele domów, a ich mieszkańcy mocno się wyrażają o kale na dachu i moczu w wodzie do picia.

Potem Mwabao Mawa położyła się na stosie poduszek na podłodze.

Podkasałem szatę, aż odsłoniłem prawie całe nogi, potem chwyciłem mocno słup i ostrożnie przesunąłem się na palcach za zasłonę. Zadrżałem, kiedy spojrzałem w dół

i zobaczyłem, jak nisko w dole lśniły te nieliczne latarnie, które jeszcze płonęły. Ale ugiąłem się – albo raczej przykucnąłem – przed koniecznością, wmawiając sobie, że jestem zupełnie gdzie indziej.

Przekonywanie moich zwieraczy, że powinny się odprężyć, a nie zaciskać ze strachu, zajęło mi wiele czasu. Kiedy wreszcie skończyłem, wróciłem do wnętrza i niezgrabnie podeszedłem do beczki z wodą. Chwilę intensywnie się zastanawiałem, czy na pewno jestem przy właściwej.

– To jest ta właściwa – doszedł mnie głos Mwabao Mawy od strony poduszek na podłodze.

Wzdrygnąłem się, kiedy pomyślałem, że mnie obserwuje, chociaż

miałem nadzieję, że nie pokazałem tego po sobie. Umyłem się i położyłem na drugim stosie poduszek. Były zbyt miękkie. Odłożyłem je, postanawiając spać na drewnianej podłodze. Tak było wygodniej, chociaż wolałbym coś pośredniego między tymi dwoma posłaniami.

Jednak zanim zasnąłem, Mwabao Mawa spytała mnie sennym głosem: – Jeśli nie rozbierasz się do snu i nie rozbierasz się do spadania, to czy rozbierasz się do seksu?

– Mówię to tylko osobom, które mają uzasadnioną potrzebę takiej wiedzy –

odpowiedziałem sennie.

Tym razem jej śmiech poinformował mnie, że mam przyjaciela, i spałem spokojnie całą noc.

Zbudził mnie jakiś dźwięk. W budowli, gdzie był nie tylko wschód, zachód, północ i południe, ale również góra i dół, nie mogłem się zorientować, skąd on pochodzi. Ale uświadomiłem sobie, że to muzyka.

Śpiew. I do głosu, który słyszałem w oddali, przyłączył się inny, już bliżej. Słowa nie były wyraźne. Może to nie były naprawdę słowa. Przysłuchiwałem się i dźwięki sprawiały mi przyjemność. Nie było w nich harmonii, przynajmniej ja jej nie czułem.

Każdy głos wydawał się śpiewać po swojemu, ale jednak istniało jakieś współdziałanie, na jakimś subtelnym – może zaledwie rytmicznym – poziomie. W

miarę jak włączały się nowe głosy, muzyka stawała się bardzo bogata i piękna.

Zauważyłem ruch. Odwróciłem się i zobaczyłem Mwabao Mawę. Patrzyła na mnie.

– Pieśń poranna – powiedziała szeptem. – Podoba ci się?

Kiwnąłem głową. Również skinęła głową, przywołała mnie gestem i podeszła do zasłony. Odsunęła ją i stanęła na brzegu pomostu, naga. Pieśń trwała nadal.

Trzymałem się mocno narożnego słupa i patrzyłem w tym samym kierunku, co Mwabao.

Był wschód. Ten hymn poświęcano słońcu, które zaraz miało się pojawić. Kiedy tak patrzyłem, Mwabao Mawa otworzyła usta i zaczęła śpiewać. Nie cichutko, jak wczoraj, ale pełnym głosem, głosem, który rozlegał się między drzewami, który zdawał się nawiązywać do tej

samej pogodnej harmonii, napełniającej początkowo las. Po chwili zauważyłem, że wszyscy inni umilkli i rozbrzmiewa tylko muzyka Mwabao. Kiedy zaśpiewała skomplikowany szereg szybkich dźwięków – nie miały, jak się zdawało, żadnego określonego wzorca, a mimo to wpisały się na zawsze w moją pamięć i moje sny – słońce wynurzyło się gdzieś w oddali zza linii horyzontu i chociaż nie mogłem go dostrzec z powodu liści nade mną, wnioskowałem z nagłego pojaśnienia zielonego sklepienia, że już wzeszło.

Wtedy znów rozległy się wszystkie głosy i śpiewały razem przez kilka chwil. A w końcu, jakby na dany sygnał, razem umilkły.

Stałem oparty o słup. Przyszło mi na myśl, że kiedyś, jak wszyscy w Mueller, uważałem błędnie, iż czarnoskórzy nadają się tylko na niewolników. Przynajmniej jednego nauczyłem się tutaj i jedną rzecz miałem zabrać z mego poselstwa: wspomnienie o muzyce, niepodobnej do żadnej innej na tym świecie. Nie poruszyłem się oniemiały, dopóki Mwabao Mawa nie zasunęła zasłon.

– Pieśń poranna – rzekła z uśmiechem. – Wczorajszy wieczór był bardzo piękny i trzeba go było dziś uczcić.

Przygotowała śniadanie: mięso małego ptaka i jakiś cienko pokrojony owoc.

Zapytałem, co to jest. Wyjaśniła mi, że to owoc drzew, na których mieszkają Nkumai.

– Jemy go, tak jak glebiarze jedzą chleb i ziemniaki.

Owoc dał się zjeść, choć miał dziwny, ostry smak, który mi nie odpowiadał.

– Jak łapiecie ptaki? – zapytałem. – Czy używacie sokołów? Jeśli zestrzelicie ptaka, spadnie przecież na ziemię i nie będzie go można znaleźć.

Potrząsnęła głową, zwlekając z odpowiedzią, dopóki nie przełknęła.

– Powiem Nauczycielowi, żeby ci pokazał sieci na ptaki.

– Nauczycielowi? – zapytałem.

I jakby moje pytanie było sygnałem dla aktora, że ma wyjść na scenę, chwilę później Nauczyciel stał przed domem, wołając cicho:

– Z ziemi w powietrze.

– Aż do gniazda, Nauczycielu – odpowiedziała Mwabao Mawa.

Wyszła z pokoju do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie już wszedł Nauczyciel.

Niechętnie poszedłem za nią, wykonując krótki skok między pokojami, a potem, nie pożegnawszy się nawet z Mwabao, oddaliłem się z Nauczycielem od jej domu. Nie powiedziałem jej „do widzenia”, gdyż z początku nie miałem pojęcia, jak prawie nieznanym kobietom powinny się żegnać ze sobą, a ponadto nim wreszcie zdecydowałem się odwrócić i coś powiedzieć, Mwabao znikła już za zasłoną.

Droga do góry była straszna, ale zejście okazało się nieporównanie gorsze. Kiedy po drabinie sznurowej dochodzisz do pomostu, chwytasz go najpierw rękami, a następnie wciągasz resztę ciała i lokujesz się bezpiecznie. Ale gdy schodzisz, musisz położyć się na brzuchu i wyciągać nogę naprzód, polując palcami na szczebel, wiedząc, że jeśli wysuniesz stopę za daleko, nie zdołasz się już wywindować z powrotem.

Wiedziałem, że swoje cele w Nkumai osiągnę tylko wtedy, gdy nauczę się przenosić z miejsca na miejsce, więc nie lekko dopuszczałem do tego, by rządził mną strach. Spadnę, to spadnę, powiedziałem sobie. Świadomie przestałem zauważać to, co znajdowało się po bokach mego pola widzenia, i pokłusowałem za Nauczycielem.

On, ze swej strony, nie próbował się dzisiaj tak popisywać jak wczoraj, więc iść było rzeczywiście łatwiej. Zauważyłem, że manewry trudne i przerażające, gdy wykonywało się je powoli, stawały się znacznie łatwiejsze – i znacznie mniej przerażające – wykonywane szybko. Most sznurowy jest dość stabilny, gdy przebiegasz lekko po nim, ale kiedy stąpasz bojaźliwie, kołysze się przy każdym kroku.

Nauczyciel ujął podwieszoną z góry linę z węzłem na końcu i przeleciał z łatwością z jednego pomostu na drugi, nad otchłanią, której żaden zdrowo myślący człowiek nawet nie próbowałby przebyć. Ja po prostu zaśmiałem się, złapałem linę, którą mi rzucił, i przeleciałem nad przepaścią równie szybko. Tam wmówiłem sobie, że przekroczyłem tylko strumień. Puściłem linę, lądując na nogach na drugim pomoście. Nie było to mimo wszystko takie trudne. Podzieliłem się z Nauczycielem tą opinią.

– Oczywiście, że nie. Cieszę się, że tak szybko się pani uczy.

Gdy kłusowaliśmy po stromej gałęzi, postanowiłem zapytać:

– Co by się stało, gdybym nie dotarł do drugiego pomostu? Gdybym źle wycelował lub gdybym nie dość mocno rozbijał linę? Przez chwilę nie odpowiadał.

Potem rzekł:

– Wysłałibyśmy z góry chłopca, który kołysałby się na linie cały czas, aż udałoby się znów ją złapać na jednym z pomostów.

– Czy lina wytrzymałaby dwie wiszące na niej osoby? – zapytałem.

– Nie – przyznał – ale też chłopca nie wysłałibyśmy natychmiast.

Próbowałem nie wyobrazić sobie, jak zwisam bezradnie nad przepaścią, a tuziny Nkumai czekają niecierpliwie, aż się puszcę i spadnę (słowo to nie miało już dla mnie dawnego znaczenia), zaś oni będą mogli znów uruchomić swój trakt.

– Niech się pani nie martwi – podjął w końcu Nauczyciel. – Do wielu z tych zwisów przymocowana jest lina naprowadzająca tak, że można je przyciągnąć z powrotem.

Uwierzyłem mu wtedy, ale nigdy nie widziałem zwisu z liną naprowadzającą. Na pewno znajdowały się gdzieś w innej części Nkumai.

Naszym pierwszym przystankiem było Biuro Spraw Socjalnych.

– Chcę widzieć się z królem – oznajmiłem, wyjaśniewszy, kim jestem.

– To doskonale – powiedział stary Nkumai, siedzący na poduszce obok narożnego słupa budowli. – Ogromnie się cieszę z pani powodu.

To było wszystko i najwidoczniej nie zamierzał nic więcej dodać.

– Dlaczego pan się tak cieszy? – spytałem.

– Ponieważ każdy człowiek powinien mieć jakieś nie spełnione życzenie. Dodaje to życiu tyle smaku i sensu.

Byłem zakłopotany. Gdyby to działo się w Mueller, a ja byłbym na miejscu Nauczyciela i przyprowadził posła do urzędu państwowego, kazałbym natychmiast udusić krnąbrnego urzędnika. Ale Nauczyciel po prostu stał obok uśmiechając się.

Dzięki za pomoc, przyjacielu, powiedziałem w duchu, a głośno spytałem, czy to jest właściwe miejsce.

– Do czego?

– Do uzyskania pozwolenia na widzenie się z królem.

– Pani jest uparta, prawda? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałem, zdecydowany prowadzić, jeśli będzie to niezbędne, grę według jego reguł, ale wygrać bez względu na nie.

Tak minął cały ranek, aż w końcu mężczyzna skrzywił się i rzekł:

– Jestem głodny, a człowiek tak biedny i źle opłacany jak ja musi korzystać z każdej okazji, żeby nasycić brzuch jakimś marnym

posiłkiem.

Aluzja była jasna, wyjąłem więc z kieszeni złoty pierścień. Powiedziałem:

– Nawiasem mówiąc, panie, dano mi to w podarunku. Ale nie do pomyślenia jest, że go zatrzymam, skoro człowiek taki jak pan, zrobiłby z tego o tyleż lepszy użytek.

– Nie mógłbym tego przyjąć – odrzekł – chociaż jestem biedny i źle opłacany.

Jednak do moich obowiązków należy karmienie w imieniu króla tych, którym powodzi się jeszcze gorzej ode mnie. Tak więc przyjmę pani dar, aby przekazać go biednym.

Potem przeprosił i poszedł do innego pokoju zjeść obiad.

– Co robimy? – zwróciłem się do Nauczyciela. – Idziemy? Czekaemy? Czy może właśnie zmarnowałem świetną łapówkę?

– Łapówkę? – spytał podejrzliwie. – Jaką łapówkę? Przekupstwo karane jest śmiercią.

Westchnąłem. Kto by zrozumiał tych ludzi?

Urzędnik z uśmiechem powrócił do pokoju.

– Ach, moja droga przyjaciółko – oznajmił z uśmiechem. – Droga pani, właśnie o czymś pomyślałem. Nawet jeśli nie mogę w niczym pani pomóc, znam kogoś, kto może. Mieszka tam nad nami i sprzedaje rzeźbione drewniane łyżki. Po prostu niech pani zapyta o Rzeźbiarza Łyżek, Który Zrobił Łyżkę Przepuszczającą Światło.

Wyszliśmy, a Nauczyciel poklepał mnie po ramieniu.

– Doskonale się udało. Zabrało to pani tylko jeden dzień.

Byłem trochę zły.

– Jeżeli wiedział pan, że muszę pójść do tego Rzeźbiarza Łyżek, dlaczego przyprowadził mnie pan właśnie tutaj?

Uśmiechnął się cierpliwie i odpowiedział:

– Ponieważ Rzeźbiarz Łyżek nie rozmawia z nikim, kto nie jest przysłany przez Urzędnika, Który Zapewnia Wymianę Z Zagranicą.

Rzeźbiarz Łyżek, Który Zrobił Łyżkę Przepuszczającą Światło nie miał czasu przyjąć mnie tego dnia, ale prosił, bym wrócił nazajutrz. Kiedy szedłem za Nauczycielem przez labirynt drzew, pokazał mi zawieszoną między gałęziami sieć na ptaki.

– Za jakiś tydzień będzie całkowicie gotowa do rozwinięcia. Kiedy jest tak zwinięta, wydaje się dosyć gruba, ale kiedy rozwinie się ją wśród

drzew, jest tak delikatna, że ledwie można ją dostrzec.

Pokazał mi otwory w sieci. Miały taką szerokość, że mogła w nich się zmieścić jedynie głowa ptaka i były na tyle małe, że jeśli ptak nie wycofał głowy prosto do tyłu, czego większość z nich nie potrafiła, dusił się lub skręcał sobie szyję.

– Pod koniec dnia wciągamy sieć na górę i rozdzielamy jedzenie.

– Rozdzielacie? – zdziwiłem się.

W zamian wysłuchałem wykładu o tym, jak w Nkumai wszystko należało do każdego i nigdy nie używano pieniędzy, ponieważ nikt nikomu za nic nie płacił.

Jednak wkrótce zorientowałem się, że w gruncie rzeczy płaciło się za wszystko.

Mogłem pójść na przykład do Rzeźbiarza Łyżek i poprosić o łyżkę, a on ochocho by się zgodził i obiecał, że da mi ją w ciągu tygodnia. Ale w końcu tygodnia okazałoby się, że zapomniał albo że miał tyle pracy, iż po prostu jeszcze nie mógł zająć się moją. Ciągłe by mi obiecywał i odkładał wykonanie, dopóki nie wyświadczyłbym mu przysługi o tej samej wartości... po prostu z dobroci serca.

Przysługa świadczona przez Mwabao Mawę, dzięki której zarabiała ona na życie, polegała na tym, że od czasu do czasu Mwabao stawiała na brzegu swego domu i śpiewała pieśń poranną lub pieśń wieczorną, lub pieśń ptasią, lub jeszcze jakąś tam.

To wystarczyło – nigdy nie była głodna i często miała tyle jedzenia i przedmiotów, że je rozdawała.

Biedotę stanowili ci, co nie mieli nic cennego do ofiarowania. Głupcy. Ludzie pozbawieni talentów. Lenie. Karmiono ich – ledwo, ledwo. Uważano jednak, że dla społeczeństwa nie mają żadnego znaczenia. I wszyscy mieli imiona.

Przebywałem już w Nkumai dwa tygodnie, wystarczająco długo, by tutejsze życie odbierać jako coś normalnego, kiedy wreszcie zobaczyłem się z kimś, kto sprawował

prawdziwą władzę. Nauczyciel rzeczywiście lekko się skłonił, kiedy weszliśmy do jego domu. Był to Urzędnik, Który Karmi Wszystkich Ubogich.

Spotkanie nie przyniosło jednak żadnych wyników. Rozmowa o niczym, dyskusja o sumieniu społecznym Nkumai, pytania o moją ojczyznę. Już dawno wymyśliłem własną wersję, jak wygląda Bird.

Jedynie dzięki temu mogłem odpowiadać na wszystkie pytania, stawiane mi przez Nkumai, dotyczące mego kraju. Po tej całej pustej pogawędce Urzędnik zaprosił mnie na kolację za parę dni.

– Kiedy zapalę dwie latarnie – powiedział.

Wyszedłem niezadowolony.

Byłem jeszcze bardziej niezadowolony, kiedy Nauczyciel zaśmiał się do mnie i powiedział, że wygląda na to, iż moja wspinaczka po administracyjnej drabinie zakończyła się.

– Jaką przysługę masz zamiar mu wyświadczyć? – zapytał.

W tym momencie przyznał milcząco, że przekupuję urzędników, ale nie wytknąłem mu tego. Po prostu uśmiechnąłem się i pokazałem jeden z drogocennych żelaznych pierścieni.

Nauczyciel też się uśmiechnął i rozchylił swą szatę, ukazując ciężki żelazny amulet, wiszący na szyi. Poczulem mrowienie na widok takiej ilości żelaza bezużytecznie marnowanego na ozdoby.

– Żelazo? – zapytał. – Mamy tego tak dużo. Żelazo nadawałoby się dla Rzeźbiarza Łyżek i Mistrza Ptaków, ale dla Urzędnika, Który Karmi Wszystkich Ubogich?

– Jaki podarunek by mu się spodobał?

– Kto to wie? – odpowiedział Nauczyciel. – Nigdy nie podarowano mu niczego, co by mu się przydało. Ale powinnaś być z siebie dumna, Pani. Rozmawiałaś z nim; to więcej niż udało się osiągnąć większości posłów.

– To wspaniale – rzekłem.

Uparłem się wracać do domu Mwabao Mawy bez pomocy Nauczyciela. Przekonywałem go, że znam drogę. W końcu wzruszył ramionami i zostawił mnie.

Poruszałem się szybko. Byłem zadowolony ze swoich postępów w podróżowaniu wśród wierzchołków drzew. Kilkakrotnie wspiąłem się nawet na nie oznaczone gałęzie, tylko dla przyjemności, i chociaż wciąż jeszcze unikałem patrzenia w dół, przekonałem się, że samo pokonywanie trudnej drogi może sprawić wiele satysfakcji.

Było już prawie ciemno, kiedy dotarłem do domu Mwabao i zawołałem na nią.

– Chodź do gniazda – powiedziała z uśmiechem. Zaraz też podała mi kolację. –

Słyszałam, że dotarłaś do Urzędnika, Który Karmi Wszystkich

Ubogich.

– Kiedyś musisz mi pozwolić ugotować taki obiad, jaki miewamy w Bird –

poprosiłem, ale ona zaśmiała się. Więc zapytałem: – Dlaczego przyjechałaś mnie do siebie, Mwabao Mawa, jeśli nigdy nie miano zamiaru dopuścić mnie do króla?

– Król? – zapytała z uśmiechem. – Zamiary? Nikt nie ma żadnych zamiarów.

Zapytano, czy ktoś zgodziłby się z tobą mieszkać, a ponieważ mam więcej żywności niż mi potrzeba, złożyłam ofertę. Pozwolili mi wziąć cię do siebie.

Byłem na nią zły, chociaż jadłem jej żywność.

– Jak wyobrażacie sobie kontakty Nkumai ze światem, jeśli odmawiacie posłom widzenia się z królem?

Wyciągnęła rękę i delikatnie pogładziła mój policzek, który nie był pokryty zarostem.

– Nie odmawiamy ci niczego, mój mały Skowronku – rzekła z uśmiechem. – Nie bądź niecierpliwa. My, Nkumai, załatwimy sprawy po swojemu.

Cofnąłem się, uznawszy, że nadszedł czas, aby okazać wściekłość.

– Mówicie, że łapówki są zabronione, a jednak kilkanaście razy przekupiłam urzędników, żeby zechcieli mnie przyjąć. Opowiadacie, że wszystko u was jest wspólne i nikt nie musi nic kupować ani sprzedawać, a jednak widziałam handel wymienny dokładnie taki, jaki gdzie indziej prowadzą uliczni przekupnie. Wreszcie mówicie, że niczego mi nie odmawiacie, ale napotykam jedynie przeszkody.

Wstałem i odszedłem od niej z gniewem.

Przez chwilę milczała, a ja nie mogłem się odwrócić, nie mogłem niczego dodać, bo osłabiłbym wrażenie wywołane moją wypowiedzią. Nie wiedziałem, co robić, dopóki Mwabao nie zaczęła śpiewać głosem małej dziewczynki, głosem zupełnie niepodobnym do tego, którym śpiewała swe prawdziwe pieśni:

Ptak – rozbójnik chce słodczy;

Zdołał złapać kilka pszczół.

„Cóż mam zrobić z tym?”, zakrzyczy.

„Żeby smak słodczy czuł?”

– Trzeba iść za nimi, dopóki nie znajdzie się miodu – powiedziałem,

wciąż odwrócony plecami. Potem spojrzałem na nią i zapytałem: – Ale czym są pszczoły, Mwabao Mawo? Za kim mam iść i gdzie jest miód? Nie odpowiedziała, wstała po prostu i wyszła z pokoju, ale nie do pokoju frontowego, gdzie często bywałem. Poszła do jednego z zakazanych dla mnie pomieszczeń z tyłu. Ponieważ nie powiedziała nic więcej, poszedłem za nią.

Pobiegłem po gałęzi, nie mającej nawet metra grubości, i znalazłem się w pokoju osłoniętym jasnymi kotarami i obstawionym drewnianymi skrzyniami. Mwabao otworzyła jedną z nich i przeglądała jej zawartość.

– Jest – powiedziała, kiedy znalazła to, czego szukała. – Przeczytaj to. Wręczyła mi książkę.

Przeczytałem ją tej samej nocy. Była to historia Nkumai – najdziwniejsza historia, jaką kiedykolwiek czytałem. Nie była długa i nie było w niej mowy o wojnach, nie było zapisów inwazji i zaborów. Zamiast tego zawierała spis Śpiewaków i ich biografie, spis Rzeźbiarzy W Drzewie i Tancerzy Drzewnych, Nauczycieli i Budowniczych Domów. Była to w gruncie rzeczy lista imion z wyjaśnieniami. Jak Rzeźbiarz W Drzewie, Który Nauczył Drzewo Barwić Swe Drewno otrzymał swoje imię. Jak Poszukiwacz, Który Zobaczył Zimne Morze I Przyniósł Je Do Domu W Konwi zasłużył na swoje. Kiedy przeczytałem te krótkie opowieści, zacząłem rozumieć Nkumai. Był to pokojowy lud, szczerze wierzący w równość, chociaż skłonny gardzić tymi, którzy mieli mało do zaoferowania. Lud, który żył w całkowitej harmonii z otoczeniem, w tym świecie wysokich drzew i przemykających ptaków.

Na księgę padało światło grubej świecy, a ja czytałem i zaczynałem wyławiać sprzeczności. Cóż takiego mógł wynaleźć taki lud jak ten, by móc to sprzedawać Ambasadorowi? I co spowodowało, że zeszli z drzew, rozpoczęli wojnę i przy użyciu swojego żelaza zdobyli Drew i Allison, a obecnie być może nawet inne kraje?

Przyszły mi też do głowy inne sprzeczności. Tu, w stolicy Nkumai, miało się wrażenie, że nikt nie jest świadomy czy choćby tylko zainteresowany faktem, iż właśnie wygrano wojnę. Nie widziało się niewolników z Allison czy z Drew, poruszających się ostrożnie po drzewnych szlakach. Nie rosły fortuny na kontrybucji albo podatkach. Nikt nie był dumny z dokonań, chociaż nikt również nie zaprzeczał, kiedy wspominałem o zwycięstwach.

– Wciąż czytasz? – szepnęła w ciemności Mwabao Mawa.

– Nie – odpowiedziałem. – Myślę.

– Ach tak. O czym?

– O twoim dziwnym, dziwnym narodzie, Mwabao.

– Uważam, że żyje się tu wygodnie.

Była rozbawiona, w jej głosie wyczuwało się uśmiech.

– Żaden lud nie podbił takiego obszaru jak wy, a jednak nie ma w was wojskowego ducha, nie lubicie nawet stosowania siły.

– Nie stosujemy siły. To w znacznym stopniu prawda. Ale ty ją jednak stosujesz.

Nauczyciel powiedział, że zabiłaś dwóch niedoszłych gwałcicieli na drodze do Allison.

Byłem zaskoczony. Prześledzili więc moją marszrutę! Poczuję się niepewnie.

Jak daleko się posuną? Powinienem był powiedzieć, że przybyłem ze Stanley, znajdującego się na drugim, w stosunku do Nkumai, krańcu świata... ale tylko w Bird rządziły kobiety. Potem uzmysłowiłem sobie, że wysocy, czarni Nkumai nie mogliby przedostać się przez Robles czy Jones, aby zasięgnąć informacji w Bird. Byłoby to dla nich równie niemożliwe, jak dla mnie wyskoczenie z domu Mwabao Mawy i natychmiastowa ucieczka przez las.

– Tak – przyznałem. – W Bird kobiety przechodzą trening w zabijaniu sekretnymi metodami, inaczej mężczyźni zdobyliby władzę nad nami. Ale powiedz mi, Mwabao, dlaczego Nkumai wszczęli wojnę?

Teraz z kolei ona zamilkła na chwilę, a potem rzekła po prostu:

– Nie wiem. Nikt mnie nie pytał. Ja bym jej nie wszczynała.

– Skąd wobec tego wzięto żołnierzy?

– Oczywiście z biedoty. Oni nie mają do zaoferowania niczego, co inni by chcieli. Sądzę, że na wojnie mogą dać jedyne, co posiadają: swoje życie i swoją siłę.

Wojna, mimo wszystko, jest łatwa. Nawet głupiec może zostać żołnierzem.

Wspomniałem, jak w Allison ci nadzwyczaj dzielni żołnierze z Nkumai, uzbrojeni w żelazo, kroczyli majestatycznie i ochoczo lżyli kulących się ze strachu ludzi. Oczywiście. Najgorsi z Nkumai, ci, którymi wszyscy zwykle pogardzali, mieli wreszcie władzę nad innymi. Nic dziwnego, że jej nadużywali.

– Ale ty nie to chcesz wiedzieć – stwierdziła Mwabao Mawa.

– A co?

– Przybyłaś po coś innego.

– Po co? – spytałem, czując tę straszną trwozę, jak dziecko bawiące się w chowanego, które w swej kryjówce za chwilę zostanie zdemaskowane.

– Przybyłaś tu, aby się dowiedzieć, skąd bierzemy żelazo.

Zdanie to zawisło ciężko w powietrzu. Jeśli powiedziałbym „tak”, mogłem spodziewać się, że Mwabao krzyknie coś w ciemnościach i tysiące Nkumai ją usłyszą. Widziałem siebie, zrzuconego z pomostu w ciemność, ku ziemi. Ale jeśli zaprzeczę, czy nie zaprzepaszczę okazji, być może jedynej okazji, żeby się dowiedzieć tego, czego chcę? Jeżeli Mwabao rzeczywiście była buntowniczką, jak podejrzewałem, może zechce powiedzieć mi prawdę. Ale jeśli pracowała dla króla (swego kochanka?) i usiłowała mnie po prostu sprowokować?

„Bądź dwuznaczny”, uczył mnie zawsze Ojciec.

– Wszyscy wiedzą, skąd bierzecie swoje żelazo – rzuciłem niedbale. – Ze swojego Ambasadora, od Zewnętrznych, tak jak wszyscy inni.

Zaśmiała się.

– Bystra dziewczyna. Posiadasz jednak żelazny pierścień i uważasz, że ma on wielką wartość (czyżby wiedziała o wszystkim, co mówiłem i robiłem przez te dwa tygodnie?), i jeśli twoi ludzie dostają żelazo, nawet jeśli są to małe ilości, z pewnością pragniesz dowiedzieć się, co my sami sprzedajemy Ambadorowi.

– Nie zadałam nikomu żadnego pytania na ten temat.

Zachichotała.

– Oczywiście, że nie. Właśnie dlatego wciąż tu jesteś.

– Oczywiście, ciekawi mnie wiele spraw. Ale jestem tutaj, żeby widzieć się z królem.

– Król, król, król, powtarzasz, jak wszyscy pozostali, wciąż goniąc kłamstwa i jałowe marzenia. Żelazo. Chcesz wiedzieć, co robimy, żeby dostać żelazo. Dlaczego?

Chcecie nas zatrzymać? Czy po to, by robić to samo i dostawać tyle żelaza, co my?

– Ani to, ani to, Mwabao Mawo, i może nie powinniśmy mówić o takich rzeczach – powiedziałem, chociaż byłem pewien, że będzie o tym mówić dalej, że pragnęła o tym mówić.

– To wszystko jest takie głupie – ciągnęła, a ja usłyszałem w jej głosie ton figlarnej dziewczynki. – Stosują te wszystkie środki ostrożności, trzymają cię uwięzioną ze mną lub z Nauczycielem, przez całe dni, a przecież nie możecie ani nas powstrzymać, ani robić tego samego, co my.

– Skoro jest to niemożliwe, dlaczego się przejmujecie?

Zaśmiała się, zachichotała i rzekła:

– Na wszelki wypadek. Na wszelki wypadek, Pani Lark.

Wstała nagle, chociaż była już rozebrana do spania, i przeszła z powrotem do tego pokoju, w którym stały skrzynie z książkami i innymi rzeczami. Poszła po te inne rzeczy. Poszedłem za nią i przybyłem akurat we właściwej chwili, aby złapać czarną szatę, którą mi rzuciła.

– Wychodzę z pokoju, byś mogła się ubrać – rzekła.

Kiedy wróciłem do sypialni, czekała już, niecierpliwie chodząc tam i z powrotem i nucąc do siebie cicho. Podeszła do mnie i położyła dłonie na moich policzkach.

Miała w ręku coś ciepłego i kleistego. Spojrzała na mnie i zachichotała.

– Teraz będziesz czarna – szepnęła i zaczęła pacykować mi dłonie i nadgarstki, a potem kostki. Kiedy malowała mi stopy, posunęła jedną rękę ku górze, po wewnętrznej stronie nogi, aż za kolano, a ja cofnąłem się gwałtownie, w obawie, że w czasie tych figli mogłaby odkryć niezbyt nastrojające do figlów fakty.

– Ostrożnie! – krzyknęła.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że stoję dokładnie na skraju platformy. Dałem krok w przód.

– Przepraszam – mówiła. – Nie będę już urażać twej skromności. To tylko zabawa, zabawa.

– O co chodzi? – zapytałem. – Dlaczego to robisz?

– Ja mogę chodzić po nocach po prostu tak – powiedziała, wirując przede mną nago. – Nikt tego z daleka nie zauważy. Ale ty, Pani Lark – biała jak lilia, z takimi jasnymi włosami – ciebie będą widzieli z odległości sześciu drzew.

Naciągnęła mi na głowę obszerny czarny kaptur, ujęła mnie za rękę i podprowadziła do brzegu domu.

– Zabieram cię ze sobą – oznajmiła – i jeśli spodoba ci się to, co zobaczysz, musisz mi w rewanżu oddać przysługę.

- Dobrze – zgodziłem się – a jaką?
- Nic wielkiego – rzekła. – Nic wielkiego.

Potem wyszła w noc. Poszedłem za nią.

Po raz pierwszy próbowałem poruszać się po drzewach w nocy i moje stare lęki wróciły. Byłem teraz zbyt przestraszony, by biec po szerokich gałęziach. Co się stanie, jeśli tylko nieznacznie zбочę ze ścieżki? Czy uda mi się zobaczyć, dokąd mam skakać na zwisających linach? Jak mam wyszukiwać stopnie?

Ale Mwabao Mawa dobrze jednak prowadziła, a w trudniejszych miejscach brała mnie za rękę.

- Staraj się nie patrzeć – szeptała mi. – Po prostu idź za mną.

Miała rację. Światło, dochodzące z gwiazd i zamglonej Niezgody, rozproszone w dodatku przez liście, bardziej przeszkadzało niż pomagało. I im niżej schodziliśmy, tym było ciemniej.

Na szczęście nie było zwisów.

W końcu Mwabao powiedziała, że bym się zatrzymał. Zrobiłem to, a ona spytała:

- No i co?
- Jak to, co? – spytałem w odpowiedzi.
- Czy nie czujesz zapachu?

Nie zwracałem uwagi na zapach. Odetchnąłem więc głęboko, otworzyłem usta i smakowałem powietrze w nosie i na języku. Było wyśmienite.

Było nadzwyczajne.

Było to marzenie o kochaniu się z kobietą, której zawsze pragnąłem, ale której nigdy nie spodziewałem się mieć.

Było to wspomnienie walki, pełne żądzы krwi i radości przeżycia wśród powodzi tańczących włócznie i obsydianowych toporów.

Była to esencja odpoczynku, gdy po długiej podróży morskiej ląd pachnie nam powitaniem, a falujące na równinie zboże zdaje się być następnym morzem, ale takim, które można przemierzać bez łodzi, w którym można utonąć i wciąż żyć.

Obróciłem się wtedy do Mwabao Mawy i oczy moje musiały być rozszerzone ze zdumienia, ponieważ ona zaśmiała się.

- Powietrze z Nkumai – powiedziała.
- Co to jest? – zapytałem.
- Jest w tym wiele składników – rzekła. – Niezdrowe powietrze

wznoszące się z leżących poniżej bagien. Aromat zwiędłych liści. Zapach starego drewna. Resztki ostatniego deszczu. Dawne promienie słoneczne. Czy to ważne?

– I to właśnie sprzedajecie?

– Oczywiście. Po cóż bym cię tu przyprowadzała? Zapach jest znacznie mocniejszy za dnia, kiedy łapiemy go w butelki.

– Zapachy – rzekłem i wydało mi się to zabawne. – Wyziewy z bagien. Czy Zewnętrzni nie mogą tego syntetyzować?

– Jeszcze tego nie zrobili – odrzekła. – Przynajmniej ciągle to kupują. Czy to nie śmieszne, Lark, że ludzkość może pędzić wśród gwiazd szybciej od światła, a jednak ciągle nie wiemy, co powoduje zapachy?

– Oczywiście, że wiemy.

– Wiemy, jak pachną różne rzeczy. Ale nikt nie wie dokładnie, co przenosi się między substancją i nerwami węchowymi. Jest to odwieczna zagadka olfaktologii.

Nie sprzeczałem się dłużej, ponieważ nie rozróżniłbym olfaktologii od oftalmologii.

Zaintrygowała mnie inna rzecz, którą powiedziała. Zwróciłem uwagę, że mówiła o ludziach podróżujących szybciej od światła.

– Każde dziecko wie, że to niemożliwe – powiedziałem. – Naszych przodków przywieziono na Spisek w statkach, w których musieli spać sto lat.

– Wtedy ludzkość raczkowała – wyjaśniła mi. – Czy sądzisz, że przestała się rozwijać dlatego tylko, że nasi przodkowie ją opuścili? W ciągu trzech tysięcy lat naszej izolacji ludzkości przydarzyło się wiele rzeczy, o których nie wiemy.

– Ale szybciej niż światło? – rzekłem. – Jak mogli to zrobić?

Potrząsnęła głową – lekka szarość, poruszająca się nieznacznie w szarości nocy.

– Tak sobie tylko mówiłam – rzekła. – Po prostu paplałam. Wracajmy. Wracaliśmy tą samą drogą. Byliśmy w połowie drabiny sznurowej, kiedy usłyszeliśmy w ciemnościach nad nami słaby szept.

– Ktoś jest na drabinie.

Idąca przede mną Mwabao Mawa znieruchomiała. Ja również. Potem poczułem, jak lina lekko się kołysze, a stopa Mwabao stanęła obok mej twarzy.

Wywnioskowałem stąd, że mamy schodzić, i zszedłbym od razu, gdyby

nie to, że jej stopa wykręciła się i zahaczając mnie pod pachą, przytrzymała. Tak więc czekałem, aż Mwabao zeszła po przeciwnej stronie drabiny i znalazła się na tej samej wysokości co ja. Stała o szczebel niżej, więc jej usta były tuż poniżej mego ucha.

Mówiła tak cicho, że nikt, oddalony o więcej niż metr, nie mógł słyszeć jej głosu.

– Pierwszy pomost. Umyj twarz. Idziemy z wizytą do Urzędnika, Który Karmi Wszystkich Ubogich. Dwie latarnie.

Kontynuowaliśmy więc wspinaczkę i dotarliśmy do pierwszego pomostu, na którym przypadkiem – szczęśliwym przypadkiem, ponieważ nie było to powszechne

– stała beczulka z wodą. Myłem twarz najciszej jak mogłem, a przez ten czas Mwabao Mawa wspinała się po tych samych trzech metrach drabiny w dół i w górę, tak że jeśli ktoś obserwowałby w nocy liny, nie zorientowałby się, że stanęliśmy.

Wymyłem twarz najlepiej, jak mogłem. To samo zrobiłem ze stopami i dłońmi.

Potem wspiałem się za Mwabao Mawą na drabinę.

– Nie – szepnęła, a potem stanęliśmy na pomoście, gdzie zażądała, bardzo cicho, żebym dał jej swą szatę.

– Nie mogę – odszepnąłem.

– Przecież nosisz pod spodem bieliznę? – zapytała, a ja potwierdziłem.

– Widzisz, nie mogą mnie złapać nagiej na drzewnych ścieżkach. Absolutnie nie mogą.

Ale ja wciąż odmawiałem, aż w końcu rzekła:

– W takim razie daj mi swoją bieliznę.

Na to się zgodziłem. Sięgnąłem pod suknię i zdjąłem majtki i biustonosz. Majtki były dla niej za ciasne, lecz jakoś się w nie wcisnęła. Ale biustonosz pasował świetnie

– jeszcze jeden smutny dowód, jaki zrobiłem się piersiasty.

Jednak podczas tych wszystkich czynności uświadomiłem sobie coś gorszego.

Kiedy zsuwałem biustonosz z barków, zawadził on o coś na mym ramieniu. Nie powinno być tam nic, o co by mógł się zaczepić. Zatem rosło mi w tym miejscu coś nowego.

Ręka? Jeśli tak, to miałem mniej niż tydzień na jej odcięcie, a wyrastała ona w takim miejscu, że sam nie będę mógł łatwo się do niej

dobrac. Miałem iść do chirurga Nkumai (Czy w ogóle byli jacyś chirurdzy w Nkumai?) i poprosić go o usunięcie dodatkowego ramienia?

Opanował mnie chwilowy strach, ale zaraz odczułem ulgę, gdy zdałem sobie sprawę, że nie muszę zostawać tu przez tydzień, ani nawet przez następny dzień.

Miałem wszystko, czego potrzebowałem, wszystko, co miałem nadzieję uzyskać.

Mogłem obecnie odegrać wspaniałe przedstawienie, jak opuszczam Nkumai z niesmakiem, bo nie byli w stanie załatwić mi audiencji u króla. Mogłem wrócić do Ojca i powiedzieć mu, co Nkumai sprzedają Ambasadorowi.

Cuchnące powietrze.

Zaśmiałybym się, gdyby nie fakt, że znów wspinaliśmy się po drabinie. I kiedy zdałem sobie sprawę, jak mi było wesoło, przyszło mi na myśl, że wyziewy lasu Nkumai, dochodzące znad niezdrowych bagien, mogą być niebezpieczne.

Samokontrola, na którą zwykle mogłem liczyć, zdyscyplinowane odruchy, których zawsze byłem pewien, tutaj, tej nocy nie funkcjonowały zbyt dobrze.

W końcu dotarliśmy do pomostu, gdzie stali strażnicy.

– Zatrzymać się! – rozkazał ktoś ostrym szeptem, a potem jakieś dłonie ujęły mnie za przeguby i ściągnęły ku pomostowi. Niestety, nie byłem przygotowany na ten ruch i jedynie szczęśliwym przypadkiem utrzymałem stopy na drabince sznurowej.

Zawisłem nad otchłanią, stopy miałem na drabince, a jedną rękę w mocnym uchwycie strażnika.

– Ostrożnie – rzekła Mwabao. – Ostrożnie, to glebiarka, może spaść.

– Kim jesteście?

– Mwabao Mawa i Pani Lark, glebiarka, poseł z Bird.

Strażnik mruknął, poznając nas. Przyciągnięto mnie do platformy, aż uderzyłem się podbródkiem o jej krawędź. Wszedłem niezgrabnie na pomost, padając na kolano.

– Po co tak wędrujecie w ciemności? – nalegał głos.

Zdecydowałem, że odpowiedź zostawię Mwabao. Wyjaśniła, że prowadzi mnie na spotkanie z Urzędnikiem, Który Karmi Wszystkich Ubogich.

– Nikt nie wystawił latarni – powiedział głos.

– On wystawi.

– Wystawi teraz?

– Dwie latarnie – upierała się. – Spodziewa się gościa.

Szepty. Czekaliśmy, słysząc odgłos szybko odchodzących stóp. Strażnik
– czy może nawet dwaj, jak sobie uświadomiłem po rytmie oddechów
– zostali przy nas, kiedy inny pobiegł sprawdzać. Wkrótce powrócił i powiedział:

– Dwie latarnie.

– Więc w porządku – rzekł głos. – Idźcie dalej. Ale w przyszłości, Mwabao Mawo, noś latarnię. Mamy do ciebie zaufanie, ale nie jesteś nieomylna.

Mwabao wymamrotała podziękowania, ja również, i znowu ruszyliśmy w drogę.

Kiedy w oddali pojawiły się dwie latarnie, Mwabao Mawa pożegnała się.

– Co takiego? – spytałem dość głośno.

– Ciszej – upomniała mnie. – Urzędnik nie może się dowiedzieć, że to ja cię przyprowadziłam.

– Ale jak się tam dostać?

– Nie widzisz ścieżki?

Nie widziałem, więc podprowadziła mnie bliżej, do miejsca skąd mdłe światło latarni rozjaśniało resztę drogi. Byłem zadowolony, że Urzędnik nie ma takich samych upodobań do wąskich przejść, jak Mwabao Mawa. Mwabao zniknęła w ciemności drzew, a ja szedłem dróżką i czułem się dość bezpiecznie.

Podszedłem do drzwi i powiedziałem bardzo cicho:

– Z ziemi w powietrze.

– Aż do gniazda. Wejdz – rozległ się łagodny głos, a ja wszedłem za zasłony.

W środku, przy migoczącym świetle dwu świec siedział Urzędnik i wyglądał...

cóż, można rzec – urzędowo, w swojej czerwonej szacie.

– Przybyła pani wreszcie – powiedział Urzędnik.

– Tak – rzekłem i dodałem zgodnie z prawdą. – Niezbyt dobrze umiem poruszać się w ciemności.

– Niech pani mówi cicho – podjął. – Zasłony nie są w stanie wiele

ukryć, a nocne powietrze daleko niesie dźwięki.

Rozmawialiśmy więc cicho, a on zadawał mi pytania: dlaczego chcę zobaczyć króla i co chcę uzyskać. Co mogłem powiedzieć? „Nie muszę się już widzieć ze staruszką, Urzędniku, już dostałam to, czego chcę”. Więc odpowiadałem na wszystkie pytania, a on w końcu westchnął głęboko i rzekł:

– Cóż, Pani Lark, powiedziano mi, że jeśli przejdzie pani moje badanie, mam nie czynić pani przeszkód w dalszym dążeniu do uzyskania audiencji u króla.

Wczoraj byłbym tym zachwycony. Ale dzisiaj – dzisiaj chciałem tylko zabrać swoje zdeformowane ciało z wyrastającą dodatkową ręką i wyrwać się z Nkumai.

– Jestem wdzięczna, Urzędniku.

– Oczywiście nie pójdzie pani prosto ode mnie do niego. Przyjdzie przewodnik i zabierze panią do bardzo wysoko postawionej osoby, od której otrzymuję instrukcje, a ta wysoko postawiona osoba weźmie panią jeszcze wyżej.

– Do króla?

– Nie wiem dokładnie, jak wysoko jest postawiona tamta osoba – powiedział

Urzędnik bez uśmiechu.

Zastanawiałem się, jak mogą w ten sposób sprawować rządy.

Urzędnik pstryknął palcami. Pojawił się chłopiec, który mnie poprowadził.

Ostrożnie poszedłem za nim. Natrafiliśmy na zwis. Ale chłopiec zapalił latarnie na drugim pomoście i poradziłem sobie, chociaż wylądowałem niezgrabnie i nadwreżyłem sobie nogę w kostce. Zwichnięcie było niewielkie, zaleczyło się i przestało przeszkadzać po paru minutach.

Chłopiec zaprowadził mnie do budynku, w którym nie było światła, i nakazał mi milczenie. Czekałem przed wejściem do domu, aż dobiegł mnie cichy szept:

– Wejdz.

Wszedłem.

W domu było zupełnie ciemno, ale znów zadawano mi pytania i znowu na nie odpowiadałem, nie mając pojęcia, ani kto mnie pyta, ani gdzie się dokładnie znajduje.

Ale po jakiejś pół godzinie takiej rozmowy głos stwierdził:

- Teraz wyjdę.
- A co ze mną? – spytałem idiotycznie.
- Zostaniesz. Przyjdzie tu kto inny.
- Król?
- Osoba najbliższa królowi – szepnął jeszcze ciszej i wyszedł przez szczelinę w zasłonach, przez którą ja poprzednio wszedłem.
- Potem usłyszałem ciche kroki z innej strony, ktoś wszedł i usiadł bardzo blisko przy mnie. Potem cicho się zaśmiał.
- Mwabao Mawa – powiedziałem, nie wierząc własnym uszom.
- Pani Lark – odpowiedziała mi szeptem.
- Ale mi powiedziano...
- Że spotkasz się z osobą najbliższą królowi.
- I to właśnie ty?
- Znowu się zaśmiała.
- Więc jesteś kochanką króla.
- W pewnym sensie – rzekła. – Gdyby tylko istniał jakiś król.
- Dopiero po chwili dotarło to do mnie.
- Nie ma króla?
- Nie ma jednego króla – odpowiedziała – ale mogę mówić w imieniu tych, którzy rządzą wspólnie, równie dobrze jak każdy z nich. Lepiej niż większość. Być może w ogóle najlepiej.
- Ale dlaczego musiałam przechodzić przez to wszystko? Dlaczego musiałam...
okupować moją wspinaczkę ku tobie łapówkami? Byłam cały czas z tobą!
- Ciszej – powiedziała. – Ciszej. Noc słucha. Tak, Lark, byłaś przy mnie cały czas. Musiałam wiedzieć, czy można ci ufać. Czy nie jesteś szpiegiem.
- Ale sama pokazałaś mi tamto miejsce. Pozwoliłaś mi wdychać zapachy.
- Pokazałam ci również, że niemożliwe jest powstrzymanie nas albo skopiowanie naszej działalności. Przy ziemi powietrze cuchnie. A twój lud nigdy nie będzie mógł wspiąć się na nasze drzewa, wiesz o tym, Lark.
- Zgodziłem się.
- Dlaczego mimo wszystko mi to pokazałaś? To przecież bezużyteczne.
- Nie było bezużyteczne – rzekła. – Zapach ma również inne skutki.

Chciałam, abyś odetchnęła tamtym powietrzem.

A potem poczułem, jak jej ręka ściąga kaptur z moich włosów. Delikatnie pociągnęła mnie za jeden lok.

– Jesteś mi winna przysługę – zaczęła, a ja nagle zobaczyłem zbliżającą się śmierć.

Na policzku już miałem jej gorący oddech, a jej dłoń gładziła moje gardło, kiedy wreszcie udało mi się wymyślić sposób, jak się z tego wykręcić. A przynajmniej sposób, by to odłożyć. Być może aromatyczne powietrze wystarczało do osłabienia seksualnych tabu Nkumai. Może ta doza wystarczała, żeby pokonać naturalne opory kobiety przed kochaniem się z drugą kobietą. Ale ja nie miałem oporów przed kochaniem się z kobietą, a moje ciało, tak długo tego pozbawione, reagowało na ofertę Mwabao Mawa jak na coś nadzwyczaj stosownego. Na szczęście moje opory przed nagłą śmiercią były bardzo silne i tanto powietrze ani trochę ich nie osłabiło.

Wiedziałem, że jeśli pozwolę, by sytuacja normalnie się rozwijała, doprowadzi to do odkrycia mojej dziwnej budowy. Przypuszczałem, że Mwabao Mawa, odkrywając w swoim łóżku mężczyznę, nie wykazałaby tyle tolerancji, ile spodziewała się, że wykażę ja, znajdując w swoim kobietę.

– Nie mogę – powiedziałem.

– Możesz – odrzekła i jej zimna ręka wśliznęła się w głąb mej szaty. – Pomogę ci

– powiedziała. – Mogę udawać dla ciebie, że jestem mężczyzną, jeśli wolisz – i zaczęła śpiewać i nucić cichą, dziwną pieśń.

Prawie natychmiast jej ręka w mojej szacie stała się twardsza, silniejsza, a twarz, która całowała mnie w policzek – szorstka i nie ogolona. Wszystko to, jak się zdawało, wywoływał jej śpiew. Jak to zrobiła, zastanawiałem się, podczas gdy inna część mego umysłu z wdzięcznością zauważyła, że te pozory samczości Mwabao pomogą prawdopodobnie ugasić moją żądzę.

Jednak me piersi reagowały jak piersi kobiety i zaczynałem się bardzo bać, kiedy pieśń stała się zbyt rytmiczna i wciągała mnie głębiej w trans.

– Nie wolno mi – powtórzyłem i odsunąłem się. Przysunęła się znowu. Czy może przysunął? Złudzenie było niezwykle silne. Żałowałem tylko, że nie mogę zrobić tego samego: wywołać u niej wrażenie, że jestem

kobietą, bez względu na to, jakie dowody znalazłyby jej dłonie, wargi i oczy. Ale nie umiałem tego.

– Jeżeli to zrobisz, zabiję się potem – oznajmiłem.

– Nonsens – odrzekła.

– Nie zostałam oczyszczona – starałem się, żeby w moim głosie brzmiała rozpacz. Nie było to trudne.

– Nonsens – powtórzyła.

– Jeśli ja bym się nie zabiła, zrobiliby to moi rodacy – ciągnąłem. – Zabiją mnie, jeśli to nastąpi, a ja nie będę oczyszczona.

– Skąd się dowiedzą?

– Czy sądzisz, że kłamałabym mojemu ludowi? – Miałem nadzieję, że chrypka i drżenie głosu świadczą o obrażonym honorze, a nie o obrzydliwym strachu, jaki w tej chwili odczuwałem.

Chyba rzeczywiście świadczyły, bo zatrzymała się, a raczej przerwała na chwilę i zapytała:

– Co to takiego, to oczyszczenie?

Wymyśliłem mieszanię rytuałów religijnych: część podkradłem ludowi z Ryan, a część wynalazłem sam, tak by wspierały one moją potrzebę odosobnienia. Słuchała.

Uwierzyła mi. Potem odbyłem jeszcze jedną podróż w ciemności i znalazłem się sam w pokoju Mwabao Mawy, tym ze skrzyniami i pudłami. Powiedziałem jej, że chcę tu medytować.

Przebywałem tam cały dzień i następną noc.

Nie miałem pojęcia, co robić. Mwabao była w sąsiednim pokoju, tym, który dzieliliśmy przez dwa tygodnie. Nuciała ciągle pieśń erotyczną, która utrzymywała mnie prawie cały czas w podnieceniu.

Myślałem przez chwilę o odcięciu sobie genitaliów, ale nie wiedziałem, jak długo potrwa regeneracja, a zablizniona rana po kastracji nie mogłaby być wzięta za cechę anatomiczną kobiety.

Oczywiście myślałem również o ucieczce, ale doskonale wiedziałem, że jedyna droga prowadzi przez pokój, w którym radośnie oczekiwała Mwabao Mawa.

Przeklinałem w kółko – oczywiście bardzo cicho – zastanawiając się, co to za przeklęty pech trzyma mnie w więzieniu kobiecego ciała, z lesbijką jako strażnikiem i setkami metrów grawitacji zamiast krat.

W końcu zdałem sobie sprawę, że moja jedyna, choć nikła, nadzieja to ucieczka w postaci nie kobiety, lecz mężczyzny. Jutro w nocy, w

ciemności, jeśli pomaluję się na czarno, może uda mi się zmylić strażników. Jeśli się nie uda i zostaną ujęty, wystarczy tylko spaść w dół. Spadanie, pomyślałem ironicznie. I tajemnica mojej muellerskiej tożsamości zostanie zachowana.

Jak przejść obok Mwabao? To było proste. Trzeba ją zabić.

Czy mogłem to zrobić? To już nie było takie proste. Lubilem ją. Złamała wprawdzie protokół dyplomatyczny, ale w gruncie rzeczy nie uczyniła mi nic złego.

Miała również wiele powiązań, jej nieobecność zostanie natychmiast zauważona.

Nie zabiję jej. Uderzenie w głowę, złamanie kości powinno wystarczyć. To powinno ją uciszyć, a przynajmniej unieruchomić na wystarczająco długi czas.

Chociaż, prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, jak mocno trzeba uderzyć normalną osobę, żeby jej nie zabić, a tylko ogłuszyć. Ile kości można jej złamać, nie czyniąc jej kaleką na całe życie. U Muellerów taki problem nigdy nie występował. I nigdy nie słyszałem, żeby Mueller uderzył cudzoziemca, nie mając zamiaru zabicia go czy trwałego okaleczenia. Mimo wszystko postaram się jej nie uszkodzić.

Musiałem jeszcze pomyśleć, jak ukryć to, kim jestem. Skórę poczernię sobie później, kiedy skończę z Mwabao. Potrzebne jednak będą inne przygotowania, by wywołać u niej szok.

Przeszukiwałem cicho pudła w nadziei, że znajdę nóż. Mógłbym nim obciąć swoje piersi. Oczywiście odrosną, ale dzisiaj zabliznione rany będą wyglądać jak normalne ciało i piersi jeszcze się nie uwydatnią. Z goryczą uświadomiłem sobie, że niczego innego, co by przypominało zmianę płci, nie mogłem wykonać.

Nie znalazłem noża. Znalazłem natomiast kilka innych książek, które mnie zaciekały do tego stopnia, że przez pół godziny musiałem się nad nimi skupić.

Była to historia Spisku. Czytałem wcześniej naszą, muellerską historię planety, ale pod pewnymi względami ta książka była bardziej kompletna. Pod kilkoma bardzo ważnymi względami. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że niemal we wszystkim mnie oszukano. A jednak to, czego się teraz dowiedziałem, było takie oczywiste.

Sprawy, które muellerska historia opuszczała, a nkumajska drażyła, związane były z całą populacją. Nie było to sprawozdanie z dziejów

jednej tylko Rodziny.

Historia opowiadała o wszystkich członkach konspiracji, których wygnano na tę pozbawioną metalu planetę. Dla reszty Republiki miało to stanowić odstrasżający przykład, pouczający, co się stało z ludźmi, którzy usiłowali ustanowić rządy elity intelektualnej. Zamierzchłe spory, na skutek których Rodziny znalazły się tutaj, zawsze wydawały mi się i nadal wydają warte śmiechu. „Kto ma rządzić?”

Odpowiedź była odwieczna i niezmienna: „Ja”. Kimkolwiek byłby ten Ja”, „ja”

będzie żądny władzy.

Historia Nkumai omawiała po kolei wszystkich konspiratorów. Szukałem Muellera i znalazłem go. Han Mueller, genetyk, specjalizujący się w nadrozwoju ludzkiej regeneracji. Znalazłem też innych. Jednak w danej chwili najbardziej interesujący był dla mnie Nkumai. Ngago Nkumai, który przybrał pseudoafrykańskie nazwisko jako wyraz buntu, wślawił się badaniami teoretycznymi nad budową wszechświata. Rozwinął nowe sposoby oglądu wszechświata, które umożliwiały ludziom robienie nowych rzeczy.

Wszystkie przesłanki znalazły się na swoich miejscach, każda z nich tak wąta, że niczego nie dowodziła, ale wypadki z tych dwu tygodni, które spędziłem u Nkumai, pasowały do siebie tak dobrze, że nie mogłem mieć wątpliwości, jaki z nich wypływa wniosek.

Aromatyczne powietrze nad bagnami było niczym – przynętą, sposobem Mwabao Mawy na zapakowanie do łóżka szczupłej, ładnej blondynki z Bird. Ale inne rzeczy się zgadzały. Na przykład nie było króla. Mwabao mówiła prawdę – tutaj rządziła grupa. Ale nie była to grupa polityków. Jej członkowie mieli ten sam zawód, co założyciel, Ngago Nkumai. Byli to uczeni, którzy tworzyli nowe sposoby widzenia wszechświata – uczeni, którzy wynaleźli Prawdziwe Widzenie czy Nauczyci Gwiazdy Tańczyć. Używali Mwabao Mawy jako łącznika z funkcjonariuszami państwowymi w Nkumai. Kogo używali jako łącznika z armią? Ze strażnikami? Nie miało to znaczenia. I dlaczego wszyscy prości Nkumai wierzyli, że istniał król? Niewątpliwie kiedyś istniał – a może nadal panował jakiś figurant? Również nie miało to znaczenia.

Ważne było to, że Nkumai wcale nie sprzedawali Ambasadorowi zapachów.

Sprzedawali fizykę. Sprzedawali nowe sposoby patrzenia na wszechświat.

Sprzedawali, oczywiście, możliwości podróżowania z szybkościami nadświatowymi, jak niechcący wygadała się Mwabao Mawa i co później tak starannie zatuszowała. I inne rzeczy. Rzeczy, które dla Zewnętrznych były warte o wiele więcej niż ręce, serca i głowy wycięte radykalnym regeneratom.

Każda Rodzina mogłaby próbować rozwinąć to, na czym najlepiej znała się jej założyciel, jeśli istniałaby nadzieja, że uda się to sprzedać Ambasadorowi. Mueller rozwijałby manipulacje genami ludzi, Nkumai – fizykę. Poszukałem Bird i zaśmiałem się. Oryginalna Bird była bogatą kobietą z towarzystwa, osobą o niewielu sprzedawalnych umiejętnościach i zdolnościach, z wyjątkiem umiejętności nakłaniania innych do robienia tego, co ona chce. Jedyną spuścizną po niej okazał się matriarchat. We współzawodnictwie o metal nie dawało jej to żadnej przewagi.

Jednak, tak jak inni, przekazała swojej Rodzinie wiedzę o tym, na czym znała się najlepiej.

Zamknąłem książkę. Teraz moja ucieczka stała się sprawą jeszcze pilniejszą, ponieważ akurat to odkrycie mogło być kluczem do zwycięstwa Muellera nad Nkumai. I mogłem – byłem tego pewien – wyćwiczyć armię Muellera do walki na drzewach. Mogliśmy również – miałem taką nadzieję – zwyciężyć i zdobyć przynajmniej kilka z tych umysłów lub przynajmniej zawładnąć ich Ambasadorem i przeszkodzić im w jego używaniu. Mimo wszystko większość ludności Nkumai nie nadawała się do walki, a większość populacji Muellera od dziecka była zaprawiona w posługiwaniu się nożem, dzidą i łukiem. Mogliśmy tego dokonać.

Musieliśmy tego dokonać. Nkumai dostawali metal szybciej od nas, a kiedy będą mieli go dosyć, zbudują statek i wydostaną się z planety. Nie statek hibernacyjny, ale statek, który podróżuje szybciej niż samo światło. To oni wydostaną się ze Spisku –

Mueller nie mógł mieć na to nadziei. A kiedy już Nkumai osiągną Republiki i wyrównają stare rachunki, wrócą tutaj statkami wyładowanymi po brzegi metalem i żadna z Rodzin nie będzie mogła im się przeciwstawić. Będą rządzili.

Musiałem ich zatrzymać.

Odłożyłem książkę i znowu zacząłem szukać noża. Wciąż szukałem, kiedy zasłony rozchyliły się i do pokoju weszło pięciu nkumajskich strażników.

– Nasi szpiedzy właśnie wrócili z Bird – rzekł jeden z nich.

Zabiłem dwóch i okaleczyłem trzeciego. Nie mogli mnie wziąć żywcem. Zadali mi taki cios w głowę, że zabiłoby to zwykłego człowieka. Mnie uszkodzili na tyle, że przez całe godziny byłem nieprzytomny.

4. LANIK I LANIK

Kiedy się obudziłem, leżałem na pomoście tak małym, że gdy trzymałem na nim głowę, moje stopy zwisały. Bardziej poczułem niż zobaczyłem, że wciąż jestem ubrany. Trudno było uwierzyć, iż dotychczas nie odkryli sekretu mojego ciała. Z

pewnością obmacali mnie, szukając broni, jednak miałem wciąż pewną nadzieję, że ich wielkoduszna skromność pozwoliła zachować mój muellerski sekret.

W pobliżu stali dwaj strażnicy Nkumai. Kiedy dostrzegli, że się zbudziłem, szybko przedostali się do mnie po wąskich gałęziach. Znajdowaliśmy się tak wysoko, że wokół było pełno listowia i widziałem plamy gołego nieba. Gałęzie były bardzo cienkie i pomost kołysał się gwałtownie od kroków strażników.

Gdy stanęli na gałęzi przechodzącej pod moim pomostem, wyciągnęli haki i zaczęli dwie liny na jeszcze wyższych, cieńszych gałęziach. Na końcu lin znajdowały się kajdany. Tak pomysłowych jeszcze nie widziałem. W odróżnieniu od niezgrabnych i szybko gnijących drewnianych kajdan, jakich używaliśmy w Mueller, te były zrobione ze szkła owiniętego liną. Na przeguby dłoni założono mi po dwie połówki szklanych cylindrów. Ich brzegi nie przylegały do siebie ściśle. Potem owinięto je mocno liną, która nie mogła się ześliznąć, gdyż przebiegała przez rowek w szkłe. Kiedy strażnicy skończyli zawiązywać liny, połówki szklanych cylindrów przylegały już do siebie.

W pożegnalnym, milczącym geście strażnicy mocno szarpnęli kajdany na mych rękach. Strażnik z prawej strony pociągnął pierścień kajdan do dołu, ku memu łokciowi. Drugi pociągnął pierścień na mojej lewej ręce ku górze, w kierunku dłoni.

Ból był ostry i nagły. Popatrzyłem na nich zdziwiony. Uśmiechnęli się ponuro i odeszli.

Wokół prawego przedramienia i pod lewą dłonią kajdany wpiły mi się tak głęboko, że wywołało to krwawienie. Szkło okazało się zaostrome lub poobijane i jego brzegi kaleczyły. Dość łatwo było się wydostać z tych kajdan pod warunkiem, że było się zdecydowanym na utratę połowy dłoni. To jednak znacznie utrudniałoby schodzenie po

gałęziach.

Między kajdanami pozostawało tyle miejsca, że nie mogłem nimi uderzyć ani nawzajem o siebie, ani o swoją głowę, ani o nic innego. Nie można ich było w żaden sposób rozbić. Co więcej, ponieważ były przywiązane do wciąż sprężynujących gałęzi, to gdy ciągnąłem je do dołu, odskakiwały do góry i kaleczyły mnie. Liny naciągnięto tak, że przy najdrobniejszym ruchu kajdany wrzynały mi się coraz głębiej. Nie mogłem się położyć, nie mogłem nawet klęczeć.

Nie chcieli, żebym wyjeżdżał, ale też nie chcieli, żebym chwalił sobie pobyt.

Zarówno przedtem jak i potem odwiedzałem podobnych gospodarzy, lecz żaden z nich nie dawał tego do zrozumienia w tak nieprzyjemny sposób.

Rozejrzałem się. Był wczesny wieczór. Nisko, wśród liści na zachodzie, świeciło słońce pod obłokami nadciągającymi z północnego zachodu. Musiałem być nieprzytomny przez wiele godzin.

Mój pomost spoczywał na pojedynczej gałęzi, ale była ona połączona z wieloma innymi, tworząc z nimi splecioną sieć. Zahuśtałem się z lekka na pomoście. Strażnicy natychmiast odczuli poruszenie i obejrzeli się.

Obok mnie znajdowały się inne pomosty. Żaden z nich nie był zajęty. Wydawało mi się, że w oddali widzę kogoś stojącego w kajdanach, ale nie byłem tego pewien.

Liście przesłaniały mi widok.

Zaczęło padać. Natychmiast przemokłem. Tutaj, gdzie gałęzie i liście nie rozpraszały tak skutecznie ulewy, ciężkie krople tłukły mnie wściekle. Co gorsza, burza szalała z taką siłą, że każdy poryw wiatru szarpał i trząsł gałęziami. Czuję się tak jak wtedy, kiedy pierwszy raz szedłem po moście linowym. Było to gorsze niż morska choroba. Widziałem, że strażnicy kulili się przed deszczem pod dwoma daszkami i ani im powstało w głowie obserwować kogokolwiek.

Szybko i bez trudu ułożyłem plan, ale dotyczył on tylko opuszczenia tego więzienia. Jak zejść na ziemię, nie tracąc życia, a stamtąd jak przebyć las i dojść do bezpiecznego miejsca (i gdzie jest takie miejsce?) – były to zagadnienia zbyt złożone, żeby rozpatrywać je w tamtych chwilach.

– Pani Lark! – zawołał z oddali znajomy głos.

Przez płataninę gałęzi przedzierała się Mwabao Mawa. Strażnicy wstali

i skłonili głowy, kiedy się do mnie zbliżyła.

– Mwabao Mawo – powiedziałem. – Zmieniłam zdanie. Wolałabym raczej, mimo wszystko, nadal z tobą mieszkać.

Ściągnęła usta, a potem powiedziała:

– Dostaliśmy pełny raport od naszych informatorów. To dosyć perfidna para –

najemnicy z Allison. Mylnie sądzili, że będziemy płacić coraz więcej i więcej, za każdy strzęp informacji, który z siebie wyduszą. Mam nadzieję, że nie żywisz podobnie mylnych sądów, Lark, czy jak ci tam naprawdę. Nie będziemy się targować, chyba że o twoje życie.

Uśmiechnąłem się, ale byłem przekonany, że nie wyglądam szczególnie dobrodusznie.

– Pani Lark, nie przybyłaś z Bird. Nie tylko nie pochodzisz stamtąd, ale absurdalne historie, które nam opowiadałaś o kulturze tamtej Rodziny, są tak dalekie od prawdy, że sugerują, iż nigdy tam nie byłaś. Tym niemniej, sądząc po twoim akcencie, jest jasne, iż jesteś rzeczywiście z wyżyny Rzeki Buntowników. Jest również jasne, sądząc z używanych przez ciebie żelaznych monet, że pochodzisz z Rodziny, która używa pieniędzy. A ponieważ to żelazo nie może pochodzić od nas, musi pochodzić od jakiejś innej Rodziny, która ma coś do sprzedania Ambasadorowi.

Co to za Rodzina?

Uśmiechnąłem się szerzej.

– Och, dobrze – rzekła. – Jestem prawie pewna, że pochodzisz z Muellera. Kim dokładnie jesteś, będę wiedziała w ciągu tygodnia od solidniejszych szpiegów niż ta para z Allison, którą dotychczas wykorzystywaliśmy. Pomówmy o rzeczach bardziej praktycznych. Co twoi ludzie sprzedają Ambasadorowi?

– Powietrze – odpowiedziałem – z bagien w delcie Rzeki Buntowników.

Popatrzyła na mnie z wściekłością.

– Naprawdę cię lubiłam.

– I ja naprawdę cię lubiłam – odrzekłem. – Moja sympatia dla ciebie skończyła się jednak przedwczorajszej nocy, kiedy odkryłam, jak bardzo różnią się nasze gusty w dziedzinie seksu.

Było to całkowite kłamstwo. Obydwoje lubiliśmy kobiety.

– Wciąż cię lubię, Lark – rzekła. – Nie jestem sadystką, a ty nie jesteś

tutaj na skutek mojej złośliwości. Tak więc wybacz, że nie zostanę, żeby popatrzeć.

Kiedy zniknęła, przystąpili strażnicy i podnieśli mnie w powietrze. Początkowo pomyślałem, że po prostu upuszczą mnie, pozwalając, by kajdany zrobiły swoje. Ale widocznie nie o to chodziło – jeśliby przypadkowo odcięli mi kawał dłoni, kajdany nie mogłyby mnie już utrzymać. Kiedy byłem w powietrzu, strażnicy odezwali się po raz pierwszy i kazali mi ująć liny, które obecnie były na tyle luźne, że mogłem to zrobić.

Trzymałem się lin, kiedy wyrzucili me stopy w przód. W tej pozycji nie mógłbym wypuścić lin, żeby nie pociąć sobie nadgarstków kajdanami, liny zaś przywiązane były do tak chybotliwych gałęzi, że nie mogłem znaleźć oparcia, by kopnąć strażników. Ci zaś, krzyżującymi się nacięciami, wyrzynali mi w stopach zachwycający wzór o głębokości około pół cala, dochodzący w kilku miejscach aż do kości. Było to oczywiście potwornie bolesne, ale na treningach znosiłem gorszy ból.

Wiedziałem jednak, czego ode mnie oczekują, więc wrzeszczałem i jęczałem. Moje przedstawienie musiało być przekonujące, ponieważ wkrótce zaprzestali krajania, znów mnie podnieśli, powiedzieli, żebym puścił liny, i łagodnie spuścili mnie na dół.

Jak mogłem się spodziewać, postawili mnie na stopy, a kajdany wciąż zmuszały mnie do trwania w pozycji stojącej. Pomyślałem o tym, co dzieje się ze szpiegami w lochach w Mueller i doszedłem do wniosku, że jeśli chodzi o ten aspekt cywilizacji, Nkumai i Mueller stoją mniej więcej na tym samym poziomie. Mueller miał lepszą technikę wywoływania bólu, ale Nkumai wiedzieli, jak wywoływać rozpacz.

Kiedy nad tym rozmyślałem, przestałem na chwilę wrzeszczeć, ale zaraz uzmysłowiłem sobie, że oczekuje się ode mnie cierpienia, i bardzo głośno zajęczałem.

Strażnicy poszli sobie.

Po godzinie proste nacięcia zniknęły z mych stóp, a wkrótce skończyło się też mrowienie. Jednak z tak szybkim gojeniem związany był pewien problem. Moi ewentualni oprawcy z pewnością by to zauważyli i już nie musiałbym dalej ukrywać, co Mueller sprzedawał Ambasadorowi.

Zacząłem modlić się o deszcz, a przynajmniej pragnąć deszczu, ponieważ w skład mojego panteonu nie wchodził nikt, kto byłby odpowiedzialny za pogodę.

Zaczął padać godzinę po zmroku. Chmury sunęły po niebie, przesłaniając gwiazdy i światło Niezgody. Zerwał się wiatr i kołysał pomostem. Był to dla mnie sygnał, że trzeba zacząć. Gdy gałęzie się ruszały, moje własne ruchy były niewyczuwalne.

Zacząłem ciągnąć kajdany, aby obciąć sobie kawałek dłoni. Najtrudniejsze było utrzymanie dostatecznie silnego nacisku na kajdany w odpowiednim kierunku, tak aby z każdej dłoni zostały obcięte palce mały i serdeczny, a nie kciuk. Kciuk był mi potrzebny do wspinaczki.

Przeżyłem jedną straszną chwilę. Kiedy wyswobodziłem jednocześnie obydwie ręce, poryw wiatru wyszarpnął spode mnie pomost. Upadłem płasko na twarz, ale tego dnia los okazał się dla mnie łaskawy i trafiłem na gałąź podpierającą, a nie na pustkę. Leżałem przez chwilę z ociekającymi krwią, okaleczonymi dłońmi, kiedy zaczynał padać deszcz. Pozostało tylko kilka minut, zanim ucichnie burza. W chmurach, w deszczu i w ciemności nocy nie widziałem nic. Jednak musiałem się ruszać; musiałem wydostać się z więzienia, zanim moje poruszenia staną się znów wykrywalne. Ból nie miał znaczenia, ale pokonanie lęku przed posuwaniem się w ciemności i przed upadkiem było najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą rzeczą jaką kiedykolwiek robiłem w życiu. Nawet teraz, kiedy o tym pomyślę, zastanawiam się, jaki rodzaj szaleństwa skłonił mnie, by próbować takich rzeczy. Ale byłem wtedy wciąż młody i życie nie miało dla mnie takiej ceny jak obecnie.

Drewno było śliskie, a ja pełzłem, wspinałem się i potykałem. Szedłem szybko i było to niebezpieczne. Usiłowałem posuwać się po gałęziach ku ich rozwidleniom, wiedząc, że w końcu znajdę grubszą gałąź z mocnym oparciem dla stóp. Przez większość czasu miałem zamknięte powieki i poruszałem się naprzód po omacku, bo gdy otwierałem oczy, nawet w zupełnych ciemnościach mój umysł pragnął coś widzieć i jeśli nic nie mógł dostrzec, wpadał w panikę.

W końcu dotarłem do pomostu i przez chwilę obawiałem się, że może na nim ktoś być. Nie było nikogo, a do bardziej stabilnych gałęzi miałem stamtąd tylko kilka chwil. Nie ruszyłem jednak biegiem. Nie miałem przewodnika, a drewno było śliskie.

Ale odczułem ulgę, że nie rzuca mną w tył i w przód, i postanowiłem zanurzyć się w ciemność.

Deszcz ustał. Wiatr ustał. I dokładnie w chwili, kiedy wydałem westchnienie ulgi, ścieżka, po której szedłem, stała się bardzo stroma. Straciłem chwyt i spadłem. Przez moment myślałem, że ze mną koniec, ale w tej samej chwili wylądowałem na następnym pomoście.

– Co jest, do cholery! – rozległ się gniewny głos, kiedy podniosłem się na nogi.

Przewróciłem kogoś.

– Cóż to spada nam z nieba w tych czasach? – spytał rozbawiony kobiecy głos.

Wątpię, czy byli nadal tacy rozbawieni, kiedy się na nich rzuciłem. Nie miałem czasu, by wdawać się w dyskusję i okazywać łagodność. Ale nie sądzę, bym ich zabił.

Ich instynkty zgodne były z moimi pragnieniami: oboje zachowywali się tak, by nie zbliżyć się do krawędzi platformy i nie spaść. Kiedy już unieruchomiłem nieznajomych, zacząłem ich szybko rewidować, szukając czegoś, co mógłbym ukraść.

Miałem niezbyt skryzalizowany pomysł, żeby udawać złodzieja, by zmylić pościg.

Mężczyzna miał nóż. Wziąłem go, jak również amulet, który kobieta nosiła na szyi. Myślałem wtedy niejasno, że będę potrzebował pieniędzy, kiedy wydostanę się z Nkumai – tak jakbym miał na to jakieś rzeczywiste widoki. Potem znalazłem drabinę sznurową spuszczoną z pomostu. Wstrzymałem oddech i przeszedłem przez brzeg platformy, a potem dalej w dół, w ciemność.

Schodziłem cicho, nad słuchując wszelkich odgłosów, jakie mogłyby nadejść przez nocne powietrze, świadczących o tym, że moja ucieczka została odkryta. Ale noc milczała. Kiedy chmury przesunęły się i Niezgoda weszła wyżej, przyćmione, przefiltrowane przez liście światło zaczęło dochodzić aż do poziomu, na którym się znajdowałem.

Kiedy mijałem platformę, od której odchodził most linowy, zastanawiałem się chwilę, czy nie porzucić drabiny. Ale postanowiłem zejść przynajmniej jeszcze o jeden poziom w dół, starając się jak najbardziej powiększyć odległość w pionie między mną a moimi prześladowcami.

To była błędna decyzja. Gdy tylko minąłem pomost, drabina sznurowa zaczęła się gwałtownie kołysać jak wahadło. A potem poczęła się wznosić. Znaleźli mnie.

Moje odruchy podczas poruszania się po drzewach były wciąż powolne. Zajęło mi całą chwilę, zanim zdecydowałem się obrócić na drabinie i przejść na drugą jej stronę, tę samą, po której znajdował się pomost. W tym momencie byłem już dobre trzy metry powyżej pomostu i szybko się wznosiłem. Nie mogłem czekać, aż ta odległość się zwiększy. Skoczyłem w tył, kiedy odczułem, że nadszedł właściwy moment. Wylądowałem na plecach, ślizgając się w kierunku zgodnym ze słojami drewna.

W plecy wbijało mi się mnóstwo drzazg. Miałem tak dużą bezwładność, że ześliznąłem się z pomostu i zjeżdżałem po stromym, początkowym odcinku mostu sznurowego.

Przyzwyczailem się ostro zbiegać na środek mostu, a stamtąd wbiegać do jego drugiego końca. Ale zjeżdżanie po moście na plecach głową naprzód to co innego.

Daje to znacznie mniejszą kontrolę nad sytuacją. Rozstawiłem nogi, próbując się zatrzymać, zahaczając o liny po obydwu stronach. Niestety, moja prawa noga zahaczyła jako pierwsza i szarpnęła mnie w prawo. Boczne liny uchroniły mnie przed spadkiem, ale uderzyłem w nie z taką siłą, że cały most przechylił się na bok, wyrzucając mnie.

Uczepiłem się sznurów i strasznie mną zatrzęsło. W miejscu, gdzie wisiałem, most praktycznie odwrócił się do góry nogami. Sytuacja pogorszyła się, kiedy z uchwytów zaczęły wypadać drewniane szczeble. Jeden z nich uderzył mnie w ramię.

Dłoń odruchowo puściła. Trzymałem się na drugiej i wkrótce odzyskałem chwyt. Nie widziałem jednak sposobu wyprostowania mostu – nie było to tak, jak z łodzią wywróconą do góry dnem. Nie było wody, która udzieliłaby mi oparcia, kiedy odwracałbym most. W gruncie rzeczy, jedynym sposobem wyprostowania mostu było puszczenie go. A to ani trochę nie poprawiłoby mojej sytuacji.

Przez chwilę chciałem się cofnąć i wisząc na rękach, wrócić na pomost, który opuściłem, gdyż był on bliżej niż drugi koniec mostu. Wiedziałem jednak, że moi prześladowcy – z pewnością strażnicy – natychmiast się tam pojawią, a ponadto kontrolowali oni drabinę sznurową, jedyną prócz mostu drogę ucieczki z platformy.

Wobec tego, piędź po piędzi, zacząłem posuwać się ku dalszemu końcowi mostu.

Całe szczęście, że miałem kciuki. Wprawdzie krwawienie z

amputowanych palców ustało, lecz dłonie wciąż mi dokuczały i gojąc się, nie były w najlepszej formie. Ale przynajmniej byłem w stanie czegoś się uchwycić. Choćby przez moment. Po chwili musiałem wplatać w liny całe ramię, żeby się utrzymać. Znacznie mnie to spowalniało, ale wciąż poruszałem się dość szybko.

Liny nośne naciągały most przy końcu tak mocno, że nawet mój ciężar nie był w stanie go odwrócić. Z ulgą więc wciągnąłem się na szczeble.

Potem poczułem drgania, które nie były wywołane moimi ruchami: po moście ktoś się zbliżał. Teraz, kiedy most był znowu wyprostowany, pobiegną prędko; mogą mieć trudności w miejscach, gdzie brakuje szczebli. I jak należało się spodziewać, usłyszałem okrzyk zdziwienia, po którym nastąpiło gwałtowne szarpnięcie. Czy tamten człowiek spadł, czy zdażył się uchwycić? Nie byłem w stanie tego sprawdzić.

Nawet przy tym przyćmionym świetle nie mogłem dostrzec nic w odległości większej niż dwa metry.

Jednak zasięg mojego wzroku wystarczył, bym zobaczył, że pomost, do którego się zbliżam, jest zajęty. Obydwaj mężczyźni byli odwrócenii w drugą stronę –

najwidoczniej nie brali udziału w pogoni. Nie miałem czasu do stracenia. Żadnego sensu nie miała też próba ukrywania faktu, że uciekam. Skradziony przeze mnie nóż znalazł się natychmiast w sercu jednego z mężczyzn, kiedy ten odwracał się ku mnie.

Drugi spadał już w tym czasie w nocną otchłań, otrzymawszy ode mnie ostre kopnięcie w krzyż. Spadając nie wydał żadnego dźwięku.

Wyciągałem nóż z ciała Nkumai i rozglądałem się, szukając dróg dalszej ucieczki. Znajdowałem się w miejscu, gdzie konar odchodził od głównego pnia, a nie od innego konara. Nie można było już schodzić w dół po skosie. Był tylko pionowy spadek pnia. Gałąź prowadziła do góry. Nie był to mój kierunek. A most ciągle drgał

od kroków moich prześladowców. Przyzwyczajeni do poruszania się w ciemności już by mnie z pewnością dognali, gdyby nie brakujące szczeble.

Pomyślałem o odcięciu mostu, ale liny nośne były zbyt grube, więc zrezygnowałem.

Zdecydowałem się natomiast na pójście po gałęzi w górę, licząc na to, że znajdę stosowną drogę. Zaczynałem się właśnie wspinać, gdy zobaczyłem nad czym pracowali tamci dwaj Nkumai: nad siecią na

ptaki.

Mocowali jej koniec. Podwinięta w górę sieć zwisała w ciemności. Przynajmniej w jednym miejscu była przymocowana. To mogło wystarczyć.

Sprawdziłem węzły zrobione przez Nkumai. Okazały się mocne. Potem ześliznąłem się stopami w dół, w gruby wałek sieci, wystarczająco szorstki, bym mógł się na nim utrzymać. Nie spadłem ani nawet nie zachybotalem się i nie groziło mi, że musiałbym zwisać z jego dolnej części. Kiedy czołgałem się w tył, po sieci, przecinałem sznury utrzymujące ją w zwoju. Kiedy dotarłem do następnego punktu zamocowania, pociągnąłem za sieć i przekonałem się, że jest przywiązana w jeszcze jednym punkcie. W niewielkiej odległości słyszałem odgłos kroków na tym pomoście, który właśnie opuściłem.

Nadal cofałem się, przecinając sznury. Widziałem, jak sieć rozwija się i opada od miejsc, które przeszedłem. Czy moi prześladowcy będą próbowali wejść za mną tą samą drogą po sieci? Kiedy jest rozwinięta, będzie to znacznie trudniejsze. Czy może odetną sieć? Nie obawiałem się tego: punkt mocujący znajdował się między nimi i mną. Poza tym uniemożliwiłoby to dalszą pogoń.

W ciemności i ciszy nkumajskiej nocy niemal słyszałem, jak się zastanawiają.

Jak nisko spuści się sieć? I w ogóle jak nisko udało mi się zejść? Co mi da rozwinięcie sieci, jeśli dogramoliwszy się do końca, stwierdzą, że mam do ziemi jeszcze sto metrów?

Sieć była szeroka i kiedy dotarłem do jej siódmego punktu zamocowania, przyszło mi na myśl, że na pomoście, gdzie się ona kończy, będą prawdopodobnie czekali na mnie strażnicy, i gdy się do nich zbliżę tyłem, zostanę schwytany. Z

wysiłkiem odwróciłem się na sieci. Posuwanie się twarzą do przodu było trudniejsze.

Czułem jednak, iż w ten sposób zmniejszam prawdopodobieństwo, że zostanę zaskoczony. I dobrze, że to zrobiłem. Byłem przy dziewiątym punkcie mocującym, kiedy poczułem drgania sieci. Nie mógł ich wywołać ktoś idący za mną – gdyby posuwał się po przebytej przeze mnie drodze, zorientowałbym się już dawno. Nie musiałem stosować logiki, której uczono mnie w szkole, żeby dojść do wniosku, że ktoś nadchodzi z przodu.

Posuwając się naprzód, wciąż przecinałem węzły sznurów. Przy następnym punkcie zamocowania postanowiłem zakończyć podróż w poprzek sieci. Tuż za zamocowaniem zacząłem przecinać samą sieć. Łatwo było przeciąć pojedynczą nić, a nawet pięć czy sześć sznurów razem, ale w wałku były ich setki. Tak mnie ta praca pochłonęła, że swego przeciwnika zauważyłem dopiero, gdy znalazł się tuż przy mnie. On nie przecinał oczywiście węzłów, więc za nim sieć była wciąż gruba, podczas gdy za mną opadała, pozostawiając mnie na zwoju cieńszym i mniej stabilnym.

Przeciąłem już prawie połowę wałka. Mój przeciwnik również miał nóż, więc zdecydowałem, że unieszkodliwienie go jest ważniejsze niż cięcie sznurów.

Walka była raczej jednostronna. Gdybym był w dobrej formie, na ziemi czy nawet na poziomej platformie, jestem pewien, że zabiłbym go z łatwością. Ale na sieci, wysoko nad ziemią, w ciemnościach słabo rozświetlanych mdłym oraz rozproszonym światłem księżyca, osłabiony utratą krwi i ciągłym mrowieniem po amputacji palców, nie byłem w najlepszej formie. Co gorsza, nie mogłem tu wykorzystać zwykłej przewagi Muellerów, tego, że nie szkodziło nam specjalnie kilka śmiertelnych ran w czasie bitwy. Teraz osłabiony musiałbym puścić sieć i spaść na ziemię, a wtedy moja szansa wyzdrowienia była niewielka.

Stało się niestety jasne, że mój przeciwnik nie próbuje schwytać mnie żywcem.

Widocznie byli zdania, że przyda im się moje ciało, nawet jeśli nie zdołają mnie przesłuchać. Krótka walka zakończyłaby się ostatecznie, gdy napastnik wpakował mi nóż w trzewia, gdyby nie to, że kraniec sieci znajdował się bardzo blisko.

Mój przeciwnik przesunął nóż tam i z powrotem w mój brzuch. Tak mnie bolało, że nie mogłem złapać tchu. Możemy wytrzymać kilka prostych nacięć, ale w czasie treningu bojowego Mullerów nie ćwiczy się, jak stać w miejscu, gdy wróg patroszy nas jak powalonego jelenia. Zaatakowałem jego ramię i przebiłem mu ciało, ale po chwili jego dłoń powróciła, nóż znów dźgał, usiłując mnie wypatroszyć. Było jasne, że taka wymiana – jego ramię za moje bebechy – zakończy się wkrótce moim odpadnięciem. Nie atakowałem więc go, ale rąbałem w zapamiętaniu sieć nad nami tam, gdzie przecinałem ją już wcześniej.

Ból i rozpacz dodały mi sił – albo może upłynęło więcej czasu, niż mi się zdawało – ale sieć zaraz puściła, a mój nieprzyjaciel wydał pomruk zdziwienia, kiedy sieć rozdzieliła się na dwie części, a jedna z nich spadła w dół. Zniknął cicho w ciemnościach, zostawiając mnie samego. Kołysałem się na dyndających sznurach.

Sieć była teraz rozwinięta prawie na całej pozostałej długości. Wczepiłem się w oczka palcami nóg i rąk. W otwartym żołądku czułem zimne powietrze. Coś gorącego i mokrego otarło mi się o kolano i uświadomiłem sobie, że wypadła mi część kiszek.

Ukrywanie mej prawdziwej płci nie miało już sensu. Obciąłem swą czarną szatę przy ramionach, bym mógł swobodnie się poruszać. Nagi i odrętwiały, tak że nie czułem bólu, zacząłem schodzić w dół po moim kawałku sieci.

Czułem się jak okaleczony pająk w porwanej pajęczynie. Wiele razy sznury puszczały i musiałem gwałtownie poszukiwać innych chwytów. Cienkie oczka wciąż kaleczyły mi palce u rąk i nóg. Schodziłem tak przez całe wieki, aż w pewnej chwili moja noga trafiła na pustkę. Dotarłem do dolnego skraju sieci, a pod nią było tylko powietrze.

Na jakiej wysokości się znajdowałem? Pięćdziesiąt centymetrów? Czy może dwieście metrów?

Nie wiedziałem, jak byłem wysoko, kiedy zacząłem swoją wędrówkę. Ponieważ sieć została przecięta, jej dolny róg, na którym teraz zwisałem, znajdował się niżej niż wtedy, gdy sieć zajmowała swe zwykłe położenie. Grunt mógł być tylko o krok pod nim.

Ale jaki miałem wybór? Byłem słaby, dyndały mi poprzecinane kiszki, krew sączyła się z niesamowitej mieszaniny na wpół zagojonych ran. W tej sytuacji nie mogłem ani wdrapać się z powrotem, ani zbyt długo tam wisieć. Jediną szansą przeżycia było puszczenie sieci. Jeśli dotarłem dostatecznie nisko, może udałoby mi się wylądować, nie uszkodziwszy sobie za bardzo kości. Mógłbym się wtedy powlec gdzieś w ciemność i zaszyć w jakiejś kryjówce, aż wygoi się mój brzuch. Jeśli nie, znajdą mnie rankiem, bez względu na to, czy skoczę, czy będę próbował się trochę dłużej trzymać.

Kiedy tak wisiałem, nie mogąc podjąć decyzji, sieć zaczęła się rwać. Upleciono ją tak, by była niewidoczna dla ptaków, a ja zbyt wiele ważyłem. Słyszałem, jak przez chwilę szybko trzaskają pękające sznurki, a później, mając palce wciąż zaciśnięte na sznurkach,

pokoziółkowałem w dół, w czarną przestrzeń.

Spadałem długą sekundę. Nie mogłem nawet się przygotować do tego, by po upadku potoczyć się, ponieważ nie widziałem gruntu. Wylądowałem na plecach, uderzenie pozbawiło mnie tchu. A ponieważ nie puściłem sieci, zaplątałem się w nią, kiedy opadała na mnie metr po metrze.

Zyłem.

Przez chwilę leżałem bez ruchu, oszołomiony. Utrata przytomności przyniosłaby mi ulgę. Ale nie poddałem się. Udało mi się dotrzeć do poszycia lasu Nkumai i przeżyć, i coraz silniej pragnąłem, aby moja ucieczka się powiodła. Jak wiele czasu zajmie Nkumai dotarcie na dół po drabinie? A gdy będą już tu na dole, ile czasu będzie im potrzeba, by mnie tu znaleźć? Niewiele, pomyślałem i wyzwoliłem się z sieci.

Zostawiłem w niej trochę swych jelit, a te bebechy, które wciąż były do mnie przyłączone, usiłowały wylecieć w przód przy każdym mym kroku. Na miejscu utrzymywała je tylko moja dłoń, wciąż przyciśnięta do brzucha. Zataczając się poszedłem w kierunku, gdzie, jak się spodziewałem, znajdowało się morze. Straciłem orientację w przestrzeni. Miałem nadzieję, że poprowadzi mnie moje podświadome wyczucie północy.

Umysł nie funkcjonował mi dobrze, ale pamiętam, że czyniłem wysiłki, by zatrzeć za sobą ślady. Znalazłem strumień i zatrzymałem się, by przemyć ranę zimną wodą, która waliła w moje bebechy jak maczuga, a potem szedłem długo z prądem.

Od czasu do czasu piłem wodę. Wydawało się, że mnie to odświeża, ale przychodził

nieprzyjemny moment, gdy woda docierała do rozerwanego jelita. Szybko zrezygnowałem z picia.

Byłem zbyt otępiały, aby sobie uświadomić, co znaczył narastający hałas strumienia. Kiedy pojawił się spadający w ciemność wodospad, wleciałem z ogromnym pluskiem do rzeki poniżej. Znów niemal straciłem przytomność i gdyby nie szybki prąd, mógłbym utonąć. Byłem w stanie utrzymać się na wodzie, nie tracąc świadomości, aż wyrzuciło mnie na drugi brzeg. W rzece zgubiłem nóż, który zdołałem zachować przy spadaniu. Nie miało to dla mnie wtedy znaczenia i zasnąłem na drugim brzegu rzeki, doskonale widoczny na skarpie.

Gdy się obudziłem, przyćmione słońce przeświecało przez liście

górnym piętrem lasu. Odzyskałem przytomność na tyle, by odpełznąć w jakieś gęste krzaki, gdzie nie można było mnie dostrzec z góry.

Obudziłem się znów w ciemności, dysząc z pragnienia. Gdy ostatnio piłem wodę, towarzyszył mi rozdzierający ból. Pamiętałem go, ale wiedziałem, że jeśli chcę wyzdrowieć, muszę dostarczyć wodę do wnętrza ciała. Z wysiłkiem, wlokąc za sobą obwisłe jelita, ześliznąłem się w dół, do rzeki, i napiłem się mętnej wody. Picie nie zamieniło się w torturę w moich trzewiach. Widocznie moje muellerowskie ciało radziło sobie nawet z tak ogromną raną i zamknęło gdzieś połączenie, które przeprowadzało wodę. Jednak to połączenie omijało wiele moich dawnych jelit. One wciąż wylewały się i ciągnęły po trawie i po ziemi. Byłem zbyt zmęczony, żeby je przemyć.

Znowu rozbudziło mnie słońce. Tym razem usłyszałem jakieś rozmowy i nawoływania. Ktoś biegł po przeciwległym brzegu rzeki. Nkumai, tacy cisi i pewni na swych wysokich drzewach, niezbyt dobrze odczytywali ślady na ziemi. W

przeciwnym razie natychmiast by dostrzegli miejsce, gdzie poprzedniej nocy popełziłem do rzeki. Leżałem bez ruchu i cicho w skrywającym mnie gąszczu i moi prześladowcy wkrótce przeszli dalej. Zasnąłem ponownie i znowu tej nocy schodziłem do wody i piłem. Miałem wrażenie, że wlokące się jelito stało się większe i trudniej je było ciągnąć, ale było to prawdopodobnie wywołane tym, że byłem bardzo zmęczony. Zasnąłem więc jeszcze raz.

Woda była zanieczyszczona. Z samego rana zacząłem wymiotować i od początku rzygałem krwią. Nie otwierałem oczu, po prostu wilem się z bólu i ze strachu. Bałem się, że moja gorączka doprowadzi do delirium, a delirium sprowadzi moich niedoszłych zabójców.

Nie wiem, ile dni leżałem nieprzytomny w gorączce. Ale niejasno zdawałem sobie sprawę, że odzyskałem siły na tyle, by posuwać się przez las, zataczając się w odurzeniu. Tylko ignorancja Nkumai mnie ocaliła – nie miałem dość świadomości, by zachowywać ostrożność. Może szedłem po nocach. Może zaniechali poszukiwań. Nie wiem. Ale przeniosłem się znad rzeki do czystszych strumieni. I tam piłem. Drzewa wydawały się bezkresną, burą plamą. Słońce zaznaczało się tylko od czasu do czasu jasnym miejscem w zieleni. Nie wiedziałem, co się dzieje.

Śniłem, że w mojej wędrówce nie jestem sam. Śniłem, że ktoś mi

towarzyszy, ktoś, do kogo mówiłem łagodnie i komu wyjaśniałem całą wiedzę zawartą w mym pełnym gorączki mózgu. Śniłem, że na rękę trzymam dziecko. Śniłem, że jestem ojcem i, zupełnie inaczej niż mój własny Ojciec, nie wydziedziczę – nie wydziedziczam – mojego bezcennego syna za jakąś zbrodnię, niezależną od jego woli. Tak śniłem, a potem pewnego dnia próbowałem postawić dziecko na ziemi, żeby się napić.

Ale dziecko nie chciało opuścić mych ramion. I stopniowo, kiedy usiłowałem je odsunąć, zdałem sobie sprawę, że śpiewają ptaki, świeci słońce, z podbródka ścieka mi pot, a ja nie śpię.

Chłopiec pojękiwał.

Chłopiec był rzeczywisty.

Przypomniało mi się teraz, jak dziecko zapłakało z głodu. Wspomniałem, jak w delirium nuciłem mu piosenki w czasie drogi, jak spaliśmy przytuleni do siebie. To wszystko było takie jasne – z wyjątkiem tego, skąd się wzięło.

Wyjaśnienie nie wymagało wielu badań. Był do mnie przyłączony pomostem z ciała, kiszka do kiszki. Żywił się zapewne siłą, którą zdołał wyssać z mego ciała. Gdy stałem wyprostowany, jego nogi zwisały na wysokości pół metra nad ziemią. Głowę miał tylko niewiele krótszą od mojej i kiedy spojrzałem mu w oczy, zrozumiałem, że to moje oczy.

Radykalny regenerat. U mnie goiło się wszystko. I kiedy połowa moich bebeczków była wyrwana, połączona z mym korpusem jedynie żyłami i tętnicami, me ciało po prostu nie mogło zdecydować, kto jest prawdziwym mną, którą część leczyć.

Więc wyleczone zostały obie połówki. Stałem, patrząc w oczy mej doskonałej kopii, która uśmiechała się do mnie nieśmiało, jak głupiutkie, ale kochane dziecko.

Nie, to nie było dziecko. Urósł szybko, a puszek dookoła jego policzków i brody wskazywał na zbliżający się wiek młodzieńczy. Był chudy, wygłodzony, jego obnażone żebra wystawały. Moje też. Moje ciało, niezdecydowane, którego z nas zachować, złupiło mój organizm, aby dać siłę tamtemu. Teraz walczyło o równowagę.

Nie chciałem równowagi.

Wspomniałem potwornego rada, którego widziałem w laboratorium, gdy kuśtykał

do koryta, i wyobraziłem sobie, że ja tam przebywam, gotowy do zniw.

Ale ja wyprodukowałem nie tylko głowę, ale całe ciało. A gdy byłbym gotów do zbiorów i rozłączyliby ciała, to które byłoby mną? Które by wysłali?

W tej chwili nie miałem wątpliwości, który z nas był oryginalnym Lanikiem Muellerem. Miałem piersi. Z ramienia wyrastała mi malutka ręka, już z palcami, które chwyciły i zginały się. Nie urosła ani trochę od czasu, gdy uciekłem z więzienia Nkumai. Z goryczą pogratulowałem swemu ciału, że posiada wyraźne priorytety.

Zaleczyło mą ranę w trzewiach, zanim zatroszczyło się o dodatkowe ramię. Dobra robota.

Czy „nowy ja” był żywy? Ludzki? Inteligentny? Nie zadawałem tych pytań.

Wiedziałem tylko, że nie będę żył z dwojgiem mnie.

Byłem nagi. Nie miałem noża. Połączeni zostaliśmy tylko cienką fałdą tkanki, pełną tętnic, które utrzymywały go przy życiu w czasie tej ciąży. Nie „go”, ale „to”. Które utrzymywały „to” przy życiu. Jeżeli pozwolę, by to stworzenie stało się w moim mózgu kimś, wkrótce będę myślał o nim jako o mnie. W

obecnej sytuacji z trudem udawało mi się myśleć „ja” o sobie.

Jego włosy rosły tak jak moje, te same loki i fale, rozwichrzone i splątane.

Ciągnąłem stworzenie za włosy, próbowałem je odepchnąć. Oczywiście nie mogło odejść. Ale również nie mogło zostać. To ja, dokładnie ja, taki, jaki byłem zaledwie parę miesięcy temu, zanim moje ciało zmieniło się, dając miejsce kobiecie, której nie powinno tam być, a wszyscy utrzymywali, że ta kobieta to ja.

Operacja rozdzielenia nas bez pomocy narzędzi była brudna i bolesna. Stworzenie obudziło się, gdy rąbałem nasze złącze zaostrozonym kamieniem. Płakało, próbowało słabo mnie powstrzymać. Ale nie odzywałem się.

Obydwaj krwawiliśmy, kiedy skóra pękła, kiedy nas rozrywałem, kiedy kamieniem uwalniałem się od brzemia: znoszenia samego siebie.

W końcu rozdzieliliśmy się. Byłem wyczerpany aktem stworzenia, ale z całej siły, jaka mi jeszcze pozostała, waliłem kamieniem w jego głowę, raz za razem.

Przestało płakać, a z jego popękanej czaszki zaczął wyciekać mózg. Wyczerpany szlochałem, widząc, jak umieram. Rzuciłem kamień i

uciekłem w las.

Jadłem to, co znalazłem, starając się nabrać sił. Nie zauważałem żadnych oznak pościgu – moi prześladowcy musieli zrezygnować już dawno temu. Ale to nie pomagało mi w ucieczce. Jeśliby mnie znów odnaleźli, los mój rozstrzygnąłby się szybko. Z miejsca, w którym się właśnie znajdowałem, wszystkie kierunki prowadziły w głąb terytorium Nkumai – wszystkie prócz jednego. Z położenia słońca wyznaczyłem z grubsza północny zachód i w tę stronę podążyłem.

Podróż była ciężka, gdyż miałem mało siły, ale przynajmniej zachowywałem przytomność. Podzieliłem swoją marszrutę na łatwe etapy, każdego dnia zbliżając się trochę do celu. Idąc za strumieniem, doszedłem do rzeki, a wzdłuż rzeki, w końcu, do morza.

Miasto Nkumai znajdowało się przy ujściu rzeki, ale było położone na drzewach, wyjąwszy kilka budynków przy prymitywnej przystani. Uświadomiłem sobie, że Nkumai nie byli ludźmi morza. Nie zaadaptowali się tak jak my w Mueller.

Wspomniałem ogromną flotę, wypływającą z Mueller na Rękaw, niosącą tysiące żołnierzy, którzy podbili Huntington w czasie krótszym niż miesiąc. Z Nkumai nie odpłyną żadne statki.

Jednak statki z innych krajów mogą tu przybyć. Taki statek był moją jedyną nadzieją wydostania się z Nkumai i przekazania Ojcu wiadomości o tym, co Nkumai sprzedawali swemu Ambasadorowi.

Poczekalem do wieczora, a potem przeszedłem pod miastem Nkumai do morza.

Trzymałem się granicy lasu i od przystani odszedłem kilka kilometrów wybrzeżem.

Mogłem stamtąd wypatrywać statku i jeśli wciąż pływałem tak dobrze jak niegdyś, bez trudu dostać się na pokład.

Usnąłem, bezpieczny w swej kryjówce.

Obudziłem się w południe. Byłem zlany potem i dyszałem. Śniłem, że ja – ale to nie byłem ja sam, to byłem ja – dziecko, które zabiłem w lesie – śniłem, że przyszedłem siebie zabić. Obudziłem się, gdy błysnęły noże, kiedy obydwa – ja i moje lustrzane odbicie – dźgnęliśmy głęboko i przebiliśmy sobie wzajemnie serca.

Mętnie pamiętam, że zbudził mnie krzyk i zastanawiałem się, czy to ja wołałem we śnie. Ale gdy wypełzłem z kryjówki i spojrzałem ku morzu, zobaczyłem, że blisko wybrzeża przepływa statek. Krzyczeli mężczyźni,

którzy zwijali żagle.

Statek zawinął do portu i stał tam dwa dni. W tym czasie układałem plany, jak mógłbym przyciągnąć uwagę żeglarzy tak, by jednocześnie nie zaalarmować Nkumai w mieście.

Znalazłem przegniłą gałąź i wypróbowałem ją na wodzie. Pływała. Zbyt słaby, żeby przepłynąć całą odległość, mogłem trzymać się gałęzi. Na obnażonej skórze czułem chłód wody, ale kiedy zobaczyłem, jak statek odbija od przystani i skręca na północny wschód, w moim kierunku, rzuciłem się w wodę. Potem, leżąc na kłodzie, jak gdybym nie mógł się bez niej obyć, powiosłowałem niezgrabnie rękami przez spienione bałwany przyboju na łagodne fale spokojnego morza.

Ktoś na statku zawołał:

– Człowiek za burtą! Człowiek!

Podniosłem rękę i pomachałem.

Dosyć szybko wyłowiono mnie z wody i posadzono drżącego pod kocem w małej łodzi zmierzającej ku statkowi.

– Dziękuję – powiedziałem.

Jeden z wioślarzy uśmiechnął się. Nie był to uśmiech szczególnie uprzejmy.

Sternik zaś rzekł.

– Doskonale. Bierzymy cię do kapitana.

– Z jakiego jesteście narodu?

Miałem wrażenie, że nie bardzo chcą odpowiadać. Zastanawiałem się, czy mnie zrozumieli.

– Z jakiej Rodziny? Z jakiej Rodziny pochodzicie?

– Singer – niechętnie odpowiedział sternik.

Wyspiarze z wielkiej Zatoki Północnej, którzy prowadzili zaborczą wojnę w Wing, kiedy ja opuszczałem Mueller. Poseł z Wankieru poprosił mego Ojca o żołnierzy, wiedząc, że jego naród jest następny w kolejce, ale prócz wyrazów współczucia, niewiele otrzymał. Dobrze, że przynajmniej ci żeglarze nie byli Nkumai i mieli dosyć ludzkich uczuć, by wyciągnąć mnie z wody. Mogłem przeżyć.

Kapitan wyglądał trochę sympatyczniej od swojej załogi i kiedy wzięto mnie na pokład, wypytywał mnie przez chwilę.

– Naród? – zapytał.

– Allison – odpowiedziałem, ponieważ pomyślałem, że będzie ostrożniej nie wyjawiać prawdy. – Właśnie uciekłem z obozu

więziennego Nkumai.

Skinął głową w zamyśleniu, potem zrobił ruch ręką. Przybiegło kilku żeglarzy i zdarli ze mnie koc.

– Boże – rzekł kapitan – co te sukinsyny wyprawiają z więźniami?

Nie odpowiedziałem. Niech sobie myśli, co chce, myślałem buntowniczo. Ale bałem się.

– Co to? Kobieta czy mężczyzna? Które jest prawdziwe?

– Teraz jestem tym i tym – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Potrząsnął głową.

– Niemożliwe – mruknął. – Bardzo to komplikuje sprawy. Skąd mam wiedzieć, jaką ci wyznaczyć cenę?

Wyznaczyć mi cenę? I wtedy przypomniałem sobie jeszcze coś, o czym mówił

poseł z Wankieru. Że Singerowie prowadzą kwitnący handel. Żywym towarem.

– Rozrywka – zaproponował jeden z oficerów. – Wsadź go do klatki i pobieraj opłatę.

– Dobrze – zgodził się kapitan. – I myślę, że najlepszym rynkiem jest Rogers.

Mają tam cyrki. Wrzucicie go.

Komenda ta nie zdążyła jeszcze przebrzmieć, kiedy podniesiono mnie i zanesiono do luku. Otworzyli go i rzucili mnie na dół. Spadłem ciężko.

Luk nade mną zamknął się.

Nie było tam światła. Powietrza było mało. Ale żyłem. Nie pomyślałem o tym, żeby stawiać opór. Liczyło się jedynie to, że miałem dla nich wartość. Tylko martwi nie mają nadziei.

Rogers znajdowało się na południowo – zachodnim krańcu kontynentu. Podróż zajmie miesiąc. Czy nie będzie wtedy za późno, by zanieść informację o Nkumai memu Ojcu? Nie wiedziałem. I nie miało to znaczenia. Wiedziałem, że dopóki się nie wydostanę, będę miał niewielki wpływ na sytuację.

Czy zauważyli dodatkową rękę, która wyrastała mi z barków? W jaskrawym słońcu – może nie. Byli zaaferowani widokiem moich piersi i genitaliów. Ale teraz ta ręka zgięła się odruchowo, łaskocząc mnie w plecy. Zapowiadała się długa podróż.

5. POTWÓR

Miałem niewiele powodów do radości. Byłem zamknięty w zupełnej ciemności na około dwóch metrach kwadratowych, całkiem nagi. Większość czasu zajmował mi sen, ale nie dawał on odpoczynku – nie mogłem wyprostować całego ciała. Kiedy statek żeglował na północ, przez luk przenikał chłód. Kiedy znów skierował się na południe, cela zmieniła się w łaźnię parową. Mym potem ociekało nie tylko ciało, ale również ściany. Stale czułem zapach soli.

Jednak mogło być gorzej. Nie widziałem wprawdzie słońca przez prawie pięć miesięcy, ale żywiono mnie: nauczyłem się doceniać subtelne smaki robaczywego mięsa i spleśniałego chleba. Każdego ranka opuszczano mi wiadro napełnione wodą; każdego wieczora – napełnione jedzeniem. Kiedy opróżniłem wiadro, napełniałem je czym innym. Nic wokół nie widziałem, ale byłem zdecydowany utrzymać celę tak czysto, jak tylko się da. Myślę, że przepłukiwali wiadro wodą morską, zanim znów napełniali je jedzeniem i piciem. Nawet najbardziej okrutny farmer dba, by jego bydło nie zachorowało.

Słyszałem dźwięki. Jedynym moim kontaktem z ludźmi były odgłosy nade mną i pode mną: krzyki mężczyzn na rejach, łopotanie żagli na wietrze, poranne i wieczorne pacierze, kiedy załoga przejmująco śpiewała i nucila – a niektórzy, łkając, spowiadali się kapitanowi. Przekleństwa, kłótnie, żarty, niezręczne próby uwodzenia – mężczyźni byli tak długo na morzu, że inni mężczyźni zaczęli im się wydawać piękni.

Poznałem imiona ich wszystkich. Chwalipięta i Zadarty Nos wciąż się sprzeczały. Dla mnie brzmiało to tak, jak przyjacielskie przekomarzanie się, aż pewnego wieczora któryś z nich wyjął nóż i Chwalipięta umarł dokładnie nad moim lukiem. Przez deski sączyła się krew, dopóki nie umyli pokładu. Słyszałem, jak Zadarty Nos błagał o litość, zanim powiesili go za kciuki i strzelali z łuków w jego ręce i nogi, aż wykrwawił się na śmierć. Zabawne – szlochał i błagał tylko do

pierwszej strzały.

Potem, zdaje się, uświadomił sobie, że już nie będzie go bardziej boleć, niż boli; że już nic więcej nie mogą mu zrobić. Zaczął opowiadać kawały i obrzucać łuczników drwinami, a tuż przed śmiercią opowiedział sentymentalną historię o swojej matce, co wprawilo większość mężczyzn w ponury nastrój. Niektórzy, nie kryjąc się z tym, po prostu płakali – było to chyba wtedy, gdy pozwolili mu umrzeć, wpakowawszy strzałę w serce. Dziwni ludzie: byli jednocześnie okrutni i łagodni, silni i słabi, i tak szybko wpadali z jednej skrajności w drugą, że zupełnie nie mogłem przewidzieć, jak się zachowają.

Z wyjątkiem kapitana, który trwał jak opoka pośród ogólnego zamętu. Był ojcem dla tego pełnego dzieci okrętu. Wysłuchiwał cierpliwie ich skarg, łagodził spory, przebaczał grzechy, uczył ich różnych prac i podejmował za nich wszystkie decyzje, prócz najbardziej banalnych. Podziwiałem go, ponieważ bardzo rzadko słyszałem, by uniósł się gniewem, a jeżeli już, to tylko na chwilę, dla efektu. Nigdy się nie zachwiał, nigdy nie załamał. Zawsze rozpoznawałem jego kroki na pokładzie. Raz dwa, raz dwa, w idealnym rytmie. Było tak, jak gdyby nawet śliski pokład utrzymywał go pewnie i kapitan nigdy nie musiał czynić żadnych ustępstw na rzecz wzburzonego morza. Przypominał mi ojca i tęskniłem za domem.

Ale sympatia, jaką może czuć niewolnik do swoich panów, ma swoje granice. Po pewnym czasie ciemność zaczęła mnie przygniatać. Drażniło mnie, że muszę budzić się i zasypiać. Najbardziej marzyłem o świetle słonecznym. Byłem jeźdźcem, nie żeglarzem. Dla mnie pojęcie podróży łączyło się z żywym, falującym ciałem między nogami lub ze stopami uderzającymi o twardy grunt, a nie z przewalaniem się z boku na bok, do góry i w dół, tam i z powrotem, gdy statek zatacza się, kołysze i lawiruje.

Prócz tego, skutki moich odwiedzin u Nkumai jeszcze nie przeszły. Ogromny wysiłek regeneracyjny mojego ciała, w wyniku którego pojawił się mój sobowtór, nie skończył się wraz z tamtą amputacją. Wprost przeciwnie, moje ciało wydawało się zdecydowane wciąż regenerować każdą swą część. W kilka tygodni po uwięzieniu mnie, ręka wyrastająca z mego ramienia była tak długa i rozwinięta, że kiedy swobodnie zwisała, mogłem się nią podrapać po plecach. Szybko wyrosły mi inne kończyny i narośla. Miałem dużo pożywienia, aby

podtrzymywać tę regenerację, ale nie mogłem wykonywać żadnych ćwiczeń fizycznych. Cała pochłaniana energia znajdowała tylko jedno ujście: wzrost.

Od wielu dni panował nieznośny upał, kiedy w końcu uświadomiłem sobie, że wariuję. Wydawało mi się, że leżę w trawie przy rzece Cramer, patrząc na lekkie łodzie rybackie, żeglujące pod prąd. Obok mnie jest Saranna w niedbale rozchylonej szacie (choć doskonale wiedziała, jak bardzo mnie podnieca każdy odsłonięty centymetr jej ciała). Łaskocze mnie nieznośnie palcem, a ja udaję, że tego nie czuję.

Widziałem to wszystko i brałem w tym udział, kiedy leżałem zupełnie przytomny, zwinięty w kłębek w swym piekielnie dusznym i gorącym więzieniu.

Brałem w tym udział, a tymczasem już piąta noga wyrastająca z mojego biodra podrygiwała niezgrabnie, budząc się do życia. To było realne. Pot ściekający po mych piersiach. Ciemność. Destrukcja mego ciała. Utrata wolności.

Uświadomiłem sobie, że tak właśnie czują się radykalni regeneracji w zagrodach.

Żyją innym życiem. Nie tarzają się w trawie ani po ziemi, jedząc z koryt – ich ciała są znów zdrowe i nie zdeformowane, a oni leżą na brzegach rzek, przygotowując się do miłości z kochankami, które w rzeczywistości nie ośmielają się nawet ich wspominać.

Gdy tylko zorientowałem się, że podobne szaleństwo stanowi dla mnie jedyny sposób ucieczki, postanowiłem jednak z tego nie korzystać. Chciałem, żeby mój mózg zachował pełną świadomość obecnej rzeczywistości, mimo że była ona nie do zniesienia.

Mam dobrą pamięć. Nie fenomenalną – nie mógłbym odtworzyć strona po stronie przeczytanej kiedyś książki – ale zacząłem wykorzystywać czas na ułożenie sobie tego wszystkiego, czego dowiedziałem się, czytając kronikę u Mwabao Mawy.

Mueller – genetyka.

Nkumai – fizyka.

Bird – życie towarzyskie.

Te rzeczy łatwo utkwiły mi w pamięci. Jednak zmuszałem się wciąż do dalszych wspomnień. Chciałem, aby moje wywołane szaleństwem wizje dostarczyły mi jakiejś użytecznej informacji. Zmuszałem się, aż przypominałem sobie o innych buntownikach. Nie o wszystkich, ale o

wielu z nich.

Schwartzowie – pustynny lud, nie utrzymujący z nikim żadnych kontaktów.

Schwartz była geologiem. Zmarnowała się w tym świecie pozbawionym twardych metali.

Allison – teologia. Rzeczywiście, wiele im z tego przyszło.

Underwood – botanika. A teraz, w wysokich górach, jakież to kwiaty hodują bezskutecznie jego dzieci?

Hanks – psychologia, leczenie szaleńców. Nic mi to nie pomoże.

Anderson – bezużyteczny przywódca buntu. Jego jedynym talentem była polityka.

Drew – sny i ich interpretacja.

Kto znalazł coś na eksport? Nie wiedziałem. Ale z pewnością w ojcowskiej bibliotece są książki, które podpowiedziałyby mi to, czego nie mogłem sobie przypomnieć. Książki, które zapełniłyby luki i dałyby nam wskazówki, nad czym w sekrecie pracuje się w innych Rodzinach. Niektóre Rodziny z pewnością wpadły w rozpacz, nie posiadając na tym świecie nic, co byłoby cenne dla Ambasadora. Na przykład inżynierowie Cramer i Witzer. Ich Rodziny trudniące się teraz rolnictwem były łatwe do pokonania. Porzuciły naukę, która na tym świecie nigdy nie mogła znaleźć praktycznego zastosowania. A Ku Kuei, filozof, którego idee nie znalazły widocznie w Republice szerokiego kręgu zwolenników, nie zdołał założyć Rodziny.

Może w swojej mądrości postanowił, że ostatnim aktem jego buntu będzie zniknięcie, śmierć, tak aby jego dzieci nie były na Spisku wiecznymi więźniami.

W końcu przecież u Nkumai i Muellerów pojawiło się żelazo. Fizyka i genetyka.

Oni – pomysły, my – produkt. Źródło naszych produktów nie wyczerpie się nigdy. A ich pomysły? Nie miało to znaczenia, gdyż jeśli płacą im tak wiele żelaza za każdy pomysł, zdołają szybko nas podbić.

Nigdy nie dotrę do Muelleru na czas.

Choć starałem się ze wszystkich sił, wątpię, czy udało mi się całkowicie odeprzeć szaleństwo. Przypominam sobie, tak jakby to było naprawdę, jakieś stworzenie podobne do mnie, które przyszło i śmiało się ze mnie. Mógłby to być Lanik, taki jakim go pamiętam z czasów swojej młodości, z wyjątkiem tego, że jedną stroną głowy miał strzaskaną i

mózg wylewał mu się ciągle na zewnątrz. Mimo to prowadził miłą rozmowę i dopiero na końcu próbował mnie zabić. Udusiłem go czworgiem rąk, rwąc na strzępy. Pamiętam to dokładnie.

Pamiętam również, jak odwiedził mnie mój brat, Dinte. Posiekał mnie na drobne kawałki, a każdy wyrósł na małego Lanika, tak że Dinte miał świetną zabawę, miażdżąc ich butami. Być może wtedy wrzasnąłem – Dinte uciekł, a ktoś walnął w drzwi luku nade mną.

Przyszła Ruva z pełnymi ustami. Chwaliła się przede mną, że dostała w końcu jądra mego Ojca; dostała je, właśnie je zużyła, a ja jestem następny w kolejce. Miała ze sobą wstrętnego małego chłopca, którego twarz wyglądała jak karykatura mego Ojca. W swoim wieku – ilu, może dziesięciu lat? – ciągle się ślinił. Jego wilgotna broda lśniła w słońcu. Jednak w tym wypadku wiedziałem, że nie jest to realne, ponieważ w mojej celi nigdy nie było światła, z wyjątkiem tych oślepiających chwil, gdy podnoszono lub spuszczano wiadro.

Stara kobieta z wysokich wzgórz Mueller zносиła mi wciąż strzały, aż byłem nimi na wpół zasypany.

Te obłądne sny na jawie pamiętam równie wyraźnie, jak pamiętam swojego Ojca, wtedy gdy uczył mnie strącania jeźdźca z siodła; wtedy gdy odbywał rytuał żalu i wycierał krew z twarzy po tym, jak powiedział mi o moim losie. W retrospekcji nauczyłem się rozróżniać prawdziwe wspomnienia od tych, które prawdziwymi być nie mogły. W tamtych chwilach nie było to takie jasne.

Pewnego dnia usłyszałem nowy dźwięk. Nie był szczególnie intensywny, ale zdałem sobie sprawę, że słyszę nowe głosy. Statek nie zawinął do żadnego portu.

Widocznie więc wypuszczali niewolników z cel na pokład. Znaczyło to, że zbliżamy się do portu. Zwiotczała mięśnie trzeba znowu rozruszać, tak by niewolnicy dobrze się prezentowali na rynkach w Rogers, w Dunn i w Dark.

Ale tego pierwszego dnia nikt mnie nie wypuścił. Zastanawiałem się, dlaczego.

Na drugi dzień doszedłem do wniosku, że ponieważ nie mam być sprzedany do pracy, nie ma znaczenia, czy wyglądam silnie. Miałem być wybrykiem natury na pokaz. Zastanawiałem się ponuro, co moi właściciele pomyśleliby o mnie teraz. Obok mego nosa wyrastał nowy, częściowo przyrośnięty do dawnego. Z lewej strony głowy wystawało ze

zmierzwionych włosów troje uszu. Me ciało było plątaniną rąk i nóg, których nigdy nie uczono, jak się chodzi, czy jak się chwyta. Myśleli przedtem, że posiadają na pokaz wybryk natury. Teraz sam jeden wystarczę za cały cyrk.

Nade mną spacerowali niewolnicy, widzieli, czuli słońce i wiatr. A ja nie.

Zacząłem krzyczeć. Mój głos nie był przyzwyczajony do mówienia i mój umysł

zagubił się, szukając słów. To, co mówiłem, nie miało wielkiego sensu, jestem tego pewien. Ale stopniowo wrzeszczałem coraz głośniejsze, aż mój luk żywieniowy otworzył się nagle.

– Czy chcesz dostać takiego kopa, że tyłek podejdzie ci do szyi? – spytał głos, który świetnie znałem, chociaż nie miałem pojęcia, do kogo należy.

– To ja skopię wasze tyłki! – zawyłem w odpowiedzi.

Mój głos nie brzmiał tak jak kiedyś, gdy prowadziłem manewry kawalerii bez pomocy adiutanta. Ale sprawił się nieźle. Zamiast otrzymać kopniaka, usłyszałem drugi głos.

– Posłuchaj, Śmieciu – odezwał się – dotychczas byłeś wzorowym niewolnikiem.

Nie wsadzaj nam gówna w inne miejsce niż do swego wiadra, jeśli masz na uwadze własne dobro!

– Wyjmijcie mnie stąd!

– Pokład nie jest dla niewolników.

– W tej chwili macie tam dziesięciu!

– Oni są farmerami. Ty jesteś drugorzędnym widowiskiem.

– Zabiję się.

– Nago? W ciemności?

– Położę się na plecach, odgryzę sobie język i uduszę się krwią! – krzyknąłem i przez chwilę naprawdę chciałem to zrobić, chociaż wiedziałem, że ten cholerny język zagoi się zbyt szybko. W moim tonie musiała jednak dźwięczeć nuta szaleństwa, ponieważ usłyszałem nowy głos na pokładzie. To był kapitan.

Mówił łagodnie, ale groźba w jego głosie była wyraźna.

– Tylko w jednym wypadku wypuszczamy niewolnika poza kolejnością na pokład. Aby go ukarać.

– Ukarzcie mnie! Tylko zróbcie to w słońcu.

– Kara zaczyna się zwykle od usunięcia języka.

Zaśmiałem się.

– A co robicie później?

– Kończymy na odcięciu jaj.

Mówił to serio. Eunuch kosztował tyle samo co niewolnik rozplodowy. Ale była to jedynie łagodna groźba w stosunku do mężczyzny, który posiadał już trzy pary jąder. Być może to właśnie testosteron dostarczył mi tak dużej dawki odwagi.

– Możecie je upiec i zjeść na śniadanie. Wypuście mnie!

Powodowała mną oczywiście nie tylko brawura. Zdawałem sobie sprawę, że główną wartością dla nich jest moja osobliwość. Nikt nie chce oglądać wybryku natury pokaleczonego przez ludzi. Naturalne okaleczenia – proszę bardzo! Nie zrobiliby mi krzywdy. Jednocześnie myśl, że na pokładzie przebywali inni niewolnicy, kiedy ja tkwiłem w celi, była najbezcześniejszą prowokacją, z jaką się kiedykolwiek spotkałem.

Mimo to zdziwiłem się, kiedy ustąpili i zrzucili mi na dół liny. Chwyciłem je czworgiem rąk, kiedy mnie wyciągali.

Jeszcze bardziej zdumiała mnie gwałtowność ich reakcji, chociaż powinienem był

jej oczekiwać: zamknęli w celi mężczyznę z dużym biustem czy też kobietę z kutasem, wyciągnęli potwora.

Nie widziałem nic. Światło zbyt oślepiało i było mi dość trudno stanąć prosto na nogach, na których od miesięcy nie stawałem. Niektóre z moich nóg nigdy nie utrzymywały żadnego ciężaru. Nie mogłem chodzić. Potrafiłem tylko zataczać się z boku na bok, usiłując złapać równowagę.

Nie pomagali mi. Wrzeszczeli tylko ogłuszająco. Ciągłe słyszałem „diabeł” i inne słowa, których znaczenia nie rozumiałem, ale domyślałem się, że wyrażały okropny strach żeglarzy. Strach przede mną.

Kiedy nadarza się okazja, korzystam z niej.

Zaryczałem. Odpowiedzieli jednoczesnym piskiem, a ja zrobiłem kilka niezgrabnych kroków w kierunku grupy wydającej najgłośniejsze wrzaski.

Odpowiedzią była strzała w moim ramieniu.

Jestem Muellerem. Ból mnie nie zatrzymał, a co do ramienia, miałem

kilka innych, równie dobrych, a dwa nawet znacznie lepsze, ponieważ uszkodzili ramię, którego rzadko używałem. Wciąż posuwałem się naprzód. Teraz ich strach zamienił

się w przerażenie. Strzała nie wstrzymała potwora.

Kapitan krzyczał. Chyba rozkazywał. Mrużyłem oczy w świetle, starając się coś zobaczyć. Ocean był oślepiająco błękitny. Statek i wszyscy, którzy znajdowali się na nim, pozostawali niewidoczni, byli jak miotające się cienie, więc musiałem znów zamknąć oczy.

Usłyszałem, że ktoś nadchodzi, a potem poczułem jak pokład drga od kroków.

Obróciłem się niezgrabnie. Poczulem szybki prąd powietrza. Właśnie wtedy odkryłem, że wyrosło mi dodatkowe serce – drewniany nóż przebił to, do którego byłem przyzwyczajony. Nie zatrzymałem się jednak. W walce bez broni potrafiłem posługiwać się tylko mymi dwiema oryginalnymi rękami, lecz nie chciałem, by żeglarze to zauważyli. Wprowadziłem więc do akcji moje dodatkowe ramiona.

Czyniły to niezgrabnie, ale opóźniły mnie tylko o chwilę, a w tym przypadku opóźnienie grało na moją korzyść. Rozerwałem napastnika i rzuciłem jego strzepy w kierunku czekających żeglarzy. Usłyszałem, jak ktoś wymiotuje. Usłyszałem modlitwę. Usłyszałem wolność.

Znów rozległ się głos kapitana. Tym razem ton był pojednawczy. Było zaskakujące słyszeć go tak upokorzonego. Przez chwilę czułem wstyd, że osłabiłem jego pozycję. Odezwał się do mnie:

– Panie, kimkolwiek jesteś, pamiętaj, że ocaliliśmy ci życie, zabierając cię z morza na pokład.

Tylko łypnąłem na niego i zamachałem ramionami. Niewyraźnie zobaczyłem, że postąpił krok do tyłu. Bali się mnie. Mieli ku temu powody. Rana w moim sercu już się zamknęła. Och, ileż uciechy możemy mieć my, radykalni regeneraci, gdy nic innego już nam nie pozostaje.

– Panie – przemówił – jakimkolwiek jesteś bogiem czy też jakimkolwiek bogowi służysz, błagamy cię, powiedz, czego chcesz, a my ci to damy, tylko powrót do morza.

Powrót do morza był wykluczony. Byłem dobrym pływakiem, mając po jednej parze rąk i nóg. Teraz miałem więcej balastu, a trochę mniej koordynacji.

– Wysadźcie mnie na ląd – powiedziałem – i będziemy kwita.

Gdybym myślał wtedy sprawniej lub gdybym lepiej widział, tyranizowałbym ich trochę dłużej i próbowałbym się dostać na bardziej przyjazny brzeg. Ale niewiele widziałem do chwili, gdy znalazłem się na dziobie szalupy razem z sześcioma skamieniałymi ze strachu marynarzami, którzy ożywali gwałtownie za każdym razem, gdy bosman kazał im wiosłować, a potem znów nieruchomieli, patrząc na mnie kamiennym wzrokiem. Zauważyłem to, kiedy mój wzrok doszedł do siebie – ale do brzegu byłem zwrócony plecami.

Łódź uderzyła o dno, a ja niezgrabnie przekroczyłem burtę i pobrnąłem przez wodę. Dopiero kiedy wyszedłem na brzeg, rozejrzałem się i zobaczyłem, gdzie jestem.

Obróciłem się najszybciej jak mogłem, ale szalupa była już prawie przy statku niewolniczym. Przyzywać ją nie było już sensu. Właśnie chytrze ich zmusiłem, żeby pomogli mi w samobójstwie.

Stałem nagi na plaży o szerokości kilkuset metrów. Za nią wznosiły się skaliste, surowe, kamienne zbocza, zwane przez muellerskich żeglarzy „Kąpiel Piaskowa”. Za nimi rozpościerała się najstraszliwsza pustynia na świecie. Lepiej poddać się wrogowi, niż zostać wysadzonym na brzeg tu, gdzie nie było ścieżek, gdzie nigdy nie zatrzymywały się łodzie, gdzie marsz w głąb lądu prowadził cię tylko głębiej w nieznaną pustynię Schwartz. Nie było tu życia. Nie było nawet wiechciowatych zarośli, jakie spotyka się na pustkowiach zachodniego wybrzeża Rękawa. Nie było nawet owadów. Nic.

Popołudnie. Słońce prażyło. Moja skóra, biała jak śnieg z powodu długiego zamknięcia w ciemności, już mnie paliła. Jak długo zdołam przeżyć bez wody?

Czemu nie trzymałem gęby na kłódkę w tamtej chłodnej, ocienionej, dobrze nawodnionej celi? Czemu nie powiedziałem czegoś, co rozproszyłoby trwogę załogi?

Szedłem, gdyż nie było nic więcej do roboty; gdyż według starych opowieści w centrum Schwartz powinny płynąć ogromne rzeki, które wsiąkały w ziemię, zanim zdążyły dotrzeć do innych krain; gdyż nie chciałem, żeby znaleziono mój szkielet tuż przy brzegu, jakbym nie miał dość odwagi, żeby podjąć jakąkolwiek próbę.

Nie było wiatru.

Zanim zapadł zmrok, traciłem już oddech z pragnienia. Byłem zmęczony aż do bólu. Nie dostałem się na szczyt wzniesienia –

wydawało się, że morze jest śmiesznie blisko. Kiepski był ze mnie wspinacz z tyłoma kończynami. Nie mogłem spać, więc zmuszałem ospałe mięśnie, by wiodły mnie dalej w ciemność. Czekałem na ciemność, gdy na pustynię przychodzi chłód, przynosząc ulgę po upalnym dniu. Było lato, czy też mogło to być lato, ale noc w tej okolicy okazała się zimniejsza, niż się spodziewałem, i szedłem wciąż, nawet gdy już zachciało mi się spać, ponieważ ruch mnie rozgrzewał.

Kiedy wzeszło słońce, byłem wyczerpany. Osiągnąłem jednak szczyt, mogłem spojrzeć naprzód i ujrzałem nie kończące się piaskowe wydmy, a gdzieś tam, w pewnym oddaleniu, góry. Obejrzałem się i zobaczyłem daleko jasne, błękitne morze.

Na horyzoncie nie było żadnych statków. A na lądzie nie było cienia – nigdzie nie mogłem się skryć przed żarem dnia.

Szedłem więc, obrawszy dowolnie jedną z gór za swój cel, po to, by w ogóle mieć jakiś cel. Wydawało się, że jest równie odległa jak inne i równie nieosiągalna.

Podejrzywałem, że dzisiaj umrę. Byłem tłusty, bo nie ćwiczyłem, słaby, bo nie miałem nadziei.

Do południa koncentrowałem się jedynie na tym, by brnąć naprzód. Teraz nie było żadnych myśli o życiu i śmierci. Tylko krok. I znowu krok.

Tej nocy spałem na piasku. Żadne owady nie brzęczały wokół mej głowy, ponieważ żaden insekt nie był na tyle głupi, żeby próbować przeżyć w miejscu, gdzie teraz byłem.

Zadziwiłem samego siebie. Obudziłem się i poszedłem dalej. Moja śmierć była bardziej odległa, niż mi się zdawało. Ale z pewnością niewiele bardziej. Z kierunku mego cienia wnosilem, że wciąż jest ranek, kiedy doszedłem do miejsca, gdzie piasek ustępował kamieniom i surowym, pojedynczym skałom. Byłem pozbawiony wszelkiej ciekawości i nie zastanawiałem się, czy jest to odgałęzienie góry. Ważne było, że dawało cień. I kiedy w nim się położyłem, moje serce przestało bić, wciągnąłem powietrze i przekonałem się, że śmierć, mimo wszystko, nie jest taka zła, jeśli tylko przyjdzie szybko, jeśli tylko nie będzie zwlekać, jeśli tylko nie będę musiał leżeć tu całą wieczność, zanim będę mógł odejść.

6. SCHWARTZ

Nachylał się nade mną, ale moje oczy nie mogły się zogniskować. Był to jednak mężczyzna, a nie majak Dintego, Kupy czy nawet mnie samego.

– Czy chciałbyś umrzeć? – zapytał.

Głos jego był młodzieńczy, poważny. Zastanawiałem się, jaki miałem wybór.

Jeżeli życie oznaczało jeszcze jeden dzień na pustyni podobny do tych, które już tam spędziłem, odpowiedź brzmiała: „tak”. Z drugiej jednak strony, ta osoba, ta halucynacja, cokolwiek by to było, żyła. Można więc żyć na pustyni.

– Nie – odparłem.

Nie zrobił nic. Obserwował mnie tylko.

– Wody – powiedziałem.

Skinął głową. Zmusiłem się do powstania, do oparcia się na dwóch łokciach, kiedy odstepił ode mnie na krok. Czy szedł po pomoc? Zatrzymał się i przykucnął na skałach. Był nagi i nie miał nic przy sobie. Nie miał nawet butelki z wodą. Znaczyło to, że woda jest w pobliżu. Dlaczego czekał? Powinno być dla niego jasne, że nie mogę mu niczym zapłacić. Czy też może nie uważał mnie – potwora – za człowieka?

Musiałem się napić, bo groziła mi śmierć.

– Wody – powtórzyłem.

Tym razem nie odpowiedział, nawet nie skinął głową. Popatrzył tylko na piasek.

Czułem, jak bije moje serce – miarowo i z wigorem. Trudno było uwierzyć, że nie tak dawno zatrzymało się. Skąd przyszedł ten chłopak? Dlaczego nie przynosi wody?

Czy chce dla zabawy obserwować, jak umieram?

Spojrzałem na piasek, za jego wzrokiem. Piasek poruszał się.

Przesypywał się wolno na prawo i lewo. W niektórych miejscach tworzyły się małe zagłębienia, piasek osypywał się, zsuwał się do czegoś cicho, szmerząc, zapadając się, aż powstało koło o średnicy około półtora metra, które bezgłośnie wypełniło się lekko wirującą

woda, czarną wodą, wodą, która mnie oślepiła odbitym światłem słonecznym.

Młodzieniec popatrzył na mnie. Niezgrabnie uniosłem się – bolał mnie każdy mięsień z wyjątkiem mego mocnego, młodzieńczego serca – i podczołgałem do wody. Była teraz spokojna. Spokojna i chłodna, głęboka i smaczna, a ja zanurzyłem w niej głowę i piłem. Unosiłem głowę, żeby odetchnąć, dopiero wtedy gdy musiałem.

W końcu ugasiłem pragnienie, podniosłem się, a potem opadłem na piasek obok.

Byłem zbyt zmęczony, żeby zastanawiać się, dlaczego z piasku wytrysnęła woda i skąd chłopak wiedział, że ona tu wytryśnie. Zbyt zmęczony, żeby się zastanawiać, dlaczego teraz woda wsiąka w piasek i zostawia mokrą plamę, szybko parującą w słońcu. Zbyt zmęczony, żeby udzielić jasnej odpowiedzi chłopakowi, gdy spojrzał na moje ciało i spytał:

– Dlaczego jesteś taki? Taki dziwny?

– Bóg mi świadkiem, że to nie z mojej woli – powiedziałem i znów zasnąłem.

Tym razem, zasypiając, nie oczekiwałem śmierci. Przeciwnie, byłem pewien, że pozostanę przy życiu. Wiare tę czerpałem w jakiś irracjonalny sposób z tego, że szczęśliwym przypadkiem znaleziono mnie tuż obok źródła na bezwodnej pustyni.

Kiedy znów się zbudziłem, była noc, a ja zapomniałem zupełnie o chłopcu.

Otworzyłem oczy i w świetle księżyca zobaczyłem jego przyjaciół.

Wszyscy milczeli. Siedzieli wokół mnie – tuzin poczerwiałych od słońca mężczyzn ze spłowiałymi włosami. Ich oczy nieruchomo wpatrywały się we mnie.

Byli żywi, ja także, i nie miałem nic przeciwko temu.

Powiedziałbym cokolwiek, poprosiłbym ich o schronienie, gdyby coś nie odciągnęło mej uwagi. Przyjrzałem się memu ciału jakby od środka. Zauważyłem, że nie było w nim nic szczególnego. Coś tu było bardzo nie w porządku.

Nie. Coś tu było bardzo w porządku.

Nic nie ścigało mnie na lewą stronę i trzy nogi nie usiłowały zrównoważyć dwóch. Plecy nie wyginały mi się w dziwny łuk, pod którym mogłyby spocząć podczas snu wszystkie kończyny. Nie

szczypało mnie powietrze, boleśnie wciągane przez dodatkowy nos. Od środka czułem jedynie dwie ręce, dwie nogi, pleć, z którą się urodziłem, normalną twarz. Nie czułem nawet piersi. Nawet tego. Podniosłem swą lewą rękę (tylko jedną!) i dotknąłem klatki piersiowej. Zaokrągląły ją tylko mięśnie. Była twarda od mięśni. Poklepałem się po torsie, a moja ręka była energiczna i silna.

Co było rzeczywiste? Co było snem? Czyż nie przebywałem na statku w zamknięciu przez kilka miesięcy? Czy to również była halucynacja? Jeżeli tak, to jak się tu znalazłem? Nie mogłem uwierzyć, że ponownie stałem się normalny.

Wtedy przypomniał mi się chłopak i woda, która wytrysnęła na pustyni. Więc to także był sen. Kiedy umierałem, wydarzyły się rzeczy niemożliwe. Sny o wodzie. Sny o zdrowym i normalnym ciele. To były sny umierającego. Czas się rozciągnął w ostatnich chwilach życia, jakie mi jeszcze pozostały.

Ale przecież moje serce biło zbyt mocno jak na umarłego. I byłem tak pełen życia, jak kiedyś, zanim w ogóle wyjechałem z Mueller. Jeżeli to ma być śmierć, chcę jej jeszcze, pomyślałem.

– Czy je odcięliście? – spytałem ich.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. Potem jeden z nich zapytał:

– Odcięliśmy?

– Odcięliście – rzekłem. – Bym stał się właśnie taki. Normalny.

– Helmut powiedział, że ich nie chcesz.

– To niczego nie da. Odrosną.

Mój rozmówca wyglądał na zaskoczonego.

– Nie sądzę – powiedział. – Zreperowaliśmy to.

Zreperowali. Poprawili to, co setka pokoleń Muellerów usiłowała uleczyć i nie mogła. Więc do tego właśnie doszli Schwartzowie. Arogancja dzikusów.

Wzbierało we mnie uczucie pogardy, ale zreflektowałem się. Nie wiedziałem, co zrobili, lecz nie powinno to dać takich wyników. Jeśli coś odcinano radykalnemu regeneratowi, musiało to odrosnąć. Radykalnemu regeneratowi rosły kończyny w najdziwaczniejszych miejscach i ciągle dochodziły nowe, aż umierało się od samego ich ciężaru i niewydolności. A oni odcięli me piersi i wszystkie inne dodatki, a rany zagoiły się normalnie, bez żadnych blizn.

Ciało moje odzyskało swą właściwą formę. Kiedy chłopak wpatrywał

się w piasek, trysnęła woda, a ja ją piłem. Pozorna arogancja tych ludzi – czy nie była to, mimo wszystko, jedynie pewność siebie? Jeśli to, co widziałem i czułem, istniało w rzeczywistości, ci ludzie, ci Schwartzowie, mieli coś niezwykle cennego, coś nie do uwierzenia.

– Jak to zrobiliście? – spytałem.

– Od środka – rzekł mężczyzna, uśmiechając się promiennie. – Pracujemy tylko od środka. Czy chcesz teraz kontynuować swój marsz? Było to pytanie absurdałne. Ja, bezradny potwór, umierałem z pragnienia na pustyni, a oni uratowali mi życie i wyleczyli moje zniekształcenia. Teraz spodziewali się, że dalej powędruję przez piaski, jakbym wypełniał jakieś zadanie, które zostało opóźnione przez ich interwencję.

– Nie – odpowiedziałem.

Siedzieli w milczeniu. Na co czekali? W Mueller nikt nie ociągałby się z zaproszeniem obcego do swego domu – zwłaszcza jeśli obcy był bezradny – i z ofiarowaniem mu schronienia. Chyba że myślałby, iż ten człowiek to wróg, ale wówczas przy pierwszej sposobności strzeliłby do niego z łuku. Ci ludzie natomiast czekali.

Co kraj to obyczaj.

– Czy mogę zostać z wami? – zapytałem.

Skinęli głowami. Ale nic nie dodali.

Straciłem cierpliwość.

– Czy wobec tego zabierzecie mnie do domu?

Spojrzeni po sobie. Wzruszyli ramionami.

– Co masz na myśli? – zapytali.

Zakląłem w duchu. Jeden język na całej planecie, a oni nie rozumieją tak prostego słowa jak „dom”.

– Dom – powtórzyłem. – Tam, gdzie zwykle żyjecie.

Znowu rozejrzeli się wokół i ten, który ze mną rozmawiał, rzekł:

– Żyjemy w tej chwili. Nie potrzebujemy specjalnego miejsca, by żyć.

– Dokąd idziecie, aby nie być na słońcu?

– Jest przecież noc – zdziwił się mężczyzna, jakby nie rozumiejąc. – Nie jesteśmy na słońcu.

Nie prowadziło to do niczego. Ale byłem zdziwiony i zadowolony, że jestem w takiej formie, iż mogę prowadzić rozmowę. Będę żył! Znowu zdrowy, silny i rozmowny, to było jasne.

– Muszę iść z wami. Nie mogę żyć sam, tu na pustyni.

Kilku z nich, ci, którzy wyglądali na najstarszych – ale któż to może wiedzieć –

kiwnęli mądrze głowami. Wydawali się mówić: „Oczywiście! Ludzie są przecież różni”.

– Jestem obcy na pustyni. Nie mam pojęcia, jak, do diabła, tutaj przeżyć. Może zechcecie mnie doprowadzić do skraju pustyni. Może do Sill albo do Wong.

Kilku z nich zaśmiało się.

– O nie – powiedział mój rozmówca. – Wolelibyśmy nie. Ale możesz żyć z nami, zostać z nami, uczyć się od nas i być jednym z nas.

Ale żadnych wizyt na granicach. Doskonale, jak na razie. Doskonale, dopóki nie nauczę się, jak przetrwać w tym piekle, gdzie im żyło się tak wygodnie. Tymczasem byłem zachwycony, że będę mógł żyć z nimi i uczyć się od nich, tym bardziej, że drugim wyjściem była śmierć.

– Tak – zgodziłem się. – Zostanę jednym z was.

– Dobrze – rzekł mój rozmówca. – Zbadaliśmy cię. Masz dobry mózg. Byłem rozbawiony i nieco urażony. Otrzymałem najlepsze wykształcenie, na jakie mogła się zdobyć najbardziej cywilizowana rodzina Zachodu, a te dzikusy zbadały mój mózg i stwierdziły, że jest dobry.

– Dzięki – wymamrotałem. – Co z jedzeniem?

Znów wzruszyli ramionami, zaskoczeni. Zapowiadała się długa noc. Byłem zbyt zmęczony, żeby się tym teraz zajmować. To wszystko zniknie, kiedy naprawdę obudzę się rankiem. Albo kiedy skończę już umierać. Tak więc położyłem się znów i zasnąłem.

Rankiem wciąż żyłem.

– Dzisiaj będę z tobą – oznajmił chłopiec, który mnie znalazł. – Kazano mi, bym dał ci wszystko, czego potrzebujesz.

– Śniadanie – powiedziałem.

– Co to takiego? – zdziwił się.

– Jedzenie. Jestem głodny.

Potrząsnął głową.

– Nie. Nie jesteś.

Miałem właśnie urwać mu głowę za impertynencję, kiedy uświadomiłem sobie, że mimo iż przez ostatnie dni nic nie jadłem, nie byłem wcale głodny. Tak więc zdecydowałem się nie ciągnąć dalej tego tematu. Na słońcu już było gorąco, choć ledwie świtało. Moja skóra,

która była blada i na początku każdego lata łatwo się spiekała, zbrązowiała już i mogła wytrzymać bezpośrednie działanie słońca. Zaczynał

się następny dzień, a moje ciało pozostało takie, jak powinno. Zerwałem się na nogi (czy kiedykolwiek przy wstawaniu czułem się tak dobrze?) i skoczyłem ze skały, na której spałem, na piasek w dole, krzycząc najgłośniej, jak potrafiłem. Nie mogłem się powstrzymać. Zatoczyłem duże koło, a potem, niezręcznie fiknąwszy kozła na piasku, wyładowałem rozciągnięty na plecach.

Chłopiec zaśmiał się.

– Imię! – zawołałem. – Jak ci na imię?

– Helmut – odpowiedział.

– A ja nazywam się Lanik! – odkrzyknąłem.

Uśmiechnął się szeroko, potem zaś zeskoczył i pobiegł ku mnie. Zatrzymał się jedynie o metr ode mnie, a ja błyskawicznie wyciągnąłem rękę, by go przewrócić. Nie jestem przyzwyczajony, żeby przewidywano moje ataki, ale Helmut podskoczył dokładnie na taką wysokość, bym nie mógł go trafić. Potem, zanim w ogóle zdążyłem zareagować, lekko skoczył na mnie, uderzając w moje biodra obydwoma stopami.

– Ależ z ciebie szybki konik polny – powiedziałem.

– Ależ z ciebie powolna skała – odrzekł, a ja rzuciłem się na niego. Tym razem pozwolił mi się dopaść i mocowaliśmy się przez jakiś kwadrans. Ja byłem silny i ciężki, dlatego nie mógł mnie unieruchomić, ale on był szybki i wyzwał się z moich chwytów, chwytów, z których nie wyrwał się dotąd nikt.

– Remis? – zapytał.

Odparłem:

– Chciałbym cię mieć w mojej armii.

– Co to jest armia?

W moim dotychczasowym świecie pytanie takie było równoważne pytaniu: „Co to jest słońce?”

– Co się z wami dzieje? – zapytałem. – Nic nie wiecie o jedzeniu, o śniadaniu, o armiach...

– Nie jesteśmy cywilizowani – rzekł.

Potem uśmiechnął się szeroko i puścił się biegiem. Postępowałem podobnie jako dziecko, zmuszając guwernerów, trenerów i nauczycieli

do pogoni za mną. Teraz ja byłem goniącym i gramoliłem się za nim na skaliste wzgórza oraz zjeżdżałem po piaskowych stokach wydm. Słońce paliło i ociekałem potem, kiedy w końcu dobiegłem do skały, którą on mijał zaledwie sekundę wcześniej. Poczulem, jak skoczył mi z góry na ramiona.

– Wio, koniu, wio! – krzyknął.

Sięgnąłem i ściągnąłem go. Był lżejszy, niż wskazywały na to jego wzrost i tusza.

– Konie? – zapytałem. – Wiecie o koniach?

Wzruszył ramionami.

– Wiem, że ludzie cywilizowani jeżdżą na koniach. Co to jest koń?

– Co to jest skała? – zapytałem rozjątrzony.

– Życie – wyjaśnił.

– Cóż to za odpowiedź? Jeśli w ogóle istnieje coś martwego, to właśnie skała.

Twarz jego pociemniała.

– Powiedziano mi, że jesteś dzieckiem, tak więc ja, który jestem dzieckiem z własnego wyboru, powinienem cię uczyć. Ale ty jesteś zbyt głupi, aby być dzieckiem.

Nie przywykłem, by nazywano mnie głupim. Ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy miałem dostatecznie wiele powodów, by uświadomić sobie, że nie zawsze będę traktowany jak najlepszy żołnierz Muellera. Postanowiłem więc trzymać język na wodzy. Poza tym powiedział „z wyboru”.

– Więc mnie ucz – zażądałem.

Odpowiedział natychmiast, jak gdyby mógł mnie uczyć dopiero wtedy, gdy o to poprosiłem.

– Zaczniemy od skały – przesunął delikatnie palcami po powierzchni kamienia. –

Skała żyje – powiedział.

– Taa... – mruknąłem.

– Stoimy na jej skórze – ciągnął. – Pod spodem kipi jej gorąca krew, jak u człowieka. Ale ona jest dobra i uczyni człowiekowi dobro, jeśli tylko człowiek do niej przemówi.

Znowu religia. Gdyby nie to – i fakt ten mnie dręczył, chociaż starałem się o nim nie myśleć – że mnie wyleczyli.

– Jak... hm, mówicie do skały? – spytałem.

– Trzymamy ją w umyśle. I jeśli wie, że nie jesteśmy zabójcami skał, pomaga nam.

– Pokaż mi to – powiedziałem.

– Co mam pokazać?

– Jak rozmawiasz ze skałą.

Potrząsnął głową.

– Nie mogę ci tego pokazać, Laniku. Musisz zrobić to sam.

Wyobraziłem sobie, jak jestem pogrążony w ożywionej konwersacji z otoczką, i skierowałem się w myśli do domu wariatów, gdzie, w gruncie rzeczy, tak niedawno przebywałem. Ciągłe stało przede mną zadanie ogarnięcia rzeczywistości i zastanawiałem się, czy przypadkiem to nie ja źle słyszę, a on mówi z sensem.

– Nie potrafię.

– Wiem o tym – rzekł, kiwając przyjaźnie głową.

– Co się dzieje, kiedy przemawiasz do skały? – zapytałem.

– Ona słucha. Odpowiada.

– Co mówi?

– Ustami nie można tego przekazać.

Prowadziło to donikąd. Było to jak gra. Nic nie mogłem dostać dopóki o to nie poprosiłem, a jeśli źle sformułowałem prośbę, nie dostawałem tego. Tak jak z jedzeniem – tylko że kiedy o tym pomyślałem, zdałem sobie sprawę, że wciąż jeszcze nie jestem głodny.

– Posłuchaj, Helmucie, jakie rzeczy może robić skała?

Uśmiechnął się.

– Czego człowiek może chcieć od skały?

– Żelaza – podsunąłem.

Wyglądał na zagniewanego.

– Żelazo na tym świecie jest schowane głęboko pod powierzchnią, gdzie ludzie nigdy nie dotrą.

– Ścieżki na wysoką turnię – powiedziałem, mając nadzieję, że go ułagodzę, odwracając jego myśli od mej pierwszej sugestii.

Naga ściana skalna przed nami była niedostępna, przez chwilę zastanawiałem się, jak Helmut na nią wszedł.

Teraz patrzył w skupieniu na skałę, tak jak na piasek, wtedy gdy spotkałem go po raz pierwszy. Kiedy go obserwowałem, usłyszałem słaby, szeleszczący dźwięk.

Rozejrzałem się i zobaczyłem, jak z małego zagłębienia w ścianie

wypływa piasek, w miejscu, gdzie nie było przed chwilą żadnej nierówności. Piasek przestał spadać.

Sięgnąłem i wygarnąłem jego resztkę, włożyłem tam swoje palce u nóg i podciągnąłem się. Sięgnąłem do góry, ale nad sobą nie mogłem znaleźć żadnego chwytu.

– Trzymaj się! – zawołał chłopiec i nagle piasek zaczął wysypywać się spod mych palców, tworząc chwyt. Było to tak, jakby setki małych pajęczków nagle wytrysnęło ze skały. Wycofałem dłoń i wygarnąłem piasek. Helmut mlasnął językiem.

– Nie. Teraz musisz się wspinać. Nie odrzucaj daru.

Mówił serio. Tak więc wspinałem się, a nowe chwyt i stopnie pojawiały się tam, gdzie ich potrzebowałem, aż osiągnąłem wierzchołek.

Siedziałem z zapartym tchem. Nie dlatego, żeby wspinaczka była męcząca, ale dlatego, że to, co widziałem, mogło być tylko magią. Helmut stał hen, w dole, patrząc w moim kierunku. Nie byłem jeszcze gotów do zejścia.

– Wejdź tutaj! – zawołałem.

Nie wykorzystał moich chwytów. Podszedł natomiast do ściany w miejscu, gdzie była gładka i bez żadnych rys. Popęzł szybko w górę. Wychyliłem się nad krawędzią, patrząc, jak się wspina, i poczułem okropny zawrót głowy, tak jakby grawitacja zmieniła kierunek – on znajdował się na płaskim terenie, a ja byłem zawieszony w jakiś niewiarygodny sposób na skale.

– Co to za miejsce? – spytałem lub raczej wyszeptałem, kiedy osiągnąłem wierzchołek i usiadł przy mnie. – Jakimi jesteście ludźmi?

– Jesteśmy dzikusami – odpowiedział. – A to jest pustynia.

– Nie! – krzyknąłem. – Bez wykrętów! Wiesz, o co pytam! Robicie rzeczy, których istoty ludzkie po prostu nie potrafią robić!

– Nie zabijamy – rzekł.

– To niczego nie wyjaśnia.

– Nie zabijamy zwierząt – podjął. – Nie zabijamy roślin. Nie zabijamy skał. Nie zabijamy wody. Pozostawiamy wszystkie istoty przy życiu, więc one również zostawiają nas przy życiu. Jesteśmy dzikusami.

– Jak można zabić skałę.

– Krojąc ją – wyjaśnił. Wydawało się, że zadrzał.

– Skala jest dość twarda – stwierdziłem, czując znów swą wyższość. – Nie czuje bólu, tak przynajmniej słyszałem.

– Skala jest żywa – rzekł. – Od skóry do głębi serca. Tu, na powierzchni, utrzymuje nas na sobie. Trochę skóry się ściera i złuszcza, tak jak u nas, w postaci piasku, żwiru i głazów. Ale to są wciąż jej części. Kiedy ludzie tną, kroją skałę, nie spada tam, gdzie powinna. Oni biorą skały i robią z nich fałszywe góry, a wtedy ta skała jest martwa. Już nie jest częścią tej pierwszej. Jest dla niej stracona, aż do chwili, gdy po stuleciach zdoła ona tę martwą skruszyć na piasek. Mogłaby cię zabić kichając – mówił gniewnie Helmut – ale nie czyni tego. Ponieważ ma szacunek dla życia. Nawet cywilizowanego życia.

Helmut nie mówił tak, jak mówią dzieci.

– Ale ona będzie zabijała – ciągnął – kiedy nadejdzie wielka potrzeba i nastąpi właściwy czas. Kiedy cywilizowani ludzie z Sill doszli do wniosku, że muszą posiadać więcej tej pustyni, przybyli z armiami, by nas zabić. Mieszkało tam wiele kobiet, spokojnych śpiochów, ale mężczyźni z Sill zabili je. Tak więc zwołaliśmy radę i przemówiliśmy do skały, a ona zgodziła się z nami, że nadszedł czas wymierzenia sprawiedliwości.

Przerwał.

– I co? – przynaglałem go.

– I ona ich przełknęła.

Wyobraziłem sobie jeźdźców z Sill w głębi pustyni: nagle widzą, że piasek pod nimi wzbiera i przesiewa się, konie grzęzną, nie mogąc znaleźć oparcia dla kopyt...

Piasek zamyka się nad ich głowami, a oni wrzeszczą, krztuszą się i połykają go; w końcu piasek połyka jeźdźców, a ich kości wypolerowane zostają do czysta.

– Sill nigdy więcej nie posyłał armii na pustynię – rzekł Helmut. – Wtedy właśnie odkryliśmy, że jesteśmy dzikusami. Ludzie cywilizowani nie przedkładaliby skał nad ludzi. Ale, z drugiej strony, dzikusy nie zabijają śpiących kobiet. Czyż nie?

– To wszystko prawda? – spytałem.

– Czy nie wspiąłeś się na tę skałę?

Leżałem na plecach i patrzyłem w błękitne niebo, gdzie nie było ani jednej chmurki.

– Jak to jest? Dlaczego właśnie wy umiecie komunikować się ze

skalami...

Nie mogłem skończyć. To brzmiało głupio.

– Wstydzisz się – rzekł.

– Do diabła, masz rację – odpowiedziałem.

– Jesteś dzieckiem. Ale rozmawiać ze skałą jest najłatwiej. Jest prosta. Jest duża.

Tak duża, że z łatwością możesz ją uchwycić. Nasze dzieci uczyły się tego przede wszystkim.

– Uczyły?

– Kiedy mieliśmy dzieci. Teraz, kiedy nikt z nas nie umiera, dlaczego mielibyśmy powiększać naszą liczbę? Nie mamy takiej potrzeby. I niektórzy z nas postanowili zostać na zawsze dziećmi, tak żeby starsi się cieszyli, i ponieważ wolimy się bawić, niż zajmować głębokimi myślami.

Gdyby ktoś opowiedział mi o tym, kiedy byłem bezpiecznie zanurzony w trzewiach zamku Muellera, roześmiałbym się mu w twarz. Śmiałbym się ironicznie.

Najalbym człowieka, snującego takie historie, jako błazna. Ale wspiąłem się na tę skałę. Piłem tamtą wodę. Uleczono moje ciało.

– Naucz mnie, Helmucie – odezwałem się. – Chcę przemawiać do skały.

– Węgiel jest subtelny – odrzekł. – Przywiera do wszystkiego i tworzy dziwne łańcuchy. Jest bardziej miękki niż skała, ale może tworzyć małe życia, podczas gdy skała żyje tylko w ogromnych kulach, które kręcą się wokół słońca. Mówić do węgla jest trudno. Wymaga to wielu głosów, żeby tak subtelny kamień usłyszał.

– Ale przemówiliście do mnie.

– Znaleźliśmy miejsce, które się zepsuło. Znajdowało się ono w twoich najdłuższych łańcuchach, a my nauczyliśmy je, jak układać się w inny sposób, tak żeby uleczyły tylko to, co zostało stracone, a nie to, co jest wciąż zdrowe. Z początku myśleliśmy, że jesteś taki jak my, że możesz rozmawiać z węglem, ponieważ twoje łańcuchy były inne. Nie mieliśmy w ciałach tej zdolności gojenia – musieliśmy goić każde zadrapanie, po jednym na raz. Podobało nam się to, co zrobiłeś, więc pozmienialiśmy się nawzajem i teraz wszyscy zdrowiejemy podobnie jak ty.

No i koniec z sekretem Muellerów, pomyślałem.

– Dlaczego nie zrobiliście tego wcześniej?

– Nie robimy wiele z łańcuchami węglowymi. One są subtelne, mogą stwarzać problemy. Dokonujemy tylko niewielkich przemian. Ale, żeby wynagrodzić cię za przemianę wygajającą, której nas nauczyłeś, daliśmy ci przemianę życiodajną.

Zbliżał się zmrok, a my wciąż siedzieliśmy na skalnym słupie. Przepaść była jedyną drogą do piasku u stóp skały.

– Co to jest przemiana życiodajna? – zapytałem.

– Ludzie cywilizowani zabijają, ponieważ muszą żyć. Aby dostać energię, muszą mordować rośliny lub zwierzęta. Kiedy zabijanie jest tak powszechne, nie mają zupełnie szacunku dla życia.

– A co robicie wy?

– Jesteśmy dzikusami. Pobieramy energię z tego samego źródła, co rośliny.

I wskazał tam, gdzie niebo było wciąż rozjaśnione słońcem, które skryło się za zachodnimi górami.

– Ze słońca – powiedziałem.

– Właśnie dlatego nie jesteś głodny.

Mówił dalej w ciemności i zrozumiałem, co osiągnęła Schwartz. Geolog, w raju geologów, a po niej jej dzieci, przejęły głęboki szacunek dla skał, pogłębiały wciąż ich rozumienie, aż udało im się obudzić nie samą ziemię, ale te części swoich umysłów, które mogą obejmować struktury i je zmieniać. Ich język był mistyczny, ale nie tajemniczy. Rozumieli nawet DNA w stopniu niedostępnym dla ekspertów Muellera.

Jednak ceną za ich wiedzę była cywilizacja. Nie mogli stosować narzędzi, budować domów, używać języka pisanego. Gdyby wszyscy wymarli, a na pustynię przybyliby archeolodzy, nie znaleźliby nic prócz ciał i dziwili się, że zwierzęta w ludzkim ciele mogły być tak całkowicie pozbawione inteligencji.

– Jak mogę się nauczyć rozmawiać ze skałą? – zapytałem.

Z ciemności dobiegł mnie głos Helmuta.

– Musisz skoczyć z tej skały w ciemność.

Mówił serio. Ale to było niemożliwe.

– Zabiję się.

– Zdarzały się takie rzeczy – rzekł Helmut. Czy był rozbawiony? Nie widziałem jego twarzy. – Ale musisz zrobić to zaraz. Za parę minut wszędzie Niezgoda.

– Dlaczego moje samobójstwo ma mi pomóc w rozmowie ze skałą?
Próbowałem obrócić to w żart. Helmut był zbyt poważny.

– Zabijałeś, Laniku – rzekł Helmut. – Musisz poddać się osądowi, czy nie robiłeś tego ze złej woli. Jeśli piasek przyjmie cię łagodnie, skała pozwoli ci się poznać.

– Ale... – zacząłem mówić. Przerwałem, gdyż nie mogłem powiedzieć, że się boję. Dlaczego miałbym się bać, skoro nawet teraz nie jestem pewien, czy w pełni wierzę w to wszystko?

Nie. Wiedziałem, że się boję, ponieważ właśnie wierzyłem i nie byłem pewien, czy można mnie oczyścić z zarzutu złej woli. Rozkoszowałem się perspektywą wojny i chociaż nigdy nikogo nie zabiłem w bitwie, tam, w Mueller, zabiłem człowieka na statku singerskim, dwóch muellerskich żołnierzy, gdy wchodziłem do Ku Kuei, dwóch żołnierzy Allison, gdy stamtąd wychodziłem. Z pewnością zabiłem też innych, kiedy uciekałem z Nkumai. Te zabójstwa zostały na mnie wymuszone, w obronie własnej, ale czyż nie napawałem się później uczuciem triumfu i mocy? Czy była różnica między tym, a upodobaniem do zabijania? Ponadto aprobowałem ojcowską strategię wojenną, tęskniłem za chwilą, kiedy zostanę Muellerem i prześcignę jego dokonania. Czy ta tęsknota do dominacji wciąż tkwiła w moim sercu? Byłem człowiekiem naprawdę cywilizowanym. Nie mogłem uwierzyć, że jest jakaś szansa, że piasek, jak to powiedział Helmut, mnie zaakceptuje.

– Muszę ci powiedzieć – rzekł Helmut – że nie ma innego zejścia z tej skalistej wieży.

– A co z chwytami?

– Już znikły. Skoczysz albo zostaniesz tu na zawsze. I musisz skoczyć teraz, zanim wzejdzie Niezgoda, albo skok oznaczać będzie pewną śmierć.

– Niewiele pozostawiasz przypadkowi, prawda, chłopcze? – Byłem zły; zostałem schwyty w pułapkę.

– Duchowo jestem chłopcem, Laniku, ale byłem już stary, kiedy twój pradziad po raz pierwszy zrozumiał, że nie można siusiać do rodzinnej wody do picia. I wierzę, że jeśli skoczysz, jest duża szansa, że piasek cię przyjmie. Ale musisz mieć dosyć wiary w siebie, by skoczyć. Jeżeli uważasz, że jesteś mordercą, możesz równie dobrze tu zostać. Nie umrzesz, jeśli tu zostaniesz, wiesz o tym. Nie zginiesz z głodu. Po

prostu na zawsze pozostaniesz tu sam.

Wstałem. Wiedziałem, że we wszystkich kierunkach do brzegu wieży jest tylko kilka metrów. Ale nie mogłem zrobić kroku.

– Laniku – szepnął Helmut, a jego głos stał się znowu młody i niewinny. –

Laniku, wierzę, że piasek cię podtrzyma. – Chłodną, łagodną ręką dotknął mego uda, a ja stałem, drżąc na myśl o tym, co musiałem zrobić. – Chcę, żeby piasek cię utrzymał.

– Ja też – przyznałem.

– Więc skacz, póki wciąż jest ciemno.

Cofnął rękę. Podszedłem energicznie do krawędzi i nagle moja stopa nie znalazła oparcia, a ja nie byłem już w Schwartz, byłem w Nkumai i dałem w ciemności fałszywy krok, i teraz spadałem bez końca wśród milczących drzew, i wszystko inne było snem, wszystkie te miesiące były snem, a ja spadłem w Nkumai i miałem umrzeć, i nie chciałem krzyczeć, ale pozwoliłem, by wiatr, szumiąc, owiewał mnie i okręcał w powietrzu, żołądek podchodził mi do gardła, pęcherz nie poddawał się mojej woli, a na dole czyhała na mnie śmierć – to ziemia wystawiła na sztorc tysiące noży, które mnie potną i poharatają, gdy do nich dotrę, a potem wylądowałem w miękkich objęciach piasku, który rozstał się łagodnie, przesiał i zawirował, pryskając wokół ciepłem, zamknął mi się nad głową. Tam, w objęciach piasku, poczułem bijące serce ziemi, poczułem rytm strumieni wrzącej skały pode mną i gdzieś głęboko w moich uszach zabrzmiała dziwna pieśń. Ja zaś próbowałem wygodnie ułożyć się do snu, ale czułem dokuczliwe swędzenie powodowane przez kontynenty, tańczące w ciągu całych epok tam i z powrotem po mej skórze, i przez oceany zamarzające i opadające. I kiedy słyszałem melodię tego wielkiego tańca, docierała do mnie jednocześnie cicha muzyka przesuwających się piasków, spadających kamieni oraz osiadającej gleby. Słyszałem ból skały ciętej i wyrwanej w tysiącach miejsc na powierzchni mej skóry i zapłakałem nad tysiącem umierających kamieni i nad ginącą glebą, i nad śmiercią roślin, które ledwo żyły między kamieniem i niebem.

Po mej skórze przetaczały się armie żołnierzy, a każdy miał w sercu śmierć.

Rzeźbili martwe drzewa i wykonywali narzędzia, które miały nieść więcej śmierci.

Tylko że głosy ludzi były silniejsze niż głosy drzew i chociaż przerażający jest szept miliona łodyg pszenicy, kiedy umierają, to śmiertelne wycie umysłu człowieka jest najgłośniejszym krzykiem, jaki słyszy planeta. Czulem krew sączącą się przez mą skórę i już nie płakałem. Chciałem umrzeć, by uwolnić się od nieustannego łkania.

Wrzasnąłem.

Piasek przepływał przy mych uszach i między nogami, i kiedy przydusił mi twarz, oddzieliłem się od istoty, której uszy nasłuchiwały w moim imieniu, i poprosiłem – bez słów, gdyż nie ma ust mogących nadać dźwięk tej mowie – by piasek wyniósł mnie na powierzchnię.

Wzniosłem się przez ciepły piasek, a on rozwarł się nade mną. Rozpostarłem ręce i nogi na powierzchni, a piasek utrzymywał mój ciężar. Spadłem – tak mi się wydawało – ze szczytu skały do samego serca ziemi, a teraz żeglowałem po powierzchni, unoszony przez spokojną falę piasku.

Uśmiechnąłem się. Nade mną stał Helmut, też uśmiechnięty.

– Czy śpiewała dla ciebie?

Skinałem głową.

– I doszła do wniosku, że jesteś czysty.

– Albo sama mnie oczyściła – rzekłem i zadrżałem, przypomniawszy sobie wrzaski umierających.

Spojrzałem na skalną wieżę, z której spadłem. Miała najwyżej dwa metry. Oczy rozszerzyły mi się.

– Wznieśliśmy to, żeby cię tutaj przetestować – rzekł Helmut z uśmiechem. –

Jeślibyś nie skoczył, skruszylibyśmy ją i spadłbyś.

– Jacy mili ludzie – stwierdziłem, ale byłem tak pełen wrażeń, że nie zostało mi miejsca na gorycz.

Nie zdziwiłem się, kiedy Helmut ukląkł, dotknął mej piersi, a potem mnie objął.

Płakał. Łzy padały na moją skórę; ich krople zaraz wyparowywały.

– Kocham cię – szepnął – i cieszę się, że zostałeś przyjęty.

– Ja też się cieszę – rzekłem.

Zasnęliśmy. Tak mocno jak wcześniej przylegał do mnie piasek, tak teraz skóra Helmuta przylegała do mojej, nie po to, by mnie podniecić czy zaspokoić, ale żeby przekazać swe uczucie. I kiedy tak spaliśmy, śniliśmy razem. Poznałem prawdziwy głos Helmuta i pokochałem go.

Mógłbym pozostać w Schwartz na zawsze. Chciałem tego. I oni tego chcieli.

Uczyłem się szybko. Mimo że najbardziej widoczne symptomy mej radykalnej regeneracji zostały uleczone, ciało moje wciąż starało się być niezwykle. W mózgu istnieje pewien obszar potrafiący spełniać funkcje, dzięki którym Schwartzowie mogą przemawiać do skał. Kiedy nauczyłem się używać tej części mózgu, moje ciało rozwinęło ją, pozwoliło, aby się rozrosła. Czaszka wysklepiła mi się nieznacznie nad uszami, robiąc jej miejsce. Orędownik Rodziny powiedział mi w końcu:
– Teraz już nas przegoniłeś.

Byłem zdziwiony.

– Czyniecie rzeczy, o których nie mogę nawet marzyć.

– Robimy je wspólnie – powiedział. – Pojedynczo nie jesteśmy tak silni jak ty.

– Więc stańcie się podobni do mnie.

– Łańcuchy węglowe ukrywają pewne tajemnice nawet przed nami.

To było to. Jednak dopiero po wielu tygodniach uświadomiłem sobie, że mam dzięki temu przewagę, która mnie uwolni. Trwało to tak długo z tej prostej przyczyny, że nie chciałem się od nich uwalniać.

Podczas moich rozmów ze skałą dowiedziałem się wielu rzeczy, co sprawiło, że odzyskałem poprzedni punkt widzenia. Wojny ciągle trwały i kiedy nauczyłem się znosić mękę wielokrotnej śmierci, nauczyłem się również obserwować wojny i widzieć, gdzie staczone są bitwy. Kiedy mówiłem do skały, skóra ziemi stawała się moją skórą i nauczyłem się odczuwać, skąd nadchodzą krzyki. Początkowo bito się na równinie między Allison i górnym biegiem Rzeki Buntowników. Potem pole bitwy przeniosło się na pagórkowaty teren Robles i na północny zachód do zlewu rzek Myron i Buntowników, na to miejsce, gdzie rzeka Buntowników przestaje się nazywać Napaść, a zaczyna zwać się Mueller. A potem wojna dotarła do Wizer – kraju zdobytego przez mego Ojca. Oznaczało to, że Nkumai zmiotli wszystko przed sobą i stanęli u granic mojej ojczyzny.

Nie miało znaczenia to, że znałem sekret żelaza Nkumai. Nie miało znaczenia, że mój Ojciec odesłał mnie, a mój brat, Dinte, chciał mnie zabić. Nie byłem już radykalnym regeneratem, byłem dwukrotnie lepszym żołnierzem od mego Ojca i znacznie lepszym generałem od Dinte. Byłem potrzebny, jeśli moja Rodzina miała przetrwać.

Z początku pomysł pójścia na wojnę był dla mnie odpychający, ale myśl o tym, że Rodzina jest w potrzebie, targała mną i zacząłem wypytywać skałę. Spytałem, czy jakieś jedno życie może być ważniejsze od innego, skała odpowiedziała, że nie.

Spytałem, czy sprawiedliwie jest zabrać jedno życie, jeśli można przez to oszczędzić wiele innych. Skała odpowiedziała, że tak. I spytałem, czy lojalność ma jakiegokolwiek znaczenie dla sił wszechświata, i skała zapłakała.

Lojalność? Cóż jeśli nie lojalność kazała skale odpowiedzieć na zew Schwartzów. Planeta wiedziała, co to zaufanie, i spytałem, czy dobrze będzie, jeśli wrócę i poprowadzę swą Rodzinę. I skała rzekła, że tak.

Ta rozmowa nie była wynikiem jednej tylko nocy snu pod piaskiem. Trzeba było wielu nocy i wielu snów i dopiero po wielu miesiącach pojąłem, że mogę wrócić do domu. Że muszę wrócić do domu.

– Nie możesz wracać – powiedział ten, który mówił w imieniu Schwartzów.

– Skała mówiła do mnie i powiedziała, że powinienem iść.

– Skała powiedziała ci, że dobrze będzie, jeśli pójdziesz. Że to dobre dla ciebie.

Dobre dla twojej Rodziny. Ale to nie jest dobre dla nas.

– Dobre dla planety.

– Krew wsiąka w ziemię tak samo, bez względu na to, kto dzierży cywilizowane narzędzia – ciągnął mężczyzna. – Jeżeli odejdziesz, będzie to dobre i będzie to złe.

Nie mogę pozwolić ci odejść. Nikt z nas nie może pozwolić ci odejść. Wzięłeś wszystko, czego mogliśmy cię nauczyć, a ty użyjesz tego, żeby niszczyć i zabijać w imię lojalności.

– Przysięgam, że tego, czego mnie nauczyliście, nigdy nie użyję, aby zabijać.

– Jeśli będziesz zabijał, użyjesz tego, czego cię nauczyliśmy.

– Nigdy.

– Każdy człowiek, który zginie z twojej ręki, będzie już wiecznie krzyczał w twojej duszy, Laniku.

Powstrzymało mnie to na pewien czas.

Kiedy wojna przeniosła się na niziny Crameru, oddalone o niecałe trzysta kilometrów od Muellera nad Rzeką, naszej stolicy, nie mogłem dłużej czekać.

Bawiłem się z Helmutem na wierzchołkach ostrej jak nóż górskiej grani.

Wykonywaliśmy ćwiczenia akrobatyczne, jakieś tysiąc metrów nad piaskiem, kiedy wyciągnąłem spod niego głaz, a on spadł.

Skąła złapała go na półce, jakieś trzysta metrów poniżej mnie i wysoko ponad pustynią.

– Ty sukinsynu! – krzyknął.

– Musiałem to zrobić! – odkrzyknąłem mu. – Gdybyś ostrzegł radę, mogliby mnie zatrzymać!

– Powiedziałeś, że mnie kochasz!

Rzeczywiście powiedziałem. I mówiłem wtedy prawdę. Ale nic nie odrzekłem.

Próbowałem wdrapać się na skałę. Ale ja zabroniłem skale go utrzymywać, i byłem silniejszy. Próbowałem wytworzyć chwyt. Ale byłem silniejszy. Próbowałem rzucić się z półki na piasek poniżej, ale skała nie pozwoliła mu skoczyć, ponieważ tak jej powiedziałem. I byłem silniejszy.

Grań kierowała się na północny zachód, więc poszedłem na północny zachód.

Kiedy się skończyła, zeskoczyłem na piasek i biegłem przez cały dzień i noc, zakazując memu ciału spać. Użyłem najszybszego sposobu, w jaki mogli podróżować Schwartzowie, a ponieważ żaden Schwartz nie był ode mnie szybszy, żaden też pościg nie mógł mnie dogonić.

Zabrało mi to osiem dni. Spałem podczas biegu, gdyż mój umysł potrzebował

tego, nawet jeśli moje ciało mogło się obyć bez snu. W końcu dotarłem do miejsca, gdzie po niebie pędziły obłoki i gdzie od czasu do czasu ze szpar w skale wystawały kępki trawy. Opuściłem Schwartz. Powinienem być odczuć ulgę i nawet się cieszyć, że widzę zielen zamiast nie kończących się żółtości, brązów i szarzyzn pustyni, ale tak bardzo żałowałem, że odchodzę, iż zatrzymałem się, odwróciłem i prawie pobiegłem z powrotem.

Wspomniałem twarz mego Ojca. Wspomniałem jak mówił: „Lanik, na Boga, tak bym chciał coś z tym zrobić”. Słyszałem, jak jego głos błagał: „Ciało jest zrujnowane.

Czy umysł będzie mi wciąż służył? Czy mężczyzna wciąż będzie kochał swego ojca?”

Tak, ty głodny ziemi sukinsynu, pomyślałem. Wplątałeś się w coś, co cię przerasta. I ja przybędę. Przybywam.

Obróciłem się i skierowałem na północ, ku wyzynnemu krajowi Sill.

Kraj był zniszczony przez wojnę.

Na tle wypalonych pól odcinały się ruiny domów i kupy popiołu – pozostałość po skromnych chatach. Przemierzałem kilometry przypustynnych pól, które w najlepszym wypadku były drugorzędnymi terenami rolniczymi. Czemu służyło sianie tylu zniszczeń? W pobliżu nie było żadnych obiektów wojskowych. Jedyne, co można było osiągnąć, to wygłodzenie ludzi. Kraj został zamęczony. Storturowany.

A jednak znałem lud Nkumai (o ile można było ich poznać zza ich nie kończących się pokrętnych kłamstw) i takie zniszczenie nie leżało w ich naturze, nie w naturze ludzi, którzy mieli zwyczaj stawać w progach swych drzewnych domów i śpiewać nad ranem. Nawet ich niesamowicie rozrośnięta, niezdarna biurokracja i pełne hipokryzji zaprzeczenia, jakoby coś kupowali i sprzedawali dla zysku, były raczej objawami dobrych intencji niż głęboko zakorzenionego zepsucia. Poza tym żądza zysku kazałaby pozostawić te pola w stanie nie naruszonym. Tylko zła, bezmyślna nienawiść mogła skłonić kogoś do zniszczenia kraju zamiast do jego zdobycia.

Ale kto mógł nienawidzić nawet tych prostych, impulsywnych ludzi z Sill? Mój Ojciec zostawił ich w spokoju, chociaż podbił dwa sąsiednie ludy, ponieważ, pomimo swego hałaśliwego wiejskiego życia, chępliwości i ciągłych napadów, byli przecież nieszkodliwi.

Im dalej szedłem, tym bardziej byłem gniewny.

W końcu dotarłem do kraju nawadnianego przez rzeki i urządzenia irygacyjne.

Spotkałem tu ludzi naprawiających kanały. Wznoszono też nowe domostwa – byle jak sklecone chałupy, które miały chronić przed deszczem. Straciłem wycucie pór roku – wkrótce miała nadejść pora deszczowa.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nie jestem ubrany, a w tej części świata patrzono na nagość z dezaprobatą. Nie pomyślałem o tym, żeby nałożyć na siebie jakieś ubranie – obywałem się bez niego przynajmniej przez rok, od czasu kiedy w Nkumai spadłem z sieci. Ale skąd ma człowiek wziąć ubranie, skoro nie ma ani przyjaciół, ani pieniędzy, a ludzie gapią się na niego i unikają go, widząc, że

nadchodzi?

Problem rozwiązał się sam. Spałem, tym razem zarówno umysłem jak i ciałem, w trawie na brzegu Rzeki Wong. Kiedy się obudziłem, przyglądały mi się trzy kobiety.

Podniosłem się powoli, by ich nie przestraszyć.

– Witajcie – rzekłem, a one skinęły głowami. No i tyle rozmowy, pomyślałem. –

Nie mam zamiaru was skrzywdzić.

Znowu kiwnęły głowami.

– Wiemy.

Domyśliłem się, że ponieważ byłem bez ubrania, nie było dla nich tajemnicą, iż nie jestem w nastroju do gwałtu. Nie mogłem wymyślić, co powiedzieć dalej, z wyjątkiem rzeczy oczywistej:

– Potrzebuję ubrania.

Popatrzyły na siebie z zaskoczeniem.

– Nie mam pieniędzy – powiedziałem – ale obiecuję wam, że zapłacę za nie w ciągu miesiąca.

– Więc nie jesteś tym Nagim Człowiekiem – wymamrotała jedna z nich.

– Tym?! To znaczy którym? – spytałem.

– Idzie z pustyni przez pola. Niektórzy powiadają, że zemści się na naszych wrogach.

Tak więc zauważono mnie i rozeszła się wieść. Nie było znów takie dziwne, że ludzie ci byli skłonni posłużyć się zagadką, by zrobić z niej rozwiązanie swych problemów.

– Tak, to ja – rzekłem. – Przychodzę ze Schwartz. Mam zamiar dotrzeć do armii, która zrobiła to wszystko.

– Pozabijasz ich? – spytała najmłodsza, w zaawansowanej ciąży.

– Powstrzymam ich od zabijania – obiecałem, zastanawiając się, czy naprawdę zdołam to zrobić. – Ale tymczasem potrzebne mi jest ubranie, jako że nadszedł czas, by Nagi Człowiek się odział.

Skinęły głowami i odeszły. Nie śpieszyły się i w łagodnie falującym terenie szybko zniknęły mi z oczu. Żeby skrócić sobie czas oczekiwania, dałem nurka do wody i zabawiałem się, leżąc na dnie rzeki i obserwując ryby. Nad powierzchnią rzeki wszystko było spustoszone, ale w powolnych prądach rzeki Wong ryby wcale tego nie dostrzegły.

Zdałem sobie sprawę, że już długo jestem pod wodą. Wynurzyłem się

na powierzchnię i zacząłem znów oddychać. Ledwo wysunąłem głowę nad wodę, stojąca w pobliżu kobieta wrzasnęła. Kiedy krzyknąłem w odpowiedzi, inni rzucili się do ucieczki. Znów uświadomiłem sobie, że powielam sposób myślenia i działania Schwartzów oraz że muszę przestać robić rzeczy, których inni ludzie robić nie mogli.

– Był tam pod spodem, cały ten czas – mówiła kobieta do jakiejś czterdziestki zgromadzonych wokół osób. Stałem w wodzie, a ludzie ci rzucali na mnie szybkie, częste spojrzenia. – Był tam pod spodem cały czas, a ja tu stoję już godzinę, całą godzinę.

– Nonsens – rzekłem. – Nie mogłem być zanurzony dłużej niż piętnaście minut.

Spojrzeni na mnie z szacunkiem i podziwem (oraz ze sporą dozą strachu), a ciężarna kobieta wyciągnęła do mnie naręczce ubrań. Wszedłem z wody, oni zaś wlepili we mnie oczy, jakby oczekiwali czegoś niezwykłego. Prawie się roześmiałem, bo przypomniałem sobie, jak zareagowali żeglarze na singerskim statku, widząc mnie takiego, jakim byłem, zanim uleczyli mnie Schwartzowie. Gdybyż mnie mogli zobaczyć teraz, kiedy rzeczywiście miałem niezwykłą moc, jaką wtedy żeglarze tylko mi przypisywali! Otaczający mnie teraz ludzie przyglądali mi się w szczególny sposób i przypomniałem sobie, że gdy byłem młodzieńcem w Mueller, krępowała mnie nagość. Ubrałem się szybko, nie czekając, aż mi wyschnie skóra i włosy.

– Dziękuję – rzekłem, gdy się ubrałem.

– Jesteśmy zaszczytzeni – oznajmił mężczyzna, który wyglądał na przywódcę. Był

starcem. Zdałem sobie sprawę, że nie ma tu mężczyzn w wieku odpowiednim do noszenia broni.

– Wszyscy wasi synowie poszli na wojnę?

– Nie ma już wojny – powiedział przywódca.

Ciężarna kobieta przytaknęła rzeczowo:

– Dla Sill wojna się skończyła.

– Nie ma już Sill – poprawił przywódca. – Jesteśmy teraz Nkumai.

Spojrzałem po nich. Wszyscy kiwali głowami na znak zgody.

– Naprawdę? Wobec tego jakiego wroga chcecie, żebym zabił?

Zamilkli. Wtedy jedna z kobiet krzyknęła z goryczą, ze łzami w oczach:

– Nkumai! Pozabijaj Nkumai! Na miłość boską, jeśli w ogóle masz jakąś moc...

Inni podjęli okrzyk.

– Zabij Nkumai! Za naszych synów, nasze domy, nasz kraj, pozabijaj tych drani!

Słyszałem pieśń nienawiści i śmierci w ich sercach. Łagodnie skinąłem głową i ruszyłem w drogę.

– Jak się zwiesz?! – krzyknęła za mną ciężarna kobieta.

Odwrociłem się i odkrzyknąłem:

– Lanik Mueller.

Ku mojemu zdziwieniu krzyki i płacz szybko ucichły. Niektórzy wyglądali jakby skamienieli ze zgrozy. Niektórzy wykrzywili twarz z niesmakiem, jak gdybym powiedział jakiś nieprzyzwoity kawał. Inne twarze po prostu zastygły bez wyrazu.

Potem wszyscy w milczeniu opuścili mnie i wrócili do swych domów. Jedyne stara kobieta przekazała mi pewien rodzaj wiadomości: splunęła na ziemię.

To jedynie moje imię mogło przemienić ich przyjaźń i nadzieję w strach i nienawiść. Ale cóż mogło znaczyć moje imię w takim miejscu? W Mueller było dość znane, jako imię prawowitego następcy, ale dlaczego miałby ktoś o mnie słyszeć w Sill? Nie było mnie rok, podczas całej tej wojny. Rozmyślałem nad tym, kiedy znów ruszyłem na północ, z odchyleniem na zachód, ku Mueller nad Rzeką. Czy możliwe, żeby Dinte aż tak mnie nienawidził, że rozpuścił wiadomości, iż jestem zdrajcą? Lub przypisał mi jakieś okrucieństwa? Nie chciało mi się wierzyć, że Ojciec pozwoliłby mu na takie rzeczy. Czyżbym aż tak długo był nieobecny, że Ojciec przestał być w tym czasie Muellerem? Nie mogłem tego zrozumieć.

Gdzieniedzie widać było pozostawione przez Nkumai nietknięte łąty intensywnej zieleni – zbiory będą tu na tyle dobre, że ludzie nie zginą z głodu. Jednak kiedy biegłem, nie widziałem nikogo. Czy wiadomości były szybsze ode mnie? Czy ludzie unikali trasy podróży Nagiego Człowieka? Czy to od imienia Lanik Mueller tak stronili? Wszystko było możliwe. Choć podróżowałem szybko, pogłoski mogły mnie wyprzedzić. Bo jakże pozostali przy życiu mieszkańcy Sill mogli słyszeć historie o Nagim Człowieku, skoro biegłem całe dnie i większość nocy? Chyba więc prawdziwe były przypowieści, przedstawiające Pogłoskę jako złego ptaka, lecącego szybciej niż dźwięk.

Dobrze, że nie cierpiałem głodu. Kiedy mijałem pola pszenicy i ogrody

warzywne, w ustach czułem smak jedzenia i pragnąłem go, ale go nie potrzebowałem, więc nie zatrzymywałem się. Nawiasem mówiąc, gdybym był głodny, nie było nikogo, kto mógłby podzielić się ze mną jedzeniem, a nie dojrzałem jeszcze do tego, by kraść w okolicy, gdzie w tym roku będzie niedostatek żywności.

Rzeka Sill została o dwa dni drogi za mną, kiedy wreszcie dostrzegłem jakiegoś człowieka. Lub ludzi. Dotarł do mnie tętent kopyt, zanim ich zobaczyłem. Przybywali z północy, z Mueller. I kiedy znaleźli się w zasięgu mego wzroku, rozpoznałem porządek Armii Wschodniej. Dowódcą powinien być Mancik, mój ojciec chrzestny.

Ale Mancik nie był tam z nimi, chociaż mieli porządek dowódcy. Dowiedziałem się w ten sposób, że nie żyje. Gdybym miał nóż, odbyłbym rytuał żałobny, ale nie miałem żadnej broni i po paru chwilach mój umysł zaprzętnęły inne sprawy.

Nie znałem dowódcy ani żołnierzy, którzy zeskoczyli z koni i związali mnie. Nie protestowałem, częściowo dlatego, że byłem zdezorientowany, a częściowo dlatego, że mieli przewagę liczebną. Radykalny regenerat nawet zreformowany może odnowić swe części ciała tylko do pewnych granic. A oni wyraźnie mieli ochotę, by pociąć mnie na kawałki.

– Kazano mi przyprowadzić cię żywego do stolicy – rzekł dowódca.

– Więc nie będę wam przeszkadzał – odpowiedziałem. – Właśnie tam szedłem.

Moje stwierdzenie wyraźnie ich rozgniewało. Dwóch żołnierzy natychmiast mnie uderzyło i przez moment byłem oszołomiony.

– Jestem Lanik Mueller – powiedziałem, wypluwając słowa – i nie pozwolę, by traktowano mnie w ten sposób.

Dowódca spojrział na mnie zimno.

– Wiemy, kim jesteś, i po tym, jak potraktowałeś ten kraj, każdy sposób, w jaki my cię potraktujemy, będzie o wiele łagodniejszy, niż na to zasługujesz. – Przez chwilę popatrzył ponuro na spustoszone pola. – Ze wszystkich zdrajców, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi, ty właśnie musisz mieć specjalne miejsce w piekle.

– Byłem w piekle – rzekłem. – To lepsze miejsce niż tutaj.

– A jeśli ciebie spalą, tak jak ty spaliłeś te pola? – zawołał żołnierz.

Rozległ się pomruk gorzkiego potakiwania.

– Ja tego nie zrobiłem – powiedziałem zdumiony, że mnie o to

podejrzewają.

– Nie zrobiłeś! – wykrzyknął mężczyzna. – Widziałem, jak sam wywijales pochodnią, na czele swoich inkerskich wojsk!

Jak mogłem protestować przeciw równie absurdalnemu oskarżeniu?

– Dość gadania – rzekł dowódca. – Będzie jeszcze twierdził, że wpadł w szal czy coś równie nonsensownego. Nikt mu nie uwierzy, poniesie taką śmierć, na jaką zasługuje, ale to, że go znaleźliśmy, nie jest dla nas powodem do chwały.

Wyrządzonych szkód nie można już odrobić i zabicie go nie naprawi ich ani trochę.

To dziwne słowa w ustach dowódcy, a jednak podziałały na żołnierzy dziwnie uspokajająco. Nie było w nich wcale tej szczerzej ochoty walki, jaką widziałem w armii przez całe życie. Ale słowa dowódcy obudziły w nich jakąś cichą, rozpacziwą odwagę. Wszyscy wykonywali swoją pracę szybko i bez słów. Przerzucili mnie przez siodło, przywiązali nogi do strzemion, a ja, ze związanymi rękami, miałem łapać równowagę na galopującym koniu. Jechali szaleńczo przez pola, tak jakby mieli nadzieję (a jestem pewien, że ją mieli), że mój kod upadnie, rozbije mnie, wdepcze w popiół, który kiedyś był zbożem. A być może nie pamiętali już o mnie, tylko jechali jak maszyny, okrakiem na tych dyszących koniach, i nie mieli żadnych myśli, żadnych uczuć, jedynie przytłaczającą świadomość zniszczeń dookoła.

Kiedy tak jechałem, cóż więcej miałem do roboty, prócz myślenia? Z jakichś przyczyn obwiniali mnie za całe to zniszczenie i to nie obcy, ale ludzie z Mueller, ci, którzy kiedyś mnie kochali, jeśli nie dla mnie samego, to jako syna mego Ojca. Tego nie mogły dokonać kłamstwa Dinte. Również Ruva nie mogłaby namówić nikogo, by myślał o mnie w ten sposób. Ani żaden zazdrosny wróg. Mężczyzna powiedział, że mnie widział. Sam mnie widział i chociaż wiedziałem, że to niemożliwe, nie mogłem wątpić w jego uczciwość. To nie moje imię było tutaj znienawidzone, to moja twarz.

Kiedy myślałem o nienawiści, kiedy myślałem o swojej twarzy, ukazał mi się przed oczyma własny wizerunek. Nie było to wspomnienie własnej twarzy, takiej, jaką widziałem w lustrze. I wtedy wszystko zrozumiałem, pojąłem, dlaczego każde rzucane przeciwko mnie oskarżenie mogło być prawdziwe i fałszywe zarazem.

Wiedziałem również, że bez względu na to, jak przekonywająco

opowiem swą historię, nigdy mi nie uwierzą.

W pałacu mego Ojca, w kamiennych korytarzach, twardo zastukały skórzane buty. Powleczono mnie brutalnie i rzucono na podłogę. Obserwowałem już wcześniej taką scenę, ale z innego punktu widzenia – do procesu przygotowywano w ten sposób ludzi oskarżonych o zdradę. Proces był jedynie formalnością. Oskarżenie było tak poważne, że nigdy go nie wysuwano, jeśli wina nie była pewna.

Myśli moje wciąż jednak gdzieś błędziły. Kiedy prowadzono mnie przez korytarze, trzymano w małej celi, kiedy zbierał się sąd, patrzyłem wciąż na martwe kamienie ścian, uświadamiając sobie, jak wielu musiało umrzeć w tym miejscu.

Gdybym tą myślą podzielił się z kimkolwiek, wzięto by ją za objaw szaleństwa.

Żyjący kamień? Ale ja przemawiałem już umysłem do skał, śpiewałem ich pieśń i czułem ich oddźwięk. Głęboko, pod zamkiem, kamienie słuchały. Jeśli moja krew zostanie przelana, żyjące kamienie dowiedzą się o tym.

Karą za zdradę było wleczenie końmi i ćwiartowanie żywcem. Kobietom ścinano najpierw głowę. To straszna kara, ale zawsze uważałem ją za doskonały środek odstrasżający.

Podniosłem się z podłogi i stanąłem.

– Uklęknij! – zawołał Harkint, Kapitan Straży (to on właśnie przeganiał mnie konno po ulicach miasta).

Odwróciłem się do niego i przemówiłem zimno i dramatycznie, ponieważ procesy, jak większa część królewskiego życia, to teatr i nie miałem innego wyjścia, jak tylko grać swoją rolę.

– Pochodzę z królewskiego rodu, Harkint, i będę stał przed tronem.

To go uspokoiło i sąd zaraz podjął sumienną procedurę strachu i nienawiści.

Ojciec wyglądał staro. To właśnie ze względu na niego w ogóle powróciłem.

Teraz wyglądał jak znużony człowiek ze zbolałym sercem.

– Laniku Muellerze, ten proces nie ma większego sensu – rzekł. – Ty wiesz i my wiemy, dlaczego się tu znalazłeś. Jesteś winien, więc skończmy to żalosne przedstawienie.

Każda zwłoka daje szansę przeżycia i chociaż wiedziałem, że nie ma nadziei, by mi uwierzyli, mimo to musiałem się wypowiedzieć. Być

może upłynie wiele lat, zanim moja niewinność zostanie udowodniona, ale znajdą się wtedy tacy, którzy będą pamiętali, że dzisiaj mówiłem prawdę.

– Mam prawo wysłuchać oskarżeń przeciwko sobie.

– Gdybyśmy je wszystkie wymienili – rzekł mój Ojciec – nie zdołałbym powstrzymać ludzi przed zabiciem cię gołymi rękami.

– Streść je zatem, ale wymień me zbrodnie, gdyż nie znam ich.

Twarz mego ojca skrzywiła się z niesmakiem, gdy usłyszał ode mnie to, co, jak sądził, było niezdarnym kłamstwem.

– Okrywasz się hańbą – rzekł.

Spojrzał jednak na herolda, a stary Swee zawołał donośnym głosem:

– Zbrodnie Lanika Muellera: dowodzenie armiami Nkumai w bitwie przeciwko armiom Muellera; zniszczenie pól i domów obywateli Muellera i podległych Rodzin; zdradzenie sekretu regeneracji, w związku z czym nasi wrogowie obecnie ćwiartują ciała naszych żołnierzy, powodując ich śmierć; spiskowanie w celu obalenia sukcesji i zdjęcia z tronu prawowitego dziedzica.

Swee miał zawzięty wyraz twarzy, a zgromadzony sąd wydawał pełne gniewu i przerażenia okrzyki po przeczytaniu każdego z oskarżeń.

– Nie uczyniłem żadnej z tych rzeczy – rzekłem, patrząc Ojcu prosto w oczy.

– Widziały cię tysiące świadków – stwierdził mój Ojciec.

Przed zgromadzenie wystąpił pełen wściekłości żołnierz. Musiał być człowiekiem z ludu, ponieważ stracił obie ręce i żadna nie odrosła.

– Widziałem cię sam – zawołał – kiedy obciąłeś mi obie ręce i kazałeś tu wrócić, abym powiedział Muellerowi, że masz zamiar pić jego krew.

– Nigdy tego nie uczyniłem ani nie mówiłem.

Ojciec odpowiedział pogardliwie:

– Są inni, którzy widzieli, jak prowadziłeś armie Nkumai. Dostyc już usłyszeliśmy. Jesteś winien i skazuję cię na...

– Nie! – krzyknąłem. – Mam prawo mówić!

– Zdrajca nie ma żadnych praw! – zakrzyknął żołnierz.

– Jestem niewinny!

– Jeśli ty jesteś niewinny – zawołał mój Ojciec – to wszystkie dziwki w Muellerze są dziewczycami!

– Mam prawo zostać wysłuchany i będę mówił!

Wtedy umilkli, być może dlatego, że mój głos miał wciąż jakąś moc do

wydawania rozkazów lub, co jest bardziej prawdopodobne, dlatego że czerpali ponurą satysfakcję, obserwując, jak daremnie walczę o życie. Choć wysiłek mój był

beznadziejny, próbowałem mimo wszystko podać im jedyne wyjaśnienie, które by pasowało do tego, co widzieli, i do tego, co ja sam wiedziałem o mojej działalności.

Połowa z tego, co wówczas powiedziałem, to były domysły, ale w świetle mojej ówczesnej wiedzy mówiłem prawdę.

Opowiedziałem im, że pojechałem do Nkumai, ale mój podstęp został odkryty w chwilę po tym, jak dowiedziałem się, co sprzedają w zamian za żelazo. Powiedziałem im o mojej ucieczce, o tym, jak wycięto mi kiszki, i o tym, jak z moich trzewi powstał

mój sobowtór. Opisałem swoje uwięzienie na singerskim statku i o tym, jak uleczyli mnie Schwartzowie (nie powiedziałem nic o tym, czego dowiedziałem się na temat żyjącej skały naszego świata). Opisałem, jak przybyłem, najszybciej jak tylko mogłem, by ostrzec Ojca o niebezpieczeństwie.

Co się tyczy osoby, która utrzymywała, że jest mną, i wmówiła innym, że to prawda, mogłem się tylko domyślać, że to mój sobowtór. Że nie umarł, lecz został znaleziony przez Nkumai.

– Byłem nierozważny. Powinienem był zniszczyć ciało. Ale nie myślałem wtedy jasno, a większość Muellerów zmarłaby z takich ran.

Jak się domyślałem, musieli go wykształcić, a miał on wszystkie moje wrodzone zdolności. Nic dziwnego, że ludzie uwierzyli, że to Lanik Mueller – był nim aż do poziomu genów.

Wyjaśniłem wszystko, co według mnie powinienem wyjaśnić, a potem zamilkłem.

Jaki skutek wywarła moja przemowa? Dość nikły. Większość ludzi wciąż była nastawiona wrogo, otwarcie mi nie wierzyła, pragnęła mojej śmierci. Ale tu i ówdzie, szczególnie wśród starszych mężczyzn, widziałem zamyślane twarze. A kiedy spojrzałem na Ojca, wiedziałem – a może tylko tego pragnąłem – że mi uwierzył.

Nie byłem naiwny. Wiedziałem, że bez względu na to czy mi wierzy, czy nie, Ojciec nie jest w stanie mnie ocalić. Nie mógł mnie uniewinnić, nie tego dnia, nie przed tym zgromadzeniem. Poprzednio nie widziałem Dintego ani Ruvy, ale teraz oboje podeszli, aby naradzić się z Ojcem.

Zaskoczyło mnie, że się sprzymierzyli –

czyż Dinte nie nienawidził jej równie mocno jak ja? Ale teraz byli sprzymierzeńcami i oczywiście zauważyli zmianę wyrazu twarzy Ojca, tę samą, która powiedziała mi, że uwierzył w moje zeznanie. Teraz spróbują zniweczyć nawet tę odrobinę dobrego wrażenia, jakie mogła wyrzucić moja przemowa. Ruva wciąż szeptała do Ojca, a Dinte wystąpił i przemówił głośno, by słyszał go sąd.

– Bierzesz nas widocznie za głupców, Lanik. Nigdy w całej historii radykalnej regeneracji nikt nie wytworzył pełnej kopii siebie samego.

– Również żaden rad nie miał flaków wydartych i rozrzuconych po okolicy.

– I mówisz, że Schwartzowie cię uleczyli. Pustynne dzikusy mieliby robić rzeczy, których nie potrafią nasi genetycy?

– Wiem, że trudno w to uwierzyć...

– Niewątpliwie trudno jest uwierzyć w to, że mogłeś nam opowiadać takie rzeczy, patrząc prosto w oczy, drogi bracie. Nikt nigdy nie wyszedł żywy z pustyni Schwartz. Nikt nigdy nie dokazał żadnego z tych bohaterских czynów, o których opowiadałeś. Jedyne co można stwierdzić to to, że ludzie widzieli cię na czele nieprzyjacielskiej armii. Widziałem cię osobiście, kiedy w Cramer dowodziłem Armią Południe, a ty pomachałeś do mnie ręką i krzyknąłeś coś nieprzyzwoitego. Nie udawaj, że zapomniałeś.

– Na pewno nie ja jedyny chętnie wykrzyknąłbym do ciebie coś nieprzyzwoitego, Dinte – rzekłem i ku mojemu zdziwieniu, paru ludzi zaśmiało się. Nie był to wystarczający dowód, że mam jakichś przyjaciół, ale dostateczny, że Dinte ma kilku wrogów.

Teraz wtrącił się mój Ojciec.

– Dinte – rzekł – zachowujesz się niegodnie.

W głosie Ojca brzmiała pogarda. Ale było w nim jakieś inne uczucie, kiedy odezwał się do mnie.

– Laniku Muellerze, twoja obrona jest nie do przyjęcia, a świadectwo tysiąca ludzi jest nie do obalenia. Skazuję cię na włóczenie końmi i ćwiartowanie żywcem na placu ćwiczeń przy rzece, jutro w południe. Niech twa dusza, jeśli ją masz, zgnije w piekle.

Wstał, aby odejść. Jak bardzo pragnąłem żyć? Wystarczająco, żeby poświęcić całą swą godność i krzyknąć za nim:

– Ojczy! Gdyby to wszystko było prawdą, dlaczego na Boga miałbym ci się poddawać?

Obrócił się wolno i popatrzył mi w oczy.

– Ponieważ nawet diabeł daje jakieś zadośćuczynienie swym ofiarom, kiedy już nie można im w żaden sposób pomóc.

Wszedł z sali sądowej. Żołnierze wyprowadzili mnie, a ponieważ byłem skazany na śmierć, spędzili popołudnie i wieczór torturując mnie. Ponieważ Muellerowie tak szybko zdrowieją, mogą znośić bardzo wymyślne okaleczenia i wciąż nie umierać. Nie chcę opowiadać o tamtej nocy.

7. *ENSEL*

Nie krwawiłem już, ale ciągle czułem ból. Jeszcze boleśniesz było wspomnienie nienawiści żołnierzy. Znałem tylko kilku z nich – ci zawsze byli dla mnie mili, a niektórzy pozostawali moimi przyjaciółmi od czasu, gdy byłem dzieckiem. Teraz rozkoszowali się moimi ranami, chcieli, bym cierpiał, i było jasne, że ich zdaniem żadna z mąk nie jest dla mnie taką karą, na jaką zasługuję. Ich odraza raniła tym dotkliwiej, że na nią nie zasługiwałem, a przy tym nie miałem żadnych szans przekonania ich o swej niewinności.

Leżałem w ciemności na podłodze w kamiennej celi, gdzie w końcu miano zostawić mnie w spokoju aż do mej śmierci w dniu następnym. Rany goiły się dość szybko. Byłem tym wyczerpany, ale wkrótce miałem wyzdrowieć. Ojciec podarował mi przed śmiercią całą noc i poranek. Zdecydowałem się wykorzystać ten czas nie na przygotowanie się do śmierci, ale na obmyślenie sposobów ucieczki.

Przyznaję, że nie myślałem jeszcze zbyt dobrze. Świeżo powróciłem ze Schwartz i tak samo jak Schwartzowie wciąż żywiłem szaleńczą pogardę dla codziennych trosk. Nikt mnie nie nakarmił od czasu, gdy przybyłem do Muellera, ale nie byłem głodny. Nikt nie ofiarował mi wody, ale nie czułem pragnienia. A ponieważ w miarę jak ból ustawał, mogłem go coraz bardziej ignorować, cóż miało mi przypominać, że muszę działać szybko, działać natychmiast, jeśli chcę ocalić swe życie?

Ocalić? A po co?

W Schwartz moją motywacją było przekazanie ostrzeżenia mojej Rodzinie.

Ostrzeżenie okazało się trochę spóźnione. W każdym razie nikt nie chciał ode mnie żadnych wiadomości. Co gorsza, zamknęli mnie w więzieniu z martwego kamienia; nie mogłem więc nawet przemówić do skały, zapaść się w ziemię i uciec.

Mogłem się oczywiście zabić, ale żywiłem naturalną niechęć do takiego czynu, a ponadto miałbym wielkie poczucie winy, przyczyniając ziemi tyle bólu. Skała znosi zbyt wiele morderstw i nie można jej dokładać wrzasku samobójczej śmierci.

Przed drzwiami mojej celi rozległy się czyjeś lekkie kroki. Rygiel podniósł się i drzwi rozwarły się ciężko.

– Lanik – odezwał się głos w ciemności. Poznałem ten głos natychmiast; nie mogłem uwierzyć, że go słyszę. Po chwili Saranna trzymała mnie w objęciach i płakała. – Lanik, oni ci nawet oczy wydłubali.

– Odrastają już – odpowiedziałem. – Jak to miło wrócić do domu.

– Och, Lanik, tak się o ciebie baliśmy!

Mówiła do mnie tak, jakbym nigdy nie wyjeżdżał, jakby nic się nie zmieniło. Jej dłonie pasowały dokładnie do moich pleców, do miejsc, które zgodnie z pradawną tradycją przeznaczone były właśnie dla jej dłoni. Trzymała mnie z tą samą siłą, którą czułem wczoraj (naprawdę było to rok temu), i jej oddech, jej skóra, kiedy tarła policzkiem o mój policzek, jej zapach, nawet jej niesforne loki łaskoczące mnie w nos...

Trzymałem ją mocno w objęciach, ponieważ na chwilę odsuwała zmyły ostatnich kilku dni, miesięcy i lat, i byłem Lanikiem, synem Ensela Muellera, następcą tronu i szczęśliwym młodym człowiekiem. Strasznie szczęśliwym. Strasznie.

– Dlaczego przyszłaś? – zapytałem.

– Masz przyjaciół, Lanik. Niektórzy z nas ci wierzą.

– Więc musicie być szaleni. W mojej historii nie ma nic wiarygodnego.

– Znam cię dostatecznie długo, żeby poznać, kiedy mówisz prawdę. Nie chcę, żeby jutro cię włóczyli i ćwiartowali. Chodź ze mną.

– Nie sądzisz chyba, że sama zdołasz wyciągnąć mnie z tego więzienia?

– Zdołam, jeśli ktoś mi pomoże.

Ujęła moją dłoń i poprowadziła mnie korytarzami. Ścisnęła mą dłoń raz, jeśli schody wiodły w dół, dwa razy, jeśli wiodły w górę. Poruszaliśmy się najciszej, jak mogliśmy, a ja przede wszystkim nie oddychałem. Tak było łatwiej. Me oczy goiły się dobrze: już przybrały swój okrągły kształt. Ale potrzeba czasu, aby nerwy należycie się zregenerowały, aż w pełni powróci mi wzrok. Poruszanie się po omacku przerażało; przypominało trochę pełzanie tamtej nocy po mokrych i śliskich gałęziach w Nkumai. Tamtej nocy, kiedy ani przez chwilę nie byłem pewien, co znajduje się przede mną. Tej nocy też byłem niepewny, ale ktoś trzymał mą dłoń i mnie prowadził. Tej nocy powierzałem życie nie moim instynktom, lecz kobiecie, którą zawsze uważałem za trochę płochą. Lojalną, oczywiście, i cudownie namiętą,

gdy się kochaliśmy, ale nie taką, na której można polegać. Widocznie się myliłem.

Po drodze nie spotkaliśmy nikogo. Zatrzymaliśmy się.

– Na co czekamy?

– Cicho – powiedziała i uciszyłem się.

Po kilku minutach usłyszałem szuranie odległych kroków. Starzec, oceniłem na podstawie dźwięku. A potem był już blisko i czułem wokół siebie ramiona w żelaznym uścisku i gorące łzy na policzkach.

– Ojcie – szepnąłem.

– Lanik, mój synu, mój synu – rzekł i już się nie bałem.

– Uwierzyłeś mi.

– Jesteś moją jedyną nadzieją.

Ten stary drań zawsze uważał mnie za swoją nadzieję, tak jakbym przede wszystkim był winien lojalność jemu, bardziej nawet niż samemu sobie. Cóż, ja też tak w gruncie rzeczy uważałem.

– Jutro porąbią mnie na kilka znacznie mniejszych nadziei – odpowiedziałem.

Przycisnął mnie tylko mocniej do siebie.

– Bywają takie chwile, kiedy uczciwy władca musi się wycofać, i to jest jedna z nich. Nie pokroją cię. Wiedziałem, że nigdy mnie nie zdradzisz. W każdym razie nie na stałe.

– Nie zdradzę cię nawet czasowo – rzekłem. – Ale teraz ruszajmy stąd, zanim ktoś zauważy, że odprawiasz tu na dole sąd.

– Nie możemy jeszcze iść – stwierdził Ojciec. – Musimy czekać.

– Na co?

– Na zmianę warty o świcie – rzekł. – Mamy nadzieję, że będą mieli rozproszoną uwagę.

– Warta? Boisz się warty? Czy nie możesz po prostu mnie ukryć i rozkazać im, żeby cię przepuścili?

– To nie takie proste. Twój Ojciec nie dowodzi strażą – wyjaśniła Saranna.

– No to kto nią, do diabła, dowodzi? – zaszepotałem.

– Ruva – rzekł Ojciec.

Podniosłem głos.

– Kupa rządzi w twoim pałacu?!

– Cicho. Tak, właśnie rządzi. Ona i Dinte. Planowali to, zanim jeszcze opuściłeś pałac, a gdy cię już nie było, wprowadzili w czyn.

Przypuszczam, że mogłem im w tym przeszkodzić, ale nie mogłem sobie pozwolić na zabicie jedyne go, jak sądziłem, mojego następcy. Tak więc godziłem się z tym, udając, że nie widzę, jak przywłaszcza się moje prerogatywy; jak urzędy mych przyjaciół stają się synekurami; jak prawdziwa władza zdaje się spływać w znacznie młodsze ręce.

– Moja matka próbowała ostrzec dwór – dodała Saranna.

– Musiałem podpisać na nią wyrok śmierci.

– Dlaczego go podpisałeś? – zapytałem

– Z tych samych przyczyn, z których podpisałem twój – rzekł Ojciec. – Uciekła i mieszka na północy, na wygnaniu. Zdaje się w Brian. Jej agenci przemycili tam połowę majątku rodziny. Przemyt skończył się, gdy Ruva wykryła przeciek.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Kiedy usłyszeliśmy, że dowodzisz inwazją Nkumai, nie posiadaliśmy się z radości. Użyłem moich wpływów, takich jakie wtedy miałem, aby umieścić naszych najlepszych dowódców, z Dintem włącznie, na kluczowych pozycjach. Otworzyłem wrota wrogowi. Myślałem, oczywiście, że przybywasz, aby oswobodzić mnie i lud od oślicy, którą miałem pecha poślubić, i od tego dziecka, o którym twoja matka utrzymywała, że jest również moim.

– To nie byłem ja.

– Wiedziałem, że to nie możesz być ty, kiedy usłyszeliśmy, jak armie niszczą wszystko po drodze. Jesteś za mądry, by tak postępować. Wiedziałem, że to oszust.

Ale przecież było tak wielu świadków – westchnął. – Zdradziłem swą własną Rodzinę, myśląc, że otwieram bramy synowi, aby wyzwolił mnie od mej żony i tego potwornego szczeniaka Dintego. Teraz wróg hula od Schmidt do Jones i jest tylko kwestią czasu, kiedy przekroczą rzekę i zdobędą to miasto. Z pewnością zrobią to wkrótce; za parę tygodni deszcze uczynią rzekę nie do przebycia. – Nagle znów zapłakał.

– Marzyłem o twym powrocie, Lanik. Marzyłem, że powrócisz triumfujący i powiedzisz ten lud do bitwy. Ty mógłbyś poprowadzić moją armię, by pobiła Nkumai. Oni musieli sobie z tego zdawać sprawę. Dlatego właśnie zniszczyli miłość ludu do ciebie. Teraz możemy już tylko uciekać.

– Też niezła możliwość – rzekłem. – Zaczniemy jak najprędzej.

– Zmiana warty – szepnęła Saranna.

– Nie – stwierdziłem. – Dinte i Ruva z pewnością was obserwują. Prawdopodobnie zostawili mnie bez straży, żebyście podjęli próbę pomocy i dali się zabić. Lepiej obydwójce pójdźcie na górę i udawajcie, że nie macie z tym nic wspólnego.

– Nie tym razem – powiedziała Saranna.

– Musimy wyjechać z tobą – rzekł Ojciec. – Tu jest już nie do wytrzymania.

Mamy kilkuset wiernych ludzi, którym już wyznaczyłem zadania na północy.

Oczekują nas. Skupią się przy nas.

– To znaczy – przy tobie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie przystanie do mnie.

Ale nie będziemy czekać na zmianę warty.

– Więc nas schwytają. Wszystkie bramy są starannie pilnowane.

W tej chwili widziałem już migotanie lampy Saranny. Wzrok mi powracał.

– Zorganizuję dywersję przy tylnej bramie.

– Jest mocno strzeżona.

– Wiem. Zaprowadźcie mnie w pobliże, ale niech będę ukryty. Już trochę widzę, wkrótce będę miał zupełnie zdrowe oczy, ale na razie nie mógłbym się obronić nawet przed komarem. Kiedy tam będę, przygotujcie się obydwójce do biegu ku bramie wodnej. Tam do was dołączę.

– Ślepy?

– Trafię nawet z zawiązanymi oczyma. Poza tym wtedy już nikt nie będzie mnie szukał.

– Jakież rodzaj dywersji możesz, właśnie ty, zorganizować? – spytał Ojciec z powątpiewaniem w głosie.

W odpowiedzi rozpiąłem koszulę i pokazałem im pierś.

– Czy pamiętasz, Ojcze, co tutaj rosło, kiedy wysłałeś mnie z zamku? Pamiętałem.

– Nigdy już nie odrosną. Schwartzowie mnie wyleczyli, tak jak ci mówiłem.

Jeżeli udało im się to zrobić, czy nie sądzisz, że mogli mnie nauczyć również innych rzeczy?

Dłoń Saranny pogładziła mój tors, jak we śnie, który śniłem w czasie stu nocy na singerskim statku.

– Chodźmy – rzekłem.

Poprowadzili mnie po schodach, podestach i korytarzach ku tylnej bramie.

Zostawili mnie przy oknie, dość wysoko nad wejściem do pałacu, i gdybym miał

dobry wzrok, widziałbym stamtąd cały dziedziniec przy tylnej bramie w murach pałacowych: Obecnie widziałem jedynie niewyraźne kształty. Chociaż latarnie były tylko jasnymi iskrami światła, widziałem, jak drgają ich płomienie.

Dookoła było tak wiele martwych kamieni, że dręczyło mnie to, ale zaraz odszukałem głos skały. Było sporo nowych dźwięków – gleba, w odróżnieniu od piasku, ma w sobie zbyt wiele życia. Była barierą, a nie kanałem przesyłowym. Ale w końcu odnalazłem głos żyjącej skały. Wyjaśniłem swój cel, poprosiłem o pomoc i otrzymałem ją.

Nie widziałem całego zdarzenia. Usłyszałem tylko zgrzyt martwych kamieni, gdy ziemia uniosła się pod nimi i zrzuciła je z ich stosów na grunt. Rozległy się krzyki, kiedy ludzie z tylnej bramy rzucili się do wyrwy w murze. Ziemia wciąż się wznosiła i niektórzy zostali zrzućeni na dół. Inni nierozważnie podbiegli zbyt blisko chwiejących się murów, gdzie wielkie kamienne bloki spadały ze swych miejsc i rozbijały się o ziemię.

Zszedłem na dół i skierowałem się w inną stronę, w kierunku bramy wodnej.

Saranna, Ojciec i czterej żołnierze, prowadzący siedem koni, czekali zasłonięci murem.

– Co takiego zrobiłeś? – zapytał Ojciec z trwoźnym podziwem. – Było to jak trzęsienie ziemi.

– To właśnie było trzęsienie ziemi – wyjaśniłem. – Malutkie. Do dużego potrzebny jest cały komitet organizacyjny.

Potem poszedłem ku bramie. W coraz jaśniejszym świetle przedświtu znów mogłem widzieć, chociaż wszystko miało zamazane kontury. Z ulgą zauważyłem, że przy bramie nikogo nie ma. Żołnierze pobiegli do wyrwy w murze.

Była nie strzeżona, więc przeszliśmy, najpierw Ojciec z Saranną, potem żołnierze. Ja jako ostatni, wciąż bez broni. I wtedy właśnie z cienia wynurzył się Dinte.

Zobaczyłem błysk łuczywa odbity w stali.

– Jak nierówno jesteśmy uzbrojeni – rzekłem. – To świadczy o twojej odwadze.

– Chciałem, żeby nie było wątpliwości co do wyniku – odparł.

– Więc powinienś był wybrać inny cel – oświadczyłem. Nie było rzeczą trudną spowodować, żeby z jego dłoni wyciekł pot i tłuszcz, tak że rękojeść miecza stała się śliska. Zadrżał. Nie mógł utrzymać miecza, który wysliznął się z jego rąk i upadł na ziemię. Dinte patrzył na miecz z przerażeniem. Próbował go podnieść. Znów nie mógł go utrzymać. Wycierał gorączkowo dłonie w swoją tunikę, zostawiając mokre plamy.

Czy myślał, że tak łatwo osuszy dłonie? Spróbował jeszcze raz podnieść miecz, tym razem oburącz. Uchwycił go splecionymi dłońmi, a potem spróbował pchnięcia. Z

łatwością wytrąciłem mu broń. I tym razem ja podniosłem miecz.

Zabicie go byłoby tylko wymierzeniem mu sprawiedliwości, ale wrzeszczał o pomoc i był synem mojego Ojca, więc tylko przeciąłem mu gardło od ucha do ucha i zostawiłem go na ziemi, cichego i krwawiącego. Zregeneruje się i wyzdrowieje, tak jak ja po takiej samej ranie, rok temu. Ale przynajmniej będzie wiedział, że kiedy następnym razem przyjdzie mnie zabić, będzie musiał przyprowadzić kilku przyjaciół.

Przeszedłem przez bramę, wciąż z mieczem w ręku, i wsiadłem na konia, którego dla mnie trzymano. Nie powiedziałem, co mnie zatrzymało. Jeśli Ojciec słyszał głos Dintego, jeśli zgadł, co zdarzyło się za bramą, to nie zdradził się z tym ani słowem.

Jechaliśmy cały dzień na północ. Wieczorem dotarliśmy do przyczółka wojskowego, który chronił północną granicę w dawnych czasach, kiedy Epson był

potężny, a Mueller pozostawał pokojowo nastawioną rolniczą Rodziną, stosującą dziwne praktyki płodzenia dzieci. Przyczółek był zniszczony, ale szybko oceniłem, że koni jest tu przynajmniej trzysta, co oznaczało, że było tu co najmniej tylu mężczyzn.

– Czy jesteś pewien, że to przyjaciele? – zapytałem.

– Jeśli nimi nie są, nie mamy i tak wielkich nadziei na przyszłość – odpowiedział

Ojciec.

– W każdym razie lepiej, żebyś to ty miał ten miecz, nie ja.

Wręczyłem mu miecz. Spojrzał nań i skinął głową.

– Należał do Dintego. A co z nim?

– Wyzdrowieje – rzekłem.

– To bardzo źle – rzuciła Saranna opryskliwie.

– Może wyświadczy nam przysługę i umrze sam z siebie – oświadczyłem. Ale byłem pewien, że z tej rany mógł się wylizać.

A potem już znaleźliśmy się przy bramach przyczółka. Żołnierze wpuścili nas i okrzykiem pozdrowili Ojca, a on bardzo pobieżnie wyjaśnił, że to przebieraniec prowadził Nkumai, a nie ja. Nie wiem, jak wielu mu uwierzyło. Ale byli to mężni i oddani Ojcu ludzie. Większość wznosiła okrzyki na naszą cześć i nikt nie protestował.

– Jesteście dzielni – mówił im – dzielni i wartościowi, ale trzystu ludzi nie wystarczy.

Rozkazał, żeby wrócili do swoich domów i przywieźli tylu lojalnych ludzi, ilu zdołają. Przezornie zalecił im, by nic nie wspominali o mnie. Niech skupiają się przy królu, a nie przy kimś, kogo z pewnością będą uważali za zdrajcę.

Kiedy trzystu ludzi odjechało, by sprowadzić nam armię, zmieniliśmy konie po raz piąty tego dnia i odjechaliśmy na północ, w ciemność.

– Musiałeś przygotowywać to od miesięcy – zauważyłem.

– Nie braliśmy w naszych planach pod uwagę twojego pojawienia się – rzekł

Ojciec – ale wiedzieliśmy, że wkrótce nadejdzie kryzys w moich stosunkach z młodszym synem i wtedy muszę mieć możliwość zwołania wiernych oddziałów.

Mieliśmy przygotowane plany na wszelki wypadek.

Niezgoda zaszła już po raz drugi tej nocy, kiedy zatrzymaliśmy się w wieśniaczej chacie, znacznie oddalonej od drogi. Dom znajdował się tuż nad brzegiem Słodkiej Rzeki. Chłodny wiatr wiał z zachodnich wzgórz, które oddzielały nas od Ku Kuei.

Ogień na kominku płonął duży i gorący, a gospodarz zmusił nas do zjedzenia zupy, zanim puścił nas do łóżek.

Strażnicy spali na parterze. A kiedy gospodarz wskazał mi mój pokój, w mym łóżku czekała już Saranna.

– Wiem, że jesteś zmęczony – powiedziała. – Ale to był cały rok.

I kiedy mnie rozbierała, spoglądałem przez okno na wschód, na pokryte pszenicą wzgórze, gdzie znad lasu Ku Kuei wynurzało się

słońce, i czułem powiew bryzy oraz pieśczozy Saranny na mym ciele (nawet dzisiaj pamiętam to dokładnie), i czułem zapach konia na własnych szatach, i zapach tynku, który nasz gospodarz położył przed tygodniem, i czułem, że dobrze jest być w domu.

Po trzech tygodniach stało się jasne, że nasza rebelia spali na panewce. Mieliśmy osiem tysięcy żołnierzy, wiernych do ostatniej kropli krwi. Niektórzy z nich byli najlepszymi wojownikami w królestwie. Ale sumy na ich wyżywienie i uzbrojenie szły ze skarbca Ojca na próżno. Nadeszły pogłoski, wkrótce potwierdzone, i wiedzieliśmy, że nasza sprawa jest przegrana. Dinte podpisał traktat z Nkumai. Teraz przeciwko naszej małej armii stanęło sto dwadzieścia tysięcy ludzi. Ojciec i ja mogliśmy być lepszymi generałami, ale możliwości dowódców też mają swoje granice.

Jednak najbardziej zaszkodził nam fakt, że najprawdopodobniej od dnia mojego uwięzienia Nkumai schowali swoją kopię Lanika i utrzymywali, że rzeczywiście byłem przedtem razem z nimi, ale zostałem schwytany przez wojska Muelleru i teraz jestem dezercerem przy armii mego Ojca. I jak tylko puścili tę pogłoskę, skończyli z taktyką spalonej ziemi, twierdząc, że zniszczenia były wyłącznie moim pomysłem, i cieszą się, że mogą już tego nie robić.

Mojej opowieści o bliźniaku nie przydawało to wiarygodności, a mnie samemu nie przysparzało sympatii, i żołnierze nie tłoczyli się za bardzo pod mym proporcem.

Próbowaliśmy ukrywać fakt, że byłem z Ojcem, ale pewnych rzeczy nie można trzymać w tajemnicy.

Tak więc mieliśmy osiem tysięcy ludzi, pełen skarbiec i mogliśmy jedynie uciekać. Oczywiście Nkumai i kochany Dinte wybrali tę chwilę, połączyli swe siły z północnego brzegu Rzeki Mueller i skierowali się prosto ku nam.

– Umrzemy jak bohaterowie – oświadczył Harkint, który wciąż mi nie dowierzał.

– Wolałbym raczej żyć – powiedziałem.

– Znamy twe preferencje – odparł chłodno.

– Wolałbym, żeby wszyscy z nas przeżyli. Jeśli Dinte pozostanie u władzy, to wkrótce ludzie zaczną domagać się powrotu Ojca.

– Już by się domagali, gdybyś nie był tu z nami – rzekł inny żołnierz, a inni zgromadzeni w dużej sali budynku zaszemrali potakująco.

Ojciec spojrział na niego chmurno, ale żołnierz miał rację. Byłem główną przeszkodą w planach Ojca. Gdyby się mnie pozbył, byłby zdolny zebrać więcej armii. Może dodatkowo dziesięć, piętnaście tysięcy. Wciąż za mało.

– Mam plan – rzekłem. – Jego powodzenie jest gwarantowane.

Następnego ranka wyruszyliśmy wzdłuż Rzeki Słodkiej. Nie ukrywaliśmy naszego kierunku i szliśmy niespiesznie. Rzeka płynęła na południowy zachód i nawet półgłówki zgadłby, że zmierzamy ku Muellerowi nad Morzem, wielkiemu portowi nad Rzeką Buntowników, gdzie woda rzeczna miesza się ze słonymi wodami Rękawa. Był to ważny punkt strategiczny i flota, gdybyśmy pierwsi do niej dotarli, zabrałaby nas do Huntington, gdzie Ojciec mógł liczyć na wierność armii – nie widząc spustoszeń, mogła ona nie czuć do mnie takiej nienawiści. Tam dałoby się doczekać stosownego momentu, przygotowując inwazję.

Oznaczało to oczywiście, że Dinte i Nkumai będą ścigać się z nami ku flocie i dotrą tam pierwsi. Nie miałem nic przeciw temu. Przecież nawet gdybyśmy bezpiecznie dotarli do Huntington, znaleźlibyśmy się na wiecznym wygnaniu. Gdyby Nkumai dysponowali zarówno naszym jak i swym własnym żelazem, nikt nie byłby w stanie stawić im oporu. Gdy dotarliśmy do miejsca, gdzie bez względu na cel naszego marszu musieliśmy rozstać się z rzeką, gdyż ostro skręcała ona na zachód, rozkazałem naszej armii zdwoić szybkość marszu. Nie w stronę Muelleru nad Morzem, ale na południowy wschód, ku Przełomowi Rzeki Mueller, skąd moglibyśmy kierować się na wschód, powiększając zastępy wśród ostatnio podbitej i wcale nie potulnej ludności Birdu, Jonesu, Roblesu oraz Hunteru. Nie był to może najlepszy i najbezpieczniejszy w świecie plan, ale w tym czasie nie potrafiłem wymyślić nic lepszego.

Nie staraliśmy się specjalnie galopować – szliśmy w takim tempie, w jakim mogły poruszać się wozy. Ponieważ nie obciążono ich zbyt, nasze tempo było i tak znacznie większe niż tempo idących na piechotę drzewnych wspinaczy z Nkumai.

Mogłem mieć tylko nadzieję, że wróg posunął się dostatecznie daleko ku zachodowi, czyli w złym kierunku, i w związku z tym my dotrzemy do przełomu pierwsi. Jeśli nam się to uda, nigdy już nie wyprzedzą nas w marszu na wschód, a my przetrzymamy i któregoś dnia staniemy do

walki.

Gdyby jednak nas dogonili, miałem jeszcze inny plan, był on jednak przewidziany na sytuację, gdybyśmy nie mieli już nic do stracenia.

W czasie jazdy na południowy wschód nie miałem wiele do roboty.

Ojciec znał

swoich ludzi i nikt nie chciał przyjmować rozkazów ode mnie. Wobec tego rozmyślałem, a obiektem, który najczęściej zaprzętał moje myśli, był przebieraniec –

ten aż nazbyt prawdziwy Lanik, który obecnie pozostawał bez zajęcia.

Ciekawe, jak wyglądały jego losy. Jego powstanie było dla mnie dosyć przykrym przeżyciem, ale on w pierwszych przebłyskach świadomości ujrzał kogoś, kto wyglądał dokładnie tak samo jak on i próbował kamieniem roztrzaskać mu mózg. A potem, jakich cierpień doznał u Nkumai, którzy byli pewni, że on to ja, zanim w końcu połapali się, co się dzieje? Jeśli przedtem nawiedzał mnie w snach, to teraz nawiedzał mnie na jawie, kiedy wyobrażałem sobie, jaką nienawiść musiano mu wszczepić. „Dla ludzi z Muelleru jesteś potworem”, tak musieli mu mówić. „Zabiją cię, jeśli się kiedyś dowiedzą, kim jesteś. Ale jeśli będziesz z nami współpracował, osadzimy cię na tronie i będziesz mógł im pokazać, że jesteś kimś, kogo się poważa, jeśli nie z przekonania, to ze strachu”.

Czy rzeczywiście dowodził wojskami? Być może. Czy moje wspomnienia zostały mu przekazane razem z moim ciałem? Jeśli tak, dorównywałyby mi w każdym starciu, ponieważ znałby moje ruchy, zanim bym je wykonał. Z pewnością chociażby z tego powodu trzymali go przy sobie.

Bez względu na to, jaką rolę odgrywał wcześniej, obecnie znów go zdradzono, bezceremonialnie odbierając mu ważniejsze funkcje. Być może, myślałem, już go zabili. Lub też czuje się równie pozbawiony nadziei jak ja, wiedząc, że na całym Zachodzie nie ma nikogo bardziej znienawidzonego niż on. A jednak z pewnością nie zasługiwał na tę nienawiść.

Pomyślałem o Mwabao Mawie i miałem ochotę ją udusić.

Żadnych morderstw, rzekłem sobie. Żadnych zabójstw. Słyszałem pieśń ziemi i wiedziałem, że jest ona silniejsza od nienawiści.

W takich chwilach oddalałem się konno od oddziałów, wyprzedzałem je o kilka kilometrów. Kładłem się na ziemi i przemawiałem do żyjącej

skały. Ponieważ bałem się, że nie zdołam się opanować, pozwalałem skale, by mną kierowała, leczyła mnie, przynosiła mi spokój.

– Uwolnili Cramerów i biorą muellerskich niewolników – powiedział z przerażeniem jeden z żołnierzy, który dołączył do naszej armii.

Dla żołnierzy był to wstrząs – wielu z nich miało rodziny w Zachodnim Muellerze, gdzie Cramerowie mogliby siać zniszczenie i gdzie nie pozostawiono nikogo do obrony naszych ludzi. Nie byłem zdziwiony, kiedy nasze zastępy zaczęły się przeredzać, gdy żołnierze poczęli się pojedynczo wymykać na południowy zachód. Jeszcze mniej byłem zdziwiony, gdy nie powracała większość naszych zwiadowców. Wciąż jednak musieliśmy próbować utrzymać armię – nalegałem, aby Ojciec przestał szukać ochotników do wypraw zwiadowczych.

Od Wielkiego Przełomu dzieliło nas już tylko trzydzieści kilometrów, gdy najważniejszą wiadomość przywiózł ktoś, kogo nie spodziewaliśmy się już nigdy zobaczyć.

– Homarnoch – szepnął Ojciec, kiedy dostrzeżliśmy, jak jakiś mężczyzna szaleńczo prowadzi wóz po drodze, którą właśnie przyjechaliśmy. – Homarnoch!

Tutaj! – zawołał i stary doktor wkrótce znalazł się przy nas.

Daliśmy sygnał do odpoczynku. Żołnierze stanęli na drodze.

– To bez sensu – rzekł Homarnoch. – Zajeździłem parę koni, by was zawiadomić.

Nkumai nie połknęli waszej przynęty. Do Muelleru nad Morzem wysłali tylko Dintego z jego oddziałami, a kiedy skręciliście na południowy wschód, byli cały czas przed wami. Nie dalej jak pięć kilometrów stąd czekają na was. Są nad Wielkim Przełomem już od wielu dni.

– Będziemy z nimi walczyć i zwyciężymy – nalegał Harkint.

– Uciekniemy i ocalimy życie – odparł Ojciec. Harkint wyszedł wściekły.

Kiedy czyniliśmy przygotowania, Homarnoch opowiedział nam, dlaczego i w jaki sposób do nas dołączył.

– Chcieli nam zabrać wszystko, cały dorobek naszej pracy przez tysiąclecia. Nie mogłem do tego dopuścić. Nie mogłem na to pozwolić tym drzewnym małpom.

Nie usiłowałem mu nawet wyjaśnić, że te drzewne małpy dały reszcie wszechświata możliwość podróży z szybkością nadświatłą.

– Tak więc podałem radom truciznę – rzekł Homarnoch.

Ojciec był wstrząśnięty.

– Zabiłeś je!

– Byli warci pięć ton żelaza na podkowy, Enselu, a ja nie mogłem pozwolić, by inkersi to zabrali. Tak więc je otrujęm. Nie dostaną za nie ani grama żelaza!

Nic na to nie rzekłem, ale wspomniałem czasy, gdy miałem pięć nóg i dodatkowy nos, a wciąż wierzyłem, że jestem człowiekiem.

– Zabrałem też bibliotekę. Podstawowe zapisy. Teorię. Wszystko jest na tym wozie – rzekł – a resztę spaliłem. Miastem rządzą ludzie Dintego, nikt więc nawet nie próbował mnie zatrzymać.

– Mistrzowskie posunięcie – stwierdził Ojciec.

Homarnoch rozpromienił się z dumą.

– To, że mamy książki, nie rozwiązuje naszego obecnego problemu – zauważyłem. – Co teraz zrobimy?

– Harkint chce atakować – rzekł Ojciec z krzywym uśmiechem.

– Harkint to bohaterski osioł – oświadczyłem. – Ale rozumiem, dlaczego tego chce. Nie ma dokąd iść. Między nami a morzem są ludzie Dintego, a na północy tylko Epson. Tam nie udzielą nam azylu, bo nie będą chcieli prowokować Nkumai.

– Dinte nie może się z nami równać.

– Ma przewagę liczebną pięć do jednego. Z taką przewagą nie potrzebują mądrego dowódcy.

Siedzieliśmy w milczeniu. Homarnoch wymamrotał coś o potrzebie oporządzenia koni. A potem Harkint wrócił. Wojska były gotowe.

– Chcę tylko wiedzieć, czy stajemy do walki, czy uciekamy?

– Uciekamy – rzekł Ojciec. – Pozostaje jedynie problem, którydy.

Harkint parsknął.

– Nie sądziłem, że dożyję dnia, w którym Mueller okaże się tchórzem. Szedłem za tobą, podporządkowując się twoim błędnym decyzjom, łącznie z udzieleniem schronienia temu patentowanemu draniowi – miał na myśli mnie – ale niech mnie diabli, jeśli podwinę ogon pod siebie jak pies i ucieknę przed walką. I są tu inni, którzy myślą tak jak ja.

Gdyby miał jakieś wyczucie konwencji dramatu, powinien był po tych słowach wyjść, trzaskając drzwiami. Ale nie wyczuwał tej konwencji. Dał więc Ojcu szansę na odpowiedź:

– Wobec tego idź między żołnierzy, Harkint, i spytaj, kto z nich chce pójść za tobą. Ale powiedz im, że Mueller się wycofuje i prosi wszystkich, aby poszli za nim.

Powiedz im to i zabierz wszystkich, którzy zechcą pójść za tobą.

Harkint skinął głową i wyszedł. Zacząłem szkicować orientacyjną mapę Muellera i otaczających go terenów.

– Południe i zachód są wykluczone – rzekł Ojciec. – W Mueller każdy by cię chętnie zabił, a w Helper, Cramer i Wizer każdy chętnie zabiłby mnie.

– A kierunek północny odpada – dopowiedziałem – ponieważ Epson jest zbyt słaby, by nas ochronić, i zbyt silny, abyśmy mogli go zmusić do przyjęcia nas.

– I nie możemy dotrzeć na Wschód, gdyż przed sobą mamy armię Nkumai.

– Jaka rozpaczliwa sytuacja – zauważył beztrąsko Homarnoch, który powrócił

przed chwilą, stanął w odległości kilku metrów i patrzył na stos papierów. – Nie ma nadziei. Rzućmy się do rzeki i utopmy się.

Nadszedł czas, abym przedstawił swój ostatni, desperacki plan.

– Jest jeden kierunek, o którym nie mówiliśmy.

Ojciec zorientował się natychmiast.

– Ku Kuei. Ale o tym lesie krąży zbyt wiele legend. Ludzie tam nie pójdą.

– Przeszedłem ten las. I nie po jego obrzeżach. Przez sam środek.

– A za tobą pójdą wszędzie na ślepo.

Zaśmiałem się.

– Nawet jak ich tam wprowadzimy, Lanik, co będziemy robić? Nkumai rządzi na wschodzie, a armie Singera pustoszą daleką północ. Co będziemy robić w Ku Kuei?

– Po prostu żyć. Dinte nie jest wieczny.

– Mówisz poważnie o tym, żebyśmy tam szli, prawda?

Widziałem, że boi się Ku Kuei, tak jak wszyscy. A czyż ja nie bałem się również?

I czyż wśród drzew nie działy się dziwne rzeczy? Czas wydawał się tam stać w miejscu, a moje ciało męczyło się niezwykle szybko. Jednak była to nasza jedyna nadzieja.

– O Schwartz również krążą legendy – zauważyłem. – A jednak

wszedłem tam i wyszedłem żywy.

– Czy myślisz, że wciąż tam mieszka jakaś Rodzina Ku Kuei? Czy sądzisz, że mogą mieć coś cennego do ofiarowania?

– Las jest dziwny i niebezpieczny. Można powiedzieć, że przyprawia o obłąd.

Nikogo tam nie spotkałem, Ojczy, i nie spodziewam się, że tym razem spotkamy kogoś, kto nam pomoże. Ale nawet słaba nadzieja jest lepsza od żadnej.

Ojciec zaśmiał się.

– Lanik, myślę, że wyrażanie takiej szalonej nadziei to twój sposób okazywania rozpacz.

Jego rozbawienie świadczyło o tym, że mięknie. Nalegałem mocniej.

– Czy Dinte pójdzie za nami do Ku Kuei?

– Dinte? On wierzy we wszystkie legendy. Zamyka okna na noc. Nie przekroczy strumienia, gdy niebo jest pochmurne. Śpiewa, kiedy dotknie go cień cudzego konia.

To głupiec.

– Nkumai nie są głupcami – rzekłem – a oni również nie wchodzą do Ku Kuei.

Ich naturalnym środowiskiem jest las. Ku Kuei przeraża wszystkich, tak że trzęsą portkami. Jeśli więc nie wpadniemy w panikę, będziemy bezpieczni.

Za Harkintem poszło do bitwy więcej ludzi, niż się spodziewaliśmy. Mimo to uformowaliśmy pozostałych w podwójną kolumnę i zaczęliśmy marsz na północny wschód. Rozstanie nie było miłe. Niektórzy z naszych wykrzykiwali obelgi pod adresem ludzi Harkinta, lżąc ich, że opuszczają Muellera. Ludzie Harkinta w rewanżu nazywali ich tchórzami. Marsz ciągnął się w ponurym nastroju. Było nas jakieś pięć tysięcy, ale cały czas odpadali od nas dezercerzy. Nie mogłem im mieć tego za złe, ale wszystkich schwytanych wcielałem znów do szyku. Nie mieli nic przeciwko temu.

Wiedzieli, że uciekną w ciągu godziny, kiedy zostaną bez nadzoru oficera.

Przybyliśmy do rozwidlenia dróg. Ucieczka na północ oznaczałaby wybór głównej drogi na lewo. Węższa droga na wschód mogła nas tylko doprowadzić do Ku Kuei. Przemowa Ojca zrobiła na wszystkich wrażenie. Ale właśnie tam straciliśmy dwa tysiące ludzi, kiedy doszła

do nas wiadomość, że siły Harkinta zostały rozgromione w ciągu kilku godzin po odłączeniu się od nas. Nkumai byli tuż za nami.

Wypoczywali przez wiele dni, oczekując nas przy Wielkim Przełomie. Byli w pełni sił, a my nie.

Pozbawieni nadziei szliśmy gęsiego po wąskiej drodze, prowadzącej przez wschodnie wzgórza. Nie mieliśmy już wielu dezercji. Na tych wzgórzach najlepszym źródłem żywności były nasze wozy. Prócz tego dezercerzy mieliby nikłe szanse przeżycia, gdy wróg następował nam na pięty. I, co najważniejsze, ludzie, którzy pozostawali wciąż przy nas, byli najwierniejszymi stronnikami Ojca. Ci, jak nam się wydawało, woleliby zginąć, niż go opuścić.

– Rozważam pewien pomysł – rzekł do mnie Ojciec, kiedy szliśmy na czele kolumny po krętej drodze. – Polega on na tym, żeby wybrać tutaj dobre miejsce i stanąć do walki.

– To głupi pomysł – stwierdziłem zachęcająco.

Ojciec uśmiechnął się. Ale to był ponury uśmiech.

– Uświadamiam sobie, kiedy tak zbliżamy się do Ku Kuei, że również jestem trochę przesądny. Czy jesteś całkowicie pewien, że bezpiecznie się tamtędy przedostałeś?

– Jestem tutaj, prawda?

– Rzeczywiście, jesteś tu, ale czego to dowodzi? Lanik, mój synu, jestem starym głędą, ale jeśli się nie mylę, zwałeś mur mojego pałacu, nie mając przy sobie nawet małego kamienia ani katapulty.

– Nauczyłem się pewnych rzeczy w Schwartz.

– Lanik, nie podaję twoich słów w wątpliwość. Ale czy zdajesz sobie sprawę z tego, że to, co osiągalne dla ciebie, może nie być osiągalne dla wszystkich innych? Ty możesz być bezpieczny w Ku Kuei, ale jaką masz pewność, że reszta z nas przeżyje?

– Wszystkiego, co umiem, nauczyłem się w Schwartz. Byłem zwykłym chłopakiem, kiedy wszedłem do Ku Kuei i wyszedłem stamtąd zmęczony, lecz nie zmieniony.

Westchnął.

– Co będziemy robić w Ku Kuei?

– Przeczekiwać.

Jakich innych planów się po mnie spodziewał?

Droga ostro skręciła na północ i w pewnej odległości na wschód widzieliśmy, jak zaczynają się drzewa Ku Kuei. W stronę lasu nie było

nawet ścieżki – tego kierunku nie obierali zwykle podróżni. Wyszukałem więc jakąś sensowną trasę i ruszyłem na przełaj.

Wojska nie poszły za mną.

Nie to, żeby coś powiedzieli lub zbuntowali się. Ludzie z pierwszych szeregów po prostu siedzieli na swych koniach i obserwowali mnie, nic nie mówiąc i nie ruszając się.

Ojciec zjechał z drogi i podążał bardzo wolnym stępem za mną. Ruszyło także paru innych. Ojciec jechał, aż do mnie dołączył, natomiast pozostali ściągnęli lejce i zatrzymali się kilka metrów od drogi.

Ojciec odwrócił się do nich.

– Nie rozkazuję nikomu, by szedł za mną – rzekł. – Ale właśnie tam idzie Mueller i wszyscy prawdziwi ludzie Muellera pójdą za nim. Zostańcie przy mnie, a będziecie żyć tak długo jak ja.

Nie wiem, czy ta krótka przemowa Ojca sama wystarczyłaby, aby ich namówić.

Znacznie bardziej przekonująca była chmura strzał skierowana ku naszej kolumnie.

Nie były celne – padały ze zbyt dużej odległości. Ale wniosek był jasny: Nkumai oskrzydłili nas i nasza kolumna, na całej długości, będzie wkrótce wystawiona na ataki nieprzyjaciela.

– Mueller, do mnie! – wykrzyknął Ojciec. A potem dodał do mnie głośnym szeptem: – Prowadź, do cholery!

Całkiem nierozsądnie wyruszyłem kłusem po nierównym terenie. Mój koń i ja mieliśmy szczęście, ale inni nie, i przed dotarciem do lasu wiele koni zrzuciło jeźdźców.

Drzewa były wysokie, ale często gałęzie zwieszały się nisko i trudno było wybrać drogę pozbawioną przeszkód. Musiałem zsiąść z konia. Oznaczało to, że nasi żołnierze będą musieli również zatrzymać się na skraju lasu, wystawiając się na cel nkumajskim łucznikom, gdyż będą czekać, aż ci, co są przed nimi, wejdą między drzewa. Straciliśmy w ten sposób ponad dwustu ludzi, ale kiedy wprowadziłem początek pochodu na dwie godziny drogi w głąb lasu, ariergarda podała wiadomość, że pościg Nkumai ustał.

Nie musieliśmy już gwałtownie uciekać, ale nie mogliśmy się zatrzymać. Drzewa przy skraju lasu były tak gęste, że nie rosła tu żadna przyzwoita pasza dla naszych koni. Zdecydowałem się doprowadzić

ludzi do brzegów wąskiego jeziora, gdzie zatrzymałem się kiedyś po raz pierwszy. Znajdowała się tam dosyć duża polana i nasze konie mogłyby paść się przynajmniej przez kilka dni.

Podróż upływała nam w milczeniu. Nie oglądałem się na ludzi – gdyby widzieli, jak się z ich powodu denerwuję, sami denerwowaliby się jeszcze bardziej.

Spodziewałem się, że wkrótce siły nas opuszczą, a czas wydawał się stać w miejscu, tak jak to było ze mną poprzednio. Obecnie jednak nic nie osłabiało naszej kondycji.

Tylko martwa cisza, panująca w lesie mimo ciągłego stukotu żołnierskich butów i kopyt naszych koni, działała na nerwy. Wydawało się, że cisza połyka dźwięki i jakaś część nas samych zostaje skradziona przez drzewa, a nie, jak zwykle, odbita znów ku nam.

Spędziliśmy w lesie trudną noc. Podłoże było dość miękkie i mieliśmy mnóstwo żywności w torbach przy siodłach, ale rankiem zniknęły setki ludzi. Nie wiadomo czy odeszli w nocy, czy uciekli zaraz o świcie, ale nie było ich. Wiedzieliśmy, że nic im się nie stało, tylko zdezerterowali (i wielu z tych, którzy zostali, bez wątpienia żałowało, że nie poszli z nimi), jednak poczucie, że ludzie mogą w nocy po prostu zniknąć, nie przyczyniło się do uspokojenia nastrojów.

Żywiliśmy się zapasami i w końcu dotarliśmy do jeziora, choć zabrało nam to więcej czasu, niż uważałem za możliwe. Czyż nie dotarłem do tego miejsca –

owszem, zmęczony – ale tylko po jednym dniu biegu? Świeciło słońce, nad wodą przelatywały ptaki, konie pasły się na otwartej łące i pomyślałem, że dotarliśmy wreszcie w bezpieczne miejsce. Przeliczyłem ludzi. Było ich mniej niż tysiąc. I z taką siłą chcieliśmy odzyskać władzę w Mueller.

Ludzie kąpali się w jeziorze, pryskając na siebie wodą jak dzieci. Śmiali się głośno. Byli teraz bezpieczni i nie mieli pilnych potrzeb, ani ludzie, ani konie. Ojciec i ja postanowiliśmy zostawić naszych szczęśliwych i pokojowo nastawionych żołnierzy pod dowództwem Homarnocha i wyruszyć w poszukiwaniu miejsca, gdzie moglibyśmy założyć obóz, zbudować chaty i siać zboże. Nic nie mówiliśmy o nikłej nadziei, że w czasie tej wędrówki możemy również natrafić na Ku Kuei, jeśli po okolicy szwendała się taka Rodzina.

Saranna tuliła się do mnie i mówiła, że nie wolno mi iść. Ale Ojciec i ja

opuściliśmy ją mimo to i ruszyliśmy w głąb lasu na poszukiwania.
Wtedy wydawało się nam, że to mądra decyzja.

8. *KU KUEI*

To było jak piknik w jednym z lasów nad Słodką Rzeką. Ojciec szedł energicznie

– uświadomiłem sobie, że wcale nie jest stary. Podążałem tuż za nim i obserwowałem, jak jego ręce wznoszą się, gdy dotyka liści i gałęzi; jak opadają, gdy zrywa trawę czy kwiat; jak wysuwają się w żywej gestykulacji, gdy mówi. Kiedyś myślałem, że te gesty to ozdobniki, zgrywanie się albo, co gorsza, przygotowywanie się do poskromienia biciem mnie i wszystkich dookoła, do zdobycia nad nami władzy i do narzucenia nam posłuszeństwa. To wszystko tak wyglądało, gdy byłem dzieckiem. Teraz widziałem, że te dźgania, cięcia i wymachiwanie rękami stanowiły oznakę żywotności. Jego ciało ani nie było dość duże, ani nie ruszało się na tyle szybko, by pomieścić w sobie całą rozsadzającą go energię i radość.

Było więc ironią losu, że zdałem sobie z tego sprawę dopiero teraz, kiedy jego radość była tak nie na miejscu. Czulem, że powinienem dzielić tę radość, ale wydawała mi się ona sztuczna. Teraz nie chciało mi się śmiać, podrygiwać ani krzyczeć razem z nim, lecz pragnąłem nad nim zapłakać. I gdybym się nie bał, że go zawstydzę, zrobiłbym to. Istnieją rzeczy, nad którymi można płakać, na przykład powrót do domu synów marnotrawnych, ale z powodu strat Muellerowie nie płaczą.

Nie dokonują nawet rytuału żalu po stracie królestwa. Mój ojciec był wciąż żywy, ale już opłakiwałem go, gdyż jego prawdziwe „ja” to był Mueller, władca, człowiek tak ogromny, że tylko w królestwie mógł się pomieścić. A teraz znalazł się tutaj, uwięziony w przestrzeni swojego ciała. Jego królestwem stał się dziwny las i kilkoro ludzi, którzy kochali pamięć o tym, czym był, więc ciągle służyli tej skurczonej pozostałości własnego „ja”. Ensel, jako Mueller, był już martwy. Ale Ensel Mueller upierał się, by nadal żyć, by nawet w klęsce dźwigać ze sobą pewien rodzaj wielkości.

Zawsze oczekiwałem, że odziedziczę po nim królestwo. Że gdy umrze, zajmę jego miejsce. Że się nim stanę. Sądziłem, że będę do tego zdolny. Ale teraz, gdy szedłem za nim przez las, uświadomiłem sobie, że mimo

iż mógłbym zostać Muellerem, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, nie urosłem jeszcze jednak dostatecznie, by zająć jego miejsce. Po jego śmierci bowiem zostanie tyle próżnych miejsc, miejsc, których istnienie jedynie podejrzewałem, tak wiele ról, do zagrania których nigdy nie dorosnę.

Wkrótce bez większych trudności opuściliśmy brzeg jeziora. Zaczynałem się zastanawiać, czy to, co przedtem czułem, kiedy oszalały ze zmęczenia wlokłem się przez Ku Kuei, nie było jedynie złudzeniem. I nagle zaczęło się to znowu, dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy przechodziłem Ku Kuei poprzednim razem. Szliśmy, szliśmy i szliśmy, a słońce ciągle było wysoko na niebie i wydawało się nieruchome.

Ojciec zgłodniał, zjedliśmy posiłek, a słońce nie przesunęło się. Szliśmy dalej, aż do zmęczenia, a słońce drgnęło tylko nieznacznie. I nadal szliśmy, aż wyczerpanie zważyło nas z nóg, a mogło być najwyżej południe.

– To śmieszne – powiedział Ojciec ze znużeniem, kiedy rozłożyliśmy się na trawie.

– Dla mnie jest to pocieszające – rzekłem. – Teraz wiem, że nie byłem szalony, kiedy wcześniej mi się to zdarzyło.

– Albo obydwaj oszaleliśmy.

– Jest dokładnie tak, jak było ze mną, kiedy przybyłem tu poprzednim razem.

– Co takiego? Osłabłeś i byłeś wykończony jedynie po porannym spacerze?

– Tak właśnie myślałem, ale teraz nie jestem tego taki pewien.

Dowiedziałem się wielu rzeczy o świecie od czasu, gdy przemierzyłem Ku Kuei.

Ci obserwatorzy gwiazd z wierzchołków drzew zdołali wymyślić nadświatlny napęd dla statków międzygwiazdnych. Nagie dzikusy na pustyni potrafiły zamieniać skały w piasek. Czy to my zbyt szybko odczuwaliśmy znużenie? A może to słońce było trochę spóźnione w swojej podróży?

– Widzimy, że chociaż jesteśmy bardzo zmęczeni, nie minęło wiele czasu, i wnioskujemy, że męczymy się zbyt wcześnie. Ale pomyśl... czy nie mamy poczucia, że podróżowaliśmy od zawsze? Być może z naszymi ciałami jest wszystko w porządku, tylko właśnie czas zrobił się trochę ociężały.

– Lanik, jestem zbyt zmęczony, nawet by cię rozumieć, nie mówiąc o tym, żeby rozmyślać nad tym, co powiedziałaś.

– Zatem odpoczywaj – rzekłem do Ojca.

Ojciec wyciągnął miecz i położył się na lewym boku tak, by jego prawa dłoń, którą zwykle walczył, była gotowa do akcji od razu po przebudzeniu. Zasnął natychmiast.

Ja też położyłem się na trawie pod drzewami, ale nie mogłem spać. Słuchałem natomiast skały. Słuchałem przez barierę żywej gleby i milionów drzew.

To, co usłyszałem, to nie był głos skały, ale raczej niski, cichy, prawie niewyczuwalny szept, którego nie rozumiałem. Wydawało się, że ten głos mówi o śnie. Czy może był to wytwór mego własnego umysłu? Próbowałem wsłuchać się w krzyki umierających (choć zwykle starałem się ich nie słyszeć), ale tym razem usłyszałem nie natłok głosów wrzeszczących jednocześnie z bólu, ale raczej wyraźne, ciche wołania. Pełne bólu, lecz powolne. Zbolałe, pełne strachu i nienawiści, ale nieskończenie opóźnione, rozdzielone i wyraźne; na ich tle tętno mego serca wydawało się szybkie, rozpędzone i przestraszone, choć byłem spokojny i serce biło mi normalnie.

Zapadałem się w glebę. Rozstępowała się bardzo niechętnie, ale dotarłem do jej dna i spocząłem na skale. Kamienie odpływały na boki przed moimi plecami.

Głębokie korzenie odsuwały się, by mnie przepuścić. Potem chropowata skała ustąpiła i pozwoliła mi spocząć na sobie. Zacząłem nasłuchiwać.

Usłyszałem dokładnie to, co zwykle. Głos skały pozostawał nie zmieniony.

Znikły dźwięki, które słyszałem przy powierzchni.

Byłem zagubiony. To, co słyszałem wcześniej, na pewno nie było złudzeniem, a jednak teraz, tuż przy skale, wszystko było takie, jak w Schwartz parę tygodni temu.

Wzniosłem się znowu, cały czas nasłuchując, i stopniowo pieśń ziemi zmieniała się, powolniała, jakby rozpadała na oddzielne głosy. Zdało się również, że ziemia rozstępuje się, by mnie przepuścić, bardziej niemrawo. Ale w końcu znalazłem się na powierzchni. Z rozłożonymi ramionami pływałem po czymś, co wydawało się tylko nieco gęstsze od

wody morskiej.

Ojciec stał, patrząc na mnie z nie dającym się opisać wyrazem na twarzy.

– Mój Boże – powiedział. – Co się z tobą działo?

– Po prostu odpoczywałem – odrzekłem, ponieważ niewiele więcej było do powiedzenia.

– Nie było cię, a potem wynurzyłeś się z ziemi, jak umarły wstający z grobu.

– Powiniennem był jeszcze pochodzić sobie po wodzie – rzekłem. – Nie martw się tym. Musiałem coś zbadać. Ja... Ojczy, w Schwartz nauczyłem się kilku rzeczy.

Rzeczy, których nie można wyeksportować przez Ambasadora. Są to sposoby...

myślenia i rozmawiania... z rzeczami, z którymi ludzie nigdy nie rozmawiają. Nawet nie wpadnie im to na myśl.

– Boję się ciebie, Lanik. Nie jesteś... nie jesteś już człowiekiem.

Wiedziałem, co ma na myśli, ale ciągle bolało, kiedy słyszałem, jak to mówi.

– To akurat zostało już przesądzone, kiedy wypuściłem cycki, a Homarnoch ogłosił mnie radem.

– To było...

– Co innego – dokończyłem za niego. – Ponieważ wtedy byłem czymś mniej od człowieka, a teraz sądzisz, że jestem czymś więcej. Ale żaden z tych osądów nie jest prawdziwy, Ojczy. I wtedy, i teraz nie przestałem być człowiekiem. To jest po prostu jedna z rzeczy, które mogą się człowiekowi przydarzyć, jedna z rzeczy, którą człowiek może zrobić. Nie bóg, nie diabeł. Człowiek.

– Skąd o tym wiesz?

– Ponieważ jestem człowiekiem i mogę to zrobić.

– Nie było cię prawie godzinę, jak się wydawało, a zniknąłeś jakby na całą wieczność, Lanik. Jak oddychałeś?

– Bardzo mocno wstrzymywałem oddech. Ojczy, zapomnij o tym, co przed chwilą widziałeś. Pozwól, że ci opowiem, czego się dowiedziałem. Z tą głębą tutaj coś się dzieje. Jakby wszystko było spowolnione, albo przynajmniej tak się wydaje.

To jest tak, jakby... nie mam pojęcia. Jakby istniała bańka, która obejmuje nas, ziemię i drzewa wokół nas, i wewnątrz tej bańki czas

płynie wolniej. Albo nie, to się nie zgadza. Jest tak, jakby dla nas czas płynął szybciej. Idziemy dalej, wykonujemy dzienną normę marszu, a jednak dla świata na zewnątrz upływa tylko kilka minut.

Kiedy tkwimy w środku, cała reszta świata wydaje się powolna, ale nie jest. Pozostaje taka sama jak zawsze.

– Jeśli rzeczywiście uszliśmy tak daleko, jak się nam zdaje, musi to być bardzo duża bańka.

– A może przesuwa się ona razem z nami?

– Dlaczego nie zdarzyło się to z armią?

– Może mieliśmy zbyt wielki moment, czy coś w tym rodzaju, nie wiem. Ale spójrz na słońce. Dopiero co minęło zenit, a my już wędrujemy cały dzień.

– Jestem teraz wypoczęty – rzekł Ojciec. – Czuję się, jakbym spał bardzo długo.

Gdy się obudziłem, nie było ciebie ani żadnych śladów, ani czegokolwiek, po prostu zniknąłeś. Nie śmiałem iść dalej, ze strachu, że znów cię stracę. Wydawało mi się, że czekam całą wieczność.

– Nie było mnie kilka minut, to wszystko – odpowiedziałem. – Tylko że spędziłem tych parę minut poza bańką.

– Nic nie wiem o bańkach – stwierdził Ojciec – ale jestem wypoczęty.

Poszliśmy więc dalej.

Sądząc z położenia słońca, było dopiero wczesne popołudnie, według moich obliczeń jednak, kiedy doszliśmy do następnego jeziora, zrobiliśmy od rana dwa dni drogi. Do tego samego jeziora, po którego południowym brzegu szedłem w czasie poprzedniej podróży. Teraz staliśmy na jego zachodnim brzegu, a przeciwległy był tak blisko, że widzieliśmy go wyraźnie. O ile rzeczywiście był to przeciwległy brzeg.

Wydawało się bowiem, że znika on na północy i południu, więc przypuszczaliśmy, że może to być wyspa lub półwysep.

Nie spałem przez cały ten czas. Ojciec spał wprawdzie, lecz odpoczynek niewiele mu pomógł. Zataczał się jak pijany, ja zaś czułem się tak znużony, że każdy krok wymagał osobnego wysiłku i był triumfem ducha nad materią.

– Nie wiem, jak ty – powiedziałem Ojcu – ale to już granica mojej wytrzymałości. Tu właśnie się zatrzymam.

Zasnęliśmy natychmiast.

Obudziłem się w ciemności. W czasie mojej pierwszej podróży nie widziałem nigdy zmroku w Ku Kuei, a zeszłej nocy, razem z armią, miałem inne rzeczy do roboty. Teraz obserwowałem niebo. Wzeszła zarówno Niezgoda, jak i Wolność, i jak zwykle o tej porze roku, świeciły one blisko siebie. Leżałem tak, zmęczony snem, pozwalając błądzić swym myślom. Przyszło mi do głowy, że o tej porze Niezgoda powinna już była minąć Wolność.

Ona natomiast prawie stała w miejscu.

Czy w Ku Kuei mogli znaleźć sposób na spowolnienie słońca i księżyców? Nie, takie rzeczy widzielibyśmy również w Mueller. To, co miało miejsce, nie było rzeczywiste, to było złudzenie, lokalny fenomen. Nie zmiana w ziemi czy na niebie – mogła to być jedynie zmiana w nas. Zmiana, która nie zachodziła, kiedy byliśmy z armią. Zmiana, która zdarzała się jedynie wtedy, gdy pozostawaliśmy sami.

– Przynajmniej raz Niezgoda nauczyła się pokory – zauważył Ojciec.

Nie spał

więc również.

– Też to zauważyłeś.

– Nienawidzę tego miejsca, Lanik – westchnął. – Żebrak jest wdzięczny za każdą monetę. Ale zaczyna mi się wydawać, że byłbym szczęśliwszy z Harkintem.

– Prawdopodobnie byłbyś. Do pewnego czasu.

– Jakiego czasu?

– Kiedy ścięliby ci głowę, a ona by nie odrosła.

– To jest zawsze problem z Muellerami – rzekł Ojciec. – Nigdy nie wierzymy, że śmierć jest czymś nieodwracalnym. Słyszałem o człowieku, który nie mógł wymyślić, jak zemścić się na wrogu. Mógł sobie wyobrazić tylko, że go zabije, a nie chciał być aż taki mściwy. Tak więc wyzwał tamtego człowieka do walki i pokonał go, a kiedy jego wróg leżał na ziemi, osłabły z upływu krwi, odciął mu rękę i przyszył odwrotnie.

Wynik podobał mu się tak bardzo, że uczynił to samo z drugą ręką i nogami, tuż przy biodrach, tak że pośladki były skierowane w tę samą stronę co twarz. I oczywiście miał ogon. To była idealna zemsta. Kiedy wszystko się wygoiło, jego wróg spędził resztę swego życia, patrząc, jak sra, i nigdy nie wiedział, czy śpi z ładną

dziewczyną, czy z brzydulą.

Zaśmiałem się. Była to opowieść z rodzaju tych, jakie snuje się w zimie przy dobrze rozpalonych kominkach. Z rodzaju tych, dla opowiadania których ludziom obecnie brakowało ducha, nawet jeśli dopisywał im dowcip.

– Nigdy już nie wrócę, prawda, Lanik? – zapytał Ojciec. I z tonu, którym wypowiedział te słowa, wiedziałem, że nie chce prawdy.

– Oczywiście, że wrócisz – rzekłem. – To tylko kwestia czasu, zanim Nkumai załamie się pod własnym ciężarem. Istnieje granica tego, ile ziemi wchłonąć może jedna Rodzina.

– Nie, nie istnieje nic takiego. Ja mógłbym podbić wszystkich.

– Beze mnie nie mógłbyś – powiedziałem wojowniczo i Ojciec się zaśmiał. Był

to ten sam śmiech, który słyszałem z jego ust jako dziecko. Przypomniało mi się, jak wyzwałem go na pojedynek, kiedy kazał mi iść do mego pokoju, gdyż byłem arogancki. Śmiał się tak samo, dopóki nie wyciągnąłem miecza i nie zażądałem, żeby stanął honorowo przeciw mnie. Musiał prawie zupełnie odciąć mi dłoń, nim poczułem się usatysfakcjonowany i się poddałem.

– Nigdy nie powinienem był próbować... – rzekł. „Czego próbować?” – zastanawiałem się, dopóki nie skończył zdania: – Robić coś bez ciebie.

Nic na to nie odpowiedziałem. Został zmuszony do odesłania mnie około roku temu. Od tamtej pory miałem mały wybór w swych działaniach. Od roku? Od wczoraj. Od zawsze. W ciemności czułem się tak, jakbym stale przebywał tylko tu, patrząc cały czas na gwiazdy.

Ojciec również spoglądał na gwiazdy.

– Czy kiedykolwiek ich osiągniemy?

– Jeśli będziemy mieli dostatecznie długie ręce.

– I co tam znajdziemy? – w głosie Ojca słychać było nieokreślony smutek, jak gdyby właśnie zdał sobie sprawę, że nie odnajdzie już czegoś, co nieopatrznie, dawno temu, gdzieś zapodział. – Gdybyśmy my, Muellerowie, dostali dosyć żelaza i jakoś zbudowali statek, co byśmy tam zastali? Czy po trzech tysiącach lat przyjęliby nas tam z otwartymi ramionami?

– Ambasadorzy wciąż działają. Przysyłają nam żelazo. Wiedzą, że tu jesteśmy.

– Gdyby chcieli nas wypuścić z tej planety, już dawno przybyliby tutaj i

nas zabrali. Bez względu na to, jakie zbrodnie zostały popełnione, odpokutowano je tysiackrotnie, zanim jeszcze się urodziłem, Lanik. Czy to ja się zbuntowałem przeciwko Republice? Jakąż stanowię dla nich groźbę? Mają broń, która pozwoliłaby jednemu człowiekowi stanąć naprzeciw armiom Nkumai i zwyciężyć. A ja jestem podstarzałym szermierzem, który kiedyś wygrał siedemnaście zawodów łuczniczych w ciągu jednego dnia. Włożę wszystkie medale, a oni z pewnością mi się pokłonią.

Zaśmiał się ponuro i śmiech jego zamienił się w westchnienie.

– Kiedy odetnie się im ręce, one nie odrastają – powiedziałem. – Tak więc w tym punkcie mamy nad nimi przewagę.

– Jesteśmy wybrykami natury.

– Zimno mi – rzekłem.

Chmury stały nieruchomo na swoich miejscach nad horyzontem i nie wiał wiatr.

– Nie ma wiatru – rzekłem. – Wszystko spowolnili. Spójrz, Ojcie. Widzisz, jak trawa się kładzie, tam, po drugiej stronie zatoki. Jakby wiał wiatr. A jednak wiatru nie ma.

Zdawało się, że Ojciec tego nie zauważa.

– Ojciec – rzekłem. – Być może powinniśmy iść dalej.

– Dokąd? – zapytał.

– Żeby znaleźć Ku Kuei.

– Więc wyruszyć, jak Andrew Apwiter, i próbować znaleźć trzeci księżyc, księżyc z żelaza, który wybawi nas od piekła? Nie ma Ku Kuei. Ta Rodzina wymarła całe lata temu.

– Nie, Ojciec. To nie jest zjawisko naturalne, ta bańka z czasem. Ona idzie wciąż za nami. Ponieważ sami jej nie wytwarzamy, wytwarza ją ktoś inny, a ja mam zamiar tego kogoś znaleźć.

– Więc może są jacyś Ku Kuei. Jeśli mielibyśmy ich znaleźć, już byśmy ich znaleźli.

– Jeśli żyją, to zostawiają jakieś ślady, Ojciec. Muszą gdzieś mieszkać.

– A czy my mamy przed sobą wystarczająco wiele lat życia, aby przeszukać każdy metr lasu, w nadziei, że wpadniemy na jakiegoś Ku Kuei albo natkniemy się na kilka włosów zaczepionych o niską gałąź? Mogą z nami czynić dziwne rzeczy, a jednak nigdy ich nie widzieliśmy. Uważam, że to magia. Poddaję się, uważam, że to magia, magicy zaś ani nas nie potrzebują, ani nie mają po co nam pomagać. A ja

powiniennem wrócić z powrotem do mego ludu i umrzeć. Przynajmniej będą mnie pamiętać jako króla, który walczył do śmierci, a nie jako króla, który uciekł do lasu i został zjedzony przez drzewa w Ku Kuei.

– Ojciec...

– Chcę znowu spać. Chcę tylko spać.

Odwrócił się na bok, plecami do mnie.

Leżałem tak, patrząc na gwiazdy i zastanawiając się, jakimi ludźmi są Ku Kuei.

Tu, w tym świecie mogliby być czymkolwiek. Jako dziecko wyrosłe w Mueller nie myślałem, że jest w nas coś dziwnego. Każdemu w szkole grozono odosobnieniem lub odcięciem kończyn, jeśli nie zda egzaminu, ponieważ nawet dzieci ból przyjmowały obojętnie. U wszystkich zadrapania goiły się po paru chwilach od upadku. To właśnie, jak sądziłem, było normalne. Ale teraz wiedziałem, że nie.

Poznałem drzewnych ludzi, którzy rozwiązywali problemy wszechświata, ludzi pustynnych, których umysły zmieniały kształt skał. Na Spisku dziwność była normą i ci, którzy byli rzeczywiście normalni, zostali skazani na zapomnienie lub podbój.

Przybyliśmy do was, zwracałem się w myślach do Ku Kuei, przybyliśmy do was, ponieważ nigdzie indziej nie mogliśmy się zwrócić, i oczekujemy zmiłowania od tych, którzy nie potrzebują bać się sprawiedliwości.

Nikt nie odpowiedział moim myślom. Nikt ich nie usłyszał.

Jak głośno muszę krzyczeć, zanim mnie usłyszycie, pomyślałem. Co mam zrobić, byście zwrócili na mnie uwagę, choćby tylko na chwilę, bez względu na to, jak długie są chwile tu, dokoła?

Jezioro odbijało światło księżyca. Obok nas poświata drżała, ale drżenie cichło i jezioro nadal było spokojne z zamarłymi w bezruchu falami. I wiedziałem już, jak mogę ich zmusić do zauważenia nas.

Przecież sterowanie wodą było pierwszą rzeczą, jaką widziałem w Schwartz, kiedy woda zlała się tak, bym mógł się jej napić, a potem rozproszyła, gdy ugasiłem pragnienie. Znowu leżałem spokojnie i przemawiałem swoim niemym głosem, wołając do ziemi pode mną.

Być może ziemia wyczuła pilność mojej potrzeby albo może moja moc była większa, niż sądziłem. Ale skały odpowiedziały, ziemia pod jeziorem rozluźniła się, zafalowała, jezioro zaś zaczęło szybko wsiąkać. Kiedy skończyłem, zostało zaledwie tyle wody, by wystarczyło dla ryb.

Na miejscu jeziora rozciągała się rozproszona grupa kałuż i błot.

- Proszę pana – powiedział głos tuż za mną.
- Jak szybko przyszlście – odpowiedziałem nie obracając się.
- Pan ukradł nasze jezioro – rzekł głos.
- Pożyczyłem je.
- Niech pan je odda.
- Potrzebuję waszej pomocy.
- Pan przybył ze Schwartz.
- Nikt nie wychodzi żywy ze Schwartz – odrzekłem.
- My wychodzimy żywi ze wszystkich miejsc, które spodoba nam się odwiedzić
- rzekł głos. – Ale nikt nigdy nie wie, że tam jesteśmy. – Ktoś się zaśmiał.
- Jestem z Mueller – upierałem się.
- Jeżeli pan może kazać jezioru, żeby wsiąkło w ziemię, jest pan ze Schwartz.

Czego jeszcze pan tam się nauczył? W Schwartz nie zabijają. Ale my nie jesteśmy Schwartzami i chętnie zabijamy.

- Więc zabijcie mnie i pożegnajcie się z jeziorem.
- Nic panu nie jesteśmy winni.
- Będziecie, kiedy zwrócę wam jezioro.

Cisza. Odwróciłem się. Nikogo tam nie było.

- Lubicie przemykać się chyłkiem, prawda? – wymamrotałem.
- Co? – spytał Ojciec, budząc się. – Co, do licha, stało się z jeziorem?
- Chciało mi się pić – odpowiedziałem. Nie podobał mi się strach w jego oczach, kiedy na mnie patrzył. – Mieliśmy gościa. Nawet do nas mówił.

– Gdzie się podział?

- Poszedł po towarzystwo, żeby nas wyrzucić, jak mi się zdaje. Tymczasem popatrz na Niezgodę i Wolność.

Ojciec spojrział i zobaczył to, co ja: Niezgoda przechodziła przez tarczę Wolności, a liście na drzewach szeleściły na wietrze.

- Cóż – powiedział. – Powinienem spać częściej.

Czekaliśmy na brzegu byłego jeziora. Ale niedługo. Niezgoda wyprzedziła Wolność tylko o kciuk, kiedy czterech mężczyzn przeszło z hałasem przez poszycie i stanęło dokoła gniewnie.

- Co, u diabła! – zawołał jeden z mężczyzn.

– Chcecie popływać? – zapytałem.

– Jakim prawem napadliście na nas w ten sposób? Co wam zrobiliśmy?

– Oprócz igraszek naszym poczuciem czasu?

Skonsternowani spojrzeli po sobie.

– Omamiliście mnie podczas mej pierwszej podróży. Ale po raz wtóry trochę się zorientowałem, co jest grane.

– Dlaczego tu przyszliście?

Więc Ojciec i ja opowiedzieliśmy im, a oni słuchali z nieodgadnionymi obliczami. Wszyscy byli ciemnoskórzy, wysocy i grubi, ale pod tłuszczem wyczuwało się siłę. Słuchali naszej opowieści, nie pokazując nic po sobie.

Kiedy skończyliśmy, dłuższą chwilę patrzyli nam w twarze, aż w końcu najwyższy i najgrubszy, który widocznie dowodził – zastanawiałem się, czy wybierają swych przywódców według wagi – powiedział:

– Więc?

– Więc potrzebujemy waszej pomocy.

– Tak? Dlaczego mielibyśmy jej wam udzielić?

Ojciec był zakłopotany.

– Potrzebujemy jej. Będziemy zgubieni, jeśli nam nie pomożecie.

– To jest jasne. Ale co z tego będziemy mieli?

– Jesteśmy waszymi bliźnimi, ludźmi – zaczął Ojciec, ale był na tyle mądry, by wiedzieć, kiedy dać spokój. W każdym razie, oni uważali tę myśl za zabawną.

– Jest dostateczny powód, dla którego powinniście nam pomóc – rzekłem. – Jeśli tego nie zrobicie, nie odzyskacie jeziora. Komary bardzo dobrze rozmnażają się w takich kałużach.

– Więc obiecuję wam wszystko, co chcecie, a wy napełnijcie z powrotem jezioro

– powiedział przywódca. – Wystarczy potem was zabić i tyle z naszej umowy.

Ponadto jezioro zostanie przy nas. Wobec tego, dlaczego nie mielibyście napełnić jeziora i pójść sobie tam, skąd przyszliście? Wy nam nie zawracacie głowy i my wam nie zawracamy głowy.

Byłem wściekły. Wobec tego usunąłem glebę spod ich stóp i przesunąłem ją na bok. Upadli ciężko na ziemię. Próbowali powstać (a byli w tym szybsi niż, jak sądziłem, pozwalały im ich cielska), ale grunt

wciąż tańczył im pod stopami, aż w końcu dali spokój. Leżeli rozciągnięci na ziemi i wołali, żebym przestał.

– Na chwilę – zgodziłem się.

– Jeśli potrafisz to robić – stwierdził przywódca, powstając i otrzepując ubranie –

wcale nas nie potrzebujesz. Mimo tego, co mówiłem, nie mamy żadnej broni. Nie potrzebujemy jej. Od lat nikogo nie zabijaliśmy. Nie znaczy to, że mamy jakieś skrupuły moralne w związku z zabijaniem, więc niech się wam nie zdaje, że pozbyliście się kłopotów.

– To byłoby piękne – rzekłem – jeśli ziemia zgodziłaby się pochłonać naszych wrogów. Ale skały nie bawią się w masowe morderstwa, tak więc mogę tylko robić niektóre rzeczy. Pokazy. Spuszczanie jezior. Wywrotki dla kawału. Nie są to rzeczy użyteczne w walce z wrogiem. Ale nie chcemy, żebyście za nas walczyli. To, czego potrzebujemy, to czas.

Zaczęli bez opamiętania chichotać. Śmiali się. Zanosili się od śmiechu, aż łzy ciekły im z oczu. Każdy klaun po pięcioletniej pracy mógłby pójść tutaj na emeryturę, tak łatwo było ich rozbawić. W końcu przywódca rzekł:

– Dlaczego żeście tego od razu nie powiedzieli? Jeśli chcecie tylko czasu, mamy go mnóstwo.

Stwierdzenie to przyprawiło ich o nowe spazmy śmiechu.

Ojciec wyglądał nieswojo.

– Czy tylko my na tym świecie jesteśmy normalni?

– Może uważają nas za ponuraków.

– Możemy dać wam czas – stwierdził przywódca. – Od lat zajmujemy się czasem.

Nie możemy oczywiście iść w przyszłość lub w przeszłość, ponieważ czas jest jednowymiarowy. (Oczywiście – pomyślałem – każdy to wie.) Ale możemy zmieniać naszą własną szybkość w stosunku do ogólnego przepływu czasu. I możemy rozciągnąć tę zmianę na nasze najbliższe sąsiedztwo. Potrzeba jednego z nas na każdych czterech czy pięciu ludzi, których chcemy zmienić. Ilu macie ludzi?

– Mniej niż tysiąc – rzekł Ojciec.

– Jaka dokładność – odpowiedział przywódca, wykrzywiając usta, jakby znów miał rozpocząć kolejną kanonadę śmiechu. – Nie pomyliłeś się w żadnym miejscu po przecinku, prawda? To będzie wymagać

mniej niż dwustu naszych. Ale oczywiście jeszcze mniej, jeśli się stłoczą, jeśli będziecie wzajemnie dzielić się czasem. Tak, że może uda się to zrobić tylko z pięćdziesięcioma.

– Zrobić co? – zapytał Ojciec podejrzliwie.

– Nie wiem – odrzekł przywódca, uśmiechając się szeroko. – Oczywiście dać wam czas. Ile potrzebujecie, zanim wymrą wasi wrogowie? Pięćdziesięciu lat? Jeśli naprawdę ciężko popracujemy, oznacza to, że będziecie musieli pozostawać na małej powierzchni przez, powiedzmy, pięć dni. Czy to za długo? Jest to tym trudniejsze, im szybciej każemy, żeby płynął wam czas, ale jeśli chcecie najwyższego wysiłku, możemy wam dać sto lat w ciągu tygodnia.

– Sto lat czego?

– Czasu! – zaczynał się niecierpliwić naszą tępotą. – Siedzicie tutaj i mija, jak wam się wydaje, tydzień, kiedy poza naszym lasem przeszło sto lat. Wychodźcie, nie ma już żadnych wrogów, nikt was nie szuka, jesteście bezpieczni. Czy może się myłę? Może wasi wrogowie odznaczają się szczególną długowiecznością?

– Czy potrafią to zrobić? – zwrócił się do mnie Ojciec.

– Po tym, czego doświadczyłem w ciągu ostatniego roku, wierzę we wszystko –

odrzekłem. – To oni sprawili, że myśleliśmy, iż księżyc się zatrzymał. Przywódca wzruszył ramionami.

– To był drobiazg. To robiło jakieś dziecko. Zwołamy ochotników do tej roboty, a kiedy nas nie będzie, napełnij jezioro.

Potrząsnąłem głową.

– Napełnię jezioro, kiedy wrócicie.

– Dałem ci słowo!

– Powiedziałeś mi też, że zabić mnie to dla ciebie drobiazg, chociaż dasz słowo.

Uśmiechnął się ponownie.

– I może mimo wszystko to zrobię. Kto to wie? Nie ma nic pewnego na tym świecie, będziesz musiał się do tego przyzwyczaić.

A potem nagle nie było ani przywódcy, ani jego przyjaciół. Nie odwrócili się i nie odeszli, po prostu przestali tam być. Teraz domyślałem się: czas zrobił się dla nich nagle szybszy, mogli więc odejść, zanim nasze oczy zarejestrowały ich przejście.

– Jestem już stary – rzekł Ojciec. – To wszystko dla mnie zbyt wiele.

– Dla mnie także – odpowiedziałem. – Ale jeśli oznacza to, że możemy przeżyć, proponuję, żebyśmy spróbowali się przyzwycząić.

Mimo wszystko było ich tylko trzydziestu, ale przywódca zapewnił, że prawdopodobnie tylu wystarczy. Wyruszyliśmy, zostawiając z tyłu jezioro, przywrócone do poprzedniej wielkości.

– Być może teraz cię zabijemy – rzekł przywódca, kiedy jezioro się wypełniło, ale zaraz się zaśmiał i mocno mnie uściskał. – Lubię cię! – krzyknął. Wszyscy zaczęli się śmiać. Nie rozumiałem z czego.

– A teraz szybko – rozkazał przywódca, ale ku memu zdziwieniu nikt się nie pośpieszył.

Wtedy zrozumiałem, że oznaczało to, iż ich czas będzie biegł szybko, podczas gdy świat zewnętrzny będzie się włókł w normalnym tempie. Był wczesny ranek, kiedy doszliśmy do miejsca, gdzie obozowała armia, ale zatrzymywaliśmy się i spaliśmy po drodze dwukrotnie. Cała nasza wyprawa trwała dziesięć dni według naszego czasu, podczas gdy dla naszej armii było to około dwudziestu czterech godzin. Tym razem Ojciec i ja zrozumieliśmy, do jakiego stopnia wyczerpaliśmy uprzednio nasze siły. Ku Kuei nie byli ospali, więc byliśmy dość zmęczeni za każdym razem, kiedy kładliśmy się na spoczynek. Ojciec i ja przeszliśmy poprzednio tę samą drogę, śpiąc tylko dwa razy.

Był to sprawny zwiad – oddaliliśmy się od armii na mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Oby tylko po naszym powrocie armia była tam, gdzie ją zostawiliśmy.

Już z odległości kilometra było jasne, że coś się wydarzyło. Szliśmy wzdłuż brzegów długiego jeziora i już z oddali widzieliśmy pas łąk. Ale w miejscu, gdzie znad ognisk obozowych wciąż wznosił się dym, nie dostrzeżliśmy wielkich stad koni.

Nie było w ogóle żadnych koni. Nic.

Z wyjątkiem zwłok. Nie było ich wiele, ale wystarczająco, żeby cała historia stała się oczywista. Homarnoch, który upierał się, aby zaciągnąć swój wóz do lasu, mimo że było to bardzo kłopotliwe, leżał martwy przed jego zwęglonymi resztkami. Nawet Muellerowie nie mogą regenerować takich oparzeń na całym ciele... ale dla pewności, po śmierci odcięto mu głowę. Podobnie zatroszczono się o pozostałe trupy.

Wszystko to zrozumieliśmy po kilku chwilach spędzonych w obozie. Szukałem Saranny, wołałem ją. Jednak miałem nadzieję, że nie ma jej

tu – lepiej, żeby była żywa wśród dezertków, niż martwa tutaj. Ciągłe ją wołałem, a Ku Kuei wkrótce dołączyli do mnie, szukając żywych wśród umarłych. To właśnie ich przywódca zawołał do mnie:

– Jeziorny Pijaku – krzyczał – tu jest ktoś żywy!

Poszedłem w jego kierunku.

– To kobieta! – krzyknął, a ja pośpieszyłem.

Ojciec już przy niej klęczał. Miała odcięte ręce i nogi. Miała poderżnięte gardło.

Jej ciało już się regenerowało, ale niezbyt szybko. Nie była radem. Wciąż nie mogła mówić.

Przywódca Ku Kuei ciągle wypytywał, jak to jest, że jej rany goją się tak szybko i dlaczego nie wykrwawiła się na śmierć, aż Ojciec kazał mu zamknąć się na chwilę.

Nakarmiliśmy ją, ona zaś popatrzyła na mnie tak, że me serce rozdzierało się na strzępy, a kikuty jej rąk wyciągnęły się ku mnie. Trzymałem ją w ramionach.

Zaskoczeni Ku Kuei obserwowali nas.

– To chyba znaczy, że nie będziecie nas potrzebować – powiedział po chwili przywódca.

– Bardziej niż kiedykolwiek – odpowiedziałem, chociaż Ojciec mówił jednocześnie:

– To prawda.

– Więc któremu z was mam wierzyć? – zapytał.

– Mnie – nalegałem. – Nie potrzebujemy trzydziestu ludzi dla naszej armii. Ale teraz nie mamy dokąd pójść. Tylko nas troje. Mój Ojciec, Ensel Mueller. Saranna – moja żona. A ja nazywam się Lanik Mueller.

– Wypełniliśmy naszą część umowy – powiedział najgrubszy Ku Kuei.

– Więc możemy się was pozbyć. Czy mamy was przenieść na skraj lasu?

Straciłem cierpliwość. Poruszyłem pod nim ziemię. Upadł ciężko na tylną część ciała i zaklął.

– Masz odruchy brutala – rzekł gniewnie. – Niech wszystkie twoje dzieci będą jeżozwierzami! Niech twój woreczek żółciowy wypełni się kamieniami. Niech odkryją, że twój ojciec całe życie był bezpłodny!

Zachowywał się tak poważnie i tak gwałtownie, że nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. A kiedy zacząłem się śmiać, twarz

przywódcy zajaśniała szerokim uśmiechem.

– Jesteś taki jak ja! – zawołał.

Nie potrzeba było wiele, by zaprzyjaźnić się z Ku Kuei.

Ponieśli Sarannę, zadziwiająco troskliwie i uważnie jak na takich olbrzymich, otyłych ludzi. Zatrzymywali się na odpoczynek częściej, niż potrzebował Ojciec czy ja. Ojciec jadł chętnie olbrzymie przekąski, którymi Ku Kuei stale się z nami dzielili.

Mnie nie chciało się przyjmować posiłków, natomiast przebywałem blisko Saranny i karmiłem ją. Był drugi dzień naszego marszu i szliśmy już wiele godzin, kiedy w końcu przemówiła.

– Myślę – zaczęła ochryple – że mój głos znów będzie funkcjonować.

– Och, nie! – zawołał jeden z Ku Kuei. – Kobieta mówi i cisza została na zawsze wypędzona z lasu!

Ta uwaga wywołała gwałtowne wybuchy śmiechu i kilku Ku Kuei leżało na ziemi, nie mogąc usiąść, ponieważ albo śmiech, albo spożyty posiłek uniemożliwiał

im przyjęcie pozycji wyprostowanej.

– Saranno – powiedziałem, a ona uśmiechnęła się.

– Dostyc szybko wróciłeś, Lanik.

– Wydaje się, że nie dość szybko – powiedziałem.

– Oszczędzili mnie, bym ci powiedziała, o co im chodziło.

– Jedyna dobra rzecz, którą zrobiono w ostatnim miesiącu.

– Byli pewni, że wyruszyłeś, by zabić Muellera. Wiedzieli, że planowałeś wezwanie upiorów Ku Kuei, aby ich zniszczyć. Nienawidzili cię. Więc sobie poszli.

– Zabijając po drodze.

– Homarnoch chciał im przeszkodzić i groził, że zabije pierwszego, który odejdzie. Było bardzo wielu tych, którzy chcieli być pierwszymi, tak więc Homarnoch nie zabił nikogo. Kilku ludzi próbowało go bronić. Oni również zostali zabici.

– I ty.

– Zrobili to szybko. Chcieli mieć pewność, że nie będę mogła łatwo podróżować.

Myśleli, że powstrzyma to ciebie i te potwory od pościgu za nimi.

Spojrzałem na trzydziestu kilku Ku Kuei, siedzących jak małe pagórki lub chrapiących w trawie.

– Potwory – powiedziałem, a Saranna zaśmiała się, lecz jej śmiech

szybko przeszedł w płacz. Łkała ochryple.

– To tak dobrze mieć głos, którym można płakać – wymamrotała, kiedy potok łez ustał.

– Co z twoimi stopami?

– Lepiej. Ale kości są jeszcze miękkie. Jutro będę mogła trochę chodzić.

Odwinąłem zaimprovizowane bandaże, w które Ku Kuei zawinęli jej nogi.

– Kłamczucha – powiedziałem. – Jeszcze nie dotarłaś nawet do połowy łydki.

– Och, myślałam, że czuję już swoje palce u nóg – odparła.

– To regeneruje się nerw. Czy nigdy poprzednio nie straciłaś nogi?

– Moi przyjaciele nie robili takich kawałów. I zawsze byłam grzeczną uczennicą.

Uśmiechnęła się.

– Dobrze, idziemy, hop, hop, dalej, nie mamy wiele czasu! – krzyknął przywódca, a inni głośno się zaśmiali, gdy wyruszyliśmy ponownie. W duszy czułem ochotę, by zabić tego, kto zaśmieje się następny.

Miasto Ku Kuei znajdowało się pośrodku jeziora, na wyspie, którą widzieliśmy z brzegu. Jeśli w ogóle dałoby się to nazwać miastem. Nie było budynków ani żadnych urządzeń. Po prostu las i trawa, w wielu miejscach dość stratowana.

To, co było tam godne uwagi, to ludzie. Dzieci, na szczęście, były szczupłe, ale wygląd dorosłych kazał mi podejrzewać, że, licząc w kilogramach, Ku Kuei stanowili przeszło połowę ludności na Spisku. Odniosłem wrażenie – nigdy nic nie wpłynęło na jego zmianę – że byli niewiarygodnie leniwi. Wydawało się, że nikt nie robi tego, czego robienia może uniknąć.

– Chodź z nami polować – proponowano mi wiele razy i raz poszedłem.

Przechodzili w szybki czas, podchodzili do zwierzyny i zabijali ją, kiedy stała nieruchomo, wciąż w zwykłym czasie. Kiedy zauważyłem, że to niesportowo, dziwnie na mnie popatrzyli.

– Czy kiedy się ścigasza, odcinasz sobie stopę? – zapytał jeden z nich.

A inny rzekł:

– Jeśli odetnę swą stopę, czy oznacza to, że nigdy nie będę mógł się ścigać?

I znowu – paroksyzmy śmiechu. Powróciłem więc do miasta.

A jednak, mimo całego ich lenistwa, mimo ich zdecydowania, żeby bawić się wszystkim, i ich niechęci przyjmowania na siebie jakichkolwiek zobowiązań, w końcu pokochałem Ku Kuei. Nie tak jak Schwartzów, ponieważ tamtych podziwiałem. Pokochałem Ku Kuei jako wielkie, samopędne zabawki. A oni, z jakichś niezrozumiałych powodów, również mnie pokochali. Może dlatego, że znalazłem nowy sposób wywracania kogoś na pośladki.

– Jak się nazywasz? – spytałem mężczyznę, który prowadził naszą niedoszłą wyprawę ratunkową.

– Jak ci się wydaje, Jeziorny Pijaku?

– Skąd mam wiedzieć? A nawiasem mówiąc, nazywam się Lanik Mueller.

Zaśmiał się.

– To nie jest żadne imię. Wypiłeś jezioro, jesteś Jeziornym Pijakiem.

– Tylko ty mnie tak nazywasz.

– Tylko ja cię w ogóle jakoś nazywam – odpowiedział. – Jak się ma Pieniek?

Kiedy zorientowałem się, że tak określał Sarannę, odszedłem bez słowa. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego się gniewam. Uważał, że imię jest odpowiednie.

Przypuszczam, że miesiące spędzone w Ku Kuei były rodzajem idylli, podobnie jak okres w Schwartz. Ale w Schwartz wciąż snułem plany na przyszłość. W Ku Kuei przyszłość miałem już za sobą. A Ojciec próbował umrzeć.

Zdałem sobie z tego sprawę w drugim dniu naszych lekcji z Człowiekiem, Który Wie O Tym Wszystko. Saranna i ja leżeliśmy w trawie, z zamkniętymi oczami, i pilnie słuchaliśmy nauczyciela, który przemawiał łagodnie, od czasu do czasu podśpiewując, i próbował nam pomóc wyczuwać jego własny strumień czasu, kiedy ów nas otulał. Nie wiem, co sprawiło, że wyszedłem z transu (a wyszedłem z pewnością niechętnie, ponieważ Człowiek, Który Wie O Tym Wszystko miał najmiłszy strumień czasu, jaki kiedykolwiek z kimś dzieliłem), ale spojrzałem na Ojca. Jego otwarte oczy patrzyły prosto w niebo; od oczu do włosów przebiegał Ojcu po twarzy ślad łzy.

W tamtej chwili nie przejąłem się tym. Z pewnością Ojciec miał wiele powodów, by się źle czuć. Nie miało sensu zmuszanie go, by udawał

radosny nastrój, jeśli takiego nie podzielał.

Jednak z powodu Ojca było mi coraz trudniej poddać się radosnej i beztroskiej atmosferze, która tak bez żadnych oporów udzielała się Ku Kuei. Bez żadnych oporów? Ja miałem opory. Chociaż czasami czułem się odprężony, czułem się kochany, czułem się naprawdę dobrze – nigdy nie byłem zupełnie spokojny. Głównie z tego powodu, że martwił mnie Ojciec. Ale częściowo dlatego, że w czasie całego mego okresu dorastania nikt nigdy mnie nie uczył, jak dać się całkowicie ponieść emocjom i zachowywać beztroskę. Właśnie udało mi się przeżyć bardzo ciężki rok i jego skutki trudno było zatrzeć. Poza tym, nie sposób jest zachować beztroskę, kiedy usłyszało się już muzykę ziemi.

– Jesteś zbyt wrażliwy – mawiał Człowiek, Który Upadł Na Dupę (tak ochrzciłem przywódcę, którego kilka razy przewróciłem dla kawału – podobało mu się to imię i kilku jego przyjaciół podchwyciło je). – Człowiek, Który Wie O Tym Wszystko powiada, że nie robisz zbyt wielkich postępów. Musisz nauczyć się śmiać.

– Wiem, jak się śmiać.

– Wiesz, jak wydawać głupie dźwięki ze ściśniętym brzuchem. Nikt nie może śmiać się ze ściśniętym brzuchem. I jesteś za chudy. To oznaka zmartwienia, Jeziorny Pijaku. Mówię ci o tym, ponieważ myślę, że chcesz nauczyć się kierować czasem.

Zbyt się starasz.

Po raz pierwszy Człowiek, Który Upadł Na Dupę wyglądał śmiertelnie poważnie i był bardzo zatroskany. Ten wyraz twarzy tak do niego nie pasował, że musiałem się zaśmiać, a on zaśmiał się w odpowiedzi, sądząc, że coś osiągnął. Ale nie osiągnął.

Ojciec nie zwracał na nic uwagi. Nawet wśród niefrasobliwych Ku Kuei trzeba było być uważnym, by przeżyć, a Ojcu było wszystko jedno. Często spadał, raz nawet z bardzo wysokiego wzgórza. Skończyło się to wówczas złamaniem obu rąk. Zrosły się w ciągu kilku dni, ale kiedy leżał podczas ulewy pod drzewem, a ja ćwiczyłem podstawy sterowania czasem, spowalniając nas trochę (bardzo niewiele), by krople uderzały z mniejszą względną siłą, nagle ścisnął mocno moją dłoń, co z pewnością powodowało, że ręka zaboląła go mocniej, i spytał: – Lanik, masz moc Schwartzów. Czy możesz mnie zmienić?

– A w co? – spytałem, próbując podtrzymywać beztroski nastrój, ponieważ beztroski nastrój zaczynał się we mnie zakorzeniać.

– Usunąć moją muellerskość. Odbierz mi zdolność regeneracji.

Byłem zaskoczony.

– Gdybym to zrobił, Ojczy, ten upadek mógłby cię zabić. A leczenie tych złamań zajęłoby miesiące.

Odwrócił głowę. Oczy miał pełne łez i zdałem sobie sprawę, że upadek ze wzgórza mógł nie być przypadkiem. Zaniepokoiło mnie to. Ojca spotykały już uprzednio niepowodzenia, ale to, choć rzeczywiście najgorsze, zbyt mocno na niego wpłynęło.

Saranna dostarczała mi zmartwień innego rodzaju. Zaczęło się to, kiedy zobaczyłem, jak kocha się z Zabójcą Robaków, ochrzczonym tak, ponieważ w czasie stosunku strasznie się miotał. Zanosila się od śmiechu, kiedy bez opamiętania rzucał nogami i nie przestała się śmiać, nawet gdy na mnie spojrziała.

Uprawianie miłości pod drzewami było w Ku Kuei powszechną praktyką i nie żywiłem złudzeń, że ograniczam się do życia tylko z Saranną dlatego, iż wierność jest dla mnie szczególną wartością. Po prostu kobiety Ku Kuei nie podobały mi się, gdyż były za tłuste. W tym jednak wypadku byłem trochę zazdrosny, ale głównie przejąłem się tym, że Saranna wyglądała jak pozostałe kobiety w Ku Kuei – rozbawiona, obojętna, beztroska.

To Saranna błagała mnie, bym zabrał ją ze sobą, kiedy po raz pierwszy opuszczałem Mueller. To Saranna tak głęboko poraniła się nożem, kiedy odmówiłem jej prośbie, by mogła nadal pozostać moją kochanką, po tym jak dowiedziałem się, że jestem radem. I była ogromnie we mnie zakochana od chwili, gdy powróciłem. A jednak teraz...

– Saranna jest dobrą uczennicą – powiedział Człowiek, Który Wie O Tym Wszystko.

– Wiem – rzekłem. – Czuję jej strumień czasowy prawie równie dobrze jak twój.

– Jesteś nieszczęśliwy – stwierdził mój nauczyciel.

– Tak mi się wydaje.

– Czy twoja zazdrość nie wynika z tego, że jesteś najgorszym studentem, jakiego kiedykolwiek miałem, a Saranna jest równie dobra, jak nasze bardziej utalentowane dzieci?

Wzruszyłem ramionami. To też na pewno grało jakąś rolę.

– Być może bardziej martwi mnie to, że ona, zdaje się, mniej dba o rzeczy, które dla mnie są ważne.

Człowiek, Który Wie O Tym Wszystko zaśmiał się.

– Dla ciebie ważne jest po prostu wszystko! Jak można przejmować się tyloma sprawami?

– Mój Ojciec przejmuję się jeszcze bardziej.

– Wprost przeciwnie, Ściśnięta Kiszko, twój Ojciec przejmuję się wszystkim równie mało, co my. Po prostu ma skłonności do rozpaczania, podczas gdy my jesteśmy pełni nadziei.

– Tracę Saranę.

– To dobrze. Nikt nie powinien posiadać nikogo na własność.

I ciągnął, wyjaśniając, że moje poczucie czasu jest kiepskie i że powinienem naprawdę się odprężyć, bym nie stał się sztywny i twardy jak drzewo.

Nie martwiłem się, oczywiście, przez cały czas. W Ku Kuei byłoby to niemożliwe. Gdyby nawet nie istniały zabawy w jeziorze i szalone wyprawy do lasu, to jeden spacer po mieście, aby posmakować strumieni czasowych innych ludzi żyjących w swoim tempie, dostarczyłby zajęcia na cały wiek.

Na przykład Człowiek, Który Upadł Na Dupę żył prawie zawsze w bardzo szybkim strumieniu czasowym. Byłem na tyle niezdolny do kształtowania własnego czasu, że prawie automatycznie dołączałem do strumienia czasowego każdego człowieka, w pobliżu którego się znalazłem. W przeciwieństwie do mnie, każdy średnio zdolny Ku Kuei mógł utrzymywać się w swoim strumieniu czasowym, nawet stojąc bezpośrednio przy kimś drugim. Kiedy byłem razem z Człowiekiem, Który Upadł Na Dupę reszta świata wydawała się trwać w absolutnym bezruchu. Szliśmy, rozmawialiśmy, a słońce nigdy nie poruszało się po niebie, a ludzie, których mijaliśmy, byli jak zamrożeni albo (jeśli ich strumień czasowy był szybki) poruszali się ospale. Nikt nie poruszał się tak szybko, jak Człowiek, Który Upadł Na Dupę.

– Przyjacielu – rzekłem do niego pewnego dnia, kiedy czułem, że jest moim przyjacielem – pędzisz przez życie tak szybko. Po co ten pośpiech?

– Nie śpieszę się. Nigdy nie chodzę prędko.

– Jestem tu może miesiąc czy coś koło tego...

Przerwał mi śmiechem:

– Nie mam pojęcia, jak utrzymujesz rachubę dni, tak jakby one coś znaczyły!

- I ty postarzałeś się w tym czasie.
- Siwe, co? – dotknął swych włosów.
- Siwe. I masz zmarszczki.
- Zmarszczki ze śmiechu! – powiedział z triumfem, tak jakby to wyjaśniało wszystko.

Jego bezrozumny stosunek do świata coraz bardziej udzielał się Sarannie, ale wywoływał u niej odmienny skutek. Ona zwalniała. To nie była nagle decyzja:

„dzisiaj będę powolna”, to było stopniowe. Ale kiedy opanowała już kształtowanie czasu, zacząłem zauważać, że gdy jestem z nią, złapany w jej strumień czasowy, wszystko wokół nas porusza się szybko. Nieznośnie szybko. Ci Ku Kuei, którzy przechodzili obok, dziko tańczyli, wybiegali z pola widzenia, trajkotali razem przez moment i rozchodzili się. Kiedy rozmawiałem z Saranną, ciągle spoglądała mi przez ramię, wodząc wzrokiem za mknącymi ludźmi, od jednej strony do drugiej. Od czasu do czasu uśmiechała się. Był to wyraz twarzy zupełnie nie wiążący się z naszą rozmową, a kiedy odwracałem się, aby zobaczyć scenę, która ją tak rozbawiła, nic już tam nie było.

Kiedy spotkałem ją raz wczesnym rankiem i po krótkiej rozmowie zobaczyłem, że zrobił się wieczór, zapytałem ją, dlaczego tak bardzo zwalnia.

– Bo oni są tacy zabawni – rzekła. – Cały czas tak pędzą.

To mógł być powód wystarczający dla płochej dziewczyny, w której się niegdyś zakochałem, ale teraz nie był wystarczający. Nalegałem. Wykręcała się.

– Jesteś zbyt uczuciowy, Lanik. Ale ja cię Kocham.

Kochaliśmy się i było to tak dobre jak zawsze, i jej uczucie dla mnie pozostawało pełne ciepła. Nie był to jeden z tych pełnych śmiechu, zabawnych romansów, jakie miała z Ku Kuei. Wiedziałem, że wciąż mam na nią wpływ, jednak niedostateczny, by ją skłonić, by nie kazała światu odbywać wyścigu, w którym nie bierze udziału.

Stała się słynna. Ku Kuei wciąż nazywali ją Pieniek, teraz już z innego powodu: dla większości z nich była równie martwa i nieruchoma jak ścięte drzewo. Nie chciała zmieniać swego strumienia dla kogokolwiek, tak więc ja, kameleon, który zmieniał czasy dla każdego przyjaciela, byłem jej najczęstszym partnerem rozmów. Przez większość czasu stała, zamrożona niesamowicie w pół

kroku, i z pewnej odległości obserwowałem czasami godzinami, jak kończy krok i przesuwa swój ciężar na drugą stopę.

Kiedyś, zdarzyły się takie trzy dni, że podchodziłem do niej kilkakrotnie i widziałem ją jak kocha się z Człowiekiem, Który Wie O Tym Wszystko. Czułości i pieszczoty były bardzo wolne, poruszenia – infinitezymalne, tak jakby byli odległymi gwiazdami, a ja czułem się, jakbym nigdy jej nie znał lub, co gorsza, jakby była zaledwie pornograficzną rzeźbą, umieszczoną tam, pod drzewem na Wyspie Ku Kuei.

Saranna i Ojciec znajdowali swe własne sposoby oderwania się od życia. Ja nie byłem w stanie od niego uciec.

W dniu swojej śmierci Ojciec przyszedł do mnie i położył się przy mnie pod drzewem. Siąpił drobny deszcz.

– Nie rób dzisiaj żadnych sztuczek z czasem – rzekł. – Zawsze skupiasz się nad tym tak bardzo, że myślę, iż mnie nie słuchasz.

Leżałem więc, a Ojciec objął mnie ramieniem i przyciągnął blisko do siebie, tak jak to robił na manewrach, gdy byłem dzieckiem. Chciał przez to powiedzieć:

„kocham cię”. Chciał przez to powiedzieć: „żegnaj”.

– Byłem budowniczym – rzekł, zapisując w mej pamięci swoje epitafium – ale wszystkie moje budowle zawaliły się, Lanik. Przeżyłem wszystkie swoje dzieła.

– Z wyjątkiem mnie.

– Ciebie ukształtowały mocniejsze siły niż moje. To wstyd, kiedy architekt dożyje zawalenia budowanej przez siebie świątyni.

W Mueller nikt nie budował świątyń od stuleci.

– Czy byłem dobrym królem? – spytał Ojciec.

– Tak – odpowiedziałem.

– Nie – odrzekł. – Wojny i morderstwa, podboje i władza, wszystko to było tak ważne przez tyle lat, a potem wszystko unicestwione. Nie przez nieubłagane siły natury. Unicestwione, ponieważ ludzie żyjący na drzewach przypadkowo wygrali i dostali nagrodę szybciej od nas, a to wytrąciło nas z równowagi, rzuciło nas na ziemię. Przypadek. Równie przypadkowe było otrzymanie żelaza od Ambasadora, więc mimo wszystko nie byłem prawdziwym budowniczym imperium, prawda? Po prostu użyłem żelaza do zabijania ludzi.

– Byłeś dobrym władcą dla swego ludu – rzekłem, ponieważ pragnął to

usłyszeć i ponieważ była to prawda, jeśli zastosowało się względna skalę, według której należy oceniać monarchów.

– Oni zabawiają się nami. Porcja żelaza tu, porcja tam, i patrzą, co się stanie z terenem gier. Byłem pionkiem, Lanik, a myślałem, że jestem królem.

Złapał mnie gwałtownie i przytulił się do mnie, szepcząc mi do ucha:

– Nie będę się śmiał!

Żeby tego natychmiast dowieść, zapłakał. A ja z nim. Tego samego dnia utopił

się. Jego ciało znaleziono w wysokich trzcinach przy wyspie od strony płycizny, gdzie zanosły je prądy. Skoczył ze skały do płytkiej części jeziora i skrzył kark. Jego ciało nie mogło się zregenerować dostatecznie szybko i kiedy leżał bezradnie na dnie, utopił się. Ból, który wtedy czułem, powraca czasami w raniących wspomnieniach, ale nie odprawiałem wówczas żałobnego rytuału. Pokonał swą zdolność regeneracji i byłem raczej dumny z jego pomysłowości. Samobójstwo leżało od lat poza zasięgiem większości Muellerów, chyba że byli szaleni i mogli położyć się w płomieniach.

Ojciec nie był szalony, jestem tego pewien.

Bez Ojca pewne rzeczy poszły lepiej. Nie martwiłem się już o niego, a kiedy w końcu zdołałem zapomnieć to pełne pustki uczucie, to poczucie straty, kiedy przestałem się oglądać, szukając kogoś, kogo – uświadamianie sobie tego trwało chwilę – już nie zobaczę, wtedy stałem się lepszym uczniem.

– Ciągłe jesteś okropny – mówił mi Człowiek, Który Wie O Tym Wszystko – ale przynajmniej możesz sterować swym własnym strumieniem czasowym.

I to była prawda. Mogłem już zbliżyć się na metr do kogoś o innym strumieniu czasowym i nie zmieniać się. Dało mi to pewną swobodę, której wcześniej nie miałem, i przywykłem do zmieniania mego strumienia na bardzo szybki, kiedy zasypiałem. Tak więc dziewięć godzin trwało tylko kilka minut i innym się zdawało, że nigdy nie śpię. Oglądałem wszystkie godziny każdego dnia i, podobnie jak Ku Kuei, przekonałem się, iż każda jest zabawna; Ale nie byłem szczęśliwy.

Nikt nie był szczęśliwy. Pewnego dnia zdałem sobie z tego sprawę. Owszem, Ku Kuei byli rozbawieni. Ale rozbawienie jest reakcją bardzo znudzonych ludzi, kiedy nic już nie może ich rozerwać. Ku Kuei

posiadali cały czas, jaki istniał. Nie wiedzieli jednak, jak go wykorzystać.

Mieszkałem już z Ku Kuei przez pół roku czasu rzeczywistego (ich zabawy w ogóle nie miały wpływu na pory roku), kiedy usłyszałem, że Człowiek, Który Upadł

Na Dupę umiera.

– Jest bardzo stary – rzekła kobieta, która poinformowała mnie o tym. Tak więc poszedłem do niego. Wciąż był w czasie szybkim, pędził ku śmierci, leżąc w trawie na słońcu. Przyśpieszyłem do jego czasu. Niewielu Ku Kuei chciało to zrobić, ponieważ śmierć nie ma w sobie nic szczególnie zabawnego. Trzymałem jego dłoń, kiedy dyszał.

Schudł, chociaż wciąż był gruby. Skóra pomarszczyła mu się i zwisała w fałdach.

– Mogę cię wyleczyć – powiedziałem.

– Nie trudź się.

– Jestem o tym przekonany – podjąłem. – Mogę cię odnowić. Nauczyłem się tego w Schwartz. Oni w Schwartz żyją wiecznie.

– Po co? – zapytał. – Przecież nie po to śpieszyłem się tak przez cały czas, by teraz być wykiwanym.

Zaśmiał się.

– Z czego się śmiejesz? – zapytałem.

– Z życia – rzekł. – I z ciebie. Och, Ściśnięta Kiszko, mój Jeziorny Pijaku. Wypij mnie do dna.

Przyszło mi na myśl, że jestem jedyną osobą w Ku Kuei, która będzie po nim odczuwać żal. Śmierć tutaj ignorowano, jak to było w przypadku śmierci mego Ojca.

Człowiek, Który Upadł Na Dupę miał przedtem wielu przyjaciół. Gdzie teraz byli?

Szukali nowych przyjaciół, którzy nie pędzili tak przez życie i którzy nie dobiegali do kresu, zanim inni się z tym uporali.

– Ono dla mnie nic przedtem nie znaczyło – rzekł. – Ale dla ciebie ma znaczenie.

Powiadamy, że jesteśmy szczęśliwi, gdyż mamy nadzieję, ale to kłamstwo. Nie mamy nadziei. Jesteś jedyną osobą, jaką spotkałem w życiu, która miała nadzieję, Jeziorny Pijaku. Więc odejź stąd. Tutaj jest cmentarz, więc odejź stąd i zbaw świat. Możesz to uczynić, wiesz. Jeśli zaś ty nie zdołasz tego uczynić, nie zrobi tego nikt.

Zauważyłem ze zdziwieniem, że się nie śmiał.

– Rzeczywiście tak uważasz, prawda? – spytałem.

– Lubię cię, Jeziorny Pijaku – odrzekł i w chwilę potem umarł.

Pozostało dostatecznie wiele jego strumienia czasowego – jego ciało uległo rozkładowi w ciągu kilku minut mojego czasu. Nikt więc nie zabierał jego szczątków z tamtego miejsca. Po prostu pokruszyły się i rozpuściły w glebie. Ja również pograżyłem się w ziemię, pozwalając, żeby zamknęła się nade mną, i słuchałem znów jej muzyki. Wojna skończyła się. Wrzaski umierających były teraz odosobnione, wszystkie zgony tworzyły przypadkowy wzór czasów pokoju. Ale nie wierzyłem, że rzeczywiście na świecie panuje pokój. Prawdziwy pokój nigdy na świecie nie panował.

Zbawić świat? Od czego? Nie miałem złudzeń. Nie mogłem nawet zbawić samego siebie.

Mogłem jednakże smakować świat, a tu, w Ku Kuei, jego smak był słaby i bez wyrazu. Zmarł Człowiek, Który Upadł Na Dupe, zmarł mój Ojciec, Saranna stała unieruchomiona w czasie, a Człowiek, Który Wie O Tym Wszystko był przekonany, że nigdy już lepiej nie nauczę się sterować czasem. Doszedłem do wniosku, że pora odejść.

– Nie odchodź – rzekła Saranna, kiedy ją o tym powiadomiłem.

– Chcę tego i zrobię to – oświadczyłem.

– Potrzebuję cię.

Miała w oczach strach. Zostałem więc jeszcze przez jakiś czas. Zostałem w jej strumieniu czasowym jeszcze dzień, noc i następny dzień czasu rzeczywistego, kochaliśmy się i mówiliśmy sobie wiele miłych rzeczy, które później będzie się z czułością wspominać i które złagodzą ból rozstania. Jedno z powtarzanych zdań brzmiało: „przepraszam”, a inne: „wybaczam ci”, chociaż nie jestem już pewien, czyje wyrzuty sumienia uciszano w ten sposób. Chyba nie moje.

Kiedy odchodziłem, nie płakała, ja też nie, chociaż, zdaje się, oboje mieliśmy na to ochotę.

– Wróc – rzekła.

– Dobrze.

– Wróc jak najszybciej. Wróc, kiedy będziesz jeszcze na tyle młody, żeby mnie pożądać. Gdyż ja mam zamiar pozostać wiecznie młoda.

Nie uda ci się, Saranno, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego. Będziesz młoda, dopóki nie zestarzeje się planeta i nie zostanie

pochłonięta przez słońce. Wtedy się zestarzejesz i płomienie wysuszą to, czego nie mógł wysuszyć czas. A ponieważ będziesz chciała ukryć się przed czasem, płomienie będą paliły cię bez końca, zanim umrzesz.

Myślałem, kiedy tak odchodziłem, że nie zobaczę już więcej Saranny, więc gdy opuściłem jej strumień czasowy, obejrzałem się i zapamiętałem ją: pojedyncza łza, która zaczynała wypływać z jej oka, zakochany uśmiech na twarzy, ręce wyciągnięte na pożegnanie lub może wyciągnięte, żeby mnie pochwycić i przywieść z powrotem.

Była niewypowiedzianie ładna. Ta śliczna dziewczyna straciła swój kraj, rodzinę, wszystkich, których kochała, i wszystkie te przejścia wprowadziły ją w kobiecość.

Przelotnie zastanawiałem się, czy nie jestem jeszcze zbyt młody, by naprawdę ją kochać.

Potem odszedłem, nie żegnając się już z nikim, ponieważ moje odejście nikogo by specjalnie nie rozbawiło. Wyruszyłem do lasu, a mój strumień czasowy płynął

zgodnie z naturą dokoła mnie, w czasie rzeczywistym, tak więc wieczorem zmęczyłem się i zasnąłem. Obudziłem się następnego dnia o wschodzie słońca.

Normalność stanowiła odświeżającą zmianę.

Byłem o dzień drogi od miasta, kiedy poczułem obok szybszy strumień czasowy i dostosowałem się do niego. Znalazłem trójkę Ku Kuei, młode dziewczyny, wciąż młodzieńczo szczupłe. Dręczyły obcego, który zawędrował do lasu. Nie wiedziałem, w jakim kierunku szedł początkowo, ale teraz podążał na południe, wzdłuż Leśnej Rzeki, która wypływała z lasu w Jones. Jedna z dziewcząt odłączyła się od innych i wyjaśniła mi, że są z tym biedakiem od wielu dni. Prawie wariował, martwiąc się, dlaczego ma wrażenie, że nim minęła – sądząc po słońcu – godzina jego podróży, musi już kłaść się na spoczynek.

– To kolejny facet, który nigdy nie wróci do Ku Kuei – powiedziała ze śmiechem.

– Nigdy nic nie wiadomo – zaprzeczyłem. – Ktoś mi to robił, kiedy pierwszy raz wędrowałem przez las, a jednak wróciłem.

– Och – odpowiedziała. – Ty jesteś Ściśnięta Kiszka. Jesteś inny.

A potem zaczęła się rozbierać – u Ku Kuei to jednoznaczna oznaka tego, że ktoś chce się kochać – i sprawiłem, że roześmiała się na cały głos, kiedy jej powiedziałem, że tego nie chcę.

– Tak właśnie mówili, ale nie wierzyłam w to! Tylko ta biała dziewczyna z Mueller, prawda? Pieniek, prawda? – Saranna – odpowiedziałem.

To jeszcze bardziej pobudziło ją do śmiechu, a ja odszedłem i powróciłem do czasu rzeczywistego, tak żeby dziewczyny szybko oddaliły się ode mnie. A przecież to była prawda. Kiedy osiągnąłem dojrzałość, spędziłem niezliczone godziny planując, jak przespać się z każdą dziewczyną, która okaże się chętna. I znalazłoby się niewiele dziewcząt, które odmówiłyby następcy Muellera. Jednak tak jakoś mi niechcący wyszło, że spałem tylko z Saranną. Kiedy się na to zdecydowałem i dlaczego?

Wierność mnie zaskoczyła. Zastanawiałem się, jak długo będzie trwać ten okres w moim życiu.

Jeśli podróżujesz bez strachu, las Ku Kuei jest dość malowniczy. Ale ja wychowałem się na terenach rolniczych i na terenach jeździeckich. Kiedy Leśna Rzeka wypłynęła między wysokie wzgórza Jones, falisty teren rozciągający się w dół

ku wielkiej równinie Rzeki Buntowników, usiadłem na godzinę na szczycie wzgórza, patrząc na pola, drzewa i otwartą przestrzeń. Widziałem stąd dym z pobliskich pieców kuchennych. Daleko na południu, na Rzece Buntowników, dostrzegłem żagle, ale na wielkich obszarach ziemi ludzie nie dokonali, mimo wszystko, wielu zmian. Przez kilka minut byłem w nastroju filozoficznym, a potem zauważyłem, że pobliski sad jest pełen jabłek. Nie byłem głodny. Ale tak długo nie przyjmowałem żadnego pożywienia, że świerzbiły mnie zęby, by coś pożuć. Tak więc zszedłem ze wzgórza, zapomniałem o filozofii i znów dołączyłem do reszty ludzkości.

Nikt specjalnie się nie ucieszył, że jestem.

9. JONES

Miasto nazywało się jakoś, ale nigdy nie dowiedziałem się jak. Po prostu jeszcze jedna miejscowość na wielkim trakcie między Nkumai a Mueller. Kiedyś była to jedna z wielu pomniejszych dróg, które pozwalały Jones handlować z Bird, Robles i Sloan, ale imperium Nkumai uczyniło z niej drogę wielką i pełną ruchu. Miejscowi powiadali, że można przy niej stanąć i przez cały dzień, co pięć czy dziesięć minut, będzie przechodziła jakaś grupa podróżnych. Nie mam powodu, by im nie wierzyć.

Upłynął jedynie rok od chwili, gdy razem z Ojcem zanurzyliśmy, się w las Ku Kuei, by nigdy nie powrócić. Już byliśmy legendą. Słyszałem opowieści, jakobym zamordował Ojca lub że Ojciec mnie zgładził, albo że pozabijaliśmy się wzajemnie w jakimś strasznym pojedynku. Słyszałem również proroctwo, że Ojciec powróci pewnego dnia, zjednoczy wszystkie narody zachodniej równiny w wielkim powstaniu przeciw Nkumai. Oczywiście nic nie powiedziałem o skoku Ojca do jeziora Ku Kuei, chociaż nie mogłem się opędzić od refleksji: czy wybrałby śmierć, gdyby wiedział, jak wielkim szacunkiem ludzie z równiny otaczają jego imię?

Była w tym również ironia losu, ponieważ ludzie bali się go kiedyś, zanim przekonali się, że Nkumai byli znacznie gorszymi władcami niż Muellerowie. Ale czy rzeczywiście? Nie mogłem tego porównać. My z Muelleru niezbyt litowaliśmy się nad tymi, których podbiliśmy, wówczas gdy dokonywaliśmy podbojów. Z całą pewnością ludzie jęczałoby pod obcasem Muelleru, tak jak skarżyli się na ucisk Nkumai. Planowanie powstania – to były mrzonki. W Mueller rządził rzekomo Dinte, ale powszechnie wiadano, że niezawisłość Mueller była tylko pozorna. Na papierze Mueller był nawet większy i silniejszy niż w czasach mego Ojca, ale wszyscy wiedzieli, że „król” Nkumai włada w Mueller tak samo jak u siebie, Chociaż Nkumai rządzili twardą ręką, cała równina Rzeki Buntowników, od Schmidt na zachodzie po Góry Niebotyczne na wschodzie, cieszyła się pokojem. Pokojem, gdyż została podbita, owszem, ale pokój przynosi bezpieczeństwo, bezpieczeństwo niesie ze sobą pewność jutra, a pewność jutra jest matką dobrobytu.

Ludzie narzekali, ale byli dość zadowoleni.

Król Nkumai? Wiele o nim mówiono, ale ja miałem lepsze informacje. Byli też inni, którym zależało na tym, by mieć lepsze informacje. Jak chociażby karczmarz w mieście, który kiedyś był diukiem Skraju Lasów, ale popełnił błąd, nie ujawniając wszystkich dochodów, kiedy żołnierze Nkumai przybyli, by ściągnąć olbrzymie podatki. Chociaż kiedy pozbawili go ziemi i tytułu, wciąż miał na boku tyle pieniędzy, że mógł zbudować i wyposażyć gospodę. Może więc, mimo wszystko, nie był to błąd – teraz, kiedy stracił już szlachectwo, zostawiano go przeważnie w spokoju.

– A teraz pracuję tu codziennie i dobrze zarabiam, ale chłopcze, powiem ci, ponieważ nigdy tego nie doświadczysz, nie ma jak polowanie z psami na dzikie kozy mknące przez skraj lasu.

– Nie wątpię w to – odpowiedziałem, tym bardziej, że sam również upolowałem wiele dzikich kóz.

My, była szlachta, mamy skłonność do upiększania tego, co utraciliśmy wraz z pozycją.

– Ale król powiedział: „koniec z polowaniami”, więc jemy wołowinę i baraninę zmieszaną z końskim nawozem i nazywamy to gulaszem.

– Króla trzeba słuchać – mruknąłem.

W tamtych czasach nigdy nie szkodziło powiedzieć coś korzystnego dla króla.

Jesteśmy tutaj tylko my, lojalni stronnicy Nkumai.

– Króla trzeba pieprzyć – rzekł karczmarz.

Natychmiast zaczął mi się bardziej podobać. Gdyby w tamtej chwili w karczmie znajdowali się jeszcze jacyś inni klienci, byłby oczywiście bardziej oględny. Ale ze sposobu, w jaki mówiłem, zorientował się zapewne, że jestem wykształcony, co znaczyło, że ja również spadłem z wysokiej pozycji.

– Na króla Nkumai równie łatwo się teraz natknąć jak na statek kosmiczny.

Zaśmiałem się. Więc również o tym wiedział.

– Wszyscy wiedzą, że prawdziwą władzę, skrytą za tronem, ma Mwabao Mawa –
rzekł.

Wraz z tym imieniem napłynęły do mnie wspomnienia, z których ostatnie było wspomnieniem ciemnej nocy, kiedy w swoim drzewnym

domu Mwabao próbowała kochać się ze słodką, młodą dziewczyną. Dziwna rzecz, ale to wspomnienie podnieciło mnie i rozmarzony zastanawiałem się, co mogłoby się stać, gdybyśmy się wtedy kochali. Jaka byłaby zdziwiona.

– I wiem jeszcze, a nie wszyscy to wiedzą, że prawdziwą władzą za plecami Mwabao Mawy są uczeni – dodał.

Uśmiechnąłem się. Czyżby Nkumai byli na tyle nieostrożni i pozwolili, by sekret się wydał? Znow jednak udałem, że nie wiem o niczym.

– Uczeni? To jedynie marzyciele.

– Tak myślisz? Czy sądzisz, że ponieważ zdarzyły mi się przykrości, nie mam już wysoko postawionych przyjaciół i stronników? Tak samo jest w Mueller. Tam wszystkim kręcą genetycy – Dinte jest tylko po to, aby powstrzymać tych, którzy kochają krew królewską, przed wzniesieniem powstania. To smutne czasy, kiedy stworzeni do rządzenia prowadzą karczmy, a samozwańcy mędrkowie nadzorują sprawy, do których nigdy nie powinni się wtrącać.

Poszedł potem na zaplecze i nie pojawił się, aż skończyłem swoje ale. Nie potrzebowałem piwa, lecz od czasu do czasu po prostu czułem, że dobrze jest się czegoś napić. Przyjemnie się potem siusiało. Ludzie, którzy czynią te rzeczy każdego dnia, nie zdają sobie sprawy, jak wiele mogą one dostarczyć przyjemności. Wypiłem więc i wstałem, żeby wyjść.

– Jeszcze nie odchodź! – zawołał i wkroczył znow do sali ogólnej. – Nie wstawaj i daj mi słowo, że nikomu nie powtórzysz, co teraz ci powiem. Uśmiechnąłem się, a on naiwnie wziął to za znak zgody. Odpowiedział mi uśmiechem. Rzekł:

– Poznałem w ciągu minuty, że nie jesteś chłopakiem z gminu. Nie chodzi o to, że masz białe włosy, chociaż na podstawie tego można z dużą pewnością stwierdzić, że jesteś z Mueller lub Schmidt. Chodzi o ten twój sposób noszenia się. Mimo że jesteś sam, wiesz, jak to jest, gdy dowodzi się ludźmi.

Patrzyłem na niego w milczeniu. Nie próbowałem zmieniać sposobu zachowania się, więc fakt, że to wszystko zauważył, nie zrobił na mnie szczególnego wrażenia.

Uśmiechnął się szerzej i rzekł cichszym głosem:

– Nazywam się Bill Underjones. Zrozum to, żebyś wiedział, że nie jestem po prostu marzycielem. – Under – jones oznaczało, że tylko

jeden stopień pokrewieństwa dzielił go od rodziny królewskiej. – Są tacy, którzy ciągle walczą z tymi inkersami. Jest nas niewielu, ale jesteśmy przebiegli i gromadzimy stare żelazo z Muelleru na południe stąd, w Huss. To głęboka prowincja, ale to najlepsze miejsce na kryjówkę. Powiem ci, z kim tam się masz spotkać, a on przyjmie cię z radością. Nie ma znaczenia, kim jesteś, spojrzysz raz na ciebie i zechce cię. Nazywa się...

– Nie mów mi, jak się nazywa – rzekłem. – Nie chcę tego wiedzieć.

– Nie możesz chyba zaprzeczyć, że nienawidzisz inkersów równie mocno jak ja!

– Być może nawet mocniej – odpowiedziałem. – Łatwo jednak załamuję się w czasie tortur. Wydałbym wszystkie wasze sekrety.

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Nie wierzę ci.

– Radzę ci, żebyś spróbował – rzuciłem.

– Kim jesteś?

– Lanik Mueller – odpowiedziałem.

Przez chwilę był zaskoczony, a potem zaniósł się gromkim śmiechem. Często używałem swego nazwiska – zawsze wywoływało taką reakcję.

– Mógłbyś równie dobrze utrzymywać, że jesteś diabłem we własnej osobie. Nie, Lanik Mueller został pochłonięty... a to ci dopiero żartowniś. Własny ojciec go zabił.

Mógłbyś równie dobrze powiedzieć, że jesteś diabłem.

Równie dobrze mógłbym. Ciągle się śmiał, kiedy wyszedłem z karczmy na ulicę.

Gospoda stała przy głównym trakcie i kiedy wkroczyłem na znajdujący się przed nią drewniany chodnik, mały żebrak przebiegł obok, potrącając mnie. Zirytowało mnie to i spojrzałem w ślad za uciekającym chłopcem. Bieg zakończył się zderzeniem z ważnie wyglądającym mężczyzną, ubranym w szaty, za które można by kupić miesięczny wikt i przyodziewek dla rodziny żebraka. Mężczyzna rozmawiał z grupką młodych ludzi i kiedy dziecko na niego wpadło, kopnął chłopca boleśnie w nogę.

Dziecko upadło na ziemię, a mężczyzna grubiańsko mu nawymyślał.

Głupio z mojej strony, lecz w tamtej chwili wydało mi się to koronną niesprawiedliwością wśród miliona niesprawiedliwości, jakie widziałem i jakie sam popełniałem w swoim życiu. Tym razem coś

zrobię, zdecydowałem.

Tak więc wszedłem w czas szybki, a ludzie na ulicy zwolnili aż do całkowitego niemal zatrzymania. Ostrożnie przeszedłem przez tłum i stanąłem przed mężczyzną, który kopnął dziecko. Jego prawa stopa opuszczała się na ziemię, gdy szedł, prowadząc nadal ożywioną dyskusję z młodymi przyjaciółmi. Nie było nic prostszego niż kazać glebie zapaść się dziesięć centymetrów, dokładnie pod jego stopą i spowodować, żeby sformowała się przed nim dwumetrowa kałuża. W ręce wziąłem duży kamień używany do blokowania kół wozów i umieściłem go w ten sposób, że mężczyzna musiał zawadzić o niego lewą stopą.

Potem poszedłem do stajni, gdzie karmiono i czyszczono mego konia, i oparłem się o drzwi. Czuję się głupio, że zadałem sobie tyle trudu, by uzyskać taki mizerny skutek. Sądzę, że motorem mego działania była raczej chęć zrobienia kawału, niż jakieś pryncypia moralne.

Teraz jednak, skoro znajdowałem się wśród tłumu w czasie szybkim, pozwoliłem sobie na chwilę odpoczynku. W czasie szybkim nie musiałem wciąż zachowywać czujności, na wypadek, gdybym spotkał kogoś, kto by mnie rozpoznał, zamiast głuptaków, którzy śmiali się, kiedy wymieniałem swoje imię. Mogłem wreszcie do woli przypatrywać się tłumowi.

W tamtej chwili byłem już w tak dziecinnym nastroju, że przez chwilę zaświtał

mi pomysł, czy by się nie zająć kradzieżami kieszonkowymi. Nie dlatego, żebym potrzebował pieniędzy, ale ponieważ otworzyła się możliwość robienia tego całkowicie bezkarnie. Jest coś w poczuciu całkowitej bezkarności, co skusiłoby nawet najuczciwszego człowieka, a ja nigdy nie uważałem się za nadzwyczajnie uczciwego.

Popatrzyłem po tłumie, szukając ewentualnej ofiary. Trochę dalej nadjeżdżał

ulicą duży wóz. Był to nkumajski powóz, otoczony dużym oddziałem nkumajskich kawalerzystów, wiózł zatem kogoś ważnego. Było ciepło i powóz odkryto. Wiózł

tylko jedynego pasażera – mężczyznę w średnim wieku, krępawego i zupełnie лыsego.

Ku mojemu zdziwieniu mężczyzna był biały. Natychmiast pomyślałem, że to Muellerczyk wracający z wizyty w Nkumai. Lecz Nkumai nie

dawali konnej eskorty wyjeżdżającym cudzoziemcom. Ten człowiek albo zasługiwał na niezwykle zaszczyty (w takim razie, dlaczego go nie znałem?), albo Nkumai dopuszczali cudzoziemców do wysokich stanowisk w swoim rządzie.

Zastanawiając się nad tym, porzuciłem pomysł kradzieży kieszonkowych.

Powróciłem do czasu rzeczywistego i odwróciłem się, by obserwować skutki mego kawału. Tak jak planowałem, waźniak postawił nogę w zrobionej przeze mnie bruździe i wywalił się w kałużę, twarzą w dół. Plusk był imponujący, a kiedy wstał, klnąc i plując, wszyscy ludzie w jego sąsiedztwie wybuchnęli śmiechem. Nawet ci z koterii jego zwolenników nie mogli ukryć rozbawienia, troskliwie pomagając mu się podnieść. I chociaż zrobiony przeze mnie gest był mało ważny, czułem pewną satysfakcję, zwłaszcza kiedy popatrzyłem na śmiejące się dziecko, które uprzednio kopnął ten mężczyzna.

Minęła chwila. Ludzie zeszli na bok drogi, aby przepuścić wojska Nkumai i powóz. Rzuciłem spojrzenie na powóz i zdumiałem się, widząc w nim nie mężczyznę w średnim wieku, lecz Mwabao Mawę.

Wyglądała niewiele starszej – minęło przecież zaledwie dwa i pół roku – i trzymała się w tym powozie bardzo dostojnie. Zastanawiałem się przez chwilę, dlaczego wcześniej nie zauważyłem jej w powozie i gdzie podział się łysy biały. Ale po chwili odłożyłem tę myśl, częściowo dlatego, że nie można było znaleźć natychmiast odpowiedzi na te pytania, ale głównie z tej przyczyny, że znów zacząłem wspominać dni spędzone w domu Mwabao Mawy. Obecnie wydawało mi się to niemożliwe, że kiedyś miałem piersi i uchodziłem za kobietę. Ściślej mówiąc, że naprawdę byłem kobietą. I w tamtej chwili, jakby nieświadomie, sięgnąłem ręką do tych piersi i zdziwiłem się, że ich nie ma.

Spojrzałem w dół, uświadomiłem sobie, że uległem dawnemu nawykowi i przekląłem się w myślach za głupotę. Potem podniosłem wzrok i zobaczyłem, że Mwabao Mawa patrzy na mnie, z początku tylko z łagodnym zainteresowaniem, ale potem, kiedy powóz oddalał się już ode mnie, najwidoczniej mnie rozpoznała. Wyraz jej twarzy świadczył o zaskoczeniu i, owszem, o strachu. Strach był satysfakcjonujący, ale rozpoznanie mnie mogło doprowadzić do katastrofy.

Obróciła się, aby wydać polecenia woźnicy. Wykorzystałem tę chwilę, żeby wejść z powrotem do stajni i zniknąć z jej pola widzenia. Wszedłem znowu w czas szybki – musiałem się zastanowić. W żaden sposób nie mogłem zabrać swego konia w czas szybki, gdyż Człowiek, Który Wie O Tym Wszystko, mimo wysiłków, nie zdołał mnie nauczyć, jak rozciągać bąbel czasu kontrolowanego poza moją osobę. W czasie szybkim mogłem maszerować prędzej w stosunku do otaczającego świata, niż poruszać się na galopującym koniu.

Podszedłem do konia. Olbrzymia, głupia bestia z instynktami knura – ale tylko na takiego było mnie stać. Wyładowałem juki, wybierając tyle, ile mogłem unieść, i biorąc wszystko, co mogłoby pomóc ustalić moją tożsamość. Było tego niewiele – nigdy nie byłem miłośnikiem chust z monogramami czy ozdobionych herbami skór.

Potem, niosąc torby, wymknąłem się tylnymi drzwiami.

Jeśli Mwabao Mawie nie uda się mnie teraz znaleźć, zapomni o poszukiwaniach i pomyśli, że ujrzała tylko kogoś, kto mnie przypominał. Nie przypuszczałem, bym zwrócił czyjąś uwagę na tyle, że mnie zapamiętano. Z wyjątkiem może karczmarza, ale on miał swoje powody, by nie współpracować z Nkumai.

Przerzuciłem torby nad płotem, przelazłem przez niego i oddaliłem się boczną ulicą. Będę musiał przebywać kilka dni w czasie szybkim. Irytowało mnie to, ponieważ w czasie szybkim starzałem się, oczywiście, prędzej niż ludzie w czasie zwykłym. Nie skończę jak Człowiek, Który Upadł Na Dupe, ale perspektywa straty dni czy tygodni życia nappełniała mnie odrazą. A propos, w jakim byłem wieku? Zyskiwałem dni i tygodnie, kiedy przebywałem z Saranną w czasie wolnym.

Straciłem o wiele więcej dni i tygodni w czasie szybkim, wśród Ku Kuei. Czy byłem bliski osiemnastki zgodnie z moim wiekiem kalendarzowym? Chyba nie, chociaż ciało miałem młode i silne. Przeszedłem dostatecznie wiele, aby posiadać wspomnienia mężczyzny w średnim wieku. I kiedy maszerowałem bocznymi drogami na południe do Robles, doszedłem do wniosku, że szybki czas nie ma jednak znaczenia. Nie pragnąłem specjalnie dożyć starości.

Mimo to nie miałem zamiaru dopuścić do tego, by Nkumai mnie złapali i rozpoznali, kim jestem.

Najgorsza w czasie szybkim jest samotność. Nikt nie jest bezpieczniejszy od człowieka, który porusza się tak szybko, że nie można go dostrzec. Ale trochę trudno prowadzić rozmowę z kimś, kto nawet nie będzie wiedział, że jesteś obok, jeśli nie stoisz w tym samym miejscu przez pół godziny.

Zanim powróciłem do czasu rzeczywistego, zdążyłem przekroczyć Rio de Janeiro i wejść do Cummings. Bez względu na to, jak zaniepokoiła się Mwabao Mawa, nie wysłała ona żołnierzy dalej niż na tysiąc kilometrów, by szukali kogoś, kogo widziała tego samego dnia w odległości zaledwie paru metrów.

Dlaczego poszedłem na południe? Nie miałem określonego celu. W ciągu ostatniego półroczka mieszkalem w kilkunastu miastach kontrolowanych przez Nkumai w Jones oraz Bird i pragnąłem jedynie dotrzeć do miejsca, gdzie nie rozciągało się oświecone imperium fizyków. Nie chciałem mieć nic wspólnego z powstańcami zbierającymi się w Huss, więc ruszyłem na południowy wschód, ku przełęczy da Silva.

Tam przekonałem się, że od imperialnych komitetów nie ma ucieczki. Kilkudziesięciu uczonych w Gill rządziło od Tellerman do Britton i nikt nie był wolny.

Mógłbym wtedy dać spokój i powrócić do Schwartz. Lub, gdyby moja rozpacz była mocniejsza, mógłbym powrócić do Mueller i stanąć twarzą w twarz z Dintem.

Ale jeszcze nie byłem na tyle znużony, by odsuwać się od świata ani nie miałem dosyć pasji, by dramatycznie umrzeć, zarówno więc Schwartz, jak i Mueller zostawiłem na przyszłość. I powędrowałem od da Silvy do Wood, od Wood do Hanks, od Hanks przez morze do Holt i w końcu do Britton, gdzie znalazłem swój prawdziwy dom, mój prawdziwy lud i nauczyłem się, co robić, by być z nimi.

10. BRITTON

Okręg Humping był dziką krainą nad zimnym morzem. W czasie ładnej pogody urwisty brzeg oraz wystające tu i ówdzie skały omywane były nie przez spienione bałwany, ale przez drobne fale, które ocierały się o głazy, jak stary pies witający swego pana. Na stromych wzgórzach i w wąskich dolinach Humpingu skały jakby kielkowały z ziemi. Rzeka gonila do morza i wpadała doń piętnastometrowym wodospadem. Owce niespokojnie wyszukiwały bezpieczną drogę na świeże pastwiska. I właśnie w takim krajobrazie kilka tysięcy Humpersów wypasało swe owce i wydrapywało warzywa z kamienistego gruntu. Wiedli życie na tyle niezależne, na ile jest to możliwe, gdy człowiekowi potrzebne jest jedzenie i towarzystwo innych ludzi.

Ja sarn jedzenia nie potrzebowałem, ale ludzkie towarzystwo było rzeczą miłą, gdyż Humpersi nie stawiali pytań i nie dawali odpowiedzi. W tej najbardziej odosobnionej części Britton trudno było nawet znaleźć jakieś miasto, ponieważ ludzie łączyli się w grupy rodzinne: po dwa czy trzy proste domy z darni kryte strzechą.

Nigdy nie napotkałem skupiska ludzkiego większego niż dwadzieścia rodzin, jeśli uznać za skupisko te rodziny, które mieszkały od siebie bliżej niż o kilometr.

Odosobnienie zostało wymuszone przez przyrodę, gdyż nędzna ziemia nie mogła wyżywić wielu. Jedynie powszechność niedostatku sprawiała, że nie uważali się za biednych. Chociaż dzieliły tych ludzi odległości, łączyło ich surowe przywiązanie.

Wszyscy bez słowa przychodzili z pomocą rodzinie, której dom został zniszczony przez wicher, anonimowo podrzucano młodego kozła do stada, którego przewodnik zdechł poprzedniego dnia. Od czasu do czasu zbierano się w jednym z domów na wieczornice wypełnione nieprawdopodobnymi i strasznymi historiami lub pieśniami o samotności i niemej tęsknocie.

Miałem również inne wrażenie, subtelne, acz silne: kiedy przybyłem do Humping, tak jak przybywałem ostatniego roku do tylu innych miejsc, natychmiast poczułem się tam wygodnie. A jeśli nawet nie wygodnie, to przynajmniej gotów byłem znosić niewygody, ponieważ pozwalały

mi zapomnieć o tym, co mi najbardziej doskwierało.

Ludzie patrzyli na mnie podejrzliwie. Mogłem się tego spodziewać, ponieważ przyszedłem od strony zachodnich wzgórz, gdzie lud bardziej cywilizowany, mieszkający w wygodniejszych farmach, żywił do Humpersów tylko pogardę, używając ich imienia jako drwiny z nierozgarniętych dzieci.

Mieszkałem na tamtych wzgórzach przez tydzień, nie odzywając się do nikogo, wreszcie moja samotność wywołała jakieś drgnienie współczucia. Stałem na szczycie stromego wzgórza, patrzyłem daleko w dół i widziałem pasterza, który usiłował zmusić owce do wspięcia się na przełęcz prowadzącą do doliny ze świeżą trawą.

Mężczyzna nie miał psa, co było dość niezwykle, i owce rozbiegały się na boki, zamiast dążyć ku przełęczy. Kiedy człowiek ten w końcu się zatrzymał i usiadł na kamieniu, by popatrzeć, jak zwycięskie owce szukają paszy w dolince już niemal pozbawionej trawy, zszedłem ze wzgórza i stanąłem kilka metrów od niego, patrząc na owce. Nic nie rzekłem, gdyż nie było nic do powiedzenia – oferta pomocy wynikała z samego faktu, że jestem.

Pasterz przyjął ją. Wstał, zaczął popędzać owce i wydawać niskie, gardłowe krzyki, dla owiec wyraźne, ale z dalszej odległości zupełnie niesłyszalne. Owce zaczęły się ruszać, ale tym razem, kiedy wrywały się na lewo, ja już tam byłem i krzyżąc pędziłem je naprzód, kiedy zaś wrywały się na prawo, natykały się na pomrukującego pasterza. W końcu owce poddały się i polazły po zboczu na przełęcz.

Po drugiej stronie zbiegły na dół i zaczęły paść się w gęstej trawie.

Zostałem w dolinie z pasterzem całe popołudnie. Przebywałem w innej niż on części doliny. Uważałem jednak na jego owce i jeśli któraś odeszła od stada w moim kierunku, odsyłałem ją z powrotem. Pasterz jakby mnie nie dostrzegał. Nie odzywał

się do mnie, tak że zastanawiałem się, czy pech nie zetknął mnie z niemową. Kiedy słońce schyliło się nad horyzont, wstał i zaczął gnać owce po dość łagodnej drodze do domu. Nie poszedłem za nim – pasterz jasno dał mi do zrozumienia, że na tej drodze nie potrzebuje mojej pomocy. Potem jednak, gdy wszedł na wzniesienie, odwrócił się, popatrzył na mnie przez chwilę i przywołał mnie gestem. Miałem iść do jego domu.

Szedłem za nim kilka kilometrów, zanim doszliśmy do grupy trzech niskich domów krytych strzechą. Wyglądały jak małe pagórki, dachy miały koloru pożółkłej trawy, ale dawały ciepłe schronienie przed zimnymi nocami. Od morza wiały silne północne wiatry, nawet w letnie wieczory, a głęboki prąd płynący przez Morze Humpińskie był lodowaty. Chociaż Britton było równie wysunięte na południe jak Wong, gdzie w lecie omdlewano z gorąca, noce nigdy nie bywały tutaj ciepłe, a zimy, chociaż zwykle bezśnieżne, mogły zabić każdego głupca, który po zachodzie słońca przebywał poza domem. Ktoś taki jak ja był oczywiście wyjątkiem: jeśli chciałem, mogłem zapaść się pod ziemię albo równie łatwo pobrać ciepło z otaczającego powietrza, bez względu na jego temperaturę. Oni jednak nie mogli wiedzieć o mnie takich rzeczy – dla nich byłem samotnym człowiekiem, narażającym się na śmierć podczas nocy spędzanych pod gołym niebem.

Mogła to być jedna z przyczyn, dla której pasterz zaprosił mnie do domu.

Humpersi wiedzieli bardzo dobrze (wszystkie nowiny rozchodzą się szybko w podobnych odosobnionych miejscach), że nikt dotychczas mnie nie przyjął do siebie.

Że choć spędzałem noc po nocy na wzgórzach, wciąż żyłem. Dodawało mi to w ich oczach potęgi i świętości, patrzono na mnie z nabożną trwogą. Kiedy jednak, pomagając pasterzowi, dowiodłem, że moje zamiary są przyjazne, zostałem zaakceptowany, nie jako jeden z nich, lecz jako ktoś, komu chętnie użyczą miejsca w swoich małych domach i z kim ochoczo podzielą się swymi skromnymi zapasami.

Kolacja składała się z gulaszu, a ponieważ żona pasterza nie wiedziała, że przyjdę, garnek był niewielki. Jedzenie wcale nie było mi potrzebne, wziąłem więc najmniejszą porcję, jaką wypadalo mi wziąć, żeby nie sprawiać wrażenia, iż odrzucam poczęstunek. A kiedy garnek okrążył już wszystkich i gospodyni wyskrobała go do dna na swój własny talerz, pasterz popatrzył na mnie.

Po co? Czyżby ci ludzie modlili się przed posiłkiem? Czy może istniał jakiś zwyczaj, któremu musiał podporządkować się poczęstowany jedzeniem człowiek?

Nie wiedziałem, więc uśmiechnąłem się i rzekłem:

– Nazywam się Jeziorny Pijak i ilekroć będę mógł uczynić dla was coś dobrego, zawsze to uczynię.

Pasterz poważnie skinął głową i zwrócił się do żony. Położyła dłonie na stole, zamknęła oczy i zaśpiewała:

Słońce w zbożu

Chleb wypieka,

Warzy strawę

Dla człowieka.

Dobrem w życiu

Nas obleka.

Potem trójka dzieci, z których najstarsze nie miało więcej niż pięć lat, z nabożeństwem patrzyła, jak matka z własnego talerza nabiera łyżką trochę gulaszu i daje mężowi, który z powagą żuje i przełyka kawałki mięsa. Potem mąż nabrał

gulaszu ze swego talerza i podał mi, a ja to zjadłem. Nie byłem pewien, co robić dalej, ale rytuał miał pewną wewnętrzną logikę, więc nabrałem gulaszu z własnego talerza i nałożyłem po trochu każdemu z dzieci. Popatrzyły na mnie rozszerzonymi ze zdziwienia oczami, ale zjadły, co im dałem.

Pasterz spojrzał na mnie ze łzami w oczach i rzekł:

– Zawsze będziemy cię z radością gościć.

Potem zabraliśmy się do jedzenia i gulasz znikł w ciągu paru minut.

Zrobili dla mnie miejsce w największym łóżku – ramie wypełnionej słomą i przykrytej kocami, a sami przygotowywali się do spędzenia nocy na podłodze z ubitej ziemi. Spałem na ziemi wielokrotnie podczas manewrów polowych w Mueller, na długo zanim ziemia w Schwartz nauczyła mnie przytulać się do siebie. Nie potrzebowałem wygody w czasie snu. Nie skorzystałem więc z ofiarowanego mi łóżka i zwinąłem się w kłębek na podłodze przy drzwiach. Spod drzwi mocno ciągnęło, ale dla mojego wytrenowanego w Schwartz ciała nie był to żaden problem i rodzice, choć się dziwili, położyli się spać na pościeli ze słomy.

Rano byłem już jednym z rodziny i dzieci swobodnie trajkotały w mojej obecności.

– Glain – rzekł pasterz. Następnie spojrzał na żonę i rzekł: – Vran.

Od tej chwili, to co trzeba było powiedzieć, mówiono, chociaż konwersacja nigdy nie była ożywiona.

Psy pasterza zdechły w jednym tygodniu, niecały miesiąc temu i od tamtego czasu stracił prawie tuzin owiec, które przypadkowo odłączyły

się od stada i których nie zdołał z powrotem zagnać. Początkowo pasłem owce z nim razem, a on równocześnie tresował szczeniaka, którego dostał od sąsiada. Później zostawałem w domu i zajmowałem się ogrodem warzywnym, gdyż jego żona spodziewała się czwartego dziecka i czuła się źle.

Z początku wytrącała mnie z równowagi konieczność wyciągania z ziemi tylu żywych kamieni i układania ich w martwe stosy. Już tak dawno niczego nie zabiłem, że trapił mnie nawet fakt, iż rośliny, które sadziłem, rosną tylko po to, by zostać zabite. W nocy zapytałem o to ziemię, ale jedyną odpowiedzią była obojętność.

Miliardy roślinnych śmierci powodowały potężny dźwięk, ale ten rodzaj śmierci był

konieczny dla życia. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że mimo wszystkich talentów Schwartzów, ich obsesyjne unikanie zabijania było, w dalekiej perspektywie, nieproduktywne. Podobnie zresztą nieproduktywny był sposób, w jaki Ku Kuei samolubnie władali czasem. Schwartzowie byli bardziej niewinni, niż wymagała tego od nich ziemia. W ten sposób inne istoty ludzkie nie miały szans, by chociaż dążyć do osiągnięcia niewinności.

To, co sprawiało skale prawdziwy ból, to krzyk śmierci niepotrzebnych i bezlitosnych, to wycie mordowanych. Słyszałem wszystkie dźwięki, czułem całe cierpienie, ale doszedłem do wniosku, że, poza Schwartz, śmierć była rzeczą normalną. Nawet zabijanie było częścią przyrody, jeśli dokonywano go z potrzeby.

Przez całe życie jadłem martwe rośliny i zwierzęta, a jednak piasek mnie przyjął, kiedy rzuciłem się ze szczytu skały. Tak więc bez względu na to, co mówili Schwartzowie, wiedziałem, że w rolnictwie nie ma mordowania. Pracowałem ciężko i z pożytkiem dla Glaina i Vran.

Z czasem odwiedziły nas inne rodziny pasterzy i w końcu wszyscy przewyciężyli swą nieśmiałość w mojej obecności. Wiedziałem, że wszystkim znane były opowieści i o tym, jak spędzałem noce na wzgórzach, i jak sypiałem na podłodze, w najzimniejszym miejscu.

Mimo że wszyscy zwracali się do mnie

„Jeziorny Pijaku”, podśluchałem, iż używali imienia „Człowiek Wiatru”, legendarnej postaci, która przybywa, by leczyć lub zabijać, przyniesiona przez zimny wiatr i zabrana w końcu przez morze.

Nie byli przyzwyczajeni do tego, by wśród nich przebywał człowiek

potężny i obdarzony prestiżem, nie wiedzieli więc, jak okazać mi szacunek; traktowali mnie zatem tak, jak traktowali siebie nawzajem. W miejscach, gdzie wszyscy cierpią taki sam niedostatek, jedyną nagrodą jest zaufanie i ja je otrzymałem. Nauczyłem się postępować z owcami, strzyc wełnę szklanym ostrzem, nie kalecząc zwierzęcia, pomagać przy koceniu się, rozpoznawać, kiedy owce są zdenerwowane, a kiedy chore. Poznałem glebę nie jako osobistego przyjaciela, jak w Schwartz i Ku Kuei, ale jako opornego sprzymierzeńca w walce z głodową śmiercią. Chociaż sam nigdy nie czułem głodu, znałem wyraz twarzy dzieci, kiedy były głodne. Dlatego ciężko pracowałem.

Poród Vran zaczął się tydzień przed terminem. Byłem wtedy sam z nią i z dziećmi. Bardzo szybko stało się jasne, że dziecko nie wydobędzie się łatwo. Vran była w domu i wrzeszczała, a dzieci zostały ze mną na dworze. Matki z Humping rodzą dzieci bez żadnej pomocy, same – mężczyznom zakazany jest wstęp do domu w czasie porodu. Ale kiedy przestraszone dzieci siedziały w ogrodzie, położyłem się na ziemi i słuchałem wrzasków Vran, tak jak słyszała je ziemia. Wiedziałem, że śmierć jest blisko.

Jest czas przestrzegania zakazów i czas ich ignorowania, więc gdy usłyszałem szczególnie rozdzierający wrzask, który sygnalizował, że nadeszła fala jeszcze mocniejszych bólów, wstałem i wszedłem do domu.

Naga Vran przykucnęła na słomie w swym łóżku. Koce były usunięte. Ręce miała zanurzone w twardej darni pokrywającej ścianę, z bólu czepiała się gliny i korzeni.

Spojrzała na mnie przestraszonymi oczyma, a ja zobaczyłem, jak ciągłym strumieniem wycieka z niej krew, wsiąkając w słomę.

Podszedłem do niej i ostrożnie ułożyłem ją w pozycji leżącej. Tak jak czyniłem to z kocącymi się owcami, sprawdziłem ręką, jak ułożone jest dziecko. W kanale rodowym była ręka i stopa.

Gdybym miał do czynienia z owcą, sprawa polegałaby po prostu na pchaniu i ciągnięciu. W przypadku kobiety takie postępowanie mogło zabić. Ale brak jakiegokolwiek pomocy też by ją zabił, wobec tego siłą ułożyłem dziecko w innej pozycji, łamiąc mu przy tym kręgosłup, i wyciągnąłem je. W pewnym momencie tej operacji Vran zemdliała.

Nie miałem kwalifikacji do operowania na poziomie genetycznym, ale leczenie ran i złamań było w Schwartz dość powszednim zajęciem.

Uzdrowienie zarówno Vran jak i niemowlaka nie było dla mnie wielkim wyczynem, a kiedy słońce zachodziło i Glain wrócił do domu, znalazł żonę i syna w dobrym stanie. Szczerze mówiąc, Vran czuła się lepiej niż zwykle po porodach.

Nie wiem, co mu powiedziała – przespała przecież najgorsze momenty. Ale wiadomość się rozeszła i zaczęto mi przynosić chore zwierzęta oraz poszkodowane dzieci. Również kobiety przychodziły po poradę. Nie udzielałem porad. Jeśli pojawiał

się problem, musiałem pójść i sam obejrzeć, na czym on polega. Byłem skrepowany nabożnym lękiem, z jakim się do mnie odnoszono, ale było to lepsze, niż żeby cierpieli, skoro mogłem temu zapobiec. Tak oto historia „Człowieka Wiatru” przeszła z legendy do rzeczywistości.

Jak sądzę, nieuniknione było to, że chociaż Humpersi pozostawali skryci w stosunku do obcych, wiadomość o mnie przedostanie się w końcu na zewnątrz.

Pewnego dnia, w czasie mojej drugiej wiosny w Humping, sadziłem coś w ogrodzie, kiedy pojawił się mężczyzna na koniu. Samo posiadanie tego zwierzęcia czyniło go ważnym, a kiedy przedstawił się jako sługa Lorda Bartona, Vran natychmiast wybiegła z domu i zawołała mnie przynaglająco.

– To człowiek z domu na urwisku – powiedziała ze strachem.

Poszedłem.

– Mój pan życzy sobie cię widzieć – oznajmił jeździec.

– Kiedy skończę sadzenie – odrzekłem.

– Lord Barton nie jest przyzwyczajony do czekania.

– Więc powinien się radować, gdyż dzisiaj nauczy się czegoś nowego.

Wróciłem do ogrodu. Sługa odjechał.

Tego popołudnia trudno mi było skupić się na pracy w ogrodzie. Prawie dwa lata mieszkałem w Humping i chociaż radość nieczęsto tu gościła, to i żal również.

Znalazłem miejsce, gdzie moje talenty były użyteczne i gdzie mnie akceptowano.

Nikt nie uważał mnie za wroga. Miałem wokół siebie setki dobrych ludzi, na których przyjaźń mogłem liczyć.

Czy mogłem jednak pozwolić sobie na spotkanie z tym Bartonem? Czulem, jak oddalają się ode mnie dobre czasy w Humping: nie mogłem sobie pozwolić na to, by się z nim nie spotkać. Gdybym się

opierał, sprowadziłoby to tylko kłopoty na Humpersów, szczególnie na Glaina i Vran. Jeśli pójdę, może to sprowadzić kłopoty na mnie. Prawie na pewno będą kłopoty. Mógłbym jeszcze przejść w czas szybki i poszukać sobie innego miejsca do życia.

Nie chciałem szukać innego miejsca do życia.

I kiedy tak wpychałem drewniany kolec w glebę i wrzucałem nasiona w powstałą dziurę, zdałem sobie sprawę, że w gruncie rzeczy byłem nie tylko zaniepokojony, ale również podekscytowany perspektywą zmian. Dwa lata przeszły i czegoż dokonałem?

Ocalałem ludziom życie, niektórych uszczęśliwiłem, wielu pokochałem, część swego życia oddałem surowej ziemi. Wszystko to były godne sposoby spędzania czasu. Ale ja zostałem wychowany na następcę tronu w Mueller i może to właśnie ten fakt, a może ukierunkowana energia, którą odziedziczyłem po ojcu, sprawiały, że uważałem, iż muszę dokonać czegoś, co wstrząśnie światem, gdyż inaczej będę musiał przyznać, że moje życie nie ma żadnego znaczenia.

Dwa dni później sadzenie było zakończone i tego samego dnia, po południu, jak gdyby obserwował mnie z daleka, przybył sługa, wiodąc drugiego konia.

– Pojedzie pan? – spytał mężczyzna, tym razem pokorniej.

Nie odpowiedziałem nic, tylko wsiałem na konia.

Przed domem zebrały się milczące dzieci. Vran patrzyła na mnie bez wyrazu.

Podniosłem rękę w geście pożegnania. I Vran, łamiąc wszystkie zwyczaje, jakie widziałem wśród Humpersów, wybuchnęła przede mną płaczem i uciekła do domu.

Przestraszyłem się, gdy zobaczyłem, do jakiego stopnia tacy niezależni ludzie mogli uzależnić się od kogoś, kto oddaje im do dyspozycji trochę swych uzdolnień i życzliwości.

Sługa nie jechał drogą. Na Wzgórzach Humpińskich nie było żadnych dróg prócz jednej, prowadzącej od nadmorskiego domu lorda do miasta Hesswatch, jakieś sto kilometrów na południe. Nasza podróż miała się skończyć tam, gdzie zaczynała się droga. Sługa obrał, zdaje się, marszrutę na wschód, do morza, a potem wzdłuż wybrzeża, w pewnej odległości od linii brzegowej, aż do domu na nadmorskim urwisku, które było właściwie szczytem wznoszącym się znacznie ponad wzgórzami Humpingu.

Niebo pociemniało od chmur. Kiedy zbliżaliśmy się do naszego celu, zerwał się wicher i przyniósł ulewę. Morze, zwykle takie spokojne, nagle spieniło się bałwanami, które nadchodziły od północy i rozbijały się o skały. Smagał nas wiatr i konie stały się niespokojne. Zsiadliśmy więc i ruszyliśmy piechotą. Sługa czuł się jakby niepewnie. Nie był Humpersem i wybrał drogę w głębi lądu, z dala od morza, które mogło wyglądać odstraszająco dla kogoś, kto widział bałwany tylko z rzadka. Niestety, nie poprowadził nas do drogi, ale zamiast tego zdołał zabrnąć w jakiś parów i wydawało się, że w ciemności nie uda się odróżnić północy od południa.

Spojrzał na mnie, w oczach miał wciąż pewność siebie, ale pytanie w nich zawarte było całkiem jasne: „Co mamy zrobić, teraz, kiedy się zgubiliśmy?”

Wyprowadziłem więc konia z parowu i znalazłem schronienie pod stromą skałą.

Północny wiatr odchyłał strugi deszczu i opryskiwały nas tylko drobne krople.

Związałem razem konie, a sługa pomagał mi pętać im nogi.

– Będę pełnił wartę pierwszy – rzekłem mu.

Z wdzięcznością skinął głową i skulił się do snu. Kiedy okręcił się w ciemnoczerwona pelerynę, sprawiał wrażenie człowieka wysokiego i wychudzonego.

Okazało się, że przeżycia dnia zmęczyły mnie bardziej, niż mogłem się spodziewać. Postanowiłem zdrzemnąć się trochę w czasie szybkim, tak bym mógł być przytomny przez większość normalnoczasowej nocy. Zasnąłem z łatwością i obudziłem się po długim czasie, czując się rześko. Leżałem przez chwilę w czasie szybkim, obserwując, jak krople pełzły w dół z nieba, wisiały nad końskimi grzbietami, w końcu uderzały i natychmiast rozbijały się, tworząc bryzgi oraz kleksy.

Kiedy przechodziłem do czasu rzeczywistego i rzuciłem okiem na sługę, zaskoczył

mnie jego wygląd: był znacznie niższy i miał na sobie obszarpaną niebieską pelerynę, która ledwie zakrywała mu kolana.

Złudzenie natychmiast przeszło. Byłem w czasie rzeczywistym, a on wyglądał tak jak uprzednio. Zaśmiałem się z siebie, że dopuściłem do tego, by mój wzrok dał się zwieść mojej senności i ciemności. Przez resztę nocy należycie sprawowałem wartę, ucinając sobie jeszcze jedną

krótką drzemkę, kiedy niebo przecierało się tuż przed świtem. Konie od czasu do czasu poruszały się nerwowo, ale na ogół stały spokojnie.

Ruszyliśmy w drogę prawie równocześnie ze wschodem słońca.

Dom na urwisku wystawał z kotłowaniny skał na cyplu i z bliska wyglądał nawet jeszcze bardziej teatralnie niż z daleka. Musiano go budować przez stulecia, kawałek po kawałku; nie był jednolity architektonicznie, chociaż niektóre najwcześniejsze jego fragmenty wyraźnie świadczyły o celach obronnych. Obecnie wydawał się opuszczony i ponury, a wciąż wysokie fale dosięgały poziomu niższych pięter, zdając się mówić, że to tylko kwestia czasu, zanim morze zagarnie wszystko.

Sługa zawiódł mnie do stajni, gdzie jedyny stajenny odprowadził konie na stanowiska i zupełnie nie zainteresował się tym, że odchodziliśmy. Wewnątrz pokoje były zimne i nie spotkaliśmy nikogo. Było jasne, że miejsce to budowano z myślą o dużym towarzystwie. Pustka sprawiała, że zimno stawało się jeszcze bardziej przejmujące.

Jednak chłód nie należał do stylu życia Lorda Bartona i kiedy nie zapowiedziani pojawiliśmy się u drzwi obszernej pracowni, uderzył mnie kontrast. W tym pokoju płonął ogromny ogień. W tym pokoju ścian nie zrobiono z kamienia, a wyłożone były książkami, wznoszącymi się na regałach na oszałamiającą wysokość dziesięciu metrów od podłogi. Drabiny umieszczono w miejscach strategicznych, a ich szczeble były bardzo wytarte, co sugerowało, że książki często czytano, chociaż te drabiny nadawały pokojowi wygląd budynku, którego budowy jeszcze nie ukończono.

Barton, starzejący się mężczyzna, o twarzy często rozjaśnianej uśmiechem, przywitał mnie uściskiem dłoni i wciągnął do pokoju.

– Dziękuję, Dul – powiedział do sługi i zostaliśmy sami.

– Słyszałem o tobie – rzekł Barton. – Słyszałem o tobie i chciałem się z tobą widzieć już od jakiegoś czasu, od jakiegoś czasu. Proszę usiąść. Przeniosłem miękkie meble właśnie tu, gdzie mieszkam. Są obłazłe i stare, ale ja też, więc doskonale pasują, zważywszy, że jestem gnijącą pozostałością dekadentycznej linii. Mam tylko jednego syna.

To go rozbawiło i zaśmiał się.

Ja się nie śmiałem. Patrzyłem na tytuły na grzbietach książek. Przyzwyczajenia nabyte wśród Humpersów nie znikają w ciągu nocy i jeśli nie miałem nic ważnego do powiedzenia, było mi trudno

powiedzieć cokolwiek.

Barton spojrział na mnie przenikliwie.

– Nie jesteś tym, co sugeruje pierwsze wrażenie.

To mnie rozbawiło i spowodowało, że odrzekłem w swoim dawnym stylu:

– Wielu ludzi mi to mówiło i zaczynam podejrzewać, że właśnie takie sprawiam wrażenie. A jakie sprawiam wrażenie, a pan właśnie odkrył, że w rzeczywistości jest inaczej?

– Ostry język, nawet podczas rozmowy z lordem, a ponadto człowiek, który odmawia przyjęcia, kiedy go proszą, nim nie skończy sadzenia. Wydajesz się być buntownikiem, milczącym i zaciętym. Ale ludzie mówią, że jesteś „Człowiekiem Wiatru”, ratujesz matki przy porodach, leczysz kulawe owce i wskazujesz prostym dzieciom właściwą drogę. Cuda, prawda?

Nie odpowiedziałem, żałując swego wybuchu muellerskiej elokwencji.

Wystarczy. Skończyłem z tym.

– Ale powód, dla którego chciałem się z tobą zobaczyć nie ma z tym wiele wspólnego – rzekł Barton. – Wśród przesądnego ludu legendy pojawiają się i znikają, a ja nie wołam na rozmowę każdego wędrownego uzdrowiciela. Zaintrygowały mnie

„włosy białe jak wełna”, jak mówią Humpersi, i ten człowiek, który szuka trudnych prac. Człowiek, który wygląda na młodego wiekiem, ale doświadczeniem dorównuje takiemu starcowi jak ja. Czy w to właśnie przeobraził się Lanik Mueller?

Ostatnie pytanie było tak śmieszne, tak nie na miejscu, a przy tym tak niebezpieczne, że nie mogłem ukryć zdziwienia. Barton zaśmiał się, uważając się widocznie za bardzo przebiegłego.

– Sztuczki i kruczki. Wypróbowuje je nawet na mądrych. Jeśli się sprawia wrażenie, że jest się starym głupcem, ma to swoje dobre strony. Lanik Mueller zawsze mnie fascynował, wiesz. Mija już ile?... Cztery lata od czasu, gdy on i drogi stary Ensel Mueller zniknęli w lesie Ku Kuei, by nigdy się już nie pojawić. Cóż, nie przywiązuję zbytnej wagi do legend. Zawsze okazuje się, że mają całkiem racjonalne podstawy. I nie sądzę, żeby ludzie, którzy wchodzą do Ku Kuei, koniecznie musieli umrzeć. A ty?

Wzruszyłem ramionami.

– Myślę, że stamtąd wychodzą – rzekł Barton. – Myślę, że Lanik

Mueller, plaga równiny Rzeki Buntowników, wciąż żyje.

Popatrzył na mnie przenikliwie.

– Widziałem cię, chłopcze, kiedy miałaś jedenaście lat.

Musiałem znów uważnie na niego spojrzeć. Czy widziałem już kiedyś tego chudego starca?

– Dawniej byłem podróżnikiem. I trochę historykiem. Wszędzie dokąd dotarłem, zbierałem opowieści i historie Rodzin, starając się odkryć, co stało się ze światem od tamtych dni, kiedy Republika osiedliła na tym planetarnym rajach naszych przodków wraz z rodzinami, karząc ich w ten sposób za grzechy. A kiedy cię ujrzałem, pomyślałem: „Oto chłopak, któremu przeznaczone jest dokonanie czegoś ważnego”.

Powiadają, że paliłeś, pustoszyłeś, gwałciłeś i zabijałeś wszystko, co stanęło ci na drodze.

Potrząsałem głową. Rozważałem, czy przyznać, że to, co mówi, jest prawdą, czy udawać, że nie wiem o Laniku Muellerze nic więcej ponadto, co mógłby wiedzieć każdy. Było ironią losu, że nikt mnie nie rozpoznał na równinie Rzeki Buntowników, gdzie mój sobowtór bardzo rozreklamował mą twarz, a zdarzyło się to tutaj, w zapadłym zakątku świata.

– Ale to, co najbardziej mnie intryguje, dotyczy równocześnie ciebie bardzo osobiście, Laniku Muellerze. Dowiedziałem się, że twój młodszy brat, Dinte, rządzi teraz tam, gdzie miałaś rządzić ty.

– Jest figurantem, dzięki Bogu. Ten drań nie poradziłby sobie nawet z mrowiskiem – rzekłem, przyznając to, co najwidoczniej wiedział.

– To dziecko twojej matki?

– Tak, chociaż może to wydawać się niewiarygodne. Nigdy pana nie widziałem, Lordzie Barton.

– Byłem wtedy młodszy.

Podniósł się z fotela, podszedł do drabiny, wspiął się na nią powoli i wyciągnął

księgę, która musiała ważyć przynajmniej pięć kilogramów. Kiedy zszedł na dół, wręczył mi ją.

– Kupiłem ją od twego Ojca. Niechętnie się z nią rozstawał. Ale miał drugi egzemplarz, a kiedy wyjaśniłem mu, jak ważna jest dla mnie genealogia, nabrał

przekonania, że jestem stetryczalym idiotą. Pozwolił mi nabyć książkę, chociaż zażądał pięć razy więcej niż, jak sądził, wynosi jej wartość.

To był cały Ojciec.

Otworzyłem księgę. Była to genealogia Muellerów i historia, prowadzona jako rodzaj kroniki, pisana ręcznie przez heraldyka. Nie rozpoznawałem charakteru pisma na końcu książki, ale z pewnością sprawozdanie genealogiczne kończyło się, kiedy miałem jedenaście lat. Było zabawne, gdy widziało się, co heraldyk uznał za warte zapisu. Musiałem być czymś pupilkiem – zanotowane zostały wszystkie inteligentniejsze zdania, jakie wypowiedziałem w dzieciństwie.

W milczeniu Bartona czuło się wyczekiwanie i wywierało to na mnie taką presję, że przerzuciłem strony i zajrzałem na koniec.

– Prawdziwa? – zapytał.

– Oczywiście – odrzekłem. – Czy wątpisz w to, skoro nabyłeś ją tak, jak mi mówiłeś?

– Wcale nie. Chciałem tylko, byś wypowiedział swoją opinię, zanim wskażę ci pewne przeoczenie, prosty, ale bardzo istotny szczegół, opuszczony w książce. Tak oczywisty, że nie zorientowałbyś się, że go brakuje.

Czekałem.

– To twój brat – rzekł. – Dinte.

Oczywiście, że o Dintem musiała być tam mowa. Tak wiele moich dziecięcych wspomnień się z nim łączyło. Gdy jednak zobaczyłem zapiski z czasu, kiedy rodził

się Dinte, nic o nim tam nie wspomniano. W ogóle nie wspomniano o nim w całej kronice.

– Cóż, może heraldyk, tak jak ja, nie pałał miłością do Dintego – stwierdziłem.

– Heraldyk nigdy nie spotkał Dintego.

– Więc w pałacu bardzo wszyscy musieli chronić tego heraldyka.

– Laniku Muellerze, chcę żebyś sięgnął pamięcią wstecz do jakiegoś wspomnienia. Najlepiej nieprzyjemnego. Chcę, żebyś je sobie przedstawił jasno w myślach.

Uśmiechnąłem się.

– W naszych czasach nikt już nie bierze na serio psychologii!

– To nie sprawa psychologii, Muellerze. To sprawa przeżycia.

Tak więc sięgnąłem pamięcią do czasu, kiedy skłamałem na temat okulawionego Ruryka, konia, którego mi dano, kiedy nauczyłem się jeździć jak dorosły. Kazałem mu głupio skakać i doznał urazu.

Poprowadziłem go do domu i powiedziałem, że to chłopiec stajenny go okulał i że zauważyłem to, jak tylko oddaliłem się od stajni.

Chłopak stracił pracę i dostał na dodatek chłostę, zwłaszcza za to, że „kłamał” w tej sprawie i utrzymywał, że koń był zdrowy, kiedy go wzięłem. Pamiętam wyraz jego twarzy, kiedy ojciec zmusił mnie, żebym rzucił mu oskarżenie w twarz. Pamiętam wyraźnie, jaki czułem wtedy wstyd.

– Widzę po twojej twarzy, że pomyślałeś o czymś, co było dość ważne. Jak wyraźnie to sobie przypominasz?

– Bardzo wyraźnie – odpowiedziałem.

– A teraz pomyśl o swym najwyraźniejszym wspomnieniu, które dotyczy Dintego i pochodzi z czasów, kiedy miałeś, powiedzmy, siedem czy osiem lat i obu was uczyli nauczyciele. Czy mieliście tego samego nauczyciela?

– Yenwiego.

– Ale czy mieliście tego samego nauczyciela?

Wzruszyłem ramionami.

– Przywołaj jakieś dziecięce wspomnienie o Dintem.

Wydawało się, że to dość łatwe zadanie. Dopóki tego nie spróbowałem. Jednak wszystkie moje wspomnienia dotyczące Dintego pochodziły z czasów, kiedy byłem już starszy, kiedy miałem dwanaście, trzynaście, czternaście lub piętnaście lat. Po prostu nie pamiętałem Dintego z wcześniejszego okresu, chociaż miałem niewzruszone przekonanie, że był wtedy obecny.

– Tylko dlatego, że nie pamiętam szczegółów... – zacząłem i zobaczyłem, że Barton się śmieje.

– Jakbym słyszał siebie – rzekł. – „Tylko dlatego, że nie pamiętam szczegółów”.

Ale jesteś taki pewny. Nie masz najmniejszych wątpliwości.

– Oczywiście, że nie. Gdybym mógł spowodować, żeby ten mały drań znikł, zrobiłbym to całe lata temu, naprawdę.

– Pozwól więc, że opowiem ci pewną historię – odrzekł. – Usiądź wygodnie w fotelu, Laniku Muellerze, ponieważ to długa historia, a jako starzec na pewno przyozdobię ją szczegółami, które należałoby opuścić. Spróbuj nie spać. Chrapanie wytrąca mnie z formy.

Potem zaczął mi opowiadać historię swego syna, Percy’ego. Kiedy wspomniał

imię chłopca, natychmiast je rozpoznałem.

– Percy Barton? Lord Percy z Gill?

– Właśnie on. Przerywasz mi.

– Ale on jest władcą, czy raczej figurantem, tak zwanego Sojuszu Zachodniego. I to twój syn?

– Urodzony i wychowany w tym zamku. Ale nie skończę, jeśli nie zacznę, Laniku Muellerze.

Pozwoliłem mu zacząć.

– Widzisz, chodzi o moje zamiłowanie do podróży. Przed niewielu laty wyruszyłem w podróż, jedną z moich ostatnich podróży, zanim stan zdrowia uniemożliwił mi w ogóle wędrówki. Do Lardner. Może znasz Lardner. To kraina zimna, przy której Humping wygląda jak raj, lecz jest to kraj najlepszych lekarzy.

Gdybym kiedykolwiek zachorował, chciałbym mieć przy sobie doktora z Lardner.

Kiedy tam byłem, spotkałem przypadkowo lekarza, którego znałem, kiedy byłem młody, świeżo po ślubie i dopiero co zacząłem panować na swoich posiadłościach, większych niż mam obecnie, zapewniam cię. Wchodził w nie nie tylko Humping, ale cały wschodni półwysep. Myślę, że teraz nie ma to znaczenia. Ten lekarz, Twis Stanly, był swego rodzaju specjalistą od kobiet i problemów kobiecych, ale był również cholernie dobrym łucznikiem. Razem napinaliśmy łuki i doskonale się bawiliśmy na polowaniach w Ostrych Górach. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Kiedyś wspomniałem, że leczył moją żonę, ledwie miesiąc po naszym ślubie, na jakąś dziwną infekcję. Było to oczywiście na jakiś czas przed urodzeniem Percy'ego.

Lord Barton zrobił krótką przerwę, jakby zastanawiając się, w jaki sposób opowiedzieć dalszy ciąg.

– Zapytał mnie oczywiście o żonę, a ja poinformowałem go ze smutkiem, że zmarła ona zaledwie dwa lub trzy lata temu, w dojrzałym wieku, ale jeszcze nie stara.

Była po pięćdziesiątce. Uderzył mnie fakt, że mija prawie trzydzieści pięć lat, jak Twis i ja ubiliśmy dwa rogacze z tego samego stada, każdy tylko jedną strzałą, i to praktycznie jednocześnie. Wspomniałem o tym fackie i dorzuciłem komentarz, że mój syn, Percy, nie zdaje sobie na pewno sprawy z tego, że jego ojciec był kiedyś bardzo dobrym łucznikiem.

Trochę się pośmialiśmy nad tym i nad innymi słabostkami młodości, a potem on rzekł:

– Cóż, Barton, więc ożeniłeś się powtórnie?

Pytanie wydało mi się dziwne.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziałem. – Dlaczego tak myślisz?

– Więc adoptowałeś chłopca? Swego syna? – zapytał, a ja zaprzeczyłem. –

Prawdziwy chłopak, moja krew – rzekłem. – Niecałe dwa lata po ślubie.

Wtedy trochę zbladł, tak jak my starcy często bledniemy i wyjął notatnik ze swych nie kończących się półek wypełnionych zapisami codziennych spraw, obejrzał

pewien wpis i kazał mi go przeczytać. Był to zapis o operacji wycięcia macicy, której Twis dokonał na mojej żonie w miesiąc po naszym ślubie.

– Czy możesz sobie wyobrazić, Lanik, jaki to był dla mnie szok? Byłem pewien, że to pomyłka, ale on był człowiekiem metodycznym i nie mogłem zachwiać jego pewnością. Wyciął wszystko, macicę, jajniki i prawie umarła mu pod nożem, ale do wyboru było: to lub rak, który by ją zabił w ciągu roku. Tak więc w zamian za życie, została skazana na bezdzietność.

To był cios. Upierałem się, że pamiętam narodziny dziecka, ale kiedy starałem się wspomnieć okoliczności, nie udawało mi się to wcale. Ani dnia, ani miejsca, ani tego, czy byłem ich świadkiem, czy pozostałem w innym pomieszczeniu, nawet tego, jak świętowałem narodziny następcy. Zupełnie nic. Tak jak ty, kiedy przed chwilą nie zdołałeś przypomnieć sobie niczego o swoim bracie.

Barton przerwał na chwilę.

Nie wszystkim ludziom dowierzałem, ale w tym wypadku nie mogłem dociec, dlaczego Barton miałby kłamać. Teraz książka genealogiczna bardziej ciążyła mi na kolanach i słuchając starałem się przypomnieć sobie coś, cokolwiek o Dintem z czasów naszego wspólnego dzieciństwa. Nic. Pustka.

– To jeszcze nie koniec mojej historii, Laniku Muellerze. Pojechałem do domu. I po drodze jakoś zapomniałem o całej rozmowie. Zapomniałem o tym! Taka rzecz, a po prostu wyleciała mi z głowy. Dopiero kiedy wyjechałem z Britton w ostatnią podróż, znów mi o tym

przypomniano. Tym razem była to wizyta w Goldstein, z powodu ciepłej zimy. Kiedy tam byłem, dostałem list od Twisa. Zapytywał, dlaczego nie odpowiadam na jego listy. Ha! Nie wiedziałem, że w ogóle je otrzymuję. Ale w jego liście było dostatecznie wiele, by odświeżyć mi pamięć. Byłem zaszokowany taką luką w mej pamięci, przerażony, że mogłem o tym zapomnieć. A potem zdałem sobie z czegoś sprawę. To nie starcza skleroza była przyczyną tego, że zapomniałem.

Ktoś wyprawiał coś z moim umysłem. Kiedy byłem w domu, coś przyczyniło się do tego, że zapomniałem.

Przyjechałem do domu, tym razem jednak myślałem ciągle, uparcie o tym, że mój syn jest oszustem, niesamowitym szarlatanem. Nigdy w życiu nie walczyłem tak ze sobą. Im byłem bliżej domu, im bardziej znajome stawały się widoki, tym bardziej czułem, że Percy zawsze był częścią mnie, częścią mego domu. Wszystko, co bliskie i drogie, było dla mnie związane z Percym, nawet jeśli nie miałem o nim jakichś szczegółowych wspomnień. Przyciskałem list Twisa do piersi i co kilka minut, jadąc do domu, odczytywałem go na nowo. Często kończyło się na tym, że czytałem list i nie miałem zielonego pojęcia, o czym on mówi. Było tym trudniej, im bardziej zbliżałem się do Britton. Nigdy w życiu nie przeżyłem takiej umysłowej udręki. Ale bez przerwy powtarzałem sobie: „Nie mam syna. Percy jest oszustem”. Nie mówiąc o tym, że zastanawiałem się, jak ktoś mógł przyjść do człowieka bezdzietnego i podać się za jego syna. Nie chcę cię zresztą zanudzać szczegółami moich rozterek.

Wystarczy powiedzieć, że udało mi się. Przybyłem tu z nienaruszoną pamięcią i umysłem. W tym oto biurku przechowywałem cztery listy od Twisa, wszystkie otwarte i najwidoczniej przeczytane, i zupełnie nie pamiętałem, żebym je kiedykolwiek otrzymywał. Teraz mogłem je przeczytać, a każdy z nich odnosił się do tego, że pojawienie się Percy'ego było niemożliwe.

W listach Twis przekazywał mi komentarze przyjaciół, którzy przyjeżdżali z Lardner i mieszkali u niego podczas jego pobytu w Britton, przyjaciół, którzy spotykali się ze mną. Pamiętałem ich wszystkich doskonale. Wszyscy wyraźnie wspominali, że byłem bezdzietny i że moja żona i ja doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, iż nie ma żadnej nadziei, byśmy mogli mieć dzieci. Cytował moje własne żarty, sprowadzające się do tego, że przynajmniej teraz nie ma w ciągu

miesiąca takiego okresu, kiedy moja żona mogłaby się wykręcić od spełniania obowiązków w łóżku. Natychmiast gdy o tym przeczytałem, przypomniałem to sobie. Pamiętałem, jak to mówiłem. Było tak, jakby coś we mnie pękło. Przypomniałem sobie o wszystkim. Nie miałem syna. Dopóki nie osiągnąłem czterdziestki. I wtedy, nagle, miałem dziewiętnastoletniego syna, rwącego się do rządów, czekającego na okazję.

Uczyłem go zarządcą mojej najbardziej na północ wysuniętej posiadłości i było to wszystko, czego potrzebował. W ciągu pięciu lat stał się, w niewiarygodny sposób, panem całego Britton. Osiem lat temu wyrósł stamtąd na przywódcę sojuszu i przemienił go w dyktaturę. Potrząsnąłem głową.

– To nie dyktatura, Barton. To tylko figurant dla komitetu naukowców. Samozwańczy mędrcy rządzą również w Nkumai i Mueller.

– Kiedy mówimy o figurantach, zawsze jest rozsądnie upewnić się, kto kim manipuluje – Barton powiedział to tak kąśliwie, że stało się jasne, iż uważa mnie za nieinteligentnego, skoro trzymam się takiej opinii. – Czy nie rozumiesz tego, co ci mówię? Dinte i Percy są tacy sami. Dzieci, które pojawiły się znikąd, ale nikt tego nie kwestionuje, nikt w nich nie wątpi w ich własnych rodzinach, w ich własnym kraju. A teraz obydwaj awansowali do najwyższych stanowisk władzy w bardzo potężnych krajach i wszyscy są przekonani, że są jedynie figurantami.

Rzeczywiście, wyglądało to dziwnie.

– Będę usiłował cię przekonać – rzekł Barton. – Kiedy raz cię zapytałem, jak się czujesz jako następca tronu, powiedziałeś, całkiem bez ogródek – twój ojciec był, jak pamiętam, dumny z twojej bezceremonialności – powiedziałeś – a byłeś wtedy tylko małym chłopcem – powiedziałeś: „Lordzie Barton, w roli następcy tronu mogę jedynie czuć się bardzo wygodnie, gdyż mój Ojciec nie ma innych synów. Gdybym miał brata, musiałbym bardziej zwracać uwagę na swoje zachowanie, bo jeśli by się mnie pozbyli, zawsze byłby zastępca do dyspozycji”. Zapamiętałem te słowa, ponieważ twój ojciec kazał mi je recytować pięciu czy sześciu różnym ludziom w czasie mojej wizyty jako dowód twego wczesnego rozwoju. Czy sobie to przypominasz?

Przypomniałem sobie. Przypomniałem sobie te słowa! Przypomniałem sobie tę chwilę. Przypomniałem sobie nawet starego Bartona – oczywiście, wtedy był

młodszy. Był bardzo rozbawiony i klepał się po udach, zanosząc się śmiechem i powtarzając fragmenty mojej wypowiedzi. Czuję się bardzo dumny z siebie, że rozśmieszyłem takiego mężczyznę.

Wspomniałem to i od razu byłem pewien, że Barton ma rację. Nie miałem brata.

Byłem jedynakiem.

I przypomniałem sobie jeszcze coś. Mwabao Mawę. Nie tę w Nkumai, ale tę wjeżdżającą do Jones w otwartym powozie.

Sługa, który przyproceedził mnie do tego domu na urwisku, wszedł z dzbanem pełnym grogu.

W tamtym powozie widziałem białego mężczyznę w średnim wieku. A chwilę później, wychodząc z czasu szybkiego, zobaczyłem w powozie Mwabao Mawę, dokładnie w tym samym miejscu. Dostrzegła mnie. Uciekłem. A jednak nigdy w ciągu całego czasu, jaki upłynął od tamtej chwili, nie zastanawiałem się, dlaczego mężczyzna wysiadł z powozu pośrodku ulicy w Jones i wpuścił Mwabao Mawę.

Gdzie do tego momentu była Mwabao Mawa? Gdzie się podział tamten biały mężczyzna?

Wszystko pasowało. Pozornie figurant bez władzy, sterowany przez komisję naukowców – ale kiedy spojrzeć na to inaczej, może to właśnie ta osoba naprawdę rządziła?

Na żądanie Bartonu sługa nalał grogu najpierw mnie, a teraz miał nalać Bartonowi.

To w czasie szybkim zobaczyłem łysego białego mężczyznę. Potem, w czasie rzeczywistym, zobaczyłem Mwabao. Czy na tym więc polegała różnica? W czasie szybkim widziałem prawdziwie, a w czasie rzeczywistym byłem ogłupiony jak wszyscy inni?

Sługa pochylił się nad Bartonem, a ja przypomniałem sobie, jak tego samego poranka, kiedy wychodziłem z czasu szybkiego, widziałem przez chwilę, jak niebieska peleryna na pewnym niskim mężczyźnie zmienia się w czerwoną pelerynę na chudym, wysokim słudze, tym właśnie, który teraz nachylał się nad Bartonem, tym, który patrzył teraz, jak Barton niósł grog ku ustom.

– Stop – rzekłem do Bartonu. – Nie pij tego.

Barton spojrział na mnie przez chwilę ze zdziwieniem, a sługa stał, patrząc na mnie bez wyrazu. Potem nagle sługa zwałił się na ziemię, a Barton zerwał się na równe nogi i zwałowo pobiegł ku drzwiom. Byłem

zaskoczony. Wytrącony z równowagi. Stałem się wolniejszy. Upłynęło kilka cennych chwil, zanim znów spojrzałem na rozciągniętego na podłodze sługę i zdałem sobie sprawę, że to wcale nie jest sługa. To był Barton.

Jak mogłem się tak mylić, kiedy widziałem, jak sługa pada, a Barton wychodzi?

Nigdy nie zmieniali miejsc, przynajmniej ja tego nie dostrzegłem. A jednak leżał tu Barton z głową prawie odrąbaną od ciała, trzymającą się tylko na kręgosłupie. To musiano zrobić jednym silnym uderzeniem bardzo ostrej klingi. Ale kiedy? Dlaczego tego nie widziałem?

Żelazne ostrze.

Oczywiście nie było czasu na domysły. Uklęknęłam przy Bartonie, docisnąłem głowę do szyi i zrobiłem wszystko to, co robiłem dla tak wielu Humpersów i ich zwierząt. Połączyłem naczynia krwionośne, zaleczyłem porwane mięśnie, zespoliłem bez szwów zranioną skórę, sprawiłem, że jego ciało stało się zdrowe i całe. Potem, ponieważ już się tym zajmowałem, ponieważ lubiłem go oraz ponieważ łatwiej było robić coś, co umiałem, niż myśleć, co robić dalej, znalazłem jego reumatyzm, osłabienie, chorobę płuc i umierające serce i naprawiłem to wszystko, odnowiłem, uczyniłem go zdrowszym, niż był od wielu lat. Oprzytomniał, patrzył na mnie.

– Człowiek Wiatru – rzekł z uśmiechem. – Opowieści mówiły prawdę.

– Sługa był jednym z nich – wyjaśniłem, chociaż, oczywiście, nie miałem pojęcia, kim byli „oni”, z wyjątkiem tego, że jakoś doszli do panowania nad światem.

– Domyśliłem się tego, w chwili kiedy ostrze przecinało mi gardło. Kochany Dul.

Jak im się udaje tak przebierać? Bardzo dobrze pamiętam, że Dul urodził się w tym domu. Dziecko ochmistrza. Nigdy nie wpadło mi na myśl, żeby kwestionować to, co pamiętam na jego temat. Podszuchał oczywiście naszą rozmowę. Przypuszczam, że chciał nas otruć. Ostrzegłeś mnie, żebym nie pił. Powiedz, jak się domyśliłeś?

Nie miałem czasu ani chęci opowiadać mu o Ku Kuei i o manipulacjach czasem.

– Po prostu zgadłem – rzekłem. – Sprawileś, że stałem się czujny.

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem i prawdopodobnie doszedł do

wniosku, że jeśli bym chciał powiedzieć prawdę, już bym ją powiedział. Wstał. Właściwie zerwał się na nogi tak gwałtownie, że sam był tym zaskoczony i prawie stracił równowagę.

– Kiedy kogoś leczysz, nie robisz tego połowicznie, prawda? – spytał. – Czuję się jak trzydziestolatek.

– To straszne. Chciałem, żebyś czuł się jak dwudziestolatek.

– Nie zamierzałem się przechwalać. Laniku, czym ty właściwie jesteś? Nieważne, nieważne. Istotne jest pytanie: „Czym jest Dul, czym jest Percy, czym jest Dinte?” W

każdym razie wątpię, czy znajdziemy Dula. Nawet jeśli go dogonimy, będzie prawdopodobnie wyglądał na staruszkę, a kiedy przejdziemy obok, dźgnie nas nożem w plecy.

– My? – zapytałem.

– Czekałem, żeby sprawdzić, czy potwierdzisz moją teorię, zanim zacznę działać

– rzekł Barton. – Podświadomie stale się bałem, że wariuję i że to wszystko wymyśliłem. Ale teraz wiem, że miałem rację, i ty wiesz o tym także, a ponieważ jestem obecnie we wspaniałej, młodzieńczej formie, przyszedł czas, by stanąć twarzą w twarz z Percym i zabić małego sukinsyna.

– Zabić? To chyba nie w twoim stylu – rzekłem.

– Może nie – rzekł Barton. – Ale istnieje pewien rodzaj wściekłości, który się czuje, jeśli się zostanie oszukany przez kogoś, komu się najbardziej wierzyło. Nie można tego porównać z żadnym innym rodzajem gniewu. Zrobił ze mnie głupca i to nie w jakiejś małej sprawie, ale w sprawie mego własnego ja, ogłupił moją żonę, wykorzystał moje pragnienie posiadania rodziny. Został moim następcą, wykorzystał

mnie jako odskocznnię do władzy. Udawał cały czas, ogłupiał mnie, bym myślał, że jest moim synem. Jestem bardzo gniewny, Laniku Muellerze.

– Jak tylko Dul do niego dotrze, Percy dowie się, że nie żyjesz. Czy to mądrze tak natychmiast wyprowadzać go z błędu?

Barton zamyślił się.

– Poza tym, Barton, co nam da zabicie jednego z nich? Mamy już dowody, że jest ich co najmniej czworo: Dinte, twój syn Percy, Dul i ta

kobieta z Nkumai, Mwabao Mawa.

– Więc teraz jesteś już pewien, że ona też?

– Kiedyś coś zobaczyłem, czego aż do tej chwili nie mogłem zrozumieć. Czwooro, ale na pewno są też inni, gotowi natychmiast ich zastąpić. Jeśli mamy rozwiązać ten problem, musimy się dowiedzieć, skąd są.

– Czy to ma znaczenie? – zapytał.

– A nie ma?

Uśmiechnął się.

– Ma, oczywiście. Wpadło mi na myśl, że są bardzo zaawansowani w przejmowaniu władzy nad całą planetą. A zarówno Nkumai jak i Mueller mają żelazo, prawda?

– A teraz ci ludzie, kimkolwiek są i cokolwiek robią, kontrolują źródło tego żelaza.

Barton potrząsnął głową i zaśmiał się gorzko.

– Przez tysiące lat wszystkie Rodziny morderczo konkurowały, aby znaleźć coś, co można sprzedać na Zewnątrz przez Ambasatory. Każdy chciał jako pierwszy zbudować statek kosmiczny i wynieść się stąd. Teraz tamci będą pierwsi, bez względu na to, kto zwycięży. Teraz oni będą tym wszystkim rządzić. I nikt prócz nas nawet nie zdaje sobie sprawy, że to robią.

– To nie jest po prostu zwykłe oszustwo – zauważyłem.

– Przyjąłeś to wszystko tak spokojnie.

– Przyzwyczaiałem się widzieć na tym świecie dziwne rzeczy. Pojadę do Gill, Barton, ale nalegam, byś tu pozostał. Tutaj przynajmniej nic ci nie grozi. I zdaje mi się, że wiem, jak ich rozpoznawać. Łatwo i bezpiecznie. Rozpoznawać ich i wykręcić się od ich złudzeń.

Nie spytał, jak mam zamiar to robić, ponieważ z mojego zachowania wynikało jasno, że i tak nie odpowiem. Ach, myślałem o tym, żeby mu powiedzieć, ale nie było potrzeby, aby ktokolwiek, nawet tak dobry człowiek jak Barton, wiedział, jakie są moje możliwości. Jeszcze nie. Dopóki nie postanowię, co mam z tym zrobić.

Obiecał, że pozostanie w domu na urwisku, chociaż nie był szczęśliwy z tego powodu. Poszedłem do stajni, osiodłałem konia – najlepszego z koni Bartona – i wyruszyłem do Gill. O mojej głupocie najlepiej świadczy fakt, że nie szedłem pieszo w czasie szybkim. Obcując z Bartonem, szybko wróciłem do mej najstarszej roli – herbowego dziedzica Mueller. Mówiłem jak lord, a teraz, nie

zastanawiając się, wsiadłem na konia, żeby podróżować jak lord. Taka jest moc starego przyzwyczajenia, nawet porzuconego. Już przed laty przestałem być dziedzicem Muellera, ale ta rola tkwiła wciąż we mnie, gotowa się ujawnić i kierować moimi działaniami. Omal przez to nie straciłem życia.

Jadąc na oklep szybko, lecz spokojnie, drogą ku cywilizacji, a potem ku Gill, zobaczyłem jakiegoś Humpersa. Gnał swe stado na północ, ku mniej cywilizowanej, a przeto bardziej gościnnej części Humpingu. Trudno było mi uwierzyć, że dopiero wczoraj skończyłem sadzenie u Glaina i Vran, że serio myślałem o spędzeniu reszty mego życia wśród Humpersów. Bolesna była pamięć o tym, co działo się zaledwie dzień wcześniej, i świadomość, że nie jestem mimo wszystko gotów żyć spokojnie ani szczęśliwie, ale że wciąż rządzi mną poczucie misji. Jeśli jest jakiś cel do spełnienia, ja go spełnię, myślałem gorzko. Ale i z pewną dumą, bo choć jak dotychczas wszystkie moje działania spaliły na panewce, przecież przyszedł czas – ten czas, gdyż w czasie szybkim siewcy złudzeń odkrywali się przede mną – że byłem nie tylko osobą, która mogła ich powstrzymać, byłem jedyną osobą poza Ku Kuei, która w ogóle mogła ich rozpoznać. A z powodu apatycznego stylu życia Ku Kuei nie było szans, że otrzymam od nich jakąkolwiek pomoc, kiedy nadejdzie pora, by zniszczyć siewców złudzeń.

Zniszczyć ich. Czyżbym już tak sobie, beztrąsko, planował morderstwo? Ale trwa przecież wojna, przekonywałem sam siebie. Tylko kto ją wypowiedział i dlaczego mam sądzić, że ja właśnie bronie słusznej sprawy? Wiedziałem, że tym razem nie muszę pytać ziemi. Tym razem nie była to sprawa jedzenia warzyw. Miałem zamiar zabijać ludzi, zabijać z zimną krwią, zabijać w słusznej sprawie, ale mimo to zabijać.

Czy sprawa rzeczywiście była słuszna? Czy nie przygotowuję się do wymierzenia ciosu w obronie niezależności Muellera? Niezależności od czego? Może ci siewcy złudzeń robili coś rzeczywiście pożytecznego dla naszej biednej planety? Kończyli z rozlewem krwi, prawda? Kończyli konkurencję między Rodzinami, jednoczyli planetę, by osiągnąć wspólny cel.

Nie. To nie tak. Oni nie likwidowali konkurencji. Oni wygrywali ją dzięki oszustwu, a to było zupełnie co innego. Dla mnie postępowanie takie było nieuczciwe.

I to jest, mimo wszystko, jedyny sposób, w jaki człowiek rozstrzyga co jest dobre, a co złe – na podstawie własnego osądu. Dla mnie tamci postępowali nieuczciwie. To przecież inni ludzie rozwiązywali problemy wszechświata. To przecież inni ludzie oddali krew i geny, żeby Mueller mógł dostać żelazo od Ambasadora. Te myśli i ta krew zostały skradzione i nikt nie wiedział, że w ogóle dokonywane jest przestępstwo.

Pamiętam, jak byłem radykalnym regeneratem. Pamiętam, jak stałem przy oknie, patrząc na zagrody, wyobrażając sobie, że przebywam pośród wielorękich i wielonogich potworów, które karmiono z koryt i którym odmawiano nawet odrobiny człowieczeństwa. Było to okrutne, chociaż Bóg jeden wie, jak można było traktować radów. Jednak nawet to okrucieństwo było do zniesienia, lub częściowo do zniesienia, ponieważ rady wiedziały, że robią to dla Muellera. Po to, by zagwarantować, że ich rodziny i rodziny ich rodzin zostaną zaakceptowane przez Zewnętrzne, że będą tymi, którzy zbudują statki, udadzą się w Kosmos i staną się wolni.

Jeśli ta nadzieja pomagała im zachować zmysły, to strasznym przestępstwem było przemienienie jej w kłamstwo i wykorzystanie ich cierpienia, samotności oraz utraty człowieczeństwa przez rasę obcych, którzy wcisnęli się do Rodzin...

Nienawidziłem Dintego. Pogardzałem nim przedtem, ale teraz go nienawidziłem.

Zobaczyłem w myślach, jak wchodzę do pałacu w Mueller nad Rzeką, podchodzę do Dintego, wchodzę w czas szybki i widzę człowieka, którym naprawdę był Dinte, człowieka udającego mego brata, człowieka, który zniszczył mego Ojca i wyzwał mnie z mego dziedzictwa. I kiedy go tak widziałem, mogłem wyobrazić sobie, jak go zabijam, i obraz ten sprawiał mi przyjemność.

(Pamiętałem ziemię jęczącą od krzyków umierających ludzi, ale odciąłem się od tego wspomnienia. Nie będę drażył tych wspomnień. Nie dzisiaj. Musiałem rozlać krew, zanim znów będę gotów to wspominać.)

Ale najpierw Percy Barton, „syn” Lorda Bartona. Trzeba się od niego dowiedzieć, skąd przybył i kim byli jego ludzie, a potem zniszczyć ich wszystkich. O

ile w ogóle można ich było zniszczyć. Czy był jakiś sposób

zlikwidowania ludzi, którzy mogli wyglądać na coś, czym nie byli, którzy mogli na twoich oczach zamienić się miejscami z kim innym, a ty w ogóle tego nie widziałeś, którzy mogli udawać przez lata twego brata i nigdy się nie zdradzili?

Jak to robili? Jak mogłem z tym walczyć?

Kiedy schodziłem ze wzgórz Humpingu, czułem ogromny smutek, ponieważ wiedziałem, że opuszczam mój najprawdziwszy dom, aby poza nim zburzyć spokój swego umysłu i przysporzyć cierpienia ziemi. Pamiętam, jak przywódca Schwartzów powiedział mi: „Każdy człowiek, który zginie z twojej ręki, będzie już zawsze krzyczał w twojej duszy”.

Już prawie chciałem się wycofać. Prawie zawracałem do Glaina i Vran. Prawie.

Ale nie. Jechałem dwadzieścia dni, zanim dotarłem do Gill, stolicy Rodziny Gill, jak również stolicy imperium zwanego Sojuszem Wschodnim. W czasie podróży nic nie wymyśliłem i nie dowiedziałem się niczego, o czym nie wiedziałbym przedtem.

Nie przedsięwziąłem nawet podstawowych środków ostrożności. Nie miałem nawet dość rozsądku, by wejść do miasta w czasie szybkim. Dlatego właśnie w Gill schwytali mnie i zabili.

11. GILL

Dul, sługa Lorda Bartona, przybył do Gill przede mną. Można było to przewidzieć. Nie uwzględniłem jednak faktu, że jeśli Dul słyszał aż tyle z naszej rozmowy, iż chciał nas otruć, to usłyszał również dostatecznie dużo, by zorientować się, że jestem Lanikiem Muellerem.

Czy mu uwierzyli? Czy mogli się spodziewać, że Lanik Mueller przeżył, że wychynął znów z lasu Ku Kuei po dwóch latach? Może na początku w to wątpili, ale kiedy wiadomość dojdzie do Mwabao Mawy, nie będzie już wątpliwości. Będzie pamiętała, że widziała mnie rok temu w Jones.

W tej chwili był to jednak problem czysto akademicki. Kimkolwiek byłem –

Lanikiem Muellerem, Jeziornym Pijakiem czy Człowiekiem Wiatru – dowiedziałem się o istnieniu siewców złudzeń i trzeba było mnie zniszczyć. Mieli mój rysopis, więc kiedy przyszedłem do bramy Gill, żołnierze pojмали mnie, ściągnęli z konia i trzymali, a kapitan porównywał mnie z pisemnym opisem, którego czytanie sprawiało mu pewną trudność.

– To ten – powiedział w końcu, ale w jego głosie brzmiało pewne zwątpienie.

– Myli się pan – rzekłem. – Po prostu wyglądam jak on, ktokolwiek to jest.

Kapitan jednak wzruszył ramionami.

– Jeżeli nadejdzie jeszcze ktoś, kto pasuje do opisu, też go zabijemy.

Żołnierze zawiązali mi oczy, załadowali mnie na wóz i powlekli przez ulice.

Byłem zatroskany. Jeśli wierzą, że jestem Lanikiem Muellerem i jeśli wiedzą – a siewcy złudzeń na pewno już się o tym dowiedzieli – że Muellerowie regenerują się, zabiją mnie zbyt starannie. Naprawdę mogę umrzeć, gdy mnie zetną albo spalą. Nie będę w stanie się ocalić, więc będę musiał uciec, zanim dokonają egzekucji. Jedyne sposóby ucieczki, jakim dysponowałem, zbyt wyraźnie demonstrowały moje możliwości, by nie wzbudzić zaniepokojenia siewców złudzeń.

Miałem szczęście. Dul, kimkolwiek był, okazał się nie dość bystry lub

niedostatecznie poinformowany, by sobie uświadomić, że jeśli rzeczywiście jestem Lanikiem Muellerem, nie zdołają mnie zabić w zwykły sposób. Egzekucje w Gill wykonywał oddział łuczników. Każdy Mueller łatwo radził sobie ze strzałami, jeśli nie było ich zbyt wiele na raz; dla rada takiego jak ja nie mieli po prostu dostatecznej liczby strzał, by w moim ciele dokonać zniszczeń, których nie byłoby ono w stanie zaleczyć.

Żołnierze okazali się bardzo praktyczni. W Mueller każda osoba – obcy, niewolnik czy obywatel – ma prawo zostać wysłuchana. W Gill widocznie tej zbytecznej formalności nie stosowano wobec obcych. Zostałem aresztowany, obwieziony na wozie ulicami Gill (wyglądało na to, że ludzie pozbywają się zgniłych owoców i warzyw, rzucając je jako pożegnalny podarunek do wozu skazańców), wywieziony z miasta przez tylną bramę, wyciągnięty z wozu i umieszczony przed ogromnym stosem słomy, tak aby te strzały, które nie trafiły do celu, nie uszkodziły się ani nie zgubiły.

Łucznicy sprawiali wrażenie znudzonych i może trochę poirytowanych. Czyżby normalnie powinni mieć ten dzień wolny? Ustawili się niedbale, wybierając strzały.

Łuczników było z tuzin, każdy wyglądał na fachowca. Kapitan straży, który eskortował mnie na miejsce egzekucji, podniósł rękę. Nie było żadnych wstępów, żadnych ostatnich słów, żadnego ostatniego posiłku (jasne, po co marnować jedzenie), żadnego, ogłaszania, o co mnie obwiniano. Kiedy kapitan opuścił rękę, strzały pomknęły w godnym podziwu szyku. Wszystkie utkwily w mojej piersi i chociaż dwie zatrzymały się na żebrach, pozostałe weszły do środka. Cztery przedziurawiły mi serce, a reszta posiała spustoszenie w mych płucach. To bolało. Wiedziałem, że nie muszę oddychać, że mój mózg może żyć niedotleniony znacznie dłużej niż mózg większości ludzi. Strzały zatrzymały wprawdzie pracę serca, ale tak długo, jak tkwiły w moim ciele, tamowały również częściowo wypływ krwi. Rana, mimo wszystko, była bardzo groźna, ból na tyle nagły i silny, że me ciało doszło do wniosku, iż umieram i przewróciło się.

Niestety, żołnierze nie rzucili się natychmiast, by wyciągać strzały, więc moje serce nie mogło zacząć się goić, a ocenilem, że byłoby niepolitycznie sięgać i wyciągać strzały własnoręcznie. Wszedłem więc w czas wolny – łagodny czas wolny, dzięki czemu wydawałem się

sztynny, a to co żołnierze wyprawiali ze mną, zostawiało bolesne siniaki, ale moje muellerskie ciało potrafiło sobie z tym poradzić.

Obliczyłem, że prawdopodobnie pozbędą się mego ciała w ciągu piętnastu minut –

nie sprawiali wrażenia, by mieli się z tym ociągać – a to będzie równe pięciu czy sześciu minutom czasu subiektywnego. Będę miał jeszcze kilka sekund na usunięcie strzał i wygojenie się, zanim brak krwi nie spowoduje istotnych szkód. Mogłem żyć przez pewien czas bez oddychania, ale krew musiała krążyć.

Ledwo zmieścili się w czasie i przez jedną straszną chwilę, kiedy nieśli mnie obok pieca, bałem się, że praktykują tu kremację, a wtedy moja gra byłaby przegrana.

Zamiast tego wrzucili mnie do dołu i wyrwali część strzał z mojej piersi. Rozdarli mi serce w miejscach, gdzie zaczynało się już zablizniać wokół grotów, ale dzięki temu mogłem się w końcu rozpocząć prawidłowy proces gojenia. Jak tylko skończyli przysypywać mnie ziemią, przeszedłem do czasu rzeczywistego, ugniotłem wokół

siebie ziemię na tyle, bym mógł wyciągnąć resztę strzał i leżałem przez chwilę, gojąc rany. Kiedy wróciłem już jako tako do zdrowia, wszedłem znów w czas wolny – nie było sensu, bym znosił godzinami zamknięcie w grobie, skoro mogłem tego uniknąć

– i wyszedłem dopiero wtedy, gdy według mojej oceny powinien nastać wieczór.

Był prawie świt. Rozbudziłem ziemię wokół siebie, a ona wyniosła mnie łagodnie na powierzchnię. Rozłożyłem ręce, a ziemia stwardniała pode mną. Rozejrzałem się dookoła, sprawdzając, czy ktoś mnie nie obserwuje. Nikogo nie było.

Cmentarz, podobnie jak miejsce egzekucji, znajdował się przy południowym krańcu miasta, poza murami. Morze było blisko. Zapach gnijących odpadków na brzegu i krabów, które nie pamiętały, w jakim kierunku iść do wody, czyniły to miejsce niezapomnianym – jeśli nie dla wszystkich zmysłów, to przynajmniej dla mego nosa.

Postanowiłem nie popełniać dwa razy tych samych głupich błędów. Tym razem wejść do miasta w sposób bardziej subtelny.

Wprowadziłem się w czas szybki i brodziłem wśród nędznych bud wokół murów, aż w końcu znalazłem coś, co ochrzciłem „Śmieciową Bramą”. Wszedłem do środka.

Zobaczyłem Gill z najgorszej strony. W późniejszych latach widziałem wiele miast, ale jeśli chodzi o błoto i śmieci Gill jest królową ich wszystkich. Położenie na przesmyku między Landlock i Slashsea uczyniło z Gill największą kupiecką Rodzinę Wschodu. Jednak bogactwa w samym Gill nie było widać – bogacze przenieśli się na wschód, w góry. Zbudowali tam drewniane lub kamienne dwory, jakich mogliby im pozazdrościć książęta z innych Rodzin.

W Gill bieda i handel spowodowały, że miasto zabudowano chaotycznie. Domy towarowe, manufaktury i hurtownie ustępowały slumsom, burdelom oraz kasynom gry. W nocy miasto musiało być warte zwiedzania. Wczesnym rankiem czyniło wrażenie znużonego. I wciąż nieco pijanego.

Wzdłuż drogi do Śmieciowej Bramy porozrzucane były zwłoki. Minąłem wóz wyładowany trupami, stojący pośrodku drogi. Kilku mężczyzn, wyglądających niewiele zdrowiej niż ich ładunek, ze znużeniem wrzucało następny kawał ludzkiego ciała na wóz, by zawieźć go na cmentarz. Niewiele jest miejsc, gdzie ceni się życie ludzkie, ale to było pierwsze miejsce, jakie widziałem, gdzie nawet ubodzy (zwłaszcza ubodzy, którzy często bardziej troszczą się o swych zmarłych niż bogaci) mieli tak mało szacunku dla zmarłych, że wyrzucali ich na ulicę jak śmiecie.

Pałac gubernatora Gill, obecnie sztab Sojuszu Wschodniego, wznosił się w dzielnicy handlowej, jak brodawka wśród pieprzyków: nie uczyniono nic, żeby upiększyć ten gmach. Była to tylko szara kamienna bryła, tkwiąca pośród mniejszych i może dlatego bardziej przytulnych budowli, wypełnionych tkaninami, solonym mięsem i skórą.

Trudno było dostać się do pałacu. Bramy szczelnie zamknięto, przy każdej stali strażnicy w ten sposób, że mieli je za plecami. Przemknąć się, nawet w czasie szybkim, nie było możliwe, przynajmniej nie przez drzwi. Gdybym ogłuszył strażnika, zwróciłoby to zbyt wiele uwagi. A gdybym przeszedł na siłę, w czasie szybkim, mogłoby to go zabić.

Musiałem poczekać do przedpołudnia, aż pojawią się wchodzący i wychodzący.

Tak więc z powodu nostalgii (i prawdopodobnie podświadomie planując małą zemstę), poszukałem bramy, przy której zostałem zatrzymany poprzedniego dnia.

Kiedy szedłem po ulicach, ogarniało mnie coraz większe przygnębienie.

Zastanawiałem się, czy Gill był rzeczywiście wyjątkowo nędznym miastem, czy może też wszystkie miasta, nawet Mueller nad Rzeką, wyglądają tak źle dla tych, którzy nie mają pieniędzy. Humping, dzika, górzysta kraina, obchodziła się łagodniej ze swymi mieszkańcami, niż ta sztuczna pustynia z błota i kamienia.

Kiedy zbliżałem się do bramy, dostrzegłem z pewnej odległości, że wóz katowski już działał. Jaki pracowity dzień miał przed sobą! Myślałem przez chwilę, że może by złamać mu oś, ale doszedłem do wniosku, że szkoda na to czasu i zachodu. Zamiast tego udałem się do bramy, nie spoglądając prawie po drodze na wóz i więźniów w kapturach. Znalazłem to, czego szukałem. Kapitan, który tak ponuro wiózł mnie na śmierć poprzedniego dnia, przebywał w pomieszczeniu dla straży o zamkniętych na klamkę drzwiach. Otworzyłem je i wszedłem do środka. Ustawiłem się dokładnie naprzeciw kapitana, który był sam w pomieszczeniu, i wszedłem w czas zwykły. W

Ku Kuei bardzo często widziałem, jaki to ma skutek – z jego punktu widzenia po prostu zmaterializowałem się z niczego.

– Dzień dobry – odezwałem się.

– Mój Boże – jęknął.

– Ach, odpowiedziałeś. To było bardzo irytujące, że wczoraj nawet nie chciałeś mnie wysłuchać przed wywiezieniem i zabiciem.

Jego przerażenie było rozkoszne.

– Nie jestem człowiekiem mściwym, ale od czasu do czasu rzeczy tego rodzaju są zbawienne dla ducha. Nie będę ci długo zawracał głowy. Po prostu interesuje mnie ta rzeź, którą tu urządza. Na przykład, kto decyduje o tym, kto ma umrzeć?

– P... Percy. Król. To nie moja wina. Nie decyduję o niczym...

– Dajmy temu spokój, nie będę tu się zajmował sądami. Jak wielu ludzi dziennie zabierasz od bram miasta na cmentarz?

– Niezbyt wielu. Naprawdę. Ciebie wczoraj, Lorda Bartona dzisiaj i nie mogę sobie przypomnieć, żeby w ciągu ostatnich miesięcy był jeszcze ktoś. I zazwyczaj bierze się ich, kiedy wyjeżdżają, nie kiedy przybywają. Staralem się nie okazywać szoku. Barton! Zignorował moją radę i przyjechał tu mimo wszystko.

– Robisz to bardzo sprawnie – rzekłem.

- Dziękuję – powiedział.
- Co się z tobą stanie, jeśli coś pójdzie źle?
- Wszystko zawsze idzie dobrze.
- Ale jeżeli?
- Będę miał kłopoty – odrzekł.

Czuł się już pewniej w mojej obecności i podejrzewałem, że za chwilę wyciągnie rękę, by sprawdzić, czy nie jestem duchem.

– Więc już masz kłopoty – rzekłem. – Gdyż Barton nie umrze. A gdyby przypadkiem udało ci się go zabić, zjawię się po ciebie w ciągu godziny. Możesz mieć nie wiem ile kłopotów z powodu tego, że on nie umrze, ale pamiętaj, że to nic w porównaniu z tym, co ci się zdarzy, jeśli go zabijesz. A teraz życzę ci wspaniałego poranka.

Przeszedłem w czas szybki, ale zatrzymałem się na chwilę i odwróciłem do góry nogami kałamarz nad jego głową.

Biegłem bardzo szybko ulicami i wkrótce znalazłem katowski wóz. Gdybym dokładniej przyjrzał się mu poprzednio, rozpoznałbym Bartona po ubraniu – miał na sobie to samo, co tamtego dnia w skalnym domu. Wspiałem się na wóz, a potem na chwilę zwolniłem do czasu rzeczywistego, by szepnąć: „Nie martw się, Barton, jestem przy tobie”. Potem znowu w czasie szybkim wydostałem się z wozu. Woźnica mnie nie zauważył, a gdyby spostrzegł mnie jakiś przechodzień, tylko by mrugnął i pomyślał, że to prawdopodobnie alkohol z poprzedniego wieczora wciąż krąży w jego krwi.

Dostałem się na plac egzekucyjny i ukryłem się za stertą słomy. Wóz dotarł tutaj po pół godziny. Potem powtórzono rutynowe czynności z poprzedniego dnia: łucznicy ustawili się rzędem, bardzo niedbale, a ich dowódca – nie był nim kapitan sprzed bramy – uniósł ramię. Przeszedłem w czas szybki i wszedłem na plac między Bartonem i łucznikami. Spacerowałem tam i z powrotem (stawałem się widoczny, kiedy nazbyt długo zatrzymywałem się w jednym miejscu) do chwili, gdy ramię dowódcy opadło i strzały pomknęły. Wtedy zebrałem je w locie, zdjąłem ostrożnie kaptur z głowy Bartona, przebiłem strzałami i umieściłem ostrożnie w słomie, dokładnie za piersią Bartona. Potem odszedłem z powrotem do mojego ukrytego punktu obserwacyjnego i patrzyłem.

Dopiero po sekundzie czasu prawdziwego, łucznicy zorientowali się, że Barton nie ma kaptura na głowie i że nic nie sterczy mu z piersi. Wtedy

dowódca rozkazał

gniewnie, by łucznicy zebrali strzały. Był wściekły, że spudłowali, ale trochę przycichł, gdy znaleziono w słomie kaptur i tkwiące w nim strzały. Przecież nie mogły się one znaleźć bezpośrednio za Bartonem w żaden naturalny sposób.

Barton uśmiechał się.

– Nie wiem, jakie wyprawiasz sztuczki – powiedział wściekle dowódca (w jego głosie wyczuwało się jednak strach) – ale będzie lepiej, jeśli przestaniesz.

Barton wzruszył ramionami, a dowódca ustawił łuczników do następnej próby.

Wszedłem znów w czas szybki. Chciałem skończyć z tym natychmiast. Każdemu łucznikowi wpakowałem w nadgarstki po jednej ze strzał schwyconych przeze mnie w locie. Wziąłem ich więcej z kołczana jednego z łuczników i nadziałem na nie dłoń dowódcy, przytwierdzając mu ją mocno do biodra. Podobnie postąpiłem z trzema ludźmi, którzy stojąc obok, przyglądali się egzekucji. Potem wróciłem na swój poprzedni punkt obserwacyjny i do czasu rzeczywistego.

Ryk bólu wydobywający się z kilkunastu gardeł zawiadomił mnie, że moja praca była skuteczna. Łucznicy rzucili łuki i chwycili za zranione nadgarstki. Szok był

znacznie większy niż ból, jakiego doznawali. Nie każdego dnia wypuszczasz strzałę, a ona zawraca i trafia w ciebie.

Barton wykazał zadziwiającą przytomność umysłu. Powiedział z wyższością:

– To drugie ostrzeżenie dla was. Nie będzie trzeciego.

– Co się dzieje?! – krzyknął dowódca.

– Nie znacie mnie? Jestem ojcem imperatora. Jestem Lord Barton z Britton. A dla pospólstwa przelewanie krwi królewskiej jest zbrodnią.

– Proszę o przebaczenie! – zawołał dowódca.

Kilku łuczników mu zawtórowało, ale większość była zbyt zajęta tamowaniem krwi.

– Jeśli chcecie przebaczenia, wracajcie do koszar i nie róbcie mi dzisiaj już więcej kłopotów.

Chcieli przebaczenia. Wrócili do koszar i nie robili mu tego dnia już więcej kłopotów. Natychmiast po ich odejściu rozejrzał się za mną i znalazł mnie – leżałem na stercie słomy śmiejąc się. Podszedł, ale był

trochę zdenerwowany.

– Koniecznie musiałeś czekać do ostatniej chwili, prawda?

– Powiedziałem ci, żebyś się nie martwił.

– Spróbuj się nie martwić, kiedy tuzin łuczników celuje ci w serce.

Usprawiedliwiałem się wylewnie, wyjaśniając, że chciałem posiąć wśród ludzi z Gill trochę lęku przed siłami nadprzyrodzonymi. Zgodził się przynajmniej, żeby już nie wspominać o tej sprawie, ponieważ ja przecież go ocaliłem, a on zlekceważył

moje polecenie, by pozostał w Humping. Opuściliśmy miejsce egzekucji i skierowaliśmy się do miasta. Barton odezwał się:

– Z pewnością nie spodziewają się, że wrócimy do miasta po tym, jak próbowali zabić nas obojgu – zaśmiał się. – To było zabawne. Nie chciałbym być żołnierzem, który składa o tym raport mojemu drogiemu synkowi, Percy'emu. Ale czym ty jesteś, powiedz? – zapytał.

– Człowiekiem Wiatru – rzekłem.

– Nie wiem, co się stało ze światem – odrzekł. – Wszystko wydawało się takie rozsądne i naukowo uzasadnione, dopóki nie odkryłem, że mój syn jest oszustem i potrafi ukryć przede mną moje własne wspomnienia. A teraz przychodzisz ty. Kapitan przy bramie powiedział mi, że wczoraj zostałeś uśmiercony i pochowany.

– Rozmawiał z tobą? Wobec mnie nie był taki towarzyski – rzekłem.

– Nie zmieniaj tematu, młody człowieku. Oskarżam cię o gwałcenie praw przyrody.

– Cnota przyrody jest nietknięta. Znam po prostu kilka innych praw.

Doszliśmy do Bramy Śmieciowej. Strażnicy nie byli zbyt czujni i – co nas nie zaskoczyło – nie ogłoszono jeszcze alarmu. Jednak rzucaliśmy się w oczy, choćby dlatego, że między nami zachodził spory kontrast. Barton miał na sobie kosztowne ubranie, a ja całkowicie wiejskie, jak Humpers. Musiałem zabrać lorda z ulic miasta na czas, gdy będę realizował swój pierwotny zamiar: złożenia wizyty Percy'emu.

Więc zaprowadziłem go do burdelu, który zauważyłem w czasie moich poprzednich wędrówek po ulicach.

Zarządca, stetryczały starzec, był dość zirytowany, że zawracamy mu głowę rano.

– Nie otwieramy przed południem – rzekł nam. – Dopiero późno po południu.

Barton miał przy sobie pieniądze, i to sporo. Byłem zdziwiony, że kaci

ich nie zabrali. Może zamierzali zaczekać, aż lord stanie się trupem, tak żeby nie wiedział, iż go obrabowano. Była to delikatność, o którą dotychczas nigdy nie podejrzewałbym żołnierzy. Pieniądze, wyłożone na stół, posłużyły do wcześniejszego niż zwykle otwarcia instytucji.

– Pełna usługa? – zapytał zarządca.

– Po prostu łóżko i milczenie – odrzekłem, ale Barton popatrzył na mnie z gniewem. – Czuję się jak dziewiętnastolatek, a ty spodziewasz się, że w takim miejscu będę cały dzień spał? Chcę najmłodszą dziewczynę. I żeby nie miała żadnych wstrętnych chorób – zażądał. Potem zreflektował się i dodał: – Ale, oczywiście, musi być w odpowiednim wieku.

Zarządca zrobił minę, jakby starał się zgadnąć, co oznacza „odpowiedni wiek”.

– Powyżej czternastu – odpowiedziałem.

– Szesnastu – poprawił Barton przerażony. – Czy naprawdę oferują młodsze?

Zarządca skierował wzrok ku niebu i odprowadził Bartona. Natychmiast, gdy się oddalili, wszedłem w czas szybki i ruszyłem ku pałacowi.

Kiedy tam przybyłem, ktoś właśnie przechodził przez drzwi. Kobieta. Było ciasno, ale przecisnąłem się obok niej nawet jej nie trąciwszy – to by ją boleśnie posiniaczyło. Wybrałem drogę strzeżoną przez największą liczbę strażników i wkrótce znalazłem się w imponującej sali tronowej. Potem przeszedłem do jakiegoś zakamarka i rozejrzałem się po zgromadzonych w sali ludziach. Próbowałem się przyjrzeć dokładnie wszystkim twarzom w pokoju, jeśli więc któraś by się zmieniła, wiedziałbym o tym. A potem przeszedłem do czasu rzeczywistego.

Staruszka siedząca na tronie stała się młodzieńcem, bardzo podobnym do Bartona. Większość urzędników dookoła pozostała niezmieniona, ale wśród tłumu rozpoznałem Dula. Był niewysokim, młodym człowiekiem, w prostej, brązowej tunice. Zmieniło się również kilka innych twarzy. Przechodziłem kilka razy z czasu rzeczywistego do szybkiego i z powrotem, żeby mieć pewność, że wykryłem wszystkich. Było ich ośmioro.

Przybyłem tu z mocnym postanowieniem, że dowiem się, skąd przybyli, i pozabijam ich. Teraz zastanawiałem się, jak dokonam obu

tych rzeczy. Nie mogłem rozmawiać z nimi w czasie szybkim, musiałem więc stanąć z wrogami twarzą w twarz w czasie rzeczywistym. A jak mógłbym ich zabić, nie przyciągając uwagi wszystkich pozostałych siewców złudzeń? Jeśli zostaną przede mną ostrzeżeni, mogą być zdolni do obrony.

Wiedziałem przynajmniej, że mogę ich zidentyfikować, przełączając się z czasu zwykłego do szybkiego i z powrotem. Ale uśmiercenie ich w czasie szybkim nie będzie proste. Oczywiście, dokonanie samego aktu to rzecz łatwa. Ale pchnięcie nożem w serce nieświadomego człowieka to zupełnie inna sprawa niż drobne sztuczki, którymi dotychczas zabawiałem się w czasie szybkim. Szkolono mnie do walki. Walczyłem i zabijałem już poprzednio. Zawsze jednak mój wróg miał szanse bronić swego życia. Nie miałem chęci atakować, kiedy przeciwnik był całkowicie bezradny.

Ku Kuei zabijali zwierzęta, waląc je po głowie w czasie szybkim. Ja ganiłem ich za to. Ale oni mieli rację: nie odcina się stopy, gdy staje się do wyścigu. Jeśli mam przeszkodzić siewcom złudzeń w opanowaniu świata, będę musiał zastosować swe nabyte zdolności i pozabijać ich. Nie było szans na żadne rokowania – wykazali już swe zdecydowanie, by zagarnąć i utrzymać władzę za wszelką cenę. Ich śmierć nie będzie obrazą sprawiedliwości. I jeśli będę mógł ich zabić tylko w ten sposób, że podkradnę się do nich jak tchórz...

Były to myśli nieproduktywne, a Dul właśnie zaczął oddalać się od grupy w sali tronowej. Poczekalem chwilę, aż zobaczyłem, do których drzwi zmierza, a potem wszedłem w czas szybki i przekroczyłem te drzwi przed nim. Nie miałem zamiaru mordować, chciałem tylko informacji. Kiedy przeszedł przez drzwi, ja, znowu w czasie normalnym, postąpiłem o krok i ująłem go za ramię.

– Dul – rzekłem – jak to miło cię znowu widzieć.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie. Jego twarz wyrażała tylko umiarkowane zdziwienie.

– Myślałem, że ciągle jest pan w Britton – rzekł, a potem, chociaż wyraźnie widziałem, że trzymał ręce opuszczone przy bokach, poczułem, jak w mą pierś głęboko zanurza się nóż. Moje biedne serce znów będzie musiało się regenerować, pomyślałem. Zdałem sobie jednocześnie sprawę, że mierzyć się z siewcami złudzeń twarzą w twarz będzie trudno. Kiedy ktoś może cię zabić, a ty nie widzisz nawet, że

porusza rękami, stwarza to pewne nietypowe problemy w walce.

Oczywiście wszedłem w czas szybki i zobaczyłem, jak właśnie cofa rękę od noża sterczącego z mojej piersi. Wyjąłem nóż, odszedłem, położyłem się na podłodze i czekałem w czasie szybkim, aż me serce zagoi się na tyle, bym mógł działać dalej.

Była to czysta rana, ale nie powinienem się zbytnio nadweręzać – istniały granice tego, co moje serce mogło wytrzymać, nie buntując się i nie zmuszając mnie, bym spędził kilka godzin w łóżku. W końcu jednak znów byłem na chodzie. Wstałem i podszedłem do Dula, który tymczasem wycofał już swą rękę. Na jego twarzy zaczynało odmalowywać się zdziwienie spowodowane moim zniknięciem. Wziąłem nóż i aby przekonać Dula, że naprawdę potrzebuję jego współpracy, wepchnąłem mu ostrze noża (żelazo produkcji Muellerskiej!) głęboko w ramię. Potem znów wszedłem w czas zwykły, obserwując jak w ostatniej chwili ten młody człowiek, którego dźgnąłem, zmienia się w wysokiego milczącego sługę, Dula. Jego otepienie trwało jednak niedługo. Spojrzał zaskoczony, złapał się za ramię i w tej chwili iluzja zamigotała i znikła. Zmieniał się przed moimi oczami, aż w końcu ustalił się w swej własnej postaci, niskiego, młodego mężczyzny.

Skoczył w moją stronę, ściągając mnie na ziemię. Nóż miał już w ręce, skierowany ku memu gardłu. Zatrzymałem nóż i mocowałem się, aby mu go wyrwać.

Dul był młody i silny – ja byłem młodszy i znacznie silniejszy. Nie miał też większego pojęcia o walce na noże. Prawdopodobnie nigdy nie musiał używać broni w sytuacji, kiedy wróg widział jego ruchy.

Przygwoździłem go do podłogi i zażądałem, by zanim go zabiję, powiedział mi, skąd pochodzi. Nagle usłyszałem skrzypnięcie drzwi. Obejrzałem się, ale nie dostrzegłem nikogo, choć drzwi były wciąż otwarte i kołysały się. Jeśli siewcy złudzeń potrafią robić to wszystko, co już widziałem, mogli też prawdopodobnie spowodować u mnie złudzenie, że nikogo nie ma. Byłem pewien, że w pomieszczeniu znajduje się ktoś jeszcze. Przesłuchiwanie Dula w towarzystwie siewców złudzeń nie mogło się udać, a ponadto teraz byli już ostrzeżeni. Istniała przedtem jedna szansa, by dowiedzieć się, skąd są. Teraz tę szansę straciłem.

Wszedłem w czas szybki i podniosłem się znad rozciągniętego na ziemi

przeciwnika. Nie jeden, ale trzech siewcy złudzeń z wyciągniętymi nożami kierowali się ku miejscu, gdzie się przed chwilą znajdowałem. Było to bezcelowe, ale wyjąłem im noże z rąk i zabrałem je ze sobą do sali tronowej, gdzie starsza pani udająca Percy'ego Bartona siedziała ze znudzoną miną na tronie. Umieściłem noże na jej podołku, z ostrzami skierowanymi ku niej i wyszedłem z pałacu. Przesłanie będzie jasne: mogłem ją zabić. Ale było to tylko przesłanie, tylko wskazanie możliwości, a ja nie wiedziałem, co robić dalej.

Wszystkich ich pozabijać? Bezcelowa strata czasu, skoro nie wiedziałem, skąd pochodzą. Zostaną tylko zastąpieni przez kolegów, a ich spisku wcale to nie powstrzyma, najwyżej trochę opóźni. W tej sytuacji miałem trochę czasu, by zaplanować następny ruch, przynajmniej w czasie szybkim – upłynie tydzień, zanim jeźdźcy z Gill dotrą do jakiegokolwiek innej stolicy, a mając tydzień do dyspozycji, w czasie szybkim można dokonać wiele.

Opuściłem pałac. Nie należało się spodziewać, że wszędzie będą się walały kartki z napisem: „Szalbierze w tym pałacu pochodzą z takiej to a takiej Rodziny”. Będę musiał posługiwać się tylko rozsądkiem, aby określić ich ojczyznę. A jeśli chodziło o wyciąganie wniosków przy pomocy ścisłego rozumowania, nauczyłem się szanować Lorda Bartona.

– Za szybko wróciłeś – rzekł po tym, jak odesłałem dziewczynę z pokoju. –

Nadmiernie wykorzystujesz naszą przyjaźń.

– Potrzebuję twojej rady.

– A ja potrzebuję samotności. A raczej samotności samowtór. Czy zdajesz sobie sprawę, że byłem o krok od dokonania czegoś, czego nie udało mi się dokonać w ciągu ostatnich trzydziestu lat? Dwa razy pod rząd. Dwa razy w ciągu dziesięciu minut.

– Jeszcze będziesz miał okazję. Posłuchaj, Barton, byłem w pałacu. Widziałem twego syna. To jest kobieta, w twoim wieku, czy nawet starsza, i jest otoczona przez siewców złudzeń, wśród nich znajduje się twój dawny sługa. Ale nie udało się z nich nic wycisnąć. W gruncie rzeczy są trochę zaniepokojeni. Wiedzą, że ich znam. Mieli przedsmak tego, co mogę zrobić. W ciągu tygodnia zawiadomią pozostałych i nigdy nie będę już miał przewagi zaskoczenia. Rozumiesz sytuację?

– Spieprzyłeś sprawę.

– Skorzystałem z okazji i nie udało się. Tak więc teraz, skoro byłeś na tyle głupi, żeby tu przybyć, choć obiecałeś pozostać w Humping...

– Humping... – powiedział w rozmarzeniu.

– Możesz przy okazji zrobić coś użytecznego. Muszę wiedzieć, skąd oni pochodzą. Jeśli bowiem tam nie uderzymy, mocno i jako pierwsi, nigdy nie uda nam się ich powstrzymać.

Natychmiast zaczął się zastanawiać.

– Cóż, Laniku, jest dosyć jasne, że nie możemy wyciągać numerów z kapelusza w nadziei, że trafimy na właściwy. Jest osiemdziesiąt Rodzin

– może to być każda z nich.

– Są sposoby ograniczenia tej liczby. Mam teorię, chyba dobrą, na temat tego, co robią poszczególne Rodziny. W Nkumai znalazłem rodzaj kroniki. Wyliczała ona zagadnienia, w których specjalizowali się założyciele poszczególnych Rodzin. Na przykład Nkumai została założona przez fizyka. Ich produktem eksportowym są teorie fizyczne i astronomiczne. Z Mueller eksportujemy produkt badań genetycznych

– pierwszy Mueller był genetykiem. Rozumiesz?

– W ilu przypadkach to się sprawdza?

– Nie odwiedzałem wielu krajów i nie informowali mnie na ogół, co eksportują.

Ale zgadza się to dla Ku Kuei i Schwartzów.

– Filozof i geolog.

Musiałem mieć zaskoczoną minę.

– Nie wiem, dlaczego ta informacja miałaby cię dziwić. Britton zostało założone przez historyka. Mało prawdopodobne, żeby ta dziedzina wytworzyła produkt eksportowy, ale fanatycznie gromadzimy różne zapiski. Dzieci uczą się na pamięć listy oryginalnych osiemdziesięciu zdrajców od Andersona do Wynna, łącznie z ich krótkimi biografiami, w których jest mowa o ich zawodach. Jesteśmy bardzo staranni.

Mogę wyrecytować swą własną genealogię od samego Brittona aż do mnie. Nie zrobiłem tego dotychczas, ponieważ mnie o to nie prosiłeś.

– Nigdy o to nie poproszę. Jesteś człowiekiem z żelaza, Barton.

– Powstaje pytanie, jakie zajęcie mogło spowodować, że Rodzina stała się Rodziną siewców złudzeń? Najbardziej oczywistymi kandydatami byliby psychologowie, prawda? Kto był psychologiem? Oczywiście Drew, ale oni żyją w swoich budach na północy i mają sny o zabijaniu własnych ojców oraz spaniu z własnymi matkami.

– To może być złudzenie – zauważyłem.

– Nie dawniej niż w zeszłym roku zaatakowali swoich sąsiadów zza gór, Arvenów, i zostali upokarzająco pokonani. Czy to pasuje do obrazu naszego wroga?

Wzruszyłem ramionami. Jak można było twierdzić coś pewnego o siewcach złudzeń?

– Prócz tego, nie starali się specjalnie ukrywać, nad czym pracują od setek lat.

Ludzie, których szukamy, gdzieś w czasie swej historii powinni byli stać się skryci.

Nie sądzisz? Drugim psychologiem, już ostatnim, był Hanks. Nic o nich nie wiem, z wyjątkiem tego, że dwa lata temu zbuntowali się przeciw Sojuszowi Wschodniemu i mój kochający syn wszedł tam z armią i spalił wszystko do cna. Mówi się, że tylko jeden człowiek na trzech przeżył. Obecnie ludzie ci żyją z tego, że przechodzą granicę i korzystają z dobroczynności w Leishman i Parker. W Gill nie istnieje dobroczynność. Więc nie wygląda to na ojczyznę siewców złudzeń. Znowu miał

rację.

– Nie ma więcej psychologów?

– Nie.

– Jakie mamy inne zawody?

– Może są oni wyjątkiem od twojej teorii, Laniku. Może wymyślili coś nowego.

– Przejrzyjmy listę. Musimy, tak czy inaczej, znaleźć najbardziej prawdopodobnego kandydata.

Tak więc przeglądaliśmy listę. Było to żmudne, ale Barton spisał ją pięknym pismem – co napełniło mnie jeszcze większym respektem dla jego wykształcenia, chociaż ledwo mogłem ją przeczytać. Nasze typy były wątpliwe. Tellerman był

aktorem, ale tę Rodzinę znano z jej pretensji literackich. Ambasador odrzucił

wszystkie powieści, dramaty i wiersze, które napisali w ciągu trzech tysięcy lat. Ich upór był zadziwiający. Przedstawiciele iluzjonistów i magików w grupie zesłańców nie było. To oczywiste – ten zawód był zbyt prostacki. Przecież rewoltę zorganizowały elity przeciwko wyzyskowi przez demokratyczną tyranie mas. Z

kilkoma wyjątkami, wygnańcy na Spisku to była śmietanka śmietanki, pierwsze umysły Republiki. Znaczyło to, że z wyjątkiem psychologów i kilku innych marginesowych osobników, biorących prawdopodobnie udział w finansowaniu rebelii, większość buntowników była ekspertami w naukach przyrodniczych.

Spędziłem ponad godzinę, wyczerpawszy, jak nam się wydawało, każdą możliwość i wtedy odpowiedź wydała się nagle tak oczywista, że nie chciało się wierzyć, iż ją przeoczyłem.

– Anderson – powiedziałem.

– Nie wiemy nawet, co on robił – rzekł Barton.

– Nie wiemy, jaki miał zawód. Ale przecież był przywódcą rebelii.

– „Ze zdrajców, zdrajca najohydniejszy” – zaintonował Barton.

– Przywódca intelektualistów, a jednak sam nie intelektualista.

– Tak. To jeden z nie wyjaśnionych faktów w historii.

– Polityk – ciągnąłem. – Demagog, który załatwił sobie wybór do Rady Republiki, a jednocześnie potrafił zdobyć zaufanie najsubtelniejszych umysłów Republiki. Czy to nie sprzeczność?

Barton uśmiechnął się.

– Coś w tym jest. Oczywiście nie dysponował żadną taką zdolnością, jaką mają nasi obecni wrogowie. Ale był w stanie sprawić, żeby ludzie widzieli go takim, jakim on chciał być widziany. Czyż siewcy złudzeń nie czynią dokładnie tego samego, tylko że lepiej?

Odchyliłem się na krześle.

– Więc przynajmniej przyznajesz, że jest to do przyjęcia?

– Do przyjęcia. Choć mało prawdopodobne. Ale żadna z pozostałych Rodzin nawet nie wchodzi w rachubę, takie jest moje zdanie. Co czyni Andersonów najlepszymi kandydatami, przynajmniej w pierwszym podejściu.

Podniosłem się z krzesła i ruszyłem ku drzwiom.

– Czy to nie jest trochę niegrzeczne z twojej strony? Nie zabierzesz mnie?

– Nie będzie mnie tylko dwa dni.

– Dostanie się nad morze przez niespokojne ziemie Izraela wymaga co najmniej tygodnia jazdy. Potem musisz zdobyć łódź i przedostać się przez najwredniejszy kawał wody na świecie, Trzęsące Morze – chyba że będziesz na tyle głupi, by próbować przebyć Lejek. Daje to razem przynajmniej dwa tygodnie nieobecności i prawdopodobnie, śpiesząc

się, zajeździsz kilka koni.

– Nie będzie to tak długo trwało. Uwierz mi. Czy cię już kiedyś zawiodłem?

– Jedynie wtedy, gdy odesłałeś z pokoju tamtą młodą damę. Ale nie martw się.

Nie będę próbował cię gonić. Jeśli mówisz „dwa dni”, będę czekał dwa dni, a nawet więcej. Człowiek, który może sprawić, że strzały odwracają się w locie, może, jeśli zechce, pofrunąć na księżyc.

Przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Może powinieneś czekać gdzie indziej – zaproponowałem.

– Nonsens. Wychodzenie na ulicę jest bardziej ryzykowne. Prócz tego nie skończyłem tu jeszcze. Chcę pobić własny rekord. Trzy razy w ciągu godziny.

Przyślij ją tu znowu.

Posłałem ją tam znowu, kiedy wychodziłem.

Było denerwujące, że dotrę na miejsce prędkiej, kiedy będę szedł piechotą w czasie szybkim, niż w czasie normalnym jadąc konno – wszystko dlatego, że w Ku Kuei nie nauczyłem się rozciągać swojego bąbla. Dotarcie na wybrzeża Izraela zajęło mi dziewięć długich dni marszu. Maszerowałem w najszybszym czasie szybkim, w jaki kiedykolwiek wchodziłem po opuszczeniu Ku Kuei. Miałem w życiu okresy, kiedy samotność i wysiłek fizyczny dodawały mi energii. Teraz samotność nużyła.

Bardziej męczący, niż nie kończący się marsz, był widok porzucanych jak rzeźby po polach ludzi, nieświadomych faktu, że podporządkowali ich sobie siewcy złudzeń.

Wyruszyłem, żeby ich wyzwolić, a oni nawet nie wiedzieli, że trzeba ich wyzwalać.

Skrajnie wyczerpany osiągnąłem cypel Izraela, wznoszący się nad Lejkim wąską cieśniną dzielącą Anderson od kontynentu. Morskie fale były oczywiście zastygłe w swym wściekłym pędzie na północ, ku Trzęsącemu Morzu, które leżało trochę niżej.

Do wierzchołka skały, na której stałem, niemal docierały szczyty fal, przypominających wzgórza wznoszące się w czasie jakiegoś ziemskiego kataklizmu.

Niewiele było rzeczy, których nie robiłem w czasie szybkim, ale pływanie w morzu, podporządkowanym czasowi naturalnemu, było

jedną z nich. W Ku kuei, kiedy pływałem w czasie szybkim, towarzyszył mi zawsze ktoś, czyj strumień czasowy był na tyle silny, że obejmował część jeziora, nie wspominając już o mnie samym.

Z ogromną ostrożnością wszedłem do wody. W czasie szybkim nigdy nie odczuwałem naporu wiatru. W przeciwieństwie do powietrza, woda rozstępowała się ospale i znacznie lepiej unosiła mnie w czasie szybkim niż w normalnym. W gruncie rzeczy mojego przejścia przez Lejek nie można było nazwać pływaniem. W pewien sposób wpełzałem na zbocze fali, tak jakby był to błotnisty pagórek po ulewnym deszczu. Potem z łatwością ześlizgiwałem się z drugiej strony. Po pewnym czasie stało się to nawet zabawne, choć wyczerpujące. Kiedy osiągnąłem drugi brzeg i wygramoliłem się z morza na skaliste wybrzeże Wyspy Anderson, było wciąż popołudnie.

Po wyjściu z zasięgu fal rozejrzałem się wokół. Okolicę pokrywała trawa usiana głazami. Gdzieniedzie pasły się owce: kraina była zamieszkała. Było jednak gorąco, sucho i ponuro. Trawa nie należała do bujnych i poruszające się owce wzbijały wokół siebie małe obłoki kurzu, które dla mnie wyglądały na zastygłe w powietrzu.

Szedłem po krawędzi zbocza opadającego ku morzu, zastanawiając się, jak się zabrać do wykrywania, czy to rzeczywiście tutaj jest ojczyzna siewców złudzeń. Nie mogłem przecież podejść do kogoś i zapytać: „Dzień dobry, czy to właśnie stąd pochodzą te sukinsyny, które usiłują zawładnąć światem?” Musiałem wymyślić jakiś wiarygodny powód mojej tutaj obecności. Kiedy wspomniałem, jak wyglądało przebyte właśnie przeze mnie morze, rozbicie okrętu wydało mi się całkiem wiarygodne. Musiałem tylko wygramolić się na brzeg, w pobliżu domu któregoś z pasterzy. Potem miałem nadzieję, że będę mógł improwizować.

Kiedy doszedłem do domu oddalonego jedynie o kilka metrów od skalistego brzegu, zsunąłem się z powrotem po skałach do wody. Wiedząc, jak wysokie są te fale i jak gwałtowne muszą być w czasie rzeczywistym, ostrożnie wdrapałem się na grzbiet fali docierającej do brzegu. A potem wszedłem znowu w czas rzeczywisty.

Powinienem był zostać na skałach nadbrzeżnych i pozwolić, żeby zmoczyły mnie bryzgi.

12. ANDERSON

Fala nie zwlekała ani chwili. Natychmiast zostałem rzucony z okropną siłą o nadbrzeżne skały, a następna fala runęła na mnie z góry. Uderzyłem o skałę, kości zachrupotały mi obrzydliwie, a potem zostałem uniesiony i powtórnie ciśnięty na dół.

Ból strzaskanej prawej nogi był przejmujący. Przeszkadzało mi to, a moje ciało nie zgadzało się, bym używał jej przy pływaniu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zetknąłem się z siłami przyrody, z którymi nie mogłem sobie poradzić, i bałem się o swe życie. Mój Ojciec umarł przecież, bo złamał sobie w wodzie kark. Kiedy po raz drugi gwałtownie opadałem ku brzegowi, moja chęć przeżycia wzięła górę. Walcząc z wodą przesunąłem się ku brzegowi i uczepiłem się skały. Ale fala, która mnie uderzyła, rozerwała mój chwyt i znowu odciągnęła mnie od brzegu.

Za trzecim razem byłem zdolny przytrzymać się dłużej i odciągnąć dalej od fal.

Byłem przemoczony do suchej nitki i na nowo obryzgiwały mnie fale, które nadchodziły co chwila, co sekundę lub dwie. Byłem jednak względnie bezpieczny.

Poczekąłem kilka minut, aż moja noga wygoi się na tyle, bym w razie potrzeby mógł

na niej stąpać. Kiedy nabrałem już pewności, że potrafi utrzymać mój ciężar, zacząłem wołać.

– Pomocy! – ryczałem.

Było to beznadziejne, prawdopodobnie nie słyszano mnie w łoskocie fal.

Musiałem zbliżyć się do chaty i oddalić od morza. Gramoliłem się dość niezgrabnie między głazami. Właśnie wtedy dostrzegłem ją, dziewczynę najwyżej dwudziestoletnią, ubraną w prosty strój, który nie sięgał jej kostek. Była ujmująco piękna. Lekka bryza rozwiewała czarne włosy. Nie była to właściwa chwila na amory, ale natychmiast poczułem do niej pociąg. Naprawdę pierwszy raz, od czasu gdy opuściłem Sarannę w Ku Kuei, zainteresowała mnie jakaś kobieta.

Zawołałem znów, a ona zaczęła zwiewnie schodzić do mnie po skałach.

Uśmiechnęła się. Odpowiedziałem uśmiechem, ale starałem się, by na mej twarzy ciągle malował się wyraz bólu. Często potykałem się – nie było to trudne – a ona pomagała mi wejść na wzniesienie. Kiedy prowadziła mnie do swego domu, bulgotałem opowieść o tym, jak nas, mego ojca i mnie, złapał prąd ku Lejkowi, kiedy płynęliśmy w łodzi rybackiej. Jak byłem pewien, że ojciec utonął, gdyż widziałem, że łamiący się maszt uderzył go w głowę. Ona z kolei opowiedziała mi, jak fale porwały jej ojca ze skał niecałe trzy lata temu i jak walczy teraz samotnie, żeby utrzymać swoje stado owiec, co pozwala jej zachować niezależność.

– Z pewnością nie narzekasz na brak kandydatów do swej ręki – zauważyłem.

– Nie – odrzekła nieśmiało. – Jednak wciąż czekam.

– Na co? – zapytałem.

– Oczywiście, na tego właściwego – odparła zalotnie i poprowadziła mnie do swej chaty.

Kiedy po raz pierwszy z oddalenia ujrzałem jej dom, nie dostrzegłem kwiatów rosnących dookoła. Tworzyły miły kontrast w tym pustkowiu i poczułem sympatię dla dziewczyny. Zaproponowała mi jedzenie, pokazując zimny gulasz, który zaraz miała odgrzać.

Zanim zdołałem coś odrzec, ziemia zaczęła drżeć i upadłem na podłogę. O

trzęsieniach ziemi wiedziałem przynajmniej tyle, że w czasie ich trwania niedobrze jest przebywać w pomieszczeniu. Przeszedłem więc na czworakach do drzwi i patrzyłem, jak grunt wyraźnie się wznosi, a dziesięć metrów ode mnie rozwiera się rozpadlina. Była szeroka i ziemia jęknęła, kiedy szczelina otworzyła się, a potem znów zamknęła.

Wtedy trzęsienie skończyło się. Wstałem bojaźliwie i otrzepałem ubranie.

Pozostawało ciągle mokre od wody morskiej, przyłgnęło do niego błoto. Pamiętałem o tym, żeby kuleć, chociaż moja noga już prawie się wygoiła.

– Przepraszam – powiedziała, a ja zdałem sobie sprawę, że jest bardziej zakłopotana niż przerażona trzęsieniem. – Mamy tutaj taką nieprzychylną pogodę, między tą ziemią, tym niebem i morzem.

Jakby na dowód jej słów niebo, które jeszcze przed chwilą było bezchmurne, nagle od horyzontu do horyzontu zaciągnęło się

chmurami i zaczął padać deszcz.

Kwiaty zaraz zmokły, ale wydawało się, że jakby się trochę wyprostowały.

– Jeżeli zdejmiesz ubranie – powiedziała – mogę sprać to błoto. Morską sól także.

Wierzyłem, że mój rumieniec był przekonujący – mnie samego w każdym razie przekonał. Dziewczyna wyglądała tak niewinnie, że było niemożliwe nie być przy niej nieśmiałym.

– Nie mam nic pod spodem – przyznałem.

– Idź więc do pokoju z tyłu – mam dwa pokoje – i podaj mi je nad zasłoną.

Nie trzeba było mnie poganiać. Zdjąłem koszulę i spodnie, pamiątki po Glainie i Vran z Humpingu, i wręczyłem je dziewczynie. Potem położyłem się na łóżku, które okazało się zadziwiająco miękkie; luksusy jak w Mueller, tutaj, w krainie owiec.

Zapadłem się w łóżko, nago, rozciągnięty, aby wyschnąć i odpocząć. Było to przyjemne po miesiącu nieustannego podróżowania i męczących godzinach na morzu.

Zasnąłem.

Nie jestem pewien, co mnie zbudziło. Nie mogłem spać długo – niebo praktycznie się nie zmieniło, wciąż pozostawało ciemne od chmur, ale nie była to noc. Zapach gulaszu roznosił się po domu. Potem otworzyły się drzwi.

Stała w drzwiach, naga. Miała młode ciało. Boleśnie przypomniało mi ono ciało Saranny, kiedy byliśmy dziećmi, nastolatkami, zanim opuściłem Mueller tak wiele lat temu. Wciąż byłem nastolatkiem, prawda? Ale wydawało się, że miało to miejsce już zbyt dawno, bym w to wierzył. Pragnąłem tej dziewczyny. A może pragnąłem powrotu swej młodości? Nie wiem, jakie były moje motywy, ale dziewczyna z pewnością chciała, bym jej pożałował: wynikało to jasno z jej nagości, z jej uśmiechu.

Chciała, bym jej pragnął. Czy była to ta sama nieśmiała kobieta, która przyprawiła mnie o rumieniec?

Coś tu nie pasowało. Wiele rzeczy nie pasowało. Kiedy weszła do izby i uklękła na łóżku, zdałem sobie sprawę, jak bardzo nieprawdopodobne było, że takie stworzenie jak ona mieszka w takim odosobnieniu, tak blisko wybrzeża i nie jest niepokojone przez nikogo. Zdałem sobie

sprawę, jakie to było dziwne, że deszczowe chmury pojawiły się znikąd, że nie zaniepokoiło ją trzęsienie ziemi, które mogło zburzyć jej dom, i to, że mimo swej słodyczy i nieśmiałości klęczała na mnie okrakiem, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Wszedłem w czas szybki. Nóż znajdował się tylko na szerokość dłoni od mego gardła. Naga dziewczyna stała się teraz wynędzniałym, brzydkim starcem. Nigdy przedtem na ludzkiej twarzy nie widziałem wyrazu aż takiej złośliwości i nienawiści.

Oczy miał wodniste i głęboko osadzone, twarz wycieńczoną z nędzy. Nie miałem wątpliwości, o co mu chodzi. Jego ciało jak szkielet wołało o mięso. W porównaniu z nim byłem tłusty.

Łóżko, na którym leżałem, wcale nie było miękkie. Była to deska, przy tym tak twarda i nieelastyczna, że kiedy niezgrabnie wyśliznąłem się spomiędzy jego nóg, wcale nie sprężynowała. Stałem przez chwilę, zastanawiając się, co robić. Drzwi do kuchni pozostawały wciąż otwarte. Wszedłem tam i przekonałem się, że garnek nie tylko nie był pełen zimnego gulaszu, ale zarastała go warstwa kurzu: nie używano go od dawna. Żaden ze szczegółów nadających wnętrzu miłą, domową atmosferę nie był

prawdziwy – wszystkie zniknęły, ustępując miejsca prymitywnym ścianom z murawy, klepisku i wszechogarniającemu brudowi.

Brud w istocie wydawał się nie do opisanego. Tak jak gdyby mężczyzna, mogąc żyć wśród złudzeń, nie troszczył się, by uczynić otoczenie choć odrobinę znośnym.

Czy własne złudzenia również jego samego zwodziły? Być może. A jednak, uświadomiłem sobie, włożył już moje ubranie, a nie widziałem nigdzie ani śladu jego odzieży. Więc wcześniej był nagi? Bieda przerażająca. Nigdy nie widziałem istoty ludzkiej żyjącej w tak prymitywnych warunkach, poza Schwartz, ale tam ubóstwo było pełne godności, ponieważ Schwartzowie byli naprawdę odziani w światło słoneczne i powietrze.

Na zewnątrz nawet kwiaty okazały się cierniami i zakurzoną, szarą trawą. Chata przechylała się, prawie waliła. Nie dostrzegłem śladu żadnej szczeliny w ziemi, a deszcz, podobnie jak trzęsienie, był złudzeniem.

Nie miałem wobec tego wątpliwości, że Anderson jest tym właśnie miejscem, którego szukam. I bez wątplenia moja decyzja była

właściwa. Jeśli istniało przeciwieństwo do tego, czym powinien być świat, było to właśnie Anderson: z wyglądu piękne, ale w rzeczywistości złe, brudne, nędzne i mordercze.

Wróciłem z powrotem do domu, do malutkiej przybudówki, która w złudzeniu była sypialnią, i wyjąłem nóż z ręki starca. Potem wszedłem w czas rzeczywisty.

Starzec stał się znów dziewczyną. Szarpnęła się nagle i jedną dłonią chwyciła drugą, z powodu bólu wywołanego szybkim wyrwaniem noża. Spojrzała w moim kierunku i na jej twarzy pojawiło się przerażenie. Kopnąłem ją w krocze i nagle stała się starcem skręcającym się z bólu na podłodze.

– Kim jesteś – zawołał. – Czyim jesteś snem?!

– Twoim – odrzekłem.

Otrząsając się trochę z wrażenia, powiedział obrzydliwym tonem:

– Mnie udają się lepsze sny, kiedy śpię. Myślałem, że jesteś prawdziwy, sądząc po tym, jak przestraszyłeś się trzęsienia ziemi.

Sięgnąłem i przesunąłem mu po gardle końcem drewnianego noża. Potem, nagle, jakieś ręce od tyłu ujęły mnie za gardło. Nawymyślałem sobie od durniów i wszedłem w czas szybki. Mężczyzna zniknął z podłogi przede mną i teraz przechylał się nad moimi plecami, próbując mnie udusić. Rozerwałem jego uchwyt, a potem stanąłem za nim. Natychmiast, jak wszedłem w czas rzeczywisty, podniosłem go i wepchnąłem z sypialni do kuchni. Wrzeszczał cały czas – połamałem mu wszystkie palce, wyzwalając w czasie szybkim swoją szyję.

Ale iluzja rozciągała się nawet na zmysł dotyku i nagle starzec znów znalazł się za mną, tym razem z nożem, którym dźgnął mnie z tyłu w nerki. W tej chwili byłem już zmęczony bólem, więc nie próbowałem dalej walczyć ze starcem i wybiegłem z domu. Natychmiast zaczęło się trzęsienie ziemi. Wymagało to ode mnie olbrzymiej siły woli, ale poszedłem prosto przez szczelinę, która rozwarła się przede mną. Grunt był solidny. Potem, kilkanaście metrów od domu, położyłem się na ziemi i tak szybko jak mogłem wywołałem trzęsienie, które pochłonęło dom w olbrzymie zapadlisko.

Leżałem na powierzchni ziemi, a ona drżała pode mną. Ale nie było to trzęsienie, które przechodziło przeze mnie jak socha przez dobrą glebę. Był to wrzask śmierci.

Nie wrzask człowieka mordowanego w bitwie bronią, nie wrzask

niezliczonych mężczyzn, kobiet i dzieci zabieranych przez chorobę, głód, ogień lub powódź. Był to wrzask kogoś zamordowanego przez samą ziemię, bez jej woli, i wrzask wzmacniał się tysiąckrotnie, aż mnie napełnił, i ja również wrzasnąłem.

Wrzeszczałem, aż przestałem czuć własne uszy. To nie był ból fizyczny. Kiedy się skończył, nie zostawił żadnych śladów w mięśniach ani napięcia, którego nie można było złagodzić. Ból był w tej części mnie, która tworzyła wspólnotę z ziemią, i kiedy mną wstrząsał, zastanawiałem się przez chwilę, czy od tego nie umrę.

Nie umarłem. Ale kiedy mój własny wrzask zamarł w ciszy, spojrzałem i zobaczyłem, że ziemia zamknęła się znowu, nie zostawiając żadnego śladu domu, ani jego smutnych, nie istniejących kwiatów. Chciałem wszystko odwołać, wywołać znowu wstrętnego starca, niech jego życie trwa dalej, mimo tego że jego osobowość nie powinna trwać. Zasłużył sobie na śmierć, chociaż nic nie zasługuje na śmierć i mogłem oszaleć w tym momencie, bo potrzebowałem, by ponownie pojawił się dom, mężczyzna i życie, ale wiedziałem, że wszystko to musiało być zniszczone, lecz potem z jakiegoś powodu myślałem o Ojcu rozdętym przez wody jeziora. Myślałem o tysiącach żołnierzy i cywilów z równiny Rzeki Buntowników, zabitych lub wypędzonych z domów, kiedy Nkumai, prowadzeni przez siewcę złudzeń z Anderson, pozostawiali na swej drodze zgłiszczą i ruiny. Pomyślałem o milionach śmierci, które spowodowali lub jeszcze spowodują, o miliardzie ludzi ciemionych i uciskanych, i gdy to wszystko wyważyłem, czułem, że zniszczenie Anderson jest jak najbardziej słuszne i pozwoliło mi to zachować zdrowie psychiczne; podniosłem się z ziemi i ze znużeniem polazłem do skał schodzących ku morzu.

Jednakże problemy nie dawały rozwiązać się tak łatwo. Słyszałem wrzask ziemi, mimowolnej współniczki zabójstwa – choć było to zabójstwo sprawiedliwe. Mogło to na zawsze zniszczyć strukturę mej duszy. Nigdy nie wierzyłem, że mam duszę, aż do tamtej chwili, gdy obnażyła ona zranienia głębsze, niż mogłoby wytrzymać moje ciało.

Przez całą moją drogę przez wodę, przez całą podróż do Gill byłem pogrążony w smutku. Zatrzymałem się tylko raz, aby zdobyć jakieś ubranie, gdyż moje stare zostało pochłonięte w Anderson. Kradnąc ubranie, starannie wybrałem dom, którego wygląd świadczył o tym, że właściciele mogą pozwolić sobie na tę stratę. Podczas tych długich

marszów w czasie szybkim nie mogłem robić niczego, jedynie rozmyślać, a moje myśli nie były przyjemne. Tym razem przynajmniej mogłem spodziewać się, że u kresu podróży czeka mnie odprężenie po rozmowie z kimś, komu nie będę musiał kłamać, z kimś zdolnym do zrozumienia tego, co zrobiłem, kto mnie za to nie potępi. W końcu doszedłem do burdelu, wbiegłem po schodach i znalazłem ciało Lorda Bartona pocięte na kilkanaście drobnych kawałków, gnijących już w cieple napływającym do pokoju przez południowe okno.

13. SPISEK

Nie wiedziałem, jak go znaleźli, lecz nie mogło to być trudne. Uczciwość zarządcy była co najmniej podejrzana. Opowieści o naszym przedpołudniowym przybyciu do burdelu mogły się rozchodzić w symbiotycznym łańcuchu przestępców i policji, aż trafiły do kogoś, kto wiedział o cudownym wybawieniu Bartona sprzed plutonu egzekucyjnego. Jego zwłoki okaleczono prawdopodobnie dlatego, że siewcy złudzeń i ich nieświadomi pomagierzy chcieli wykluczyć tym razem wszelkie możliwości popełnienia błędu – przecież poprzednio tak było, że ujrzeli mnie żywego, choć wcześniej wydawałem się zupełnie martwy. I zostawili Lorda w burdelu, żeby mieć pewność, że go tam znajdę.

Kiedy oglądałem szczątki przyjaciela, byłem ciągle w czasie szybkim. Dla mnie minęło dziesięć „dni”, odkąd opuściłem Anderson, dziewiętnaście „dni”, odkąd pożegnałem Bartona. Jednak w czasie rzeczywistym nastał dopiero wczesny wieczór następnego dnia po moim wyjściu. Ciągle zastanawiałem się, czy mógłbym ocalić Bartona, gdybym wrócił trochę wcześniej lub nie opuścił go tak szybko. Ale kiedy odprawiałem rytuał żałobny, uświadomiłem sobie, że poczucie winy z powodu tego, że go nie ocaliłem, było trywialne, gdy porównałem je z bólem spowodowanym wrzaskiem ziemi w Anderson. Ziemia nie uważała, że jestem odpowiedzialny za śmierć Bartona, a po tym, jak siewcy złudzeń dodali mord popełniony na Lordzie Bartonie do spisu swoich poprzednich zbrodni, nie mogłem się zdobyć na wyrzuty sumienia z powodu zabicia tego wstrętnego mężczyzny w Anderson. Tak więc poczucie winy z powodu opuszczenia Lorda byłem w stanie skwitować wzruszeniem ramion. Pamiętałem tylko, że kochałem Bartona, że był dobry i że nie mogę pozwolić, by tacy jak on ginęli z rąk siewców złudzeń.

Skoro zabrakło Bartona, nie miałem powodu, żeby odwlekać następny etap mojej podróży – miałem wszelkie powody, żeby go nawet przyśpieszyć. Żaden z siewców złudzeń mi nie ujdzie. Bez względu na to, ile mi to zajmie, dopnę swego i Spisek będzie od nich wolny. Przestałem mieć wątpliwości co do słuszności zamierzonych przeze

mnie zabójstw. Skończyłem deliberować, zamierzałem tylko wprowadzić w czyn swą decyzję. Decyzję, którą podejmowałem z takimi oporami, a którą teraz byłem gotów wypełniać z zacięłą radością.

Jaką przyjąć kolejność? Zanim uczynię ruch przeciwko Andersonom rządzącym w pozostałych Rodzinach, będę musiał dopatrzeć, żeby ich macierzysta wyspa została wyludniona. Nie będzie posiłków, nie będzie gniewnej, zwodniczej i niepokonanej armii z Anderson, która byłaby w stanie ruszyć na ratunek władcom. Ludność Anderson może wynosić nawet milion. Z pewnością nie mniej niż sto tysięcy. Nawet w czasie szybkim byłaby to długa i nużąca praca, jeśli byłbym uzbrojony tylko w żelazny nóż i musiał chodzić od osoby do osoby. Zużyłbym na to całe życie i nie doszedłbym nawet do połowy. Potrzebny był kataklizm, który zabiłby ich wszystkich od razu i któremu nie mogliby się oprzeć. Nie wiedziałem, jak taką rzecz wykonać.

Potrzebowałem pomocy i istniało jedyne miejsce, skąd mógłbym ją otrzymać. Ale czy zdołam skłonić lud Schwartz do zabijania, nawet jeśli to zabijanie ocali życie innych i, co było może znacznie ważniejsze, sprawi, że życie milionów ludzi nabierze sensu? Wiedziałem aż nadto dobrze, że wartościowanie nie bardzo mieściło się w sposobie myślenia Schwartzów. Życie to życie. Morderstwo to morderstwo. A ja – niewinny, gdy ich opuszczałem – powracałem z krwią na rękach, prosząc ich, by pomogli mi zabijać.

Od tygodni żyłem w czasie szybkim całkowicie sam, nie jedząc i nie pijąc, nie mówiąc ani nie słysząc innego ludzkiego głosu, z wyjątkiem głosu tej pięknej dziewczyny w Anderson. Jednak nie miałem czasu do stracenia. Przez następne trzydzieści dni przeszedłem więc całe południe kontynentu, od Woodland do Huss.

Drzewa ustąpiły miejsca stepom. Stepowe trawy ustąpiły krzakom, które były w stanie przeżyć przy małej ilości opadów. A w końcu krzaki ustąpiły nie kończącym się piaskom i rozpadającym od gorąca skałom. Zatrzymałem się, w czasie szybkim, przy ostatnim krzaku na mojej drodze i przeszedłem w czas rzeczywisty. Nie mogłem znaleźć Schwartzów. To oni będą musieli mnie znaleźć. I znajdą mnie, wiedziałem o tym.

Przez chwilę myślałem o powrocie. Spotkanie nie będzie przyjemne. Prawdopodobnie nie mogli mnie zabić, ale kiedy z nimi mieszkałem,

poznałem ten rodzaj miłości, jaki mogli ofiarować. Polegałem na niej. Teraz już jej nie otrzymam.

Szedłem przez pustynię już pół dnia, kiedy pierwszy ze Schwartzów zaczął iść równoległe do mojego szlaku. Widziałem go od czasu do czasu za kilkoma wydmami lub na szczycie sąsiedniej kupy kamieni. Do południa zjawiało się trzech innych, a przed wieczorem, gdy zatrzymałem się w cieniu pod występem skalnym, otaczała mnie prawie setka. Kiedy wśród nich żyłem, nigdy nie widziałem aż tylu naraz.

Milczeli i obserwowali mnie. Nie jadłem oczywiście, ale usiadłem przed nimi, sięgnąłem umysłem w głąb piasku, znalazłem głęboko w dole wodę i wyciągnąłem ją na powierzchnię. Poblyskiwała od światła odbitego przez skały, które wciąż były w słońcu. Pochyliłem się, by się napić. Woda cofnęła się przede mną i wsiąkała w piasek.

Osądzili mnie, tak jak się obawiałem.

Powstałem więc i przemówiłem do Schwartzów.

- Potrzebuję waszej pomocy.
- Nie dostaniesz nic ze Schwartz – rzekł jakiś starzec.
- Świat potrzebuje waszej pomocy.
- Ziemia nie potrzebuje niczego więcej poza życiem.
- Zabójca – dodał ktoś.
- Nie powiedziałem „ziemia” – rzuciłem ostro. – Powiedziałem „świat”. Ludzie.

Wiecie, kim są ludzie? To ci, którzy wciąż potrzebują jeść, aby żyć, to ci, którzy ciągle obawiają się śmierci.

- Którzy ciągle boją się morderców – odparł starzec. – Słyszeliśmy echa tego wrzasku, Laniku Muellerze. Ty dokonałeś tego czynu, więc tylko ty słyszałeś to wyraźnie, ale wiemy, co zrobiłeś. Uczyliśmy cię, a ty użyłeś tej wiedzy do zabijania.

Zmusiłeś ziemię, żeby sama stała się twoim mieczem. Jeśli kiedyś chcielibyśmy kogoś zabić, ty właśnie byłbyś tym, czyjej śmierci byśmy pragnęli. Zostaw nas. Nie otrzymasz nic ze Schwartz.

- Helmut? – spytałem, rozpoznając go, chociaż nie wiedziałem po czym.
- Tak – odpowiedział starzec.
- Myślałem, że chcesz pozostać młody na zawsze.
- Przyjaciel mnie zdradził i zestarzałem się.

Potem odwrócił się do mnie plecami. Pozostali również. Jednak nikt z nich nie odchodził.

Zapadła ciemność, szybko jak zazwyczaj na pustyni po zachodzie słońca. Lecz po chwili pojawiła się na niebie Niezgoda, rzucając mało światła, ale stając się przynajmniej punktem odniesienia; nie zakreśliło mi się więc w głowie od całkowitej ciemności. Niezmacona cisza trwała jednak, aż nie mogłem dłużej jej znieść. Moja pamięć o miesiącach spędzonych wśród Schwartzów była zbyt żywa. Byłem jednym z nich, a teraz mnie nienawidzili. Miałem zadanie do wykonania, a teraz zawiodę.

Ludzie, na których mi zależało, nie będą wyzwoleni. Zdjąłem ubranie, wcisnąłem się w piasek i zapłakałem.

Płakałem, żaląc się nad sobą, że zawiodłem zaufanie skał i zabiłem. Płakałem z żalu po Bartonie, który za swą bystrość i odważną ufność okazaną obcemu zapłacił

życiem, choć wskazał możliwość ocalenia świata. Płakałem z żalu nad tysiącami ludzi, których mijalem, podążając tutaj. Nikt z nich nie przypuszczał, że oto obok przechodzi ich przeznaczenie, że ich losy wkrótce będą się ważyć.

I płakałem, ponieważ wiedziałem, że w końcu wszystkie te działania okażą się jałowe. Nawet kiedy Andersonów już nie będzie – jeżeli zdołam ich zniszczyć – to czy ktokolwiek na Spisku będzie choć trochę wolny? Muellerowie będą znów wytwarzali żelazne miecze i atakowali sąsiadów; Nkumai będą znów schodzili z drzew i zwyciężali tych, którzy walczą drewnem i szkłem. Zabicie Andersonów rozpocznie na ziemi zalew śmierci. Ludzie, zniewoleni jak cały świat, nie zdawali sobie z tego sprawy i żyli w pokoju.

Jakie miałem prawo uważać, iż pokój jest gorszy od wojen?

Prawdziwym wrogiem nie byli Andersonowie. Prawdziwym wrogiem było żelazo. Nie to żelazo przeznaczone na statki, by uciec ze Spisku i powrócić do reszty rasy ludzkiej. Ale żelazo wykorzystywane do przelewania żołnierskiej krwi i zabijania – oto co nas niszczyło. Jaki wybór miał każdy z ludzi? Jeśli miał coś, cokolwiek, co mogło być sprzedane Ambasadorom za żelazo, wtedy jego Rodzina uzyskiwała przewagę nad wszystkimi innymi. Rodzina musiała więc chronić swoją niezależność, pognać wszystkie inne Rodziny, które mogłyby wytworzyć lub wytwarzały coś, co kupowały Ambasadory.

I kiedy tak leżałem na piasku z głową schowaną w ramionach, uświadomiłem sobie, że zabicie Andersonów nic nie da, jeśli również nie zniszczę Ambasadorów.

Tak długo, jak martwe żelazo będzie mogło być dostarczane z innych światów, aby na tym świecie lała się krew, zabijanie wciąż będzie trwało.

– Nauczyciście mnie – rzekłem – że w ziemi jest żelazo.

Nic mi nie odpowiedzieli, nie obrócili się nawet, kiedy zapłakałem. Sądziłem prawdopodobnie, że były to łzy winnego i potępionego.

– Dlaczego ani trochę tego żelaza nie występuje na powierzchni?

Bez odpowiedzi.

– Było jakieś żelazo na powierzchni, prawda? Czy nie dlatego właśnie pierwszy Schwartz tu się udał? Zwiad geologiczny pokazał, że nie było żadnych dostępnych złóż żelaza. Ale właśnie tutaj było żelazo, prawda?

– Nikt nigdy nie znajdzie żelaza w Schwartz – rzekł Helmut.

– Ale było tutaj, prawda? Było tutaj i wiedzieliście, wy lub wasi przodkowie, co można zrobić z żelazem. Wiedzieli, że w walce o supremację przelane zostanie tyle krwi, iż żadne zwycięstwo nie będzie miało znaczenia. Było tak?

Helmut odwrócił się do mnie z dziwnym grymasem na twarzy.

– Nikt nigdy nie wyszedł ze Schwartz, jeśli w to wierzył.

– Mielicie żelazo! I zdecydowaliście się go nie używać! Tak czy nie!

Helmut wstał z gniewem.

– Czy zupełnie nic nie wiesz? Czy nie widziałeś gór? Jak sądzisz, dlaczego nie pozwalamy tu na żadne deszcze? Gdybyśmy pozwolili na deszcze w Schwartz, rdza na skałach byłaby widoczna na kilometry! Nie mielibyśmy spokoju ani tutaj, ani nigdzie indziej na całym świecie! Trzymaliśmy żelazo w ukryciu i ty nie przyprowadzisz tu reszty świata, żeby je zabrała i zabijała nim!

Inni również odwrócili się do mnie. Też byli gniewni.

– Nie rozumiecie. Nie chcę nikomu o tym mówić. Chcę dokończyć pracę, którą rozpoczęli wasi ojcowie. Mieszkacie tutaj, chroniąc ludzkość przed żelazem, ale tam, poza Schwartz, żelazo i tak bierze udział w przelewaniu krwi. Czy o tym nie wiecie?

– Oczywiście, że o tym wiemy – odpowiedział Helmut. – Ale nie w naszej mocy leży odmienianie ludzkich serc. Nie jesteśmy odpowiedzialni. To nie nasza wina.

– Wasze ręce są więc czyste, tak? Tu, gdzie słońce oczyszcza wszystko. Ale wy nie jesteście czyści! Jeśli bowiem możecie przerwać łańcuch cierpienia i śmierci i nie robicie tego, to jesteście winni. To wasza wina.

– Nie zabijamy nikogo. Nie pozwalamy, aby nas zabili. Nie mamy z nimi nic do czynienia.

Ja jednak złapałem wątek moich argumentów i szedłem za nim.

– Jeśli mi pomożecie, mogę spowodować, by żelazo przestało tu napływać. Mogę absolutnie zatrzymać dopływ żelaza z Republiki i skończyć ze strachem i konkurencją, które były przyczynami tych wojen. Ale nie zrobię tego bez waszej pomocy.

– Jesteś zabójcą.

– Wy także!

Oczy Helmuta rozszerzyły się. Drażyłem dalej.

– W Hanks setki tysięcy ludzi zginęło od miecza lub z głodu, kiedy armie Gill spustoszyły kraj. Na wyżynie Rzeki Buntowników setki tysięcy umarło, kiedy armie Nkumai niszczyły każdą żywą istotę na swej drodze. Czy jakaś armia robiła wcześniej takie rzeczy? Kiedykolwiek?

– Dźwięk tego był okropny – powiedział słabo Helmut.

– Przyczyną rozpoczęcia tej wojny było żelazo. Wybuchła dlatego, że zarówno Nkumai jak i Mueller dostawały żelazo i wydawało się nieuniknione, że jedni z nich osiągną supremację wśród Rodzin. Lecz istniała inna Rodzina, która miała produkt nie nadający się do eksportu. Ambasador nigdy nie dałby im żelaza. Jednak coś potrafili zrobić i zrobili to: wyruszyli i zabrali żelazo należące do innych rodzin.

– Co nas obchodzi, co zdarzy się z Muellerami i Nkumai – rzekł pogardliwie Helmut.

– Zupełnie nic. Ale powinno was obchodzić, co dzieje się z ludzkością, choćby ze względu na skałę. Rodzina, o której mówię, to Andersonowie, a ich moc polega na umiejętności kłamania. Nie po prostu na mówieniu komuś czegoś, co jest nieprawdą.

Potrafiają sprawić, że ten ktoś w to uwierzy, na przekór swej woli, a wszyscy będą tak przekonani, że kłamstwo jest prawdą, iż nigdy nie przyjdzie im na myśl podawać go w wątpliwość.

Powiedziałem im o Dintem, Mwabao Mawie i Percym Bartonie.

Helmut zatroskał się w końcu.

– To są właśnie ci ludzie, którzy zabijali tak wielu?

– To właśnie oni.

– A ty co byś zrobił? Zabił ich wszystkich?

Moje milczenie starczyło za odpowiedź. Twarz Helmuta zaczęła wyrażać odrazę.

– I chcesz naszej pomocy? Nie byłeś nigdy mym przyjacielem, nie byłeś nim, skoro możesz uwierzyć, że zrobilibyśmy taką rzecz.

– Posłuchaj mnie! – krzyknąłem, jakby po prostu siła głosu wystarczała, by otworzyć mu umysł. – Andersonowie są nie do pokonania. Nikt nie może z nimi walczyć. Tym razem przybyli subtelnie, wciskając się do rządów, i kierują ludźmi, którzy nie wiedzą o tym, że są przez nich rządzeni. Ale gdy Andersonowie zechcą ruszyć, przybędą całą siłą ze swej wyspy i żadna armia nie będzie mogła im się przeciwstawić. Nadejdą jako straszliwe potwory. Albo przybędą w nocy, niewidzialni. Albo będą walczyć otwarcie, a jednak gdy ktoś spróbuje podjąć z nimi walkę, okaże się, że przeciwnika nie ma tam, gdzie się wydaje, i każdy żołnierz zostanie zabity, zanim w ogóle zdąży sięgnąć do miecza.

– Wiem, na czym polega wojna – rzekł Helmut z pogardą – i odrzucam ją.

– Oczywiście, odrzucasz ją. Kto może zabić ciebie? Nigdy nie umrzesz. Ale tam mieszkają miliony ludzi, którzy mogą umrzeć, i jeśli ktoś przyjdzie do nich z mieczem w ręku i powie: „Masz mnie słuchać albo zabiję ciebie, twoją żonę i dzieci”, cóż ma zrobić? Słucha. Słucha, nawet kiedy jest bohaterem, gdyż wie, że każdy, kto ma moc zabijania i chce jej użyć, pokona wszystkich wrogów, jeśli nie będą oni mieli podobnej chęci zabijania. Zdolność kradzieży cudzego życia jest na tym świecie mocą najwyższą i wobec tej mocy wszyscy inni są słabi.

– Nie jesteśmy słabi.

– Nie jesteście ludźmi. Ludzie są śmiertelni. Możecie zaśmiać się żołnierzom w nos i wystawić skalny mur, który nigdy ich tu nie wpuści. Możecie stać na tym murze i patrzeć jak ich wnuki i prawnuki starzeją się i umierają, i nigdy nie zrozumiecie, jak to jest, że tamci wciąż się czegoś boją. Boją się, ponieważ deszcze mogą nie nadejść, a jeśli nie będzie zbiorów, umrą z głodu. Ponieważ powodzie albo trzęsienia ziemi mogą zabrać im życie bez ostrzeżenia. Najbardziej jednak boją się tego, że nocą przyjdzie ktoś inny, podniesie miecz i na zawsze wytnie ich ze świata. Boją się śmierci! Czy przynajmniej możecie sobie

wyobrazić, co to oznacza?

– My również boimy się śmierci – rzekł Helmut.

– Nie, Helmut, was śmierć oburza. Napęła żalem. Ale jeśli chodzi o wasze własne życie, doskonale wiecie, że nikt w ogóle nie może mu zagrozić. Śmierć to coś, co przytrafia się komu innemu.

– I właśnie z powodu tego wszystkiego chcesz, żebyśmy zabijali ludzi? Chcesz, żebyśmy zrobili to samo?

– Nie, nie chcę tego. Chcę, abyście mi pomogli powstrzymać każdego na tej planecie, kto chciałby zostać niezwyciężonym. Chcę zniszczyć Ambasadory, tak żeby żadna Rodzina nigdy nie była w stanie podnieść żelaznej broni przeciw broni drewnianej. Chcę również zniszczyć Andersonów, oni bowiem, tak jak żelazo, zabijają bezsensownie i nie można ich pokonać.

– Czymże będziemy się od nich różnić, jeśli będziemy zabijać tych, których działania nam się nie podobają?

– Nie wiem! Może gdzieś we wszechświecie znajduje się miara, według której osądzane są ludzkie czyny, i ci, którzy zabijają innych, by osiągnąć władzę, będą sądzeni surowiej niż ci, którzy zabijają tych uzurpatorów, by zyskać wolność. A jeśli nie ma takiego miejsca we wszechświecie, gdzie człowiek walczący ze złodziejami wolności nadal jest nazywany człowiekiem dobrym, to nie sądzę, by we wszechświecie istniały takie rzeczy jak dobro i zło, i jeśli to jest właśnie tak, wtedy to wszystko nie ma znaczenia i nie zrobiłoby wtedy żadnej różnicy, czy byście ich zabili, czy też nie, ale to nie może być prawda, to nie może być właśnie tak, to przecież naprawdę jest różnica, nadchodzi czas, kiedy trzeba zabierać życie, aby – posłuchajcie mnie dobrze – aby...

Ale nie było sposobu, by ich przekonać. Teraz widziałem to jasno. Obserwowali mnie beznamiętnie, a ja rozpacziałem.

– Dobrze więc. Nie mogę was zmusić. Nikt nie może skłonić was siłą do niczego.

– Gorzko rzucałem im zniewagi. – Trzymacie swoją wolność jak jakąś nagrodę, a możecie przecież dopomóc innym, by stali się wolni. Ale jesteście zbyt samolubni, by wyciągnąć rękę i również tamtych obdarzyć wolnością. Cieszcie się swoją wolnością, cieszcie się swą nieśmiertelnością, i mam nadzieję, że kiedyś w przyszłości uda się wam odkryć, po co właściwie wiecznie żyjecie. Nie ma z was bowiem pożytku dla nikogo, nawet dla was samych.

Odwróciłem się i odszedłem tą samą drogą, którą przybyłem, ku Huss, ku cywilizacji i ku beznadziejności. Szedłem już długie godziny, gdy zorientowałem się, że ktoś idzie bezpośrednio za mną. Był to Helmut i wyglądał inaczej. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, dlaczego. To jego długie włosy, które nie były już posiwiiałe ze starości.

– Laniku – powiedział znacznie młodszym głosem. – Laniku, muszę z tobą porozmawiać.

– Po co? – zapytałem, nie śmiejąc przypuszczać, że moje słowa mogły w ogóle wywrzeć na nim jakieś wrażenie.

– Ponieważ mnie kochasz. Kiedy słyszałem, jak mówiłeś w ten sposób, zdałem sobie sprawę, że Kocham cię również. Mimo wszystko.

Zatrzymałem się więc i usiadłem na piasku. On też.

– Laniku, musisz coś zrozumieć. Nie jesteśmy głusi na problemy innych.

Słyszeliśmy cię. Zrozumieliśmy. I chcemy osiągnąć cel, który postawiłeś. Naprawdę chcemy zniszczyć Ambasadory. Nienawidzimy Andersonów, ich zbrodni i ich szachrajstw, równie silnie jak ty – nie ma dla nas nikogo gorszego od tych, którzy mordują nie z gniewu, urazy czy zemsty, albo z powodu mniemanego poczucia obowiązku, lecz mordują dla zysku. Czy to rozumiesz? Nienawidzimy tego samego co ty. I pragniemy, żeby zostało to zniszczone.

Ale, Laniku, naprawdę nie możemy tego zrobić. Czy sądziłeś, że nasza nienawiść do zabijania to tylko przekonanie, tylko uczucie, jedynie – życzenie, żeby nie było więcej cierpień? My po prostu nie możemy zabijać. To proste. Nawet w tej chwili jeszcze cierpimy z powodu pieśni śmierci wśród skał. Ale ty przecież słyszałeś wrzask ziemi, kiedy kazałeś jej zabić tego człowieka w Anderson. Naprawdę słyszałeś to. Jakie to było?

– Była to najgorsza rzecz, jaką przeżyłem – odpowiedziałem uczciwie.

– Cóż, Laniku, lepiej komunikujesz się z ziemią niż my wszyscy. Powiedzieliśmy ci o tym przed laty, kiedy nas opuszczałeś. I nikt z nas nie byłby w stanie usłyszeć tego wrzasku tak wyraźnie jak ty. Ale gdybyśmy mieli zniszczyć Anderson, musielibyśmy pogрузić wyspę w morzu i ziemi, całkowicie usunąć ją z powierzchni planety. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie ma wśród nas takiego, który sam mógłby to zrobić.

Skinąłem głową.

– Miałem nadzieję, że rada...

– To jest właśnie problem, Laniku. Rada to zbiór indywidualności. Słabych indywidualuów, jak ja. Razem moglibyśmy wykręcić i obrócić ziemię w sposób niewyobrażalny. Moglibyśmy w kilka chwil pograć Anderson w morzu.

Moglibyśmy zbudować w godzinę łańcuch górski od jednego krańca świata do drugiego. Moglibyśmy, jeśli byłoby to kiedykolwiek potrzebne, wziąć tę całą planetę i zepchnąć ją z orbity, żeby stała się chłodniejsza lub cieplejsza, bliższa lub dalsza od słońca.

Ale gdybyśmy zabili wszystkich w Anderson, zatapiając wyspę w morzu, wrzask, który słyszałeś przy zabijaniu jednego człowieka, byłby wzmocniony setki tysięcy razy. Czy możesz to zrozumieć? Trzy czy cztery setki naszych ludzi musiałyby znosić te setki tysięcy wrzasków. Każdy z nas musiałby znieść wrzask setki razy straszniejszy od tego, który słyszałeś ty. I, co gorsza, ponieważ bylibyśmy radą, przeniknęlibyśmy głębiej do serca ziemi, niż kiedykolwiek udałoby się to tobie, a jednak wciąż pozostawalibyśmy indywidualnościami i tam gdzie głos skały jest najdonioślejszy, bylibyśmy – jako indywidualności – mniej zdolni do oporu. Wrzask przeniknąłby nas głębiej i utonęlibyśmy w nim tak samo, jak ludzie z Anderson utonęliby w morzu.

Rozumiesz, Laniku? Zniszczyłoby to nas. A kto wtedy zapanowałby nad gniewem ziemi? Kto wchłaniałby nienawiść skał? Kto ochłodziłby ten żar? Nikt.

Zniszczylibyśmy ziemię, ponieważ nie bylibyśmy w stanie dłużej powstrzymać jej gniewu. Dlatego właśnie nie możemy się zgodzić na twoją propozycję. Nie wiedziałem tego. Nie rozumiałem ceny, którą musieliby zapłacić.

– Zrobię, co będę mógł, bez waszej pomocy.

Wstałem, by odejść. Helmut wstał również. Przez moment popatrzyłem mu w oczy i odwróciłem się.

– Laniku – rzekł.

– Tak – odpowiedziałem.

– Poprosili mnie, żebym wskazał ci sposób.

– Sposób czego?

– Sposób zrobienia tego, co chcesz robić.

Przyglądałem mu się bacznie, nie wiedząc, co ma na myśli.

– Powiedziałaś, że to niemożliwe.

Potrząsnął głową, a do jego oczu napłynęły łzy.

– Powiedziałem, że to niemożliwe dla nas. Ale jest inny sposób. Nie chciałem ci o nim mówić, Laniku, z lęku, że go zaakceptujesz, gdyż sposób ten cię zniszczy, a ja cię kocham i nie chcę, byś był zniszczony.

– Jeśli istnieje jakiś sposób, Helmut, zrobię to, nawet gdybym miał umrzeć. Bóg widzi, iż każde rozwiązanie oznacza śmierć, tak czy inaczej. W każdym razie, nigdy nie planowałem żyć wiecznie.

Nawet kiedy wypowiadałem te słowa, zastanawiałem się, czy rzeczywiście tak myślę, czy rzeczywiście wybrałbym śmierć, czy zamiast tego nie wolałbym wybrać ustronnego zakątka do życia. Spokojnego zakątka jak Humping czy ukrytego świata jak Ku Kuei, czy nawet tutaj, na tej pustyni z pięknymi, dziwnymi ludźmi Schwartz.

Mogłem się ukryć i mogłem żyć, więc po cóż miałbym wybierać śmierć.

Helmut przyoblekł moje wątpliwości w słowa:

– Czy rzeczywiście tak nie lubisz swego życia?

I odpowiadając mu, odpowiedziałem sobie:

– Helmut, nie wiesz o tym, nigdy nie byłeś tak samotny jak ja, ale w swej samotności coś odkryłem: że przechodzę przez świat jako niewidzialny. Nawet kiedy ludzie mnie widzą czy mówią do mnie, jest to tak, jakbym nie istniał, jakbym nie miał

prawa do istnienia. Przechodziłem przez ich kraj i nie widzieli mnie. Działalem, działałem i działałem, a światu było to zupełnie obojętne. Na mnie jednak wpływano.

Na wzgórzach, w najuboższej części Britton, mieszka pewna rodzina. Potrzebowali mnie i to właśnie stało się najważniejszą rzeczą w moim życiu. Przy jeziorze w Ku Kuei jest pewna kobieta, zamrożona w czasie. Potrzebowała mnie, ale rozdzielono nas i jeśli zdołam coś zrobić, aby wyrwać ją z objęć wiecznej śmierci, jaką sobie wyznaczyła, zrobię to. Pewien mężczyzna, który był za młody na śmierć, zabił się w Ku Kuei, a kiedy umarł, zdałem sobie sprawę, że połowa mnie to był on i ta połowa umarła razem z nim, a moja druga połowa nigdy nie przerwie żałoby. Wezmę to na siebie, Helmut, tak by nikt więcej nie wybierał śmierci zamiast życia na tym świecie.

Wezmę to na siebie.

W innej sytuacji i w innym miejscu, zarówno wcześniej jak i później, nie mógłbym wypowiedzieć tych słów. To, czy człowiek zostaje

bohaterem, czy ofiarą, zależy od nastroju, w jakim się znajduje, gdy nadchodzi okazja lub gdy okoliczności ułożą się jak najgorzej. Gdybym nie przeszedł samotnie tych trzech tysięcy kilometrów tylko po to, by spotkać się z odmową i rozpaczą, nie wiem, czy z taką łatwością mówiłbym: „Wezmę to na siebie”.

Ale powiedziałem i miałem zamiar dotrzymać słowa. Helmut uściskał mnie i wyjaśnił:

– Kiedy działamy wspólnie, nie musimy wszyscy wchodzić w ziemię. Możemy wysłać jednego, a on będzie leżał wśród skał, śpiewał wszystkie nasze pieśni swoim głosem i słuchał pieśni ziemi swym sercem. To może być radosne i tak właśnie honorujemy naszych największych, wysyłając ich w naszym imieniu. To może być bolesne i również honorujemy swych największych, powierzając im ból nas wszystkich. Ale wśród nas nie ma człowieka, który mógłby znieść taką rzecz jak ta.

Tak więc nie możemy posłać do ziemi jednego z nas. Ty zaś jesteś silniejszy niż ktokolwiek z nas. O ile silniejszy, nie wiemy. Ale jeśli wejdiesz za nas do ziemi, możemy mieć nadzieję, że przeżyjesz. A jeśli umrzesz i wściekłość ziemi będzie nadal trwała, my będziemy wciąż żyć, aby ją opanować i zapewnić światu bezpieczeństwo.

Leżeliśmy razem na piasku. Wszyscy mieliśmy rozłożone ramiona. Ja leżałem w środku zwinięty w kłębek i kiedy zapadałem się w piasek, czułem, jak inni dołączają do mnie, jeden po drugim. Ich pieśń rozbrzmiewała w moim umyśle, a piasek wchłonał mnie i poniósł w dół. Zawsze poprzednio zatrzymywałem się na warstwie skały. Ale teraz skała zmiękła i ogarnęła mnie jak zimne błoto, zamykając się znów nade mną. Im byłem głębiej, tym skała stawała się cieplejsza i wydawało mi się, że coraz szybciej opadam, aż gorąco stało się niemal nie do zniesienia i nawet kiedy już przestałem się pogrążyć, skała wrzała i skręcała się wokół mnie.

Wsparty wiedzą kilkuset Schwartzów nade mną, z łatwością odnalazłem Anderson, tym razem nie jako wybrzuszenie na powierzchni, lecz jako wysuniętą krawędź płyty skalnej pływającej po morzu ciekłego granitu.

Prądy i falowania były niewiarygodnie wolne, ale kiedy znalazłem wyspę, natychmiast zacząłem wypychać spod niej magmę.

W miejscu, gdzie byłem, osiadanie płyty wydawało się wolne, ale na

powierzchni od pierwszej chwili rozpoczęły się zniszczenia. Skała zapadała się gwałtownie, a każdy budynek i wszystkie żywe istoty powywracały się na ziemię. Potem, w miarę jak wyspa wciąż osiadała, z obu stron wdarło się na nią morze i wielką falą spiętrzyło się pośrodku, wzdłuż całej długości, z północy na południe.

Na skutek przełamania skalnej płyty, gorąca magma wytrysnęła na powierzchnię, uderzyła w ocean i wznosiła się wyżej i wyżej, aż dotarła do nieba, wyrzucając z morza gorący popiół, parę, błoto i lawę. Ocean zawrzał i wszystko, co pozostało jeszcze przy życiu w tej części morza, zostało uśmiercone, kiedy kilometry sześciennego wody zamieniły się w parę.

Wszystko to wydarzyło się dlatego, że ja, mając do pomocy siłę wszystkich Schwartzów, zmusiłem ziemię do działania. A ziemia usłuchała, nieświadoma upływu czasu, a zatem i konsekwencji tych działań. Dopiero kiedy rozbrzmiały wrzaski śmierci, ziemia zbuntowała się i w tym momencie Schwartzowie mnie opuścili. Teraz musieli pracować, by zapobiec rozerwaniu się ziemi na kawały, by powstrzymać ziemską skorupę od strząśnięcia z siebie tego irytującego życia, które przysparzało tak wiele bólu, a tak mało radości. Musieli tamować przypływ roztopionej skały, która wznosiła się, pragnąc uciec, i torowała sobie drogę ku wszystkim tym miejscom, które zadrżały, gdy wyspa zapadła się.

Ja jednak nic nie wiedziałem o ich pracy. Miałem co innego do roboty, ponieważ ziemia wrzeszczała z powodu zamordowania pół miliona ludzi, a ja byłem jedynym słuchaczem.

Wielu z tych, co umarli, było niewinnych. To właśnie oni będą nawiedzać mnie od tamtej chwili: rybacy niewinnie zarzucający sieci w Zatoce Brittońskiej, kiedy na wybrzeże napłynęły olbrzymie fale; ludzie w wysokich budynkach w Hess, Gill i Izraelu, którzy zostali zabici, gdy konstrukcje nie wytrzymały fali wstrząsów idącej od Anderson; oraz jakże wielu ludzi z Anderson, którzy byli wprawdzie siewcami złudzeń, ale nie mordercami, i chcieli dla innych tylko dobra.

Jednak dla ziemi nie było różnicy między niewinnymi i winnymi, między tymi, których śmierć nie służyła żadnemu celowi, a tymi, którzy musieli umrzeć, jeśli ludzkość na Spisku miała znaczyć cokolwiek. Ziemia wiedziała, że nie jest to tak, jak ze zniwami na polu. Nie mogła pojąć ludzkiej logiki, która doprowadziła do takiego

rozstrzygnięcia. Ziemia wiedziała tylko, że my zebraliśmy się tam w Schwartz i kazaliśmy jej samej zamordować ludzi, którzy znajdowali się tak daleko, że nasze działanie w żadnym razie nie mogło być samoobroną.

Skąły jęczały przerażająco, jakby mówiąc:

– Zawierzyliśmy wam, daliśmy wam moc, posłuchaliśmy was, a wy użyliście nas do zabijania! Zdrajca! – krzyczały, kiedy gorąco przetaczało się tam i z powrotem po moim ciele.

W jednej chwili straciłem wszystkie punkty odniesienia, wszystkie związki z rzeczywistością, całe poczucie czasu. Wtedy, w Anderson, wrzask zabitego człowieka trwał sekundy – tym razem wrzask ziemi trwał wiecznie. Nie miał końca, ponieważ nie było czasu, i przez nieskończoność czułem nieskończenie wielkie cierpienie i marzyłem tylko o jednym. Nie o śmierci, ponieważ śmierć zwiększyłaby jedynie wrzaski kamienia, ale raczej o unicestwieniu, spowodowaniu, bym nie istniał nigdy, bym nigdy nie żył, ponieważ me życie osiągnęło ten właśnie punkt, a był on nieosiągalny, nie do zniesienia, niemożliwy.

– Zdrada – wrzeszczała skała przez wieczność.

– Przebacz mi – błagałem.

A kiedy w końcu czas wrócił i nieskończoność minęła, skała wypluła mnie, piasek mnie wyrzygał, zostałem wyrzucony w powietrze i pomknąłem głową naprzód ku gwiazdom.

Wznosiłem się, a potem wznoszenie ustało i spadłem z powrotem na ziemię.

Miałem to samo uczucie jak wtedy, kiedy dałem krok ku krawędzi przepaści, w ciemność, zanim weszła Niezgoda, i zastanawiałem się, czy mimo wszystko piasek mnie przyjmie, czy może tym razem uderzę o powierzchnię i po prostu zatrzymam się, połamany i spłaszczony; moja krew wsiąknie w piasek, a słońce wysuszy me ciało na skórę, a potem na proch.

Jednak nawet w powietrzu triumfowałem. Choćbym teraz umarł, wykonałem pierwszą i najtrudniejszą część pracy. I przeżyłem to, nawet jeśli tylko na chwilę.

Usłyszałem najstraszniejszy wrzask ziemi i żyłem.

Wtedy zacząłem słuchać, wciąż spadając, i zdałem sobie sprawę, że wrzask się nie skończył. Wciąż go słyszałem, nawet w powietrzu, oddzielony od ziemi. Jeśli będę żył, będę go słyszał zawsze.

Spadłem na piasek, a on ustąpił, niósł mnie, pozwolił mi zapaść w siebie powoli i w końcu znów leżałem na powierzchni. Spoczywałem tam, ale nigdy nie miałem już zaznać spokoju. Ziemia nigdy nie zamierzała przebaczyć mi, że zawiodłem jej zaufanie – skała po prostu nie mogła tego zrobić. Ale, mimo że nie przebaczyła, była dla mnie ciągle cierpliwa. Znała moje serce i była gotowa podtrzymywać me życie.

Tak długo, jak będę chciał żyć, ziemia mi żyć pozwoli.

Schwartzowie leżeli wokół mnie. Po długiej chwili uświadomiłem sobie, że płaczą. Potem, co było dziwne, wspomniałem Mwabao Mawę, śpiewającą pieśń poranną wysoko nad ziemią, w Nkumai. Melodia ta dźwięczała w mej głowie bez końca. Po raz pierwszy zrozumiałem urzekające piękno tej pieśni. Była to pieśń zabójcy marzącego o śmierci. Była to pieśń o sprawiedliwości, utęsknionej, lecz nie dopełnionej.

Leżeliśmy tam, zbyt wyczerpani, by się poruszać.

Po wielu godzinach – czy może minął już cały dzień albo wiele dni? – ogromna chmura pary z morza, która wzniosła się ku niebu po zatopieniu Anderson, przyplęnęła nad Schwartz i po raz pierwszy od tysiącleci spadł tam deszcz. Woda dotknęła bogatych w żelazo gór; woda pociekła na piasek i ochłodziła go; woda zmieszała się ze łzami na twarzach ludzi ze Schwartz, zmasała i zmyła ich płacz, a Helmut wstał, podszedł do mnie w ulewie i rzekł:

– Przeżyłeś, Laniku.

– Tak – odrzekłem, albowiem naprawdę to, co mówił, brzmiało: „Laniku, kocham cię, a ty wciąż żyjesz”, a ja mówiłem naprawdę: „Helmut, kocham cię i wciąż żyję”.

– Zrobiliśmy to, co zrobiliśmy – rzekł Helmut – i nie będziemy tego żałować, ponieważ było to potrzebne, nawet jeśli nie było dobre. Ale bez względu na wszystko, prosimy cię, abyś odszedł. Nie wyrzucamy cię, ponieważ gdyby nie ty, wydarzyłyby się gorsze rzeczy, ale proszę cię, Laniku, zostaw nas i więcej nie wracaj.

– Wciąż jeszcze będziecie mnie słyszeć. Mam jeszcze pracę do wykonania.

Przyczynię wam więcej cierpień.

– Wykonuj swoją pracę – odparł. – Mam nadzieję, że kiedyś krew zmyje się z twoich rąk.

– Pilnujcie swego żelaza. Trzymajcie je w bezpiecznych miejscach. Nie pozwólcie mu zardzewieć.

Uśmiechnął się (okropna rzecz w tym momencie, a jednak bardziej zadziwiająca i odświeżająca od deszczu), uściskał mnie i powiedział:

– Kiedy poprzednio nas opuszczałeś, myślałem, żeś mnie zdradził. Nie rozumiałem, Laniku. Myślałem, że skoro ci ufałem, to znaczy, iż będziesz zawsze działał w taki sposób, jak ja chcę. Myślę, że może stanę się znów młody i niech ktoś inny będzie przywódcą. Miałem wystarczającą porcję odpowiedzialności na całe życie.

– A ja na dziesięć żyć – odpowiedziałem.

Ucałował mnie i uściskał, a potem odesłał mnie stamtąd. Szedłem na wschód, ku Huss. Gdzieś po drodze znalazłem swe ubranie – umieszczono je, starannie złożone, na mej drodze. Na wierzchu leżał mój nóż. Było to błogosławieństwo Schwartzów, odpuszczenie z góry morderstw, które miałem jeszcze popełnić.

Włożyłem ubranie, ująłem nóż w dłoń i przeszedłem znów w czas szybki. Przez następne trzy lata własnego czasu nie odzywałem się do nikogo i nie słyszałem niczyjego głosu; spędzałem dni idąc, mordując, słuchając krzyków umierających i umarłych, słysząc wrzask ziemi i wiedząc, że któregoś dnia dopadnę ostatniego, wszyscy będą martwi i nigdy więcej nie będę musiał zabijać.

Percy'ego Bartona zabiłem ochoczo, gdyż ta stara kobieta zwiodła i zamordowała mego przyjaciela. Ale jej śmiertelne wrzaski szarpały mą duszę równie mocno jak wrzaski Mwabao Mawy, mimo że tamta (nie, tamten, łysy biały człowiek rządzący narodem dumnych, nieświadomych czarnych) kojarzyła mi się z piękną pieśnią poranną. Nie było różnicy. I zniechęceni, i lubiani umierali tak samo; mój nóż równie trudno wchodził w gardło Percy'ego Bartona, jak w gardło Mwabao Mawy.

Niszczenie Ambasadorów było łatwiejsze, gdyż ziemia nie protestowała przy ich śmierci. Były to maszyny, i tak pozbawione życia. Musiałem tylko łamać pieczęcie z napisem: „Ostrzeżenie! Manipulowanie spowoduje zniszczenie tego urządzenia i śmierć wszystkich w promieniu 500 metrów.”, a następnie odchodzić w czasie szybkim prędzej, niż mogła dogonić mnie fala wybuchu.

Zabijałem wzdłuż drogi, która zaczynała się w zrujnowanych krajach graniczących z Anderson; odwiedzałem każdą stolicę każdej Rodziny,

by mieć pewność, że znalazłem i zabiłem wszystkich Andersonów i że nie ocalał żaden Ambasador. Ponieważ byłem w najszybszym z moich strumieni czasowych, zabrało mi to tydzień czasu normalnego. Wyprzedzałem wszystkich posłańców. Ludzie zorientowali się tylko, że nagle plaga wymiotła z ich świata władców razem z Ambasadorami.

Zastanawiałem się, co pomyśleli ludzie, kiedy znaleźli ciało starej kobiety siedzącej na tronie Percy'ego Bartona. Czy skojarzyli sobie te dwie postacie? Czy też mieli się zawsze zastanawiać, kogo właściwie znaleźli, i nigdy nie wiedzieć, gdzie podział się ich król?

Nie było sensu prowadzić rachuby czasu w tej długiej drodze znaczonej zabójstwami. Pod jej koniec, po tygodniu, miałem, według mojej najlepszej oceny, około dwudziestu czterech lat. Kiedy mój Ojciec miał dwadzieścia cztery lata, byłem już na świecie. Ojciec bawił się ze mną rano, a w południe wychodził i wiódł swych ludzi do walki. Nie miałem dzieci, ale moich morderstw nie mogłem traktować tak lekko jak Ojciec. Nie wiedział, że można inaczej, i myślał, że zabijanie czyni z niego dobrego króla. Ja nie mogłem powołać się nawet na to wątpliwe królewskie prawo do popełniania morderstw, natomiast wiedziałem dokładnie, jaki jest ich rzeczywisty koszt. Mój wiek, liczony w latach, nie był sędziwy, ale w głębi serca czułem się nieznośnie stary, a moje własne ciało przytłaczało mnie i nużyło.

Zostało jednak jeszcze jedno miejsce, którego nie odwiedziłem. Kiedy już zniszczyłem inne Ambasadory i wszyscy inni Andersonowie byli martwi, zabicie jednego z nich wciąż leżało przede mną – zabicie tego, który był moim bratem, Dintem; tego, który zniszczył mego ojca; tego, który wyzwał mnie z mego dziedzictwa; tego, którego nienawidziłem, z którym rywalizowałem i na którego oburzałem się w ciągu wszystkich naszych wspólnych lat; tego, który w nie wyjaśniony sposób nadal pozostawał moim bratem, bez względu na to, jak mocno byłem przekonany, że nim nie był.

Czy Lord Barton mógłby zabić człowieka, którego kiedyś uważał za swego syna?

Czy ja mogłem zabić Dintego?

Znajdę odpowiedź na te pytania, kiedy nadejdzie czas. Przybyłem więc w końcu do Mueller nad Rzeką i po raz pierwszy od lat wszedłem do jakiegoś miasta nie skrycie, w czasie szybkim ale jawnie. Byłem Lanikiem Muellerem, a to miejsce było niegdyś moim domem, i bez

względu na to, czy chcą mnie tutaj, czy nie, chciałem przybyć dumnie i w końcu, kiedy wszyscy Andersonowie będą już martwi, zdać sprawozdanie z pracy, którą wykonywałem, i z pracy, którą już wykonałem. Świat uważał Lanika Muellera za potwora, wówczas kiedy nim jeszcze nie byłem. Teraz, gdy się nim stałem, chciałem, żeby o tym wiedzieli. Nawet ci, których uważa się za złych, pragną, by wiadano o ich czynach.

Wszedłem do komnaty, gdzie Dinte siedział na tronie i pewnym krokiem wystąpiłem na jej środek. Chociaż niewielu mnie rozpoznało, gdyż nawet ci, którzy mnie znali, widzieli mnie ostatnio jako piętnastoletniego chłopaka, to jednak szept

„Lanik Mueller” rozszedł się po pokoju. Oczy wszystkich zwróciły się na mnie i przez chwilę wszyscy bali się zareagować.

Mój brat Dinte wstał z tronu, wyciągnął sztywno ramiona i nienaturalnie głośno rzekł:

– Cóż, bracie. Czy przybyłeś w końcu objąć swój tron?

Usunął się, bym mógł zasiąść, gdzie zgodnie z prawem powinienem zasiadać.

Rozkazał, by ludzie uklękli, kiedy wchodziłem na podium. Uklękli. Dinte czekał

uśmiechnięty, witając mnie.

14. LANIK W MUELLER

Wyobrażałem sobie różne wersje tej sceny, ale taka nigdy nie przyszła mi na myśl. Jednak przez dość długą chwilę taki rozwój wydarzeń wydał mi się jedynie słuszny: brat uzurpator staje twarzą w twarz z wędrowcem, który dotarł wreszcie do domu i ochoczo ustępuje, by prawowity następca zajął należne mu miejsce.

Planowałem, że wkroczę, nazwę Dintego zdrajcą i mordercą, po czym na oczach całego dworu zadżgam go na śmierć. Nic nie robiłbym sekretnie – to nie miał być Jeziorny Pijak, Człowiek Wiatru czy Nagi Człowiek dokonujący aktu sprawiedliwości na siewcy złudzeń z Anderson. To miał być Lanik Mueller, wykonujący sprawiedliwy wyrok na swym bracie Dintem, uzurpatorze, który wygnał swego ojca do lasu Ku Kuei, gdzie ten zmarł.

Teraz Dinte pozbawił mnie tej satysfakcji. Kiedy tak chętnie (choć wiedziałem, że to kłamstwo) usunął się, aby zrobić mi miejsce, to jawne zabicie go byłoby tylko dodatkowym rozdziałem legendy o tym, jak to Lanik Mueller, jako Andrew Apwiter, wrócił do życia, by ponownie zaprowadzić na świecie chaos. Tak więc, niechętnie, zanim Anderson, który krył się za twarzą Dintego, mógł mnie, nieświadomego, zabić, wszedłem w czas szybki i zrobiłem krok naprzód, co oznaczało, że dla wszystkich obecnych praktycznie zniknąłem.

Lecz Dinte nie zmienił się w Andersona, w jakiegoś pomarszczonego mężczyznę lub kobietę w średnim wieku, których spodziewałem się zobaczyć w czasie szybkim.

Zamiast tego ukazało mi się stworzenie z czterema ramionami i pięcioma nogami, dwoma zestawami męskich genitaliów absurdalnie kontrastujących z trzema piersiami, obwisłymi jak u kobiety w średnim wieku. Jeśli zobaczyłbym taką istotę w zagrodzie, nie byłbym zdziwiony. Ale spodziewałem się Andersona, a to był albo niewiarygodny potwór, albo radykalny regenerat z Mueller. A któż z Mueller mógł

stać się siewcą złudzeń?

Potem spojrzałem stworzeniu w twarz, zastygłą, patrzącą na miejsce,

gdzie stałem przed chwilą. Rozpoznałem potwora i wszystko uległo zmianie.

Twarz należała do mnie. Ten dziwny zestaw kończyn i wypustek wieńczyła głowa Lanika Muellera. Mimo uszu, oczu i nosów rosnących nie na miejscu, rozpoznałem siebie. To ja stałem obok tronu – nie Lanik Mueller wyleczony w Schwartz, ale Lanik Mueller, radykalny regenerat, potwór, dziecko.

To był mój sobowtór, zrodzony w lasach Nkumai.

To niemożliwe! – krzyczał mój mózg. To stworzenie nie istniało, kiedy Dinte od lat już mieszkał z nami. To stworzenie nie mogło, według wszelkiego prawdopodobieństwa, być Dintem.

Z początku próbowałem wytłumaczyć sam sobie, że była to tylko iluzja wtórna, że ten Anderson znalazł sposób, by również w czasie szybkim mnie ogłupić. Ale to był nonsens – gdyby jeden Anderson potrafiłby mnie zwieść, inny uczyniłby to już dawno.

Tak więc, w czasie szybkim, podszedłem do tronu, siadłem na nim i powróciłem do czasu rzeczywistego.

Rzadko demonstrowałem to wcześniej: nagle zniknąłem z jednego miejsca i pojawiłem się w innym. Po tłumie rozniósł się gorączkowy szmer. Ale Dinte (teraz z normalną liczbą rąk i nóg, taki, jakiego zawsze znałem – mały drań) nie wyglądał na zdziwionego.

– Dinte – powiedziałem. – Wszyscy ci ludzie są zaskoczeni, widząc mnie, jak tu siedzę, ale ty i ja wiemy, że Lanik Mueller zasiadał na tym tronie od lat.

Popatrzył na mnie przez chwilę, a potem lekko skinął głową.

– A więc, Dinte, spotkajmy się prywatnie, w pokoju, gdzie trzymałem swą kolekcję ślimaków, kiedy miałem pięć lat.

Wszedłem znów w czas szybki i opuściłem salę tronową.

Moją kolekcję ślimaków trzymałem na dawno nie używanym strychu w jednej ze starszych części pałacu. Pomieszczenia tego nigdy nie zamykano na klucz, ponieważ można się było do niego dostać tylko po drabinie i przez kręte korytarze, które rzadko odwiedzano. Skierowałem się tam w czasie szybkim, potem zwolniłem prawie do czasu rzeczywistego i zacząłem czekać. Zatrzymałem sobie jedynie taką przewagę szybkości, że jeśli Lanik/Dinte zamyślał jakąś zdradę, byłem w stanie zawsze wyprzedzić jego atak.

Jeśli był oszustem, jeśli nie był naprawdę mną, nie mógł wiedzieć,

który pokój miałem na myśli.

Czekałem piętnaście minut. Potem nadszedł zakurzoną korytarzem na strychu i usiadł obok mnie na podłodze. Było mu trudno iść z tymi jego niezręcznymi rękami i nogami, a gdy siedział, był śmieszny, ale mnie to nie bawiło. Wspomniałem, jak po opuszczeniu singerskiego statku niewolniczego ciężko mi było wspinać się po nawet niezbyt stromym zboczu w Schwartz. Trzy lata czasu rzeczywistego zajęło mi osiągnięcie stanu, w jakim ja się znalazłem po miesiącach zamknięcia na statku. Ale pamiętałem: byłem już przedtem w środku tego ciała. Wiedziałem dokładnie, kto to jest i jak się czuje.

Zwolniłem całkowicie do czasu rzeczywistego i odezwałem się łagodnie:

– Cześć, Lanik.

– Cześć, Lanik – odpowiedział z bladym uśmiechem na skrzywionej twarzy.

– Ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, chciałem cię zabić – przypomniałem mu.

– Wielekroć od tamtej pory żałowałem, że ci się to nie udało.

Siedzieliśmy w ciszy przez kilka chwil. O czym rozmawiać, kiedy spotkasz siebie samego po tylu latach?

– Jak się tu znalazłeś? – zapytałem, choć odgadłem już większość jego życiorysu.

– Jak się nauczyłeś być siewcą złudzeń?

Opowiedział mi. Jak leżał na wpół martwy, kiedy jego osłabione ciało usiłowało regenerować czaszkę i skórę i powstrzymać tkankę mózgową od degeneracji. Jak został znaleziony przez dużą grupę poszukiwawczą wysłaną po mnie przez Nkumai.

– Gdyby mnie nie znaleźli – rzekł – z pewnością szukaliby aż do chwili, gdy znaleźliby ciebie. Kiedy w końcu zdali sobie sprawę z tego, co się wydarzyło, i próbowali znów iść za tobą, szli po twoim śladzie aż do wybrzeża. Dość łatwo było cię znaleźć. Gdyby ruszyli za tobą od razu, nie uciekłbyś. – Uśmiechnął się. –

Ocaliłem ci życie.

Potem opowiedział mi o swoich dniach i tygodniach z Mwabao Mawą w nadrzewnym domu. Me ciało, budując Lanika, wyposażyło go w moje wspomnienia; lub może, kiedy razem szliśmy przez las, a ja byłem w delirium, włożyłem w niego wszystko, co miało znaczenie,

wszystko, co sprawiało, że byłem tym, czym byłem.

Mwabao dopiero po pewnym czasie zdała sobie sprawę, że był on tylko moim duplikatem.

– Wtedy miała już dosyć informacji i była pewna, że pochodzę z Mueller.

Wypowiadałem w szaleństwie imiona Dintego i Ojca, a jej pobratymcy, Andersonowie, byli już tutaj, o czym zapewne wiesz.

Natychmiast podchwyciła okazję – obecność mojego sobowtóra. Pobudzała jego nienawiść do mnie, jego poczucie bezwartościowości, gdyż zawsze miał być potworem, czymś okropnym, stworzeniem, które nie miało prawa istnieć. Dosyć szybko przekonała go, aby się zgodził poprowadzić armie Nkumai i ich sprzymierzeńców do walki przeciw Muellerowi.

On jednak wyznaczył cenę, którą Mwabao Mawa zaakceptowała nadzwyczaj chętnie. Poprosił o wyszkolenie w andersonowskiej sztuce omamiania i Mwabao Mawa wprowadziła go w to. Kiedy ja w Schwartz uczyłem się sterować ziemią, on uczył się sterować umysłami ludzi.

– Ludzkie przekonania nie istnieją w izolacji – wyjaśnił. – Wszystko, w co ktoś mocno wierzy, wywiera ogromny nacisk na innych. Oczywiście mówię nie o opiniach, mówię o przekonaniach. My... Oni... mogli każdemu kazać myśleć, że słońce jest niebieskie i że zawsze było niebieskie. Oczywiście, im dalej będziesz od miejsca, gdzie inni ludzie mocno wierzą w oszustwo, tym mniej będziesz poddany jego wpływom. Jednakże wtedy zadanie będzie już wykonane. Kiedy ktoś głęboko uwierzy, że coś jest faktem, nigdy nie będzie w to wątpił, dopóki nie ujrzy bardzo przekonujących dowodów, że tak nie jest.

Z tego właśnie powodu Lord Barton był w stanie poznać prawdziwe fakty, kiedy znajdował się tysiąc kilometrów od Britton, ale musiał walczyć ze sobą, by je pamiętać, kiedy wrócił do domu, gdzie inni byli również zniewoleni przez kłamstwo.

Mój sobowtór powiedział mi, że nie zgodził się na niszczenie kraju przy przejściu armii nkumajskiej przez równinę Rzeki Buntowników. Ja nie mógłbym tego zrobić –

on też nie mógł.

– A potem znowu się pojawiłeś – rzekł – a my nie wiedzieliśmy, co robić. Aż razem z Ojcem uciekłeś do Ku Kuei. Wtedy stało się jasne, że muszę zniknąć, tak by potwór, którego ze mnie zrobili, mógł zabarwić

postrzeganie ciebie przez innych i osłabić skuteczność twych działań. W tym czasie, Lanik, byłem z tego zadowolony.

Nie możesz pojąć, jak cię nienawidziłem. Ty mnie nienawidziłeś nie ze względu na to, jaki byłem, ale dlatego że w ogóle istniałem.

Z początku nie wiedzieli, co z nim począć, gdy Lanik Mueller był oficjalnie na wygnaniu w Ku Kuei.

– Aż do chwili, kiedy doszła do nas wiadomość, że Dinte zniknął. Mwabao Mawa wpadła w panikę. Jak to możliwe, że ktoś wiedział, jak się mają sprawy z Dintem, i zabił go, a jednak nie podniósł publicznie krzyku na temat jego tożsamości? Jeśli ktoś go zabił, to z pewnością zobaczył, jak się zmienia na jego oczach z młodego następcy tronu w starszego mężczyznę.

Wtedy zdałem sobie sprawę z czegoś, co powinno być dla mnie oczywiste znacznie wcześniej.

– To ja zabiłem Dintego – powiedziałem memu sobowtórowi. – Poderżnąłem mu gardło, kiedy opuszczałem pałac. Przypuszczałem, że się zregeneruje.

Uśmiechnął się do mnie.

– Tak więc spełniło się twoje życzenie, prawda? Zabiłeś Dintego i przy okazji ocaliłeś mi życie. Byłem bowiem jedynym człowiekiem, który znał Dintego na tyle, że mógł go udawać bez podniesienia szumu. Andersonowie nie są wszechmocni. Nie mogą ogłupić naraz całego świata. Tak więc Mwabao Mawa odesłała mnie do domu, do Mueller. Pojawiłem się w kraju jako Dinte. Utrzymywałem, że wzięłeś mnie do niewoli, storturowałeś i zostawiłeś, bym umarł, ale udało mi się zregenerować i powrócić do domu. Kto mógł to podważyć? Gram tę rolę od tamtej pory.

Jego głos złagodniał (tak jak mój zawsze łagodniał, gdy bałem się, że okażę strach, żal lub rozpacz). Ciągnął dalej:

– Wiesz – właśnie ty wiesz – jak bardzo nienawidziłem Dintego. A jednak musiałem stać się nim i rozmawiać z tym stadem zdrajców, którzy przygotowali śmierć twoją i śmierć Ojca i... Boże, Lanik, nie mam pojęcia, jak to przeżyłem. Ale wciąż mówiłem do siebie: jestem Lanikiem Muellerem, a nie tym potwornym dzieckiem, i znosiłem pochlebców, zdrajców, Ruwę i całą resztę, gdyż wszyscy wiedzieli, że wszedłeś z Ojcem głęboko w Ku Kuei i nigdy nie wrócisz. Widzisz, Ojciec nie żył, a ja go kochałem tak samo jak ty. Im bardziej ludzie, tu,

w Mueller, obrażali pamięć jego i twoją, tym bardziej czułem się upoważniony, by się z tobą utożsamiać i w głębi duszy zostać tobą. Zawsze tęskniłem, żebyś powrócił i uwolnił mnie.

– Lanik – rzekł – od czasu do czasu idę do zagród i każę obciąć sobie te kończyny. Zawsze odrastają. Odrastają coraz szybciej i jest ich coraz więcej. Teraz właśnie nadchodzi moment, kiedy powinienem tam iść. Doktor nigdy nie wie, że ja to ja, zawsze zapomina, że przeprowadzał te operacje, do chwili, gdy nadchodzi czas na dokonanie kolejnej. Nikt nigdy nie widzi mojego potwornego kształtu, ale ja przecież go widzę. Spojrzał na mnie, na moje ciało i rzekł:

– A ty – rzekł. – Ty jesteś zdrowy. Jesteś taki, jaki powinieneś być – normalny.

Nie żyłeś w tym strasznym oszustwie przez te długie miesiące, przez te całe lata.

Powróćmy do sali tronowej. Pojawię się w swojej prawdziwej postaci i powiem im prawdę, powiem im, że nie jesteś potworem, za jakiego cię uważali. Będziesz mógł

zająć miejsce, które ci się należy, a ja będę wolny.

– Co będziesz potem robił?

– Będę cię błagał, żebyś mnie zabił. Żyję już od lat jako radykalny regenerat. Nie można tego nazwać życiem. Jeśli mnie nie zabijesz, utopię się.

Potrząsnąłem głową.

– Przybyłem tutaj, by cię zabić.

– Więc wiedziałeś, kim jestem?

– Nie. Przybyłem zabić Andersona, który władał Mueller, tego, który udawał, że jest Dintem.

Był wstrząśnięty.

– Wiedziałeś o tym, zanim przybyłeś? Więc sekret Andersonów się wydał?

Odpowiedziałem mu:

– Andersonowie są martwi. Burza z deszczem doszła do was... – starałem się zgadnąć, ile normalnego czasu mogło upłynąć – kilka dni temu. Oberwanie chmury? I niebo jest wciąż zachmurzone.

Kiwnął głową na znak potwierdzenia.

– Deszcz zaczął padać tydzień temu, kiedy Anderson zapadła się w

morze.

Zdziwił się.

– Po prostu tak? Zapadła się w morze?

Słyszałem wrzask, który rozbrzmiewał wciąż we mnie.

– Nie tak po prostu. Ale znikli z powierzchni ziemi. Nie tylko ci na wyspie.

Wszyscy inni też, ze wszystkich Rodzin. Jesteście ostatnimi, którzy znają technikę Andersonów. Ty i ci, którzy z tobą tu pracowali.

– Jak to zrobiłeś?

– Nieważne jak. Ważne jest dlaczego.

I wyjaśniłem mu to.

– Tak więc Ambasadorów też nie ma – rzekł. – Nie będzie już żelaza.

Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś?

Zaśmiałem się.

– Miałem dobry pomysł.

– My... Andersonowie znali każdą tajemnicę tego świata, Lanik! Czy uświadamiasz sobie, co osiągnięto na tym świecie? Rzeczy niewiarygodne. Rzeczy, które sprawiały, że czułeś się dumny z tego, że mieszkasz na tej zakazanej, więziennej planecie! A ty położyłeś temu kres. Czy sądzisz, że bez Ambasadorów w dalszym ciągu zostanie utrzymany ten poziom inwencji twórczej?

Wzruszyłem ramionami.

– Może zostanie. Andersonowie nie znali wszystkich sekretów tego świata.

– Głupcze! Krótkowzroczny, głupi...

– Posłuchaj, Lanik! – odkrzyknąłem mu i samo użycie mego imienia, kiedy zwracałem się do innej osoby, zdziwiło mnie. – Tak, Lanik. Jesteś mną, prawda?

Mną, takim, jakim powinienem być. Mną, złapanym przez Nkumai i nakłonionym do nauki sztuczek Mwabao Mawy... Ja również bym się ich nauczył, tak jak ty. Ja również dałbym zrobić z siebie narzędzie Nkumai, do pewnych granic; i oto siedzisz, tak jak ja bym siedział, w ciele potwora, uwięziony w jeszcze nawet bardziej potwornym złudzeniu. Nie, Lanik, nie jesteś powołany do osądzania mnie jako krótkowzrocznego głupca. I ja nie jestem powołany, by cię osądzać. Nazwałeś Spisek zakazaną planetą, ale się mylisz. Tysiące lat temu Republika wzięła na siebie rolę Boga. Postanowili wygnać

najgenialniejszych ludzi we wszechświecie na tę beznadziejną, pozbawioną żelaza planetę, aby na zawsze ukarać ich i wszystkich ich potomków, tak jakbyśmy rodzili się już z piętnem zbrodni naszych przodków.

Naszemu przodkowi okrutnie wskazano nagrodę: pierwsza Rodzina, która zbuduje statek i wyjdzie w przestrzeń kosmiczną, otrzyma niesłychane bogactwa, władzę i prestiż. Przez trzy tysiące lat wierzyliśmy w to i zużywaliśmy się duchowo cóż robiąc? – dając tym sukinsynom, którzy nas tu trzymali, najlepsze rzeczy, jakie mieliśmy. Nasze własne ciała! Najlepsze wytwory umysłu! A cóż otrzymaliśmy w zamian? Kilka ton metalu, który jest wszędzie tani, tylko nie tutaj.

– Byśmy mogli zbudować statek – rzekł mój sobowtór.

– Nigdy byśmy nie zbudowali statku z żelaza Republiki. Nigdy. A gdybyśmy to zrobili, czy sądzisz, że pozwoliliby nam odlecieć i wziąć udział w życiu ludzkości?

Czy nie zdajesz sobie sprawy, jaki to cud, ta planeta? Gdyby oni sobie uświadomili, co naprawdę się tu dzieje, gdyby mogli spędzić kilka dni w Ku Kuei lub tydzień w Schwartz, gdyby zrozumieli, jakie naprawdę mamy możliwości, Lanik, natychmiast by tu przybyli i unicestwili nas bombami, wymazałoby nas ze wszechświata. To jedyna nadzieja, jaką nam dają, i jedyna obietnica, którą spełnią.

A co byśmy robili, gdybyśmy przyłączyli się do nich? Namówili ich, żeby byli mili? Jeśli chcieliby być uprzejmi, nie trzymaliby potomków zdrajców w setnym pokoleniu na tej beznadziejnej planecie.

– Wiem o tym – rzekł. – Często również o tym myślałem, Lanik. Niezgoda nic nie zbuduje. Tak właśnie powiedziałem młodemu człowiekowi, który protestował

przeciw prawu. Wziąłem go w nocy nad rzekę, bez strażników, i wskazałem mu pewne fakty. Obiecałem, że jeśli będzie milczał, prawo zostawi go w spokoju i będzie wolny. „Nie chcę być wolny – odpowiedział – kiedy istnieje to prawo. Będę protestował, dopóki go nie zmienicie”. „Nie – powiedziałem mu. – Będiesz protestował, aż umrzesz w więzieniu, i co przez to osiągniesz?”

„To tak jak z księżycami – ciągnąłem. – Widzisz, jak Niezgoda porusza się szybko i jaka jest jasna? Najbardziej widowiskowa rzecz na niebie. Ale jest taka widowiskowa, ponieważ znajduje się tak blisko Spisku i jest taka mała. Wolność jest księżycem znacznie większym i znacznie

dalszym. Nie jest nawet w połowie tak malownicza. Ale wolność wywołuje przyływy – rzekłem. – Wolność podnosi i opuszcza morze”. Nappełniło mnie dziwne uczucie. Poznałem: ten zdeformowany człowiek myślał

tak jak ja. I choć było to logiczne, ciągle mnie zaskakiwało. Nigdy nie spotyka się człowieka, który myśli tak samo, nigdy – w normalnych warunkach. Ale teraz było tak, jakbym mógł wypowiadać jego słowa – moje słowa – razem z nim.

– Kiedy nie ma już Andersonów ani Ambasadorów – on... ja... powiedziałem –

jesteśmy odcięci od Republiki. Jesteśmy wolni. A kiedy wszechświat znowu o nas Usłysz, to my będziemy wywoływać przyływy.

Cisza. Potem uświadomiłem sobie, że to ja powiedziałem ostatnie kilka słów, nie on. Uśmiechnął się do mnie. Zrozumieliśmy się nawzajem. Nie we wszystkim, ale myśl, sposób myślenia był jasny dla nas obydwu, i, na Boga, czułem do niego wzrastającą sympatię. Jeśli zdolność dobrego rozumienia się ma coś wspólnego z miłością, to nikogo nie można mocniej kochać niż samego siebie.

– Lanik – powiedzieliśmy unisono, przerywając razem ciszę.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

– Ty pierwszy – powiedziałem.

– Lanik, zasiądź, proszę, na tronie. Znasz mnie, wiesz, jak czuję się w tym ciele.

Na podstawie tego, co ci powiedziałem, wiesz, że robiłem rzeczy nie do zniesienia.

Uwolnij mnie.

Rzeczy nie do zniesienia. Nie powiedziałem mu, nie próbowałem nawet wyjaśniać tych rzeczy nie do zniesienia, które zrobiłem ja, nie próbowałem przekazać mu wrzasku, który wtórował każdej mojej myśli. Zamiast tego zamknąłem oczy i zacząłem mu robić to, co zrobili mi Schwartzowie.

Do zmiany mnie, do uleczenia mojej radykalnej regeneracji wystarczała tylko garstka Schwartzów, więc miałem nadzieję, że teraz zdołam to zrobić sam. Nie dysponowałem, nawet w przybliżeniu, ich wiedzą o łańcuchach węglowych, ale wyczuwałem je na tyle dobrze, by móc je porównywać. Zmieniałem wszystkie różnice między jego DNA i moim, aż łańcuchy były dokładnie takie same. Znaczyło to, że nie tylko

jego regeneractwo będzie wyleczone, ale że również posiada dar nie odczuwania nigdy więcej głodu i pragnienia, że będzie wolny od potrzeby oddychania, że będzie pobierał energię bezpośrednio od słońca.

Ale nie mogłem przekazać mu tych umiejętności, których się nauczyłem, a gdybym nawet mógł, nie przekazałbym ich. To on był prawdziwym Lanikiem Muellerem, nie ja. Był takim Lanikiem Muellerem, jakim ja powinienem być: władcą Muelleru. I to dobrym władcą; samotnym, ale żyjącym tam, gdzie powinien żyć.

Teraz, wyzwolony od przekleństwa radykalnej regeneracji, mógł osiągnąć szczęście takie, jakie dla mnie pozostawało nieosiągalne.

Trwało to parę godzin. Kiedy skończyłem, leżał uśpiony na podłodze na strychu.

Jego ciało było zdrowe i prawidłowe. Był nagi – krawcy nie szyli ubrań dla zdeformowanych ciał radykalnych regeneratów. Przypatrywałem się jego ciału tak, jak nigdy nie mogłem przypatrzeć się swojemu. Skóra pozostała młoda i gładka –

gdyż był ode mnie młodszy – mięśnie prężne, a całe ciało miało właściwe proporcje.

Przez chwilę widziałem się takim, jakim musiała mnie widzieć Saranna i mimo że nie ma we mnie uwielbienia czy pożądania dla innych mężczyzn, zrozumiałem, dlaczego tak często mi powiadała, że me ciało jest słodkie. Irytowało mnie to – dorastający chłopak nie ma ambicji być słodkim. Ale miała rację.

Natomiast widok jego twarzy sprawił mi cierpienie. Myślał, że poznał ból, i rzeczywiście go poznał, w stopniu większym niż wielu ludzi. Jego twarz świadczyła o tym, że jest dojrzały nad wiek, że potrafi zdobyć się na współczucie i łagodność. Ale ja widywałem swą własną twarz w zwierciadłach, przyglądałem się, co uczyniły ze mną me czyny i czas, i moja twarz nie była ani łagodna, ani współczująca. Zbyt dużo widziałem. Zbyt często zabijałem. Nie zostało we mnie ani odrobiny słodczy; nie widziało się jej, i marzyłem, żeby być równie niewinny jak on.

To niemożliwe, napomniałem się. Tego wyboru dokonałem już przed laty, na piaskach, na granicy Schwartz. I zacząłem podejrzewać, że najwyższym poświęceniem nie jest, mimo wszystko, śmierć. Najwyższym poświęceniem jest dobrowolne poniesienie pełnej kary za

swe czyny. Ja ją poniosłem i nie mogłem się spodziewać, że po tym nie będzie widać blizn na moim ciele i twarzy.

Obudził się i spojrzał na mnie z uśmiechem. Potem uświadomił sobie, co się stało z jego ciałem. Dotykał się z niedowierzaniem, płakał i ciągle mnie pytał:

– To nie jest złudzenie, prawda? To rzeczywiste, prawda?

Przekonałem go, że to naprawdę.

– Gdy zniszczę Ambasadora, bezcelowe będzie trzymanie radów jak bydła. Zrób dla mnie jedno: wydaj prawo, że radowie mają być wysyłani do Schwartz, wszyscy, natychmiast, jak zostaną wykryci. Każ im wejść do Schwartz, a kiedy przyjdą do nich ludzie z pustyni, każ im mówić, że przyszli w imieniu Lanika Muellera.

Schwartzowie będą wiedzieli, co wtedy robić. Odeślą ich do domu, uleczonych.

Gdyby jednak nie wrócili do domu, będzie to znaczyło, że dobrowolnie chcieli tam zostać.

– A co z tobą? – spytał Lanik.

– Ja nie istnieję – odpowiedziałem. – Tam, w lesie Nkumai, to nie ty byłeś ekstra Lanikiem Muellerem, to ja. Ty jesteś tym prawdziwym. Przez kilka następnych lat, Lanik, zmień to złudzenie. Stopniowo spraw, aby twarz Dintego stała się twoją, aż będziesz mógł obywać się bez pozorów. Chcesz przecież tego, na tyle cię znam.

Skończ z kłamstwem, zostaw tylko swe imię. Żyj i rządz ze swą własną twarzą.

– A ty?

– Ja znajdę sobie inne miejsce do życia.

Potem wszedłem znów w czas szybki, zostawiłem Lanika na strychu i wróciłem na dwór, gdzie sporo ludzi wciąż kręciło się, komentując to, co się stało. Już po kilku minutach ustaliłem, którzy wśród nich są Andersonami, ostatnimi, jacy przeżyli. Gdy opuszczałem Lanika, było mi smutno, ale od lat tak dobrze się nie czułem. Nie powstrzymało mnie to jednak przed zabiciem ostatnich Andersonów.

W czasie szybkim zaniósłem ich ciała do Ambasadora i złożyłem je w miejscu, gdzie po wybuchu nie będzie można ich rozpoznać. Kiedyś, gdy po raz pierwszy wyruszyłem niszczyć Ambasadory, postanowiłem, że kiedy wysadzę ostatni, umrę z nim razem. Ale teraz uświadomiłem sobie, że ta decyzja jest odwołana. To chyba dlatego, że dowiedziałem

się, iż prawdziwym mną był tamten chłopak, który miał słodkie ciało.

Będzie on dobrym królem. Więc chociaż nie był on tym – ja – którym – byłem, był tym – ja – którym – powinienem – być. Zyskałem dla siebie trochę szacunku i nie chciałem już umrzeć.

Tak więc zostałem w czasie szybkim, aby złamać pieczęć Ambasadora, a potem odszedłem na bezpieczną odległość i wszedłem w czas zwykły, by obserwować.

Minęło kilka chwil, podczas których Ambasador czekał, metaliczny, nieświadomy, przygotowując sobie własną śmierć. Przez tę chwilę czułem pewien smutek. Cała nasza historia, cała nasza motywacja w ciągu tych wielu, wielu lat, była kształtowana przez chęć zdobycia prawa powrotu do Republiki, do cywilizacji zdolnej wytworzyć takie maszyny jak ta. Oni znali tyle rzeczy, których my się już nie dowiemy, skoro zniszczyłem tego ostatniego Ambasadora. Bezwiednie wszedłem w czas szybki, by móc dotrzeć do zapalnika i powstrzymać wybuch, zanim Ambasador szczeźnie.

Ale nie ruszyłem się z miejsca. Jeśli lata niewoli czegoś nas nauczyły, to tego, że Ambasadorzy nie były kluczem do wolności, były łańcuchem, który nas krępował.

Wolność nasza nadejdzie tylko wtedy, kiedy zapomnimy o naszych martwych przodkach oraz odległych wrogach i odkryjemy, kim i czym staliśmy się naprawdę w czasie tych stuleci na Spisku.

Nie ruszyłem się z miejsca. Ambasador zakończył program składania samego siebie w ofierze. Wybuch zniszczył go od środka, światła maszyny zgasły, a ja trwożnie zastanawiałem się przez chwilę, jak śmiałem podjąć taką decyzję za cały świat, nie konsultując jej z nikim.

Potem zaśmiałem się z siebie. Było trochę za późno na zastanawianie się, czy powinienem się bawić w Boga. Zabawa już się skończyła.

Pył wybuchu opadł. Zadanie moje zostało wykonane. Postanowiłem, mimo wszystko, nadal żyć po jego zakończeniu, a to znaczyło, że będę musiał podjąć decyzje, których, jak sądziłem, nigdy już nie będę musiał podejmować. Dokąd pójść?

Co zrobić z resztą mego życia?

Kiedy szedłem przez pola na wschód od Muellera nad Rzeką, wiedziałem już, dokąd pójdę. Na wyspie, pośrodku jeziora w Ku Kuei, Saranna powiedziała: „Wróć jak najszybciej. Wróć, kiedy będziesz

jeszcze na tyle młody, żeby mnie pożądać.

Gdyż ja mam zamiar pozostać wiecznie młoda”.

Nie byłem już młody, przynajmniej według ścisłej definicji tego słowa. Ale pragnąłem Saranny. Być może tęskniłem tylko do tej niewinności, gdy jako dzieci kochaliśmy się nad rzeką, nie pamiętając o bólu, który może nadejść i z pewnością nadejdzie. Pragnąłem jej jednak bardziej, niż czegokolwiek w świecie, nie dlatego że moja namiętność była tak wszechogarniająca, ale dlatego że wszystkie inne rzeczy, których pragnąłem, były albo boleśnie spełnione, albo tak niemożliwe do osiągnięcia, że z nich zrezygnowałem. Ona jedna pozostała. Ona i dziwny, spokojny kraj biednych, lecz łagodnych ludzi, którzy wypasali owce przy skałach nad Morzem Humpińskim.

15. CZŁOWIEK WIATRU

Przyszedłem do Ku Kuei w czasie rzeczywistym i miałem uciechę, gdy kilkoro młodych, nie wiedząc, kim jestem, próbowało bawić się ze mną w gry szybkoczasowe. Z łatwością poradziłem sobie z ich strumieniami czasowymi i pozostałem w czasie rzeczywistym, bez względu na to, co wyprawiali. Musiało to ich zmartwić i zawołali kogoś starszego, bardziej wprawnego. Dlatego właśnie Człowiek, Który Wie O Tym Wszystko przyszedł mnie przywitać.

Kiedy pojawił się w polu widzenia, wrzasnął, śmiejąc się i wyciągając ręce:

– Jeziorny Pijak! Na zawsze stracony! Mój najgorszy uczeń, daję go jako negatywny przykład wszystkim dzieciom przychodzącym do mnie na naukę. Nie było cię tyle czasu, nawet nie wiadomo ile, kto by zrachował czas? Ale to było bardzo długo, stary draniu, i chodźże, chodźże, śpieszmy się!

Pośpieszyliśmy. Tłusty Ku Kuei prowadził żywo. Upajałem się leśnym powietrzem. Las nie był dla mnie tym typem środowiska, który

nazwałbym domem, ale ten las był cmentarzem mego ojca oraz ostatnim miejscem, w jakim przebywałem, gdzie ktoś mnie jeszcze kochał, jako syna i jako kochanka.

– Saranna – powiedziałem, a Człowiek, Który Wie O Tym Wszystko spojrział

zaskoczony. – Pieniek – przypomniałem mu, a on się zaśmiał.

– Ach, ona. Ona... to niewiarygodne. Dobra uczennica, jak na człowieka z zewnątrz. Teraz nazywa się Kamień, Pani Kamień, ponieważ stoi tam w cholernie wolnym czasie, najpowolniejszym, jakiego ktokolwiek próbował. Czy chcesz ją zobaczyć?

Czy chciałem ją zobaczyć? Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tego chcę, dopóki się tam nie zatrzymałem i nie uświadomiłem sobie, że ona stoi, tak jak stała, kiedy odchodziłem przed laty: sześcioma subiektywnymi, a trzema prawdziwymi. Jej ręce były wciąż do mnie wyciągnięte. Jej wargi stale były otwarte po wypowiedzeniu ostatnich słów. Łzy wypłynęły z jej oczu, ale jednak pierwsze ich krople nie dopłynęły jeszcze do podbródka.

Wpatrywałem się w nią i ostatnie sześć lat opadło ze mnie. Opuściłem ją zaledwie przed chwilą. Podszedłem do niej blisko, zwalniając swój czas; zwolniłem go bardziej niż kiedykolwiek przedtem, zwolniłem, aż drzewa wydawały się plamą i wtedy, w końcu, jej łzy zaczęły się poruszać, a jej oczy ujrzały mnie, na jej twarzy pojawiła się nadzieja. Saranna rzekła:

– Lanik, zmieniłam zdanie. Nie chcę być wiecznie młoda. Zabierz mnie ze sobą.

Objęła mnie, a ja ją. Pocałowałem ją w policzek, zanim wysechł.

– Nie było mnie sześć lat – powiedziałem.

– Sza! – rzekła.

– Czyniłem okropne rzeczy.

– Nie muszę o tym wiedzieć.

– Nie jestem dobrym człowiekiem.

Tylko mnie pocałowała i szepnęła:

– Wystarczająco dobrym dla mnie.

Uśmiechnęła się i stopniowo wyszliśmy z czasu wolnego. Świat przestał być plamą, a my znowu znaleźliśmy się w Ku Kuei. Dookoła nas zgromadziły się setki ludzi. Nie rozpoznałem nikogo.

– Dlaczego nas obserwujecie? – zapytałem.

Jakiś tłuścioch odpowiedział:

– Ponieważ ludzie nam powiedzieli, że Kamienni Kochankowie przyśpieszają do czasu rzeczywistego i przybyliśmy, by to zobaczyć.

– Kamienni Kochankowie?

– Ludzie rodzili się, starzeli i umierali, i widzieli, jak wy dwoje poruszaliście się tylko centymetr czy dwa, albo uśmiechnęliście się, czy też powiedzieliście pojedyncze słowo. Wyglądaliście na bardzo przejętych. Cokolwiek mówiliście, wydawało się mieć dla was ogromne znaczenie. To wcale nie było zabawne. Powstała jakby moda. Ludzie szukają teraz celów. To wszystko komplikuje.

– Jak długo? – zapytałem.

– Sądzę, że dwieście, trzysta lat – odpowiedział. – Ale teraz spodziewam się, że będziecie po prostu zwykłymi ludźmi.

– Mam taką nadzieję – rzekłem. Saranna uśmiechnęła się.

Opuściliśmy las i udaliśmy się na wschód, aż dotarliśmy do Britton i w najbardziej wysuniętej na wschód części wschodniego półwyspu Britton doszliśmy do Humping. Nic tu się nie zmieniło w ciągu ostatnich kilku wieków. W domu na urwisku rządził nowy lord, ale nazywał siebie dziedzicznym nazwiskiem Barton. W miejscu, gdzie stał dom Glaina i Vran, był teraz ogród i czyjś inny dom znajdował się o parę metrów dalej, ale ten dom był też pełen dzieci i nic się nie zmieniło. Ludzie byli wciąż biedni, wciąż milkliwi i wciąż dobrzy do głębi serca. Saranna i ja zbudowaliśmy chatę z murawy tuż nad morzem, gdzie od razu zacząłem uczyć ją wszystkiego, czego się kiedyś sam nauczyłem. Po pewnym czasie przyszedł jakiś pasterz zobaczyć, czym się zajmujemy. Uleczyłem jego bolące stawy, a Saranna wyleczyła jego chore jagnię i wtedy wszyscy wiedzieli już, kim jestem. Nazywali mnie „Człowiek Wiatru”, a Sarannę „Panią Człowieka Wiatru”, a wkrótce po prostu „Panią Wiatru” i chociaż lud Humping nas kochał, nie mógł kochać nas tak, jak my kochaliśmy ich. Legenda o Człowieku Wiatru była dobrze znana: przybył znikąd i zamieszkał z Glainem i Vran, lecząc ludzi i czyniąc dobro, dopóki ktoś nie opowiedział o tym lordowi z domu na urwisku. Wtedy Człowiek Wiatru odszedł i nigdy już nie wrócił. Tym razem, przyrzekli sobie, będzie inaczej. I przez wszystkie te lata, gdy tam mieszkaliśmy, lord z domu na urwisku nigdy nas nie szukał.

Humpersów nie dziwi to, że chociaż oni starzeją się i umierają, my się

nie starzejemy. Żyjemy tak długo, że leczymy dzieci, których pradziadom zestawialiśmy połamane nogi, kiedy tamci byli dziećmi. Prowadzimy spokojne życie, ale dobre, i czasami razem z Saranną planujemy mieć dzieci. Kiedy jednak będziemy je mieli, przestaniemy zmieniać samych siebie. Kiedy dorosną nasze wnuki, zestarzejemy się i umrzemy, tak jak to robią wszyscy. Dzieci nie potrzebują wiecznie żyjących rodziców.

Ale nie jesteśmy do tego całkowicie gotowi. Życie jest dla nas dostatecznie słodkie bez dzieci, chociaż patrzę na Sarannę i widzę, że nie potrwa to już długo; patrzę na siebie i widzę, że prawie jestem gotów. I to też będzie dobra rzecz. Sądzę, że nawet śmierć będzie rzeczą dobrą, nie dlatego że jest zakończeniem dawnej goryczy, ale dlatego, że jak wierzę, nadejdzie jako ostatni z ostrych smaków, które upewniają mnie, że żyję.

Gdzieś w tle słyszę wciąż wrzask ziemi, ale nie zabarwia on już wszystkiego, co widzę i robię. Wzmacnia natomiast moje przyjemności: wschód słońca jest jaśniejszy z powodu tego ciemnego miejsca wewnątrz mnie; uśmiech Saranny jest czulszy z powodu poznanych przeze mnie okrucieństw; uzdrawianie dzieci, zwierząt i dorosłych, którzy do mnie przychodzą, jest słodsze, gdyż kiedyś, na przekór własnym instynktom, ale z powodu własnego poczucia słuszności, zabijałem.

Czy Spisek jest teraz lepszym miejscem do życia – nie mnie sądzić.

Czy czynimy tak szybkie postępy, jak wcześniej, przed zniszczeniem Ambasadorów – nie wiem. Nie do mnie należy ocena, jak dobrze wykorzystano stworzone przeze mnie możliwości.

Czasami przejmuję mnie zdziwienie, że dokonałem tego wszystkiego. „Ty nie istniejesz”, tak często mówi mi Saranna po chwilach miłości. „Nie możesz być prawdziwy”. Ma na myśli tylko jedno znaczenie, ale ja rozumiem to w innym sensie.

Mimo całego planowania i obliczania, które wykonywałem przed każdym ruchem, wiem, że bardziej ukształtowały mnie okoliczności niż własna wola. Zastanawiam się czasami, czy nie jestem mimo wszystko pionem w grze jakiegoś innego gracza, spełniającym ślepo jego wielkie projekty, nie wiedząc nawet, że moja droga na szachownicy to tylko atak pozorowany, podczas gdy rzeczy ważne rozgrywane są gdzie indziej, przez innych ludzi.

Ale to, czy istnieją czyjeś wielkie projekty, nie ma dla mnie aż takiego znaczenia.

Moją jedyną ambicją jest przewidzieć, co może się stać, wierzyć, że to powinno się stać, i potem zrobić wszystko, żeby to się zdarzyło, bez względu na koszty. Kiedyś płaciłem za to bólem. Teraz, gdy moje życie snuje się tak radośnie, otrzymuję równowartość w zadowoleniu. Tutaj, wśród pasterzy, mój puchar napełnia się wodą życia. Przelewa się ona przez brzegi.